

# MOJRA

## NOC WILCZYCY

HENRI LOEVENBURCK

PRZEKŁAD ELIZA KASPRZAK-KOZIKOWSKA

## ROZDZIAŁ 1

### PRZEPOWIEDNIA

Głuche dudnienie w drewniane drzwi komnaty wyrwało ze snu Arcydruida Ernana. W normalnych okolicznościach żaden sługa w Sai-Minie nie ośmieliłby się budzić najważniejszego członka Rady Druidów w taki sposób. Słońce ledwie wstało, a wczorajszy wieczór był ciężki i męczący, tak jak wszystkie wieczory od czasu wielkiej klęski. Dyskusje ciągnęły się długo w noc. W łonie Rady narastało napięcie. Każdy starał się zrzucić winę na innych. Nikt nie wiedział, co robić, jak zażegnać kryzys, jak podnieść się z upadku. Nigdy wcześniej Rada nie poniosła podobnej klęski. Nawet odejście dwóch renegatów nie miało tak tragicznych konsekwencji jak wojna, która dzieliła dziś Gaelię. Czasy były ciężkie i niepewne. Mimo wszystko nie budziło się Arcydruida o świcie bez naprawdę ważnego powodu. A jednak za drzwiami swego apartamentu Ernan słyszał głos jednego ze sług. Głos pełen niecierpliwości i niepokoju. Musiało się zdarzyć coś strasznego.

Starzec podniósł się powoli i włożył swój długi biały płaszcz. Sługa wciąż walił do drzwi. Ernan przejrzał się w wielkim lustrze. Zobaczył w nim steranego życiem człowieka. Zobaczył oczy, z których smutek wygnał nadzieję. Dlaczego Mojra właśnie jego wybrała, by stawił czoło największemu kryzysowi w historii Sai-Miny? Jak miał sobie z tym poradzić?

Westchnął ciężko. Musiał być gotowy na wszystko. Na każdą wiadomość, nawet najgorszą. Wszystko waliło mu się na głowę. Plany Mojry wstrząsnęły światem. Świat miał się zmienić. Świat już się zmieniał.

Kiedy Arcydruid otworzył drzwi swego apartamentu, dojrzał przerażenie w oczach sługi. Przemoczony strach odbierał mu mowę i kiedy druid zapytał, co się stało, biedny chłopak zdołał wykrztusić tylko:

- Tam, na dole.

Ernan westchnął z rozdrażnieniem i potracając sługę, skierował się w stronę schodów prowadzących na dziedziniec. Pozycja, jaką zajmował, nie pozwalała mu biec, musiał zachowywać godność w każdej sytuacji, ale schodził tak szybko, jak tylko mógł, podpierając się długą dębową laską. Kiedy był już na dole schodów, spostrzegł przed sobą milczące zgromadzenie. Druidzi przemieszani z magistelami i sługami stali ściśnięci jeden przy drugim. Wszyscy patrzyli w jeden punkt, stojąc w kole na środku dziedzińca.

Ernan potarł czoło. Mogło być tylko jedno wyjaśnienie tego zamieszania. Ale nie śmiał nawet o tym myśleć. Mocno zaciskając dłoń na lasce, Arcydruid zaczął się przedzierać przez tłum.

- Odsuńcie się!

Ludzie rozstąpili się przed nim. Kiedy w końcu znalazł się na środku dziedzińca, osłupiał z przerażenia. Spodziewał się najgorszego, ale to, co zobaczył, było okropniejsze niż najgorsze obawy.

Dąb został wyrwany.

Stuletni dąb rosnący na dziedzińcu zniknął. Święty symbol Sai-Miny został skradziony Pośrodku trzynastu kamiennych tronów ziała niepokojąca pustka. Wielka dziura w ziemi. Groźba. Zniewaga. Zdrada.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na Arcydruida. Na wszystkich twarzach Ernan widział ten sam niepokój, we wszystkich oczach to samo oczekiwanie, to samo zdumienie. Sai-Mina właśnie straciła duszę.

Starzec słyszał bicie swojego serca. Zdawało mu się, że wszędzie dookoła widzi samego siebie, niczym w setkach luster, a każde odbicie patrzy na niego oskarżycielskim wzrokiem.

- Zwołuję natychmiastowe zgromadzenie Rady - powiedział poważnym, niskim głosem. - Niech wszyscy Wielcy Druidzi dołączą do mnie w komnacie Rady.

- Ci, którzy jeszcze tu są - dodał Shehan, archiwista.

Ernan powiódł wzrokiem po otaczających go mężczyznach i kobietach. Oczywiście brakowało kilku Wielkich Druidów i wielu druidów. Trzeba było sporo ludzi, by uknuć podobny spisek. Pozwolił, by jego Saiman przeniknął przez zgromadzenie, i od razu wiedział, którzy z braci byli nieobecni. Henon, Kalan, Otelian i Tiernan. Czterej nowi zdrajcy. A z nimi bez wątpienia liczni druidzi i magistele.

- Tak, ci, którzy jeszcze tu są - powtórzył Ernan słowa archiwisty. - I niech rządca sprawdzi, których druidów i magisteli brakuje. Chcę dostać wszystkie imiona. Co do jednego!

Odwrócił się gwałtownie i odszedł wzburzony w stronę wysokiej wieży, do komnaty Rady. Lecz nim otworzył wielką bramę, odwrócił się, spojrzał na oszołomiony tłum i dodał:

- I żadne plotki o tym, co tu zaszło, nie mogą się wydostać poza Sai-Minę. Niech wszyscy wracają do pracy!

Lecz Ernan nie miał złudzeń i wiedział, że wszystko wyda się bardzo szybko. Wieść wkrótce rozejdzie się po całej wyspie. Takie wydarzenie trudno utrzymać w tajemnicy.

Niebawem cała Gaelia się dowie, że Rada się podzieliła. Że Sai-Mina upadła.

\*

Alea i Erwan jeszcze przez wiele dni, aż do początku jesieni, dochodzili do zdrowia, lecz ich żałoba trwała nieprzerwanie. Finghin każdego ranka przychodził leczyć złamane ramię Alei za pomocą Saimana.

Ostatni rycerze armii Samildanacha - jak sami się nazwali - gromadzili się z wolna przy Alei i jej towarzyszach i w tym głuchym zakątku lasu zbudowali obóz, tak wygodny, jak pozwalały na to warunki: były tu namioty, niewielkie szałaszy, skromne posłania, stoły, a pośrodku polany wielkie ognisko, którego nigdy nie gaszono.

Nie rozmawiano wiele, opiekowano się licznymi rannymi, a wieczorami ciszę przerywały tylko smutne melodie dudziarza. Mjolln, ze wzrokiem wbitym w rozgwieżdżone niebo, wygrywał przy ognisku pieśni, których nauczyła go Faith. Każda nuta była niczym łza wylana z tęsknoty za nią. Wspomnienie

harfistki i magistela było wciąż żywe we wszystkich sercach. Wszystkie dusze przepelniał ból.

Kaitlin starała się ukoić serca przyjaciół swymi opowieściami. Wędrowna aktorka była równie uzdolnioną bajarką jak kobieta bard. Słuchając jej niezwykłych historii, zapominało się o całym świecie, troski znikwały, a w serca wlewał się spokój. Finghin siedział przy aktorce z błogim uśmiechem. Ich dłonie czasem się spotykały.

Młody druid starał się ukryć, jak bardzo pragnie już ruszyć w drogę. Nie chciał popędzać Alei czy Erwana, bo wiedział, że muszą odpocząć nie tylko z powodu fizycznych obrażeń. Jednak świat ich wzywał. Historia nie stanęła w miejscu. Choć strata dwóch ukochanych osób była niezwykle bolesna, gdzieś tam daleko życie Gaelii toczyło się dalej i pewnego dnia trzeba będzie ponownie ruszyć w drogę. Na spotkanie historii. Po to przecież zebrali się tu ci wszyscy rycerze. Gaelia była gotowa, by kontynuować marsz ku zmianom.

Erwan pierwszy podniósł się z posłania. Po kilku dniach mógł już normalnie chodzić, a niedługo polem udawał się nawet na polowania, by jakoś przysłużyć się wspólnocie. Znikał na kilka godzin, sam w głębi brunatno-żółtego lasu, po czym wracał wieczorem z rozwichrzoną blond czupryną i upolowaną zwierzyną na ramieniu. Wielu zbrojnych, którzy nazywali go teraz Generałem, chciało mu towarzyszyć. Ale młody magistel wolał być sam. Tak jakby podczas tych polowań chciał zabić nie tyle zwierzynę, ile ból swojej duszy. Bolesne wspomnienie śmierci ojca. Bo Galiad Al'Daman był jego jedyną rodziną. A dziewczyna, którą kochał, nie mogła mu w tej chwili pomóc.

Alea bowiem milczała. Kiedy nie spała, pogrążała się w lekturze opasłego, ciężkiego tomu Encyklopedii Analego, którą zawsze trzymała przy sobie. Kładła księgę na kolanach i wolno przewracała stronicę. Uczyla się czytać, mozolnie szukała sensu słów, zatrzymując się na literach, których jeszcze nie rozpoznawała. Po kilku dniach czytała już biegle. Strony przewracały się coraz szybciej, a spojrzenie dziewczyny stawało się coraz bardziej skupione. Oczy coraz bardziej błyszczące.

Jednakże ciągle milczała. Nie rozmawiała z Mjollnem, swym najwierniejszym towarzyszem, ani z Erwanem ArDamanem, chłopcem, którego kochała, ani nawet z Finghinem, młodym druidem, który tak ją wspierał, ani z Kaitlin, którą pokochała jak siostrę. I wszyscy, poza Mjollnem, zdawali się rozumieć to jej milczenie. Tylko krasnolud coraz bardziej się niecierpliwił. Siadał naprzeciwko niej, przez długie godziny patrzył, jak czyta, a gdy nadal milczała jak zakłeta, zrywał się gwałtownie i wychodził z szałasu, wdychając z irytacją.

Wokół niej obozowały setki wojowników. Wszyscy dumnie nosili jej herb, ale nigdy nie słyszeli jej głosu. Zaciągnęli się pod jej znak, bili się dla niej, widzieli, jak ich bracia umierają za nią, lecz ona była cały czas tylko odległym cieniem w niedostępnym szałasie. I z pewnością przyczyniało się to do legendy, która zaczynała ją otaczać. Alea nie opuszczała szałasu i większość rycerzy nigdy nie widziała jej twarzy. A jednak w obozie mówiono tylko o niej. O tym, jaka jest piękna, wysoka, silna. Była ucieleśnieniem wszystkich nadziei tej armii, która zebrała się pod jej sztandarem.

Zza czerwonej zasłony szałasu, w którym wracała do zdrowia, nie dobiegał żaden dźwięk.

ednak pewnego wieczoru, kiedy przyjaciele spożywali razem kolację przy małym stoliku, zbitym dla nich przez krasnoluda, Alea, ciągle jeszcze leżąc na posłaniu, wreszcie przemówiła.

- Finghinie, musimy porozmawiać - powiedziała, nie patrząc na towarzyszy, tak jakby żadna cisza nie dzieliła ich od wielu dni.

Popatrzyli po sobie zaskoczeni, po czym wolno zwrócili oczy na dziewczynę.

- Słucham - odpowiedział młody druid, odkładając drewnianą łyżkę na stół.

- Nie tutaj - rzekła Alea, wstając gwałtownie. - Chodźmy pospacerować po lesie.

- Boisz się, żebyśmy nie podsłuchiwali? - wykrzyknął wściekły Mjolln. - No pięknie! Masz coś do ukrycia przed nami?

Kaitlin zmarszczyła brwi, dając krasnoludowi znak, by się uspokoił. Lecz Alea uśmiechnęła się do niego. Już prawie zapomniiała, jaki pan Abbac ma charakterek.

- Nie, Mjollnie. Po prostu potrzebuję się przejść i pomyśleć. Finghin może mi w tym pomóc. Ale jeśli chcesz iść z nami, to proszę bardzo. Nie mam nic do ukrycia. Zwłaszcza przed moim starym przyjacielem.

- Tym lepiej - odparł krasnolud, krzywiąc się. - A tak, chcę pójść z wami. Hem. Ja też potrzebuję się przejść i pomyśleć. Na Mojre! Tak, jestem twoim najstarszym przyjacielem!

- A więc chodźmy - zaprosiła go Alea, wychodząc z szałasu pewnym, niemal tanecznym krokiem. Po drodze chwyciła dębową laskę Felima i narzuciła sobie na ramiona jego biały płaszcz.

Przyjaciele patrzyli na nią w osłupieniu. Wydawała się zupełnie zdrowa. Ale też zupełnie nieprzewidywalna. Można było powiedzieć, że urosła i wydorosła. Jakby w czasie tej choroby przybyło jej kilka lat. Wysoka, wyprostowana, pewna siebie i piękna - to nie było już dziecko, lecz zdecydowana młoda kobieta.

Mjolln zeskoczył z ławki i pobiegł za nią. Finghin podążył za nimi, rzucając przepaszające spojrzenie Kaitlin i Erwanowi. Ale oni cieszyli się, że Alea w końcu zaczęła mówić. To im na razie wystarczało.

\*

Imała uciekała przez wiele długich godzin. Uciekała przed widokiem i odorem trupów. Razem ze swoimi braćmi pokonała potwory, obroniła dwunożną. Ale teraz chciała być daleko. Inne wilki również uciekły i rozpiechły się po całym kraju. Tak jakby siła, która je zjednoczyła, nagle znikła, a natura odzyskała pełnię swoich praw. Znowu utworzyły się watahy, a każda z nich zajęła swoje terytorium, oddalając się od innych.

Tymczasem Imała, tak jak niegdyś, samotnie przemierzała wyspę. Wspomnienie dwunożnych było coraz bardziej odległe, pozostał tylko ból w zranionej łapie i podmuch wiatru mierzwiący jej sierść. Podążając na południe, wędrowała przez wrzosowiska i lasy, omijała wioski, polowała samotnie.

Tego popołudnia, kiedy gasnące światło odchodzącego dnia przykrywało niebo ciemnobłękitną zasłoną, dotarła nad staw. Wolno przedzierała się przez wysokie żółte trawy. Las zaczynał się już zmieniać. Liście i trawy przybierały rude i miedziane barwy. Z postawionymi uszami i pyskiem nisko przy ziemi

posuwała się delikatnie w kierunku wody. Jej szerokie łapy zapadały się w wilgotnym, zimnym podłożu. Wkrótce stanęła nad stawem. Jej biała wychudzona sylwetka odbiła się w wodzie. Zatrzymała się na chwilę, wsłuchując się w łagodny plusk, potrząsnęła głową, by odegnać owady, i pochyliła się nad stawem, zanurzyła pysk i długo piła.

Woda była cudownie odświeżająca i szybko ugasila jej pragnienie, lecz pobudziła głód. Wilczyca przestała pić i podniosła pysk. Zauważyła jakiś ruch w wodzie. Mały owalny kształt, który przesunął się w głębi stawu. Ryba. Nieruchomo wpatrywała się teraz w taflę wody. Znowu ją zobaczyła. I jeszcze jedną. Skok. Cofnęła się, po czym nagle zanurzyła głowę.

W ociekającym wodą pysku trzymała teraz dużego, srebrnołuskiego karpia. Nie była to wielka zdobycz, ale wystarczyła, by zaspokoić pierwszy głód. Imała potruczała wzdłuż brzegu i położyła się pod wielką olchą. Zjadła rybę kilkoma kęsami, po czym wróciła nad staw napić się jeszcze wody i opłukać pysk.

Na krwawiła już ze zranionej łapy, lecz ciągle jeszcze kulała. Ułożyła się na pokrytej suchymi liśćmi i wierzbowymi gałązkami ziemi i zasnęła w końcu pod wieczór, kołysana uspokajającym szumem gęstego lasu.

Ze snu wyrwał ją trzask łamanej gałęzi. Imała poderwała się na równe nogi i odwróciła. Z postawionymi uszami i wyciągniętym ogonem badała otoczenie. Wkrótce zobaczyła, co ją obudziło. Zaledwie kilka kroków dalej, w cieniu wielkiej olchy, stał nieruchomo szary wilk i przyglądał się jej.

Był to wilk ogromnych rozmiarów, z szeroką głową, długimi nogami i muskularnym ciałem. Jego wąskie żółte oczy błyszczały na przecinającej pysk czarnej linii, kontrastującej z jego jasnoszarym umaszczeniem. Stał z podniesionymi uszami, zwisającym z pyska językiem i machał podniesionym do góry ogonem, ale zdawał się czekać, aż Imała zrobi pierwszy krok.

Wilczyca stała nieruchomo. Niejasno przypominała sobie wilka, minęło jednak dużo czasu. W tej chwili łącząca ich niegdyś więź już nie istniała. Stał się obcy.

Samiec zaszczekał, a po chwili jego szczekanie zmieniło się w przenikliwe wycie. Kiedy ostatnia nuta ucichła, wilk nastawił uszu, jakby czekał na odpowiedź, na wycie innego samca. Ale widział, że Imała jest sama. Nie towarzyszył jej żaden wilk. Droga była wolna.

Do nozdrzy Imali dotarł znajomy zapach szarego wilka. Wtedy go sobie przypomniała. Zawahała się przez chwilę, po czym powoli zaczęła zbliżać się do przybysza. Nieufna, podchodziła do niego, nie spuszczać go z oczu, gotowa w każdej chwili uskoczyć. Kiedy dzieliło ich już tylko kilka kroków, zaskomlała i cofnęła się lekko, jakby chciała zachęcić wilka, by się zbliżył. Lecz on stał nieruchomo, dumny, na wyprostowanych szarych łapach, i czekał.

Imała obróciła się dookoła, po czym znów zaczęła się zbliżać. Zboczyła lekko w lewo, by okrążyć samca, ale ten zrobił gwałtowny ruch i zmienił położenie ciała, jakby nie chciał dopuścić, by Imała podeszła do niego z boku. Biała wilczyca znów zaskomlała, pisnęła kilka razy, ale nie przestała się zbliżać.

Wreszcie stanęła nieśmiało przy wilku. Z uniesionym ogonem ustawiła się wzdłuż jego boku. Stali tak, jedno przy drugim, nie patrząc na siebie i nie dotykając się jeszcze. Przyzwyczajali się do siebie, sprawdzali się nawzajem. Zaczynali jednak coraz mocniej machać ogonami i nagle samiec położył łapę na barku Imali. Znieruchomiała, ale nie wygięła ciała w łuk ani nie okazała

uległości w żaden inny sposób. Stali tak przez kilka chwil, ich zapachy się mieszały. Zaczęli się bawić.

Goniąc się między drzewami, gryząc się delikatnie i popiskując, szybko odnaleźli dawną zażyłość. Zmęczeni, ale zadowoleni poszli się położyć nad stawem. Ich losy znów się splotły.

Tak właśnie, według legendy, z nadejściem jesieni Imała odnalazła wielkiego szarego wilka, którego dawni bajarze nazwali Taibron, co w języku elfów oznacza „towarzysz”.

\*

- Dwóch renegatów, Finghin gdzieś daleko z dziewczyną i czterech zdrajców, którzy zniknęli! Rada jeszcze nigdy nie była tak podzielona, Emanie.

Głos Aengusa był przepelniony niepokojem. Pozostali Wielcy Druidzi, którzy dzielali jego zdenerwowanie, przytaknęli. Tylko Shehan, archiwista, nie odzywał się, zajęty notowaniem. Zgodnie z przyjętą przez zakon zasadą przekazu ustnego, Shehan był jedynym druidem, któremu wolno było pisać.

Ernan, zasepiony, słuchał swoich braci, tak naprawdę nie słysząc, co do niego mówią. Myślami był gdzie indziej. W tej strasznej godzinie inni Wielcy Druidzi niewiele mogli mu pomóc. Sam musiał znaleźć odpowiedź.

„Felimie, Ailinie, opuściliście mnie. Odeszliście, zanim jeszcze los naszej wyspy został przypieczętowany. Nigdy nie miałem waszej przenikliwości. Nigdy nie będę miał waszej odwagi, waszej brawury. Nigdy nie uda mi się przywrócić porządku w tej Radzie ani pokoju na wyspie. Zaszliśmy już za daleko. Przez nasze wyrachowanie, manipulacje i podstępny utraciliśmy kontakt z rzeczywistością”.

- Zostało nas zaledwie sześciu - podjął inny Wielki Druid. - To nawet mniej niż połowa.

„Wyrwali dąb. Zakradli się w nocy i wyrwali dąb. Nie wiem, co ja tu w ogóle robię. Jakim prawem wciąż przewodniczę temu zgromadzeniu, podczas gdy wszystko dookoła mnie się wali, a ja nie widzę żadnej przyszłości?”

- Jednakże wieść niesie, że Samael nie żyje - wtrącił Shehan, podnosząc głowę. - Podobno to on podawał się za biskupa Nataliena. Jeśli pogłoski o jego śmierci się potwierdzą, będziemy mogli mianować na jego miejsce nowego Wielkiego Druida i będzie nas wtedy siedmiu. I nie zapominajmy, że choć Finghina nie ma tu z nami, nie jest on przecież naszym wrogiem. Darzę naszego najmłodszego brata całkowitym zaufaniem.

- Nie możemy już ufać nikomu - odparł Aengus. - Jest jeszcze taki młody, zdrajcy bez trudu będą nim manipulować. Zresztą nie powinniśmy byli mianować Wielkim Druidem brata w tym wieku. Jeszcze kilka miesięcy temu był zwykłym uczniem.

- Finghin jest mądrzejszy niż większość z nas - wtrącił Kiaran z tajemniczym wyrazem twarzy - I nigdy nas nie zdradzi.

- Więc będzie nas ośmiu - podsumował Shehan.

Aengus westchnął.

- To bez różnicy. Ośmiu zamiast trzynastu! Nie będziemy poważnie traktowani!

- Poważnie traktowani przez kogo? - zapytał Kiaran z ironią w głosie. - Nie mamy już żadnego politycznego sprzymierzeńca. Od śmierci króla Galacja nie

jest już naszym sojusznikiem i mogę się założyć, że czterej zdrajcy udali się prosto do królowej.

„Gdybyśmy bardziej ufali królowi, gdybyśmy zostawili mu więcej władzy, ta dziewczyna nie zdołałaby go tak omotać. Nasi starsi bracia nie mieli racji. Powinniśmy byli dać Eoghanowi więcej swobody. Przynajmniej pozornej”.

- Rzeczywiście, podobno już są u królowej - potwierdził Shehan.

- Więc moglibyśmy po prostu skazać ich na banicję i na ich miejsce wybrać czterech nowych Wielkich Druidów - zaproponował Aengus. - W ten sposób tylko miejsce Maolmórdhy pozostanie puste i znów będzie nas dwunastu.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na Ernana. Arcydruid wciąż milczał. Prawdę mówiąc, w tej chwili nie przejmował się liczbą Wielkich Druidów w Radzie, ale tym, co Rada powinna dalej robić, bez względu na to, czy będzie ich sześciu, ośmiu czy dwunastu.

Jak słusznie zauważył Kiaran, druidzi nie mieli już prawdziwego sojusznika. Oni, którzy byli dotąd największą siłą polityczną na wyspie, którzy ukryci za plecami króla pociągali za wszystkie sznurki władzy, co prawda kruchej, lecz stabilnej, dziś zostali zupełnie sami i wewnętrżnie rozdarci. Czy ktoś mógłby się tego spodziewać?

Ernan czuł się straszliwie samotny. Nawet teraz, siedząc na rzeźbionym tronie Arcydruida, pod przepięknym sklepieniem komnaty Rady, miał wrażenie, że jego zakon przestał istnieć. Brakowało zbyt wielu braci, a popełniona właśnie zdrada rodziła zbyt wiele pytań. Na kogo mógł teraz liczyć?

Do tego jeszcze dąb. Jak zdrajcy mogli wyrwać stuletnie drzewo? Czyż można wyobrazić sobie większe upokorzenie, większą zniewagę dla Sai-Miny? Jak Mojra mogła na to pozwolić?

Droży bracia, nie zdołamy odbudować Rady, nie zdołamy odbudować Sai-Miny bez stuletniego drzewa. Było ono symbolem naszej jedności. Zdrajcy skradli duszę naszego zgromadzenia. Zastępując ich innymi druidami, będziemy się tylko okłamywać.

- Co chcecie przez to powiedzieć? - zdziwił się Aengus.

- Sai-Mina zjednoczy się na nowo albo przestanie istnieć. Nie chodzi o to, by nasi bracia zostali zastąpieni, lecz o to, by do nas powrócili. Inaczej nastąpi koniec.

Wśród zgromadzenia zaległa długa cisza. Pięciu Wielkich Druidów wpatrywało się w Ernana, czekając na dalsze wyjaśnienia. Lecz Ernan był już myślami gdzie indziej.

W końcu ciszę przerwał Kiaran.

- To, co mówi Ernan, wydaje mi się jak najbardziej słuszne. Rada nie ma racji bytu, skoro tylu członków zdecydowało się ją opuścić. Tu nie chodzi o przetrwanie naszego zgromadzenia, lecz

- sens jego istnienia.

„Kiaran myśli tak samo jak ja. On rozumie, że ten kryzys dotyczy nie tylko naszego zakonu. Że podważa naszą rację bytu.

- dopóki nie zostanie zażegnany, dopóty odbudowanie Rady niczego nie zmieni”.

- Ale wyspa potrzebuje Rady! Nie możemy, ot tak, zniszczyć naszego zakonu, tylko dlatego że czterech braci dopuściło się zdrady.

- Rzeczywiście, nie możemy go zniszczyć, ale nie możemy go też naprawić - odparł Kiaran. - Na nic się zda wymienianie cegieł, które wypadły ze ściany. Jeśli ściana się wali, trzeba się zmierzyć z powodem jej zawalenia. Ta Rada już



od dawna kroczy błędną drogą. Felim miał rację. Odmawiając odgrywania naszej roli, skazaliśmy się na zagładę.

„Jeszcze nigdy słowa Kiarana nie wydawały mi się tak mądre. Z pewnością wcześniej nie potrafiłem go zrozumieć. Być może to, co kiedyś mówił, a co brałem za urojenia, było logicznym i jasnym rozumowaniem, zbyt jasnym, byśmy je zrozumieli, posługując się naszą logiką, wypaczoną przez długie lata posiadania władzy”.

- Powinniśmy byli wspierać tę małą zarazę? - oburzył się Aengus, podnosząc się z miejsca. Powinniśmy byli wspierać Samildanacha - poprawił go Kiaran.

- Jeszcze nie jest za późno - zaryzykował Ernan, nie podnosząc oczu.

Znów zapadła cisza. Aengus, wciąż stojąc, rzucał rozpaczliwe spojrzenia na tych braci, którzy dotąd milczeli, Lorcana i Odhrana. W ich oczach zobaczył jednak tylko rezygnację i bezsilność.

- Czy chcecie powiedzieć, że powinniśmy dołączyć do Alei? - zapytał Aengus, a jego oczy były pełne gniewu.

Nikt mu nie odpowiedział. Aengus opadł na swój fotel, kręcąc głową z niedowierzaniem. I także zamilkł.

- Drodzy bracia - rzekł Ernan, kładąc swoją dębową laskę na kolanach. - Nie powiedziałem wam jeszcze wszystkiego. Czterej zdrajcy nie zadowolili się naszym stuletnim drzewem. Zabrali z sobą również cztery Manithy Tuathannów i Marfith z Djar. Sami nie mamy im rady. Mamy, co prawda, przewagę liczebną, ale oni dysponują mocą tych świętych przedmiotów i z pewnością cała armia królowej stanie po ich stronie. Nie mamy innego wyjścia, musimy znaleźć nowego sojusznika. Królowa pragnęła naszego upadku i udało jej się do niego doprowadzić. Harcourt? To nasz najbardziej zagorzały wróg. Bizania? Nie opowie się po żadnej ze stron. Tuathannowie? Prawie wszyscy zostali zabici. Naszym jedynym potencjalnym sojusznikiem jest Alea. Jest przy niej Finghin, a wcześniej zaufała jej Felim. Nie widzę innego wyjścia.

„I wiem, że Ailin podjąłby taką samą decyzję. Zresztą wszystkie jego wybory, choć wtedy zupełnie tego nie pojmowaliśmy, zmierzały właśnie w tym kierunku. Chronić Aleę, by pomóc jej wypełnić przeznaczenie. Jej i nasze”.

- Nie wiemy, gdzie ona jest - zauważył Shehan. - Nie wiemy nawet, czy udało się jej przeżyć. Ludzie opowiadają, że Maol- mórdha wysłał przeciw niej potwora z krainy umarłych...

- Ona żyje - powiedział Kiaran.

Pewność w jego głosie wskazywała, że widział ją w Djar. Wszyscy już wiedzieli, że Kiaran, najbardziej niezwykły z członków Rady, co noc podróżował po tym zadziwiającym świecie, gdzie unosiły się dusze żyjących.

Ernan skinął głową.

- Jeśli żyje - rzekł Arcydruid, wstając - to ją znajdziemy. Niebawem.

\*

- Finghinie, kiedy się obudziłam i zapytałam cię, czy w Encyklopedii Analego znajdują się odpowiedzi, powiedziałeś, że tak.

Alea szła przez las u boku młodego druida, a za nimi podążał Mjolln, próbując nie uronić nic z ich rozmowy. Z powodu niskiego wzrostu musiał szybciej przebierać nogami, by dogonić przyjaciół, wzdychał więc ciężko,

przeskakując wystające korzenie drzew i przesadzając leżące na ziemi suche gałęzie.

- Czy to znaczy - ciągnęła dziewczyna - że czytałeś Encyklopedię?

Finghin patrzył prosto przed siebie. Wiedział, jak ważne dla Alei będzie każde jego słowo. Jak bardzo przemyślane są jej pytania. Nigdy nie pobierała nauk w Sai-Minie, a była światła niczym druid, jeśli nie bardziej.

- Czytałem początkowe rozdziały.

Alea uśmiechnęła się pod nosem. Bawiła ją ostrożność druida.

- A więc znasz pierwszą przepowiednię?

- Tak - przyznał Finghin, drapiąc się po ogolonej głowie.

- Sądysz, że mówi ona o mnie?

Finghin przystanął. Popatrzył na dziewczynę. Była naprawdę piękna. Teraz to rozumiał: w miłości, jaką darzył ją jego własny magistel Erwan, nie było nic dziwnego. Każdy, kto ją spotkał, musiał się w niej choć trochę zakochać. Młody druid, chociaż ego serce wybrało Kaitlin, też nie był zupełnie nieczuły na niezwykły urok Alei. Podziwiał jej błękitne oczy, ciemne włosy, przydającą jej dostojeństwa piękną złoto-błękitną szatę, którą utkały dla niej elfy. Długi biały płaszcz narzucony na jej ramiona przypominał mu stroje jego kasty, a laska Felima dodawała jej powagi i dojrzałości.

Alea też przystanąła i z uśmiechem czekała na odpowiedź.

- Tak, myślę, że przepowiednia mówi o tobie - rzekł w końcu młody druid.

- Hem! Na Mojrę! Powieście mi w końcu, o co chodzi? To okrutne, wiecie? Ja nie czytałem tej waszej książki!

Zdyszany Mjolln właśnie ich dogonił. Stał teraz z rękami na biodrach i rzucał im wściekłe spojrzenia, marszcząc wielkie krzaczaste brwi. Alea wzięła go za rękę i usiadła z nim na zwałonym pniu drzewa.

- Pierwsza przepowiednia mówi o moich narodzinach, Mjollnie.

- O twoich narodzinach? Któregoś dnia powiedziałaś, że twoją matką była kobieta z podziemnego świata, z Sidu, i że masz brata, który jest Tuathannem. Hem.

- To prawda - potwierdziła Alea. - A Encyklopedia Analego, która została napisana na długo przed moim urodzeniem, opowiada, jak zakończy się era Samildanacha.

- Era Samildanacha? A co to takiego? - zdziwił się krasnolud.

- To era, w której żyjemy. W której żyli nasi rodzice. W której ty żyjesz.

- No i co dalej? - pytał krasnolud.

- Encyklopedia Analego mówi, że ostatnim Samildanachem będzie kobieta. Że będzie ona Córką Ziemi, urodzoną z kobiety pochodzącej z krainy podziemi i mężczyzny żyjącego w naszym świecie.

- Z mężczyzny i Tuathannki?

- Właśnie. Przepowiednia mówi, że pewnego dnia otworzy się brama Sidu, przejdzie przez nią tuathanneńska kobieta, a jej ciało połączy się z ciałem czystego mężczyzny, mieszkańca Gaelii. Z tego związku narodzi się córka. Ostatni Samildanach. Mój brat Tagor opowiadał mi, że właśnie tak przyszedł na świat. I że moja matka musiała opuścić Sid z powodu swej zdrady.

- A więc, moja mała miotaczko kamieni, myślisz, że ostatni Samildanach to ty?

Alea nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się tylko i odwróciła do Finghina.

- Rozmawialiście o tym w czasie zebrania Rady? - zapytała, wstając i podchodząc do druida.

- Nie. Raz czy dwa w dyskusji ktoś wspomniał o Encyklopedii, ale ta księga nie jest zbyt ceniona przez moich braci. Zresztą jak każda inna książka, wiesz przecież...

- Ale czy mówiono o moich narodzinach?

-Nie.

- Więc nie wiesz, kto był moim ojcem?

Teraz druid się uśmiechnął. Zastanawiał się, czy Alea z niego żartuje, czy to jakiś podstęp.

- Czy sądzisz, że wszyscy nie domyślili się tego już dawno temu? - zapytał ironicznym tonem.

- Hem. Nie! Ja nie! - wykrzyknął Mjolln.

Ale Alea udała, że nie usłyszała pytania druida.

- Myślisz, że on wiedział, że jest moim ojcem? - zapytała.

Finghin wzruszył ramionami.

- Ale o kim wy mówicie, do licha?

Alea jeszcze przez chwilę wpatrywała się w Finghina, po czym odwróciła się do dudziarza.

- Mówimy o Caronie Cathfadzie, synu Katubatuosa, któremu podczas inicjacji w Sai-Minie druidzi nadali imię Felim. Moim ojcem był Felim.

Krasnolud wytrzeszczył oczy.

- He? Ale to niemożliwe! Hem, no jak to!?

Alea i Finghin znów ruszyli przed siebie. Krasnolud przez długą chwilę stał jak zamurowany, z otwartymi ustami, po czym zerwał się pędem, by ich dogonić.

- Tak więc pierwsza przepowiednia już się spełniła - ciągnęła Alea. - Urodziłam się z gaelijskiego mężczyzny i tuathanneńskiej kobiety i zdaje się, że jestem tym, kogo nazywacie Samildanachem. Czytałeś dalej?

- Nie - odpowiedział młody druid i Alea wiedziała, że mówi prawdę.

- Są jeszcze dwie przepowiednie.

- Czytałeś je? - spytał zaciekawiony Finghin.

- Tak. Ale tak naprawdę nie interesuje mnie ich treść, lecz cel, w jakim zostały spisane. A zwłaszcza to, co ja mam z nimi zrobić.

- Czy te przepowiednie już się spełniły? - zapytał druid.

- Niezupełnie. Jeszcze nie. Lecz czy powinnam dążyć do tego, by się spełniły? Czy też powinnam kierować się instynktem?

- Być może nie ma tu sprzeczności. Być może spełnią się właśnie wtedy, kiedy pójdziesz drogą, którą wybrałaś - rzekł Finghin.

Alea skinęła głową. Też tak sądziła. Jednak było coś przerażającego w myśli, że jest się tylko małą częścią spisanej dawno temu przepowiedni. Czy nie miała żadnego wyboru? Czy to jest właśnie Mojra? Zapisane w wielkiej księdze przeznaczenie, przed którym nie ma ucieczki?

Popatrzyła na Finghina. Nie zapytał, o czym mówiły dwie ostatnie przepowiednie, choć nie miała wątpliwości, że zżerała go ciekawość. Jednak chciał okazać jej szacunek i czekał.

- Gdzie w tym życiu, które prowadzę, jest więc moja wolność? - zapytała, patrząc młodemu druidowi prosto w oczy.

- Czasami bycie wolnym polega na tym, by się nie uchylać od swoich obowiązków.

- Co ty pleciesz? - wykrzyknął Mjolln, który przestał cokolwiek rozumieć z ich rozmowy. - Gadacie jak studenci z Mont-Tombe!

- Co się stanie, jeśli przestaniesz oddychać? zwracając się do Mjollna.

Krasnolud zmarszczył brwi.

- Uduszę się i umrę, co za pytanie!

- Właśnie. Więc każdy, kto chce żyć, Prawda?

- Oczywiście - odparł Mjolln.

- Żyć to akceptować swoją powinność. Tak samo jest z wolnością.

- Hem - mruknął krasnolud, krzywiąc się.

- Nasza powinność jest nieco bardziej skomplikowana niż prosta czynność oddychania. Możemy ją odrzucić lub zaakceptować. I sędzę, że aby się wyzwolić, powinniśmy ją przyjąć. Zaakceptować to, że jest koniecznością, nie tylko obowiązkiem.

Krasnolud pokręcił głową, ciągle tak samo zagubiony. Alea zbliżyła się do druida.

- Jakie to są obowiązki, według ciebie? - zapytała.

- To zależy od tego, co mówią przepowiednie.

- Czy potrzebujemy ich, by wiedzieć, co jest konieczne?

Druid nie znalazł na to odpowiedzi. Alea uśmiechnęła się.

- Sędzę, że jedna z przepowiedni polega właśnie na znalezieniu odpowiedzi na to pytanie - zakończyła.

Krasnolud wznosił ręce do nieba, w geście całkowitego niezrozumienia, ale tym razem nikt nie zdecydował się mu niczego tłumaczyć. Finghin sam nie wiedział, czy rozumie.

\*

Imała i Taibron wędrowali jeszcze wiele dni, nim w dolinie Loma znaleźli wygodne i obfitujące w zwierzynę schronienie. Rozciągająca się na południe wzdłuż rzeki Sinain, od północy osłonięta przez Las Borceliański, oddalona od siedzib dwunożnych, dolina Loma była miejscem zacisznym i spokojnym.

- zapytał Finghin,

musi oddychać.

Od pierwszego dnia, kierując się instynktem, działali niczym mała wataha i udało im się upolować zagubionego na wzgórzach Lomy barana. Pożywiali się w pobliżu rzeki, zasypiali na miękkim dywanie z trawy, która w tej żywej krainie była jeszcze zielona.

Wczesnym popołudniem, po obfitym posiłku i długiej sjeście w blasku jesiennego słońca, Imała i Taibron wybrali się na oględziny swego nowego terytorium. Oznaczyli moczem granice terenu, który miał być odtąd miejscem ich życia i polowania, ocierali się o gałęzie i ziemię, by zostawić na nich swój zapach, ostrzeżenie dla przechodzących tędy wilków. Przez wiele godzin przemierzali dolinę, odkrywając zamieszkującą ją zwierzynę, znajdując stawy i strumienie, przebiegając jej wzgórzami... Nagle usłyszeli wycie obcego wilka.

Imała przystanąła, nasłuchując, skąd dobiegał ten głos. Wciągnęła powietrze w nozdrza, gdy zobaczyła, że Taibron pobiegł na północ, z podniesionym wysoko ogonem. Pobiegła za nim i wkrótce zobaczyli przed sobą intruza. Na kamieniu siedział młody samotny samiec, o brązowej sierści nakrapianej sza-

rymi i czarnymi plamami. Jedno oko miał wydlubane - niechybny znak, że musiał opuścić swoją watahę po zażartej walce.

Taibron nie wahał się ani przez chwilę i pobiegł w kierunku młodego wilka, by go przepędzić. Ten czekał z ucieczką do ostatniej chwili. Biegał szybko i z łatwością oddalił się od szarego wilka. Taibron wrócił truchtem do Imali, która została na miejscu, ale gdy był już przy niej, zobaczyli, że młody brązowy wilk znów siedzi na kamieniu.

Tym razem to Imala ruszyła w jego stronę. I znowu jednooki wilk czekał do ostatniej chwili, nim uskoczył. Kiedy Imala zwalniała, on robił to samo. A kiedy przyspieszała kroku, on również przyspieszał.

Po długim biegu Imala w końcu dała spokój i wróciła do Taibrona, który zbliżył się trochę. Uparty młody wilk także wrócił na miejsce.

Ta zabawa trwała jeszcze jakiś czas, aż para przestała okazywać wrogość nowo przybyłemu. Dał dowód zręczności i wytrwałości, był więc osobnikiem godnym zainteresowania. Pomału pozwolili mu się zbliżyć.

Wtedy młody wilk zademonstrował swą uległość. Ze schowanymi kłami i nisko spuszczonego ogonem, z ciałem płasko ku ziemi i na lekko ugiętych łapach zeskoczył z kamienia i położył się na boku obok Taibrona. Teraz wielki szary wilk okazał swą dominację, stając nad nim i gryząc go kilka razy, niezbyt mocno, ale z wystarczającą stanowczością. Młody wilk zaczął go lizać, wydając przyjacielskie piski. Później, gdy Taibron i Imala odwrócili się i skierowali ku dolinie, młody wilk pobiegł za nimi. Został przyjęty do stada.

Był to pierwszy wilk, który dołączył do watahy, a legenda nadała mu imię Tamaran, „jednooki”. Po nim jeszcze cztery młode wilki dołączyły do klanu Imali. Dwa samce i dwie samice. Wkrótce było ich więc siedmioro i ta liczba wydała im się wystarczająca, bo nie pozwolili już żadnemu innemu wilkowi przekroczyć granicy swego terytorium, rozciągającego się w żyznej dolinie Loma.

\*

- Nie zawiodę cię, panie. Pozwól mi wyruszyć na poszukiwania, a przyniosę ci pierścien i jej martwe ciało.

- Nie. Tym razem to ona przyjdzie do nas.

Maolmórdha stał na murach najwyższej wieży pałacu Shankha, odwrócony plecami do Ultana, rycerza o białych włosach, swego najwierniejszego doradcy, który był niegdyś jego magistrem. Podniósł głowę. Wpatrując się w ciemność nocnego nieba i wciągając w nozdrza powietrze, zdawał się szukać w podmuchach wiatru śladów swej ostatniej ofiary. Jesienny wiatr unosił połę jego czarnego płaszcza, pod którym błyskała ciemna zbroja. Stał nieruchomo, jakby nad mroczną przepaścią podtrzymywały go tysiące niewidzialnych demonów. Wyprostowany wpatrywał się w bezdenną ciemność i uśpioną wyspę, jakby rzucał jej wyzwanie.

- Ayn Sulthor, Dermot Cahl... I moje gorguny. Wszyscy ponieśli klęskę. Nikt nie potrafił jej ujarzmić. Tylko ja sam, teraz to wiem, mogę stawić jej czoło. A ona przyjdzie do mnie, bo nie ma innego wyboru. Nie, bardziej przydasz mi się tutaj, kiedy ona przybędzie, niż gdybyś wyruszył jutro i rozbił się o nią jak fala o skałę.

Ultan przytaknął i skłonił głowę.

- Jak długo trzeba będzie czekać? Jak wielkie siły uda się jej zebrać, panie, nim przyjdzie do nas?

Ten, którego zwano Strażnikiem Mrocznego Płomienia, odwrócił się gwałtownie i podszedł do Ultana. Wojownik spuścił oczy przed ogromnym cieniem swego pana.

Maolmórdha położył mu rękę na głowie, tak jak się to robi, by uspokoić dziecko. Ale w jego geście nie było ani cienia troski, wręcz przeciwnie, jego źródłem była fala nienawiści.

- Nie pozwolimy się jej podnieść i odbudować armii. Straciła bardzo wiele. Liczni głupcy, którzy chcieli ją wspierać, dziś są już w królestwie umarłych, z którego tylko ja mógłbym ich wydostać. Aodh, trafiony zatrutą strzałą przez tego idiotę Samaela. Felim, zabity przez moich Herilimów. Sarkan, przywódca klanów. Galiad, Faith... Przetrzebiłem jej szeregi, Ultanie. I będziemy to robić nadal, tym razem podstępem. I dziewczyna zginie, tak jak oni wszyscy. Wtedy będę mógł zjednoczyć w sobie Saimana i Ahrimana. To tylko kwestia czasu.

- Co mogę zrobić, byśmy osiągnęli cel? - zapytał Ultan, nie śmiejąc podnieść głowy.

Renegat odwrócił się powoli w stronę murów. Przez chwilę stał nieruchomo, a ciszę przerywał tylko szum morza w oddali. Pałac Shankha był teraz niemal opustoszały. Gorguny zostały wybite, a Herilimowie zginęli długo przed nimi. Zostało tylko kilku niewolników, kilku Czuwających i żadnej armii. Ale dla Maolmórdhy nie miało to żadnego znaczenia. Chciał spotkania oko w oko. Nie było innego sposobu. Tylko on i ona. Tutaj.

Renegat mruknął coś pod nosem, po czym powiedział krótko:

- Jest w tym pałacu dawny Czuwający z Sarre, na którego wołają Almar Cahin. Przyrowadź go.

## RYCERZE ZIEMI

Gdy Erwan AFDaman polecił zwinąć obóz, całą armię ogarnął entuzjazm. Rycerze widzieli wczoraj wieczorem Samildanacha spacerującego z Mjollnem Abbakiem i Wielkim Druidem i wszyscy zrozumieli, że nareszcie nadchodzi zmiana Alea wyzdrowiała i wydawało się, że zechce wyruszyć w drogę. W pośpiechu rozbierano stoły i szalasy, pakowano tobołki, broń i prowiant, a gdy wszystko było już gotowe, czekali tylko na rozkaz wymarszu. Po południu, kiedy rycerze zaczęli się już niecierpliwić, Alea i Erwan pojawili się w końcu na koniach na polanie, pośrodku swej małej armii. Została ich ledwie setka, większość zginęła, niektórzy zagubili się podczas odwrotu. Inni po prostu uciekli. Ale w oczach tych, którzy ciągle tu byli, płonąła duma, do której Alea wciąż nie potrafiła się przyzwycząić.

Wyprostowana w siodle, dziewczyna rozpoczęła swą przemowę, mówiąc tak głośno, jak potrafiła, tonem pełnym, jak miała nadzieję, łagodności.

- Chciałabym najpierw wszystkim wam podziękować i prosić o wybaczenie. Każdy z nas stracił kogoś bliskiego: wy, moi przyjaciele, ja... Nigdy nie wolno nam o tym zapomnieć. Ale musimy walczyć nie po to, by ginąć, lecz by żyć. Wiem, że od dawna czekacie, aż wyruszymy w drogę. Dziś nadszedł czas. Najpierw udamy się w góry Gor-Draka, gdzie czekają na nas pozostali rycerze, niezwykle waleczni wojownicy. Tuathannowie.

W tłumie zapanowała martwa cisza. Wielu wojowników nie potrafiło zrozumieć decyzji Alei. Ludzie nie wydawali się jeszcze gotowi na to, by połączyć siły z tymi, których wciąż mieli za okrutnych barbarzyńców. Dziewczyna zdawała sobie z tego sprawę. Spodziewała się niechęci.

- Jest pośród nich mój brat Tagor. Lecz nie tylko on jest mi bratem, wszyscy Tuathannowie są naszą rodziną, tą samą krwią. Są dziećmi Gaelii, więc jeśli kochamy tę wyspę, uznamy ich za naszych braci. Następnie pójdziemy do hrabstwa Sarre, starając się po drodze przyciągnąć nowych wojowników. Tak jak robił to Galiad, będziemy w każdym miasteczku, w każdej wiosce namawiać ludzi, by się do nas przyłączyli. Musimy wzmocnić naszą armię. Ale będzie to armia niosąca pokój!

Kilka głosów aprobaty odezwało się w końcu w tłumie rycerzy.

- Nie chcę was okłamywać. Na pewno się domyślacie, że będą następni zabici! W naszych szeregach i pośród naszych wrogów. Ale obiecuję wam jedno: nie spocznę, póki na tej wyspie nie zapanuje pokój.

Tym razem rozległy się okrzyki. Ludzie wiwatowali na cześć Samildanacha.

Alea podniosła rękę. Natychmiast zaległa cisza.

- Nie chcę, żebyście nazywali mnie Samildanachem. Nie jesteście armią Samildanacha! Jestem Alea, córka Felima i Córka Ziemi, i odtąd ta armia będzie Armią Ziemi. Jesteście Rycerzami Ziemi!

- W drogę! - wykrzyknął Erwan.

Wojownicy ruszyli naprzód, niesieni tym samym uczuciem: nową nadzieją. Tu i ówdzie w szeregach piechoty wznosił się w niebo sztandar Alei. Widniał na nim jej znak, dwie dło nie osłaniające koronę i serce, wyszyty czerwoną nicią na białym tle.

Młody Ał'Daman, nim popędził swego konia, spojrzął na tę, którą kochał. Alea potrafiła już przemawiać do wojska jak prawdziwy dowódca. Jej rosnąca z dnia na dzień dojrzałość nie przestawała zadziwiać przyjaciół. I im większy cień na twarz dziewczyny zdawał się rzucać ciężar przeznaczenia i bardziej marszczyć jej czoło, tym bardziej rosła jej charyzma. Była poważna i piękna i młody magistel miał nadzieję, że kiedyś będzie mógł wyznać jej miłość w innych okolicznościach, z wolnym od trosk i spokojnym sercem. Że będą mogli żyć razem w lepszych, spokojniejszych czasach. Po prostu żyć, jak dwie kochające się osoby. Na to jednak trzeba było jeszcze zaczekać.

Ruszył naprzód, wkrótce dołączyli do niego Kaitlin i Mjolln. We troje otwierali pochód rycerzy, kierując się na wschód. Alea i Finghin zostali z tyłu. Od wczoraj nie przestawali rozmawiać, a treść ich konwersacji nie wzbudzała już niezaspokojonej ciekawości krasnoluda, który cieszył się, że nie musi dłużej ich słuchać.

Koń Alei szedł tuż przy boku konia druida. Przez chwilę oboje milczeli, ale gdy rycerze oddalili się wystarczająco, by przyjaciele mogli rozmawiać, nie będąc słyszczanymi, podjęli rozmowę.

- Czy sądzisz, Finghinie, że zrobiłam słusznie, tak okłamując tych ludzi?

- Nie okłamałaś ich - zdziwił się Wielki Druid.

Alea zaśmiała się nerwowo.

- Mówię im o pokoju, podczas gdy tak naprawdę czeka nas długa wojna. Mamy na tej wyspie wyłącznie wrogów. Nie wiem, jak uniknąć tysięcy zabitych. Stałam się kłamcą pośród kłamców.

- Ale to właśnie o pokój będziemy walczyć - odparł Finghin.

- Tak mówią ci, którzy wszczynają wojny, nieprawdaż? Zawsze posługują się tą wymówką. „Jeśli chcemy pokoju, najpierw musimy iść na wojnę”...

Druid westchnął.

- Skoro jednak miałaś odwagę, by powiedzieć im, że będą następni zabici, to znaczy, że wiesz, iż nie ma innego wyjścia.

- Naprawdę?

- Jeśli nie uważasz, że wojna, jakkolwiek straszna by była, jest jedynym sposobem, by przywrócić pokój na tej wyspie, to po co im to powiedziałaś? I dlaczego chcesz zwiększyć liczebność swojej armii?

Alea wzruszyła ramionami.

- By zyskać na czasie - wyjaśniła. - Nie twierdę, że znam inną możliwość, twierdę, że musimy ją znaleźć.

- Zebrać armię wystarczająco silną, by wszyscy inni się jej przestraszyli i nie odważyli się rozpocząć tej wojny? Pokonać wroga strachem?

- Myślałam o tym, ale to nie trwałoby długo. Zawsze znajdzie się ktoś, kto zbierze jeszcze większą armię. To nie rozwiązałoby problemów, pozwoliłoby nam tylko je ignorować.

Finghin przytaknął. Przez chwilę jechali w milczeniu, zasluchani w tętent kopyt.

- Ale czy naprawdę wiemy, kim są nasi wrogowie? - zapytał w końcu druid. - I o co mamy walczyć?

- Zabawne, że zadajesz to pytanie. Sama wciąż je sobie powtarzam. Jakbym potrzebowała przypominać je sobie codziennie.

- A więc?

- A więc widzę dwa główne cele, o które musimy walczyć. Pierwszy to przywrócenie pokoju na wyspie. A dokładniej mówiąc, zaprowadzenie całkiem



nowego pokoju. Pokój, który panował wcześniej, dłużej już nie przetrwa. Wojna, która dzieli dziś Gaelię, to konflikt religijny i terytorialny...

- Wydaje mi się, że masz rację - odparł Finghin. - Wojna religijna przeciwko chrześcijanom...

- Nie - przerwała mu Alea. - Nie przeciwko chrześcijanom. To wojna między biskupami a druidami. To przywódcy religijni popchnęli ludzi do wojny, nie odwrotnie.

- Ale przecież chrześcijanie prowadzą wojnę z tymi, którzy wierzą w Mojrę - odparł Finghin.

- Nie wierzę ani w chrześcijańskiego Boga, ani w Mojrę, Finghinie, a wcale nie mam ochoty walczyć z tymi, którzy wierzą w jedno czy drugie, i jestem przekonana, że na tej wyspie jest miejsce dla wszystkich.

- Nie wierzysz w Mojrę? - wykrzyknął Finghin.

Przyglądał się Alei z szeroko otwartymi oczami. Ale wydawała się szczerą i pewną siebie. Wtedy przypomniał sobie, co powiedział mu Kiaran, kiedy razem z Aodhem zmiierzali z misją dyplomatyczną w imieniu Sai-Miny w stronę Providence. Doskonale pamiętał słowa Wielkiego Druida, który rzekł: „To nie Mojra decyduje, tylko ludzie”. Przypomniał sobie, jak bardzo zszokowało go wtedy to zdanie, ale również jak wiele dało mu do myślenia.

- Czy chcesz, bym ci zdradziła, o czym mówi druga przepowiednia? - zapytała Alea zamiast odpowiedzieć na pytanie przyjaciela.

- A ma to związek z tym, o czym mówimy?

- Tak. Przypominasz sobie, że pierwsza przepowiednia zapowiada, że jeśli naprawdę jestem Samildanachem, to po mnie nie będzie już więcej żadnego Samildanacha.

- Tak. „A ta kobieta będzie ostatnim Samildanachem” czy jakoś tak.

- Otóż druga przepowiednia mówi, że jeśli zrozumiem sens Mojry, to po mnie nie będzie już Mojry.

Finghin pokręcił głową, oszołomiony.

- Nie jestem pewien, czy rozumiem...

Alea uśmiechnęła się.

- Ja też. W każdym razie nie całkiem. Mówiłam ci, że żadna z dwóch ostatnich przepowiedni jeszcze się nie spełniła, a to dowód na to, że nie rozumiałam jeszcze sensu Mojry. Ale to nie wszystko. Trzecia przepowiednia mówi, że jeśli zrozumiem sens Saimana, po mnie nie będzie już Saimana.

Druid milczał. Zastanawiał się, czy powinien być wstrząśnięty, przerażony czy rozbawiony. Czy ona mówi serio?

- Finghinie - podjęła Alea poważnym tonem - będę końcem Samildanacha, końcem Mojry i końcem Saimana.

Druid westchnął ciężko.

- Jeśli te przepowiednie są prawdziwe - odparł.

- Wolalabym, by nie były. Ale może tak będzie lepiej. W każdym razie pierwsza przepowiednia była niezwykle precyzyjna, nie sądzisz?

Mógł tylko przytaknąć.

- Myślisz, że coś dobrego może z tego wyniknąć? - zapytał, starając się uspokoić drżący głos.

Alea wzruszyła ramionami.

- Zobaczymy. Kiedy byłam w Drzewie Życia, Oberon, król elfów, powiedział mi, że jeśli uda mi się wypełnić trzy przepowiednie, wtedy nie będzie już elfów. Myślę, że to dlatego, iż są z tym wszystkim tak mocno

powiązane, z Saimanem, z Mojżą... Ale powiedział mi też, że będę mogła je ocalić. Wtedy wydawało mi się to zupełnie niejasne, ale teraz chyba zacznę rozumieć.

- No to masz szczęście!

- W każdym razie, wracając do naszej walki, tę wyspę trawi wojna religijna, ale także wojna o ziemię.

- Tuathannowie chcą odzyskać wyspę.

- Tuathannowie mówią, że ta wyspa należy do nich. I z pewnością mieliby rację, gdyby Ziemia mogła rzeczywiście do kogokolwiek należeć. Ale Ziemia nie należy do nikogo. To ludzie należą do niej.

Finghin parsknął.

- Jakbym słuchał jednego z moich braci na posiedzeniu Rady! Takimi pięknymi słówkami nie zażegnasz terytorialnych konfliktów, Aleo.

- Niestety masz rację. Trzeba będzie znaleźć jakiś sposób, by rozwiązać ten niedorzeczny problem z własnością ziemi. Gaelia nie powinna należeć do nikogo i powinno się na niej znaleźć miejsce dla każdego. To przecież oczywiste, nie sądzisz?

Druid skinął głową.

- Powiedziałaś, że mamy dwa główne cele - podję ał. - Pierwszym jest zaprowadzenie nowego pokoju na wyspie, zażegnanie konfliktu religijnego i terytorialnego. A jaki jest drugi cel?

Dziewczyna odwróciła się do niego. Wahala się przez chwilę, po czym szepnęła:

- Maolmórdha.

Finghin spodziewał się takiej odpowiedzi. Jak można było o nim zapomnieć? Ale chciał to usłyszeć. Być może dlatego, że sam nie miał odwagi powiedzieć tego głośno.

- Co powinniśmy zrobić, by go pokonać? - zapytał.

- Wy nic. Ja... Ja muszę go zniszczyć.

- Tym razem nie będziesz szukała pokojowego rozwiązania? - zaryzykował druid.

- Aż do dnia, w którym mój nóż znajdzie się na jego szyi, będę szukała pokojowego rozwiązania. Ale jeśli go nie znajdę, tego dnia poderżnę mu gardło i potraktuję go tak, jak on potraktował moich bliskich.

W tej chwili Finghin przypomniał sobie swoje długie rozmowy z Melem, bratem Kaitlin, który wiele razy zmuszał go, by doprowadzał swoją argumentację do końca, i pokazał mu, że bycie uczciwym wobec siebie wymaga czasem ogromnej odwagi.

- Aleo - zdecydował się zapytać, zakłopotany - dlaczego wobec tego wroga nie stosujesz swojej logiki pokoju? Dlaczego w tym konflikcie chcesz zabić, a wszystkie inne wolisz rozwiązać pokojowo?

- Tego dnia kiedy stanę przed nim, Finghinie, nie będę już Samildanachem, nie będę już dowódcą tej armii, nie będę tą, którą próbowała schwytać Rada Druidów, ani tą, za której głowę król wyznaczył nagrodę. Będę tylko czternastoletnią dziewczynką, której zamordowano ojca.

- Większość ludzi idzie na wojnę właśnie dlatego, że zamordowano im ojców. Jeśli wymagasz od innych, by zrezygnowali z zemsty, a sama tego nie potrafisz, jeśli nie widzisz innego wyjścia, jak zabić swego najgorszego wroga, twoje pokojowe przesłanie nie będzie miało żadnej wartości.

- Chciałbyś, bym przebaczyła człowiekowi, który zamordował moich przybranych rodziców, który zabił mojego ojca i moich najbliższych

przyjaciół? Faith ślubowała pomścić śmierć dwojga oberżystów, lecz sama poległa z ręki ich kata. A ty chcesz, bym mu wybaczyła?

- Sądziysz, że Tuathannom będzie łatwiej przebaczyć nam, Gaelijczykom, którzy niegdyś przegналиśmy ich z ich własnej ziemi i wymordowaliśmy ich ojców?

Pierwszy raz Alea nie wiedziała, co odpowiedzieć, i Finghin zauważył, że po jej policzku spłynęła łza. Nie, nie miała jeszcze odpowiedzi.

\*

- Tagorze, nadchodzimy.

*Świat Djar wciąż tu jest. Zawsze inny. Nigdy nie wygląda tak samo. Wiem, że mój brat mnie słyszy. Jest gdzieś pod tym szczytem, pod tą górą, kilka kroków od bramy światów, przy której nasza matka spotkała Felima. To ta brama, która nas łączy, a którą będę musiała zamknąć.*

- Tagorze, chyba rozumiem, co chciała zrobić nasza matka. Wiem, że mnie słyszysz. Wiem, że myślisz tak jak ja. Że prosisz ojca o zaprzestanie walk. Masz to po naszej matce, prawda? To pragnienie, by wojny się skończyły. Tak, myślę, że rozumiem, co nasza matka chciała zrobić. Most. Między twoim i moim ludem. Ale teraz trzeba dokonać wyboru. Wrócić do podziemi lub zaakceptować to, co na powierzchni. Nie mam prawa się poddać. Nie mam prawa zrezygnować, rozumiesz, Tagorze? Zbyt wielu moich i twoich bliskich zginęło, byśmy teraz mogli zawrócić. Jestem światem przyszłości. Córką wszystkich ludów. Córką Ziemi, córką druidów, córką Tuathannów i córką ludzi. Czeka na mnie, Tagorze. Razem ukończymy most, który zaczęła budować nasza matka.

*Jakiś hałas. Czyjaś obecność. Może Felim. Nie, nie sądzę, by mógł powrócić. I tak jest lepiej. Nie chcę go już widzieć. Nie chcę, by jego wspomnienie łączyło się ze wspomnieniem Dermoda Cahla. Irlimie, zostań w moim sercu. W takim razie kto to?*

Kiaran.

*Rozpoznaję te kroki. Odwracam się. Jest tu. Przywdział strój wędrownego aktora, tak samo jak zrobił to wczoraj i jak zrobi to jutro. A na jego twarzy tajemniczy uśmiech.*

- Dzień dobry, Kiaranie.

*Już mnie nie szpieguje. Teraz zawsze, kiedy nadchodzi, daje się usłyszeć. Zapowiada się. Nie obserwuje mnie już z ukrycia. Słyszę go za każdym razem.*

- Dzień dobry, Aleo.

- Cieszę się, że was widzę, druidzie.

- Ja również, choć mam zranione serce. Sai-Mina upadła.

*Już. Nie spodziewałam się, że to nastąpi tak szybko. A jednak. laka jest kolej rzeczy. Najpierw Sai-Mina, potem reszta. Przeze mnie. Lub dzięki mnie. Zamknę te drzwi.*

- Henon i trzech innych braci odeszło, zabierając z sobą wielu młodych druidów. Rada jest podzielona.

- Co na to Ernan?

*Biedny Ernan. Zastanawiam się, czy Arcydruid ma wystarczająco silne barki, by to unieść. Jak bardzo musi żałować śmierci Ailina i Felima!*

- Myślę, że zechce przyłączyć się do ciebie, Aleo. Będzie musiał przekonać pozostałych. Lecz nie widzę innego wyjścia. Jeśli o mnie chodzi, dokonałem już wyboru. Nasze miejsce jest przy tobie. Tak jak mówił Felim.

- *Lecz wiecie, druidzie, że jeśli przyłączycie się do mnie, nie będzie już odwrotu.*

- *Nie będzie go także, jeśli się do ciebie nie przyłączymy.*

- *To prawda.*

- *Czy wiesz już, Aleo, jaką Gaelię możesz nam zaoferować?*

*To podstawowe pytanie. Zadaje jedyne pytanie, które warto zadać. Musi wiedzieć, że nie mam jeszcze odpowiedzi. Muszę być z nim szczerą.*

- *Nie, nie wiem. Ale wiem, że będzie zupełnie nowa.*

\*

- Mianujcie mnie waszym Arcydruidem, a sprawię, że ta Rada będzie najsilniejszą ze wszystkich Rad w całej historii waszego zakonu.

Królowa Galacji Amina przyjęła Henona w wielkim luksusowym gabinecie pałacu w Providence. Wielki Druid ogłosił się tymczasowym przywódcą nowego zakonu druidów. To on zorganizował opuszczenie Sai-Miny i przeniesienie stuletniego dębu, który właśnie w tej chwili ogrodnicy Aminy sadzili w sekretnym miejscu, gdzieś w królewskich ogrodach.

Henon wybrał więc schizmę, a także swych przyszłych sojuszników. Teraz przyszedł czas na negocjacje z królową.

Od śmierci króla Eoghana stolica była aktywna jak nigdy dotąd. Amina była spragniona władzy, ale także pracy, a jej poddani nie mieli innego wyjścia, jak tylko podporządkować się narzuconemu przez nią rytmowi. Inicjowała nowe projekty polityczne, ekonomiczne, prawne i socjalne, wysyłała z misjami dyplomatycznymi coraz to nowych doradców, powiększała szeregi armii, podnosiła niektóre podatki, likwidowała inne, stanowiła nowe prawa... Wszystkie decyzje, które wcześniej podejmowali druidzi, a król wprowadzał w życie z przysłowiową wręcz opieszałością, teraz należały do niej. Zamierzała wziąć to ospałe królestwo w swoje ręce. Niektórzy Galatyjczycy zaczęli nawet szanować królową. „Przynajmniej stara się coś zmienić”, mówiono tu i ówdzie i zapominano, w jaki sposób wstąpiła na tron. Dla innych jednak pozostawała szaloną królobójczynią, pozbawioną skrupułów morderczynią, której działania nie są motywowane dobrem wyspy, lecz wyłącznie niepokonaną żądzą władzy. I z pewnością właśnie ta żądza podpowiadała jej, że może uzyskać godność Arcydruida.

- Wydaje mi się to zupełnie niemożliwe, Wasza Wysokość.

- A to czemu? - obruszyła się królowa, która odzwyczaiała się już od tego, by czegoś jej odmawiano.

Henon zdawał sobie sprawę, że będzie to rozstrzygająca rozmowa. Dziś zapadnie decyzja o pozycji jego samego oraz jego braci, przyszłości ich zakonu, a może i całej Gaelii. Ale wiedział też, że jest na straconej pozycji. Gościna, którą królowa zaoferowała mu w Providence, była dla niego jedyną szansą, by jego rewolta zakończyła się sukcesem. Po tym jak dokonał schizmy, królowa była jego jedyną nadzieją, by stawić czoło Sai-Minie. A w każdym razie temu, co z niej zostało. Był więc od niej bardziej zależny, niżby sobie życzył.

„Ona doskonale wie, dlaczego nie mogę mianować jej Arcy- druidem. Przede wszystkim z przyczyn czysto praktycznych, ale także dlatego, że zarezerwowałem to miejsce dla siebie. Jeśli ustąpię, nie będę mógł kierować

Radą, a kto wie, dokąd nas zaprowadzi ta kobieta? Muszę zachować moje miejsce. To ja powinienem zostać nowym Arcydruidem".

- Ponieważ Wasza Wysokość jest kobietą i nie jest druidem - odpowiedział Henon. - Jeśli chcemy odbudować Radę w sposób wiarygodny, musimy pozostać wierni tradycjom naszego zakonu. Nic jednak nie stoi na przeszkodzie, by Wasza Wysokość uczestniczyła w naszych spotkaniach jako gość specjalny.

- Nonsens! - wykrzyknęła królowa. - Zakaz inicjacji kobiet to manipulacja wprowadzona przez pierwszych druidów, całkowicie sprzeczna z sensem Mojry.

- Nieprawda. Jest ku temu powód. Żadna kobieta nie potrafi posługiwać się Saimanem.

- Alea udowadnia, że jest inaczej - odparła Amina.

- Nie ma żadnych dowodów, że rzeczywiście to potrafi - zaryzykował Henon.

- Zostaw te kłamstwa dla naiwnych. A kiedy zwracasz się do mnie, druidzie, bądź łaskaw mówić tylko to, w co sam byłbyś skłonny uwierzyć. Wiesz doskonale, że ona jest Samildanachem i posługuje się Saimanem lepiej niż większość z was.

- Henon nie wiedział, co odpowiedzieć. Zdumiała go agresywność i pogarda przepełniająca tę kobietę, tak jeszcze młodą. Pobierałam nauki u druidów i zostałam uzdrowicielką, nie jestem więc obca dla waszego zakonu, Henonie. fak tylko mianujecie mnie Arcydruidem, będziesz mógł mnie nauczyć posługiwać się Saimanem.

- Wasza Wysokość, wiem, że jestem waszym dłużnikiem, i znajdziemy jakiś sposób, by włączyć Waszą Wysokość w nasze szeregi. Ale nie ma mowy, byśmy mianowali Arcydruidem kogoś, kto nie posługuje się naszą mocą.

„Posuwa się coraz dalej, a ja jej na to pozwalam. Skupiając się na Saimanie, nawet nie spostrzegłem, jak ustąpiłem w kwestii inicjacji kobiet. Muszę odzyskać przewagę. Lecz nie mam w ręku żadnego atutu, żadnego argumentu".

- Nie macie innego wyboru - powiedziała tonem groźby Amina, jakby usłyszała myśli druida.

- Sprzeciwiam się temu dla waszego dobra - odparł Henon. - Wasza Wysokość nie będzie mogła kierować Radą bez Saimana, a Wielcy Druidzi odmówią poddania się osobie niewtajemniczonej.

- Szybko sprawię, że spokornieją.

„Rzeczywiście, byłaby do tego zdolna".

- Lud także będzie zgorszony, jeśli odstąpimy od naszych wartości i tradycji. Wasza Wysokość nie może być jednocześnie królową i druidem...

- Wręcz przeciwnie, lud oczekuje zmian. A ja jestem najodpowiedniejszą osobą, by te zmiany wprowadzić. Wiele kobiet z entuzjazmem zareaguje na to, że zakon w końcu otwiera przed nimi swoje drzwi. Istnieje niezliczona rzesza kobiet bardów, które byłyby doskonałymi druidami.

- Nie, to niemożliwe. To całkowicie zachwiałoby równowagę...

- Nigdy nie było żadnej równowagi, właśnie dlatego że kobiety nie miały wstępu do waszego zakonu! Wbrew temu, co utrzymujesz, to właśnie one mogą przywrócić równowagę w waszej Radzie. To właśnie kobiety wzmocnią władzę druidów. Dziś musicie po większy swoje szeregi, a nie uda się wam to bez kobiet, a przede wszystkim beze mnie. Upadek Sai-Miny jest najlepszym dowodem na to, że nie możecie dłużej istnieć w dotychczasowej formie.

„Muszę znaleźć argument nie do odparcia. Nie mogę pozwolić, by pochłonęła nas jej żądza władzy”.

- Żaden druid nie zgodzi się wyjawić Waszej Wysokości sekretów Saimana.

- Jeśli druidzi nie zechcą się ze mną sprzymierzyć, będę musiała zwrócić się do chrześcijan.

- Nie odrzucamy przymierza z Waszą Wysokością! Nasza obecność tutaj dowodzi, że chcemy być twoimi sojusznikami, królowo. Ale to nie oznacza, że zmieniając siedzibę, zmienimy prawa zakonu.

- Mianujecie mnie Arcydruidem albo przegnam was ze swojej ziemi. Uważaj, Henonie. Nie ma już w Gaelii miejsca, w którym moglibyście znaleźć schronienie. Nawet Sai-Mina nie przyjmie was po waszej zdradzie.

Temperatura rozmowy rosła. Riposty były coraz szybsze. Żadne z nich nie chciało ustąpić i stracić swojej pozycji. Królowa była bez wątpienia lepszym graczem. W przeszłości udowodniła to wielokrotnie.

- Niech Wasza Wysokość nie lekceważy naszej mocy - spróbował zagrozić Henon. - Jesteśmy w posiadaniu Manithów.

- A ty nie zapominaj o mojej. Stoję na czele największej armii w kraju...

- Wojska Harcourt i Ziemi Brunatnej pokonałyby armię Waszej Wysokości.

- Mogłabym sprzymierzyć się z nimi przeciwko wam. Przeciwko wszystkim druidom. Dlaczego się opierasz, Henonie?

- Bo wierzę w mądrość swojego zakonu, w równowagę naszych praw, wierzę w Saimana i wiem, że jest on przeznaczony dla mężczyzn. Tak od zawsze chciała Mojra.

- A ja myślę, że się sprzeciwiasz, bo sam chciałeś zająć to miejsce. Chciałbyś zostać Arcydruidem, nieprawdaż?

Henon nie odpowiedział.

- Oto jaki masz dzisiaj wybór: albo sam zostaniesz Arcy- druidem, ale staniesz na czele słabej i nędznej Rady, opuszczonej przez wszystkich, także przeze mnie, albo zgodzisz się zostać moim doradcą, mianować mnie Arcydruidem i razem ze mną kierować tą Radą, stojąc na czele o wiele silniejszej Gaelii.

Wielki Druid westchnął ciężko. Pułapka zastawiona przez królową była doskonała. Przyciągnęła ich do siebie, a teraz nie mieli już odwrotu. Polityczny układ sił na wyspie nie pozostawiał im żadnego wyboru, musieli poddać się jej woli. Musieli spełniać wszystkie żądania władczyni. Druid spróbował sprzeciwić się po raz ostatni.

- Nigdy nie uda mi się przekonać mych braci.

Amina od razu zrozumiała, że odniosła zwycięstwo.

- Ich zgoda nie jest nam potrzebna. Albo przystąpią do nas, albo zostaną wygnani.

- To nie są zbyt delikatne metody. Wasza Wysokość nie wzbudzi w nich wielkiego szacunku i przywiązania.

- To moje metody, Henonie, stosuję je od początku i dają doskonałe rezultaty. Nie wierzę w delikatność w polityce.

Henon przytaknął. Rzeczywiście, to akurat królowa udowodniła już dawno.

\*

W sforze nie było jeszcze młodych, więc cały klan przemieszczał się swobodnie w poszukiwaniu pożywienia. Wilki niemal codziennie wyruszały na polowanie pod przywództwem Taibrona, dominującego samca, który prowadził je z dumnie podniesionym ogonem.

Czasem wataha całymi godzinami przemierzała dolinę, nim wreszcie natrafiła na stado łosi, które zostało na tym terenie mimo niebezpieczeństwa. Kiedy wilki znalazły grupę zwierząt, zaczynały biegać dookoła, po czym goniły uciekające łosie, ale nie podchodziły zbyt blisko. Zachowując dystans, na początku biegły tylko w tym samym kierunku co ich ofiary, nie atakowały, lecz obserwowały stado, by wytropić osobnika, który ucieka najwolniej lub wygląda na najsłabszego.

Czasem wilkom nie udawało się odpowiednio szybko znaleźć najsłabszej sztuki i stado uciekało, a wataha zostawała głodna, bez zdobyczy. O tej porze roku zaledwie jedno lub dwa polowania na sześć kończyły się sukcesem. Lecz jeśli znalazły odpowiedniego łosia, bardziej powolnego lub słabszego od pozostałych, przyspieszały kroku i rozpoczynała się obława. Był to bieg na wyczerpanie, wataha koncentrowała się na tym jednym zwierzęciu, wilki zmieniały się, aby nie dać ofierze ani chwili wytchnienia. I przeważnie łos męczył się i słabł. I wtedy jeden z wilków, najczęściej Tamaran, jako najszybszy ze sfory, rzucał się od tyłu na ofiarę i wczepiał się zębami i pazurami w jej nogę. Łos robił jeszcze kilka kroków, próbując bezskutecznie uwolnić się z uścisku wilczych szczęk, po czym padał ciężko na ziemię w tumanie kurzu. Sześć pozostałych wilków dopadało go wtedy i błyskawicznie zagryzało zwierzę.

Ponieważ nie było małych do wykarmienia, wataha zjadała swą ofiarę tam, gdzie ją upolowała. Każdy dorosły osobnik mógł pochłonąć ogromne ilości jedzenia na jeden raz. Wilki odrywały wielkie kawałki zakrwawionego mięsa z upolowanej sztuki, warcząc nerwowo. Gdy wszystkie zaspokoily już głód, kładły się w pewnej odległości na trawie, jednak wystarczająco blisko, by pilnować pozostawionych resztek. Właśnie wtedy bowiem, w czasie ich drzemki, zjawiali się padlinożercy, wielkie ciemne ptaki lub uparte kojoty, próbujące skorzystać z cudzych łupów. Imiała najbardziej zażarcie broniła resztek zdobyczy. Czasami wystarczyło warknąć, by przegonić intruzów, a czasami goniła kojota aż do granic terytorium sfory, rzadko jednak udawało się jej go złapać, ponieważ z ciężkim po posiłku brzuchem nie miała zwykłej szybkości i zwinności. Czasem kojoty, które wpadły na głupi pomysł, by wrócić, kończyły życie z ostrymi kłami wilków zatopionymi w ich gardłach.

Powoli wilki ustalały zwyczaje, dzięki instynktowi zawiązywały więzy właściwe sforze, konsolidowały swą hierarchię. Klan stawał się coraz silniejszy, a Imiała zapominała o swoim dawnym życiu w samotności i o odległych dwunożnych.

\*

Pod wieczór Alea, jej przyjaciele i Rycerze Ziemi - jak teraz nazywali samych siebie - dotarli do podnóża pasma Gor-Draka.

- To tutaj mnie i mojego ojca odnalazła wilczyca - opowiadał Erwan Alei, wskazując płaskowyż, który rozpoznawał bez trudu.

- W jednej z tych wielkich skał wyryty jest twój znak.

Alea przytaknęła, a Erwan dojrzał w jej oczach ogromną chęć zobaczenia tej skały. Najpierw musiała jednak odegrać swą nową rolę. Odwróciła się do swojej małej armii.

- Rozbijemy tu obóz i wyślemy zwiadowców w góry, by odnaleźli mojego brata.

Magistel pokiwał głową i dał znak rycerzom, by wykonali rozkaz.

Słońce nie zaszło jeszcze całkiem za horyzont, a ostatnie promienie malowały ośnieżone szczyty gór na ciepły, różowy kolor. Rycerze, korzystając z wolno gasnącego światła, szybko rozbijali obozowisko. Robili to samo co wieczór od wielu dni, nabrali już więc wprawy. Erwan Al'Daman nie musiał nawet wydawać rozkazów, bo każdy doskonale wiedział, co ma robić.

Kiedy przed Aleą stawili się czterej zwiadowcy, podziękowała im i wydała instrukcje.

- Chcę, byście niosąc mój sztandar, poszli wysoko w góry, w stronę tego szczytu, który przypomina dziób kruka. Pod tym szczytem czekają tuathanneńscy wojownicy. Ich dowódca nazywa się Tagor. To mój brat. Powiedzcie mu, że jest tu Kailiana, Córka Ziemi, i że na nich czekam. Uważajcie. Są pewne zwyczaje, których musicie przestrzegać, zwracając się do nich.

Patrzyła na czterech rycerzy, którzy słuchali jej w skupieniu.

- Kiedy zobaczycie Tagora, zwróćcie się do niego dokładnie tymi słowami: „*Bądź pozdrowiony, Tagorze, synu Sarkana, niech Ziemia uzna ciebie i twój klan*”. Musicie okazać mu szacunek. Nie zapominajcie, że to mój brat, że ci, którzy mu towarzyszą, to ludzie honoru, i że czczą Ziemię ponad wszystko.

Zwiadowcy pokiwali głowami.

- Idźcie więc. Zostańcie z nimi na noc i wróćcie dopiero jutro. Śpiąc w ich obozie, udowodnicie, że macie do nich zaufanie.

Natychmiast wyruszyli w drogę, z pewnością bojąc się zapadającego zmroku. Alea patrzyła na cztery sylwetki znikające między skałami wznoszącymi się nad obozowiskiem. Później odwróciła się do Erwana.

- Widziałeś ich oczy? Ich spojrzenie? Można by powiedzieć, że spijali słowa z moich ust. Mogłabym poprosić o cokolwiek, a oni by to zrobili...

- Jesteś ich przywódcą, Aleo, a oni już od dawna nie mieli przywódcy, którego mogliby tak podziwiać.

- To mnie przeraża.

Erwan pokręcił głową.

- Przestań się skarżyć, Aleo, i naucz się doceniać szczęście, kiedy się do ciebie uśmiecha. Niejeden generał marzy o tak oddanej armii.

- Ale ja nie marzę, by być generałem - odparła Alea z uśmiechem.

- Zawsze masz na wszystko odpowiedź, prawda?

- Mam dobrego nauczyciela!

Erwan nie mógł się nie uśmiechnąć. Pierwszy raz od długiego czasu Alea zdawała się nieco rozluźniona. Wziął ją za rękę i poprowadził na płaskowyż, który pokazywał jej wcześniej.

- Chodź, pokażę ci tę skałę.

Podążyła za nim i oddalili się od obozu, nie uprzedzając przyjaciół. Przez całą drogę nie zamienili ani słowa, ale Erwan nie puszczał jej dłoni, mocno ją ścisnął. Obydwoje czuli krew pulsującą w żyłach. Byli jak dwa tam-tamy, które odpowiadają na swoje niepokoje i nadzieje.



Słońce prawie już zaszło, kiedy stanęli przed wielką czarną skałą, którą wskazywał Erwan. Podeszli w niemal uroczystej ciszy i Alea zobaczyła symbole wyryte w kamieniu.

- Wiesz, co to oznacza? - zapytał Erwan, podchodząc z tyłu i obejmując ją.

- To ten sam symbol, który znajduje się na moim pierścieniu. To może oznaczać wiele rzeczy. Po pierwsze, myślę, że oznacza to, że znajdujemy się przy bramie światów, w miejscu, w którym te światy się łączą. Nasz świat, kraina umarłych, Djar i Sid. A może i inne światy. To oznacza także, że to tu spotkali się moi rodzice i tu się połączyli.

Erwan złożył pocałunek na jej karku.

- I wreszcie, ponieważ ten sam symbol znajduje się na moim pierścieniu, musi to znaczyć, że istnieje związek między tym wszystkim a Samildanachem.

- Czy wiesz, co dokładnie oznacza symbol na twoim pierścieniu?

- Nie jestem pewna. Ale jeśli porównać go z tym, co zostało zapisane w Encyklopedii Analego, wyjaśnienie wydaje mi się dosyć oczywiste...

- To znaczy?

- Rolą Samildanacha będzie pogodzenie miłości i władzy. Czy coś w tym rodzaju.

- Miłość i władza, tak?

Alea uśmiechnęła się. Uwolniła się z objęć Erwana i obeszła skałę. Pomyślała, że wygląda ona jak kamienny olbrzym. Po plecach przeszedł jej dreszcz. Wyobraziła sobie Felima, który spotkał tu kobietę z Sidu. Jej matkę. Jak wyglądała? Dlaczego opuściła podziemny świat? I co się z nią stało po tym, jak musiała uciekać?

Alea wolała nie zadawać sobie więcej pytań i ruszyła z powrotem do obozu.

- Chodź - powiedziała, wyciągając rękę do Erwana - zjemy z pozostałymi.

W dole obóz rozświetlały wysokie płomienie wielkiego ogniska, które rozpalono, by się przy nim ogrzać i upiec mięso. Żółtoczerwone języki tańczyły na tle czarnego nieba, a iskry unosiły się na wietrze. W oddali słychać było dźwięki dud krasnoluda.

\*

Meriand Mor Piękny, hrabia Ziemi Brunatnej i brat nieżyjącego króla Galacji, stał obok Ferena AFRoega, hrabiego Harcourt.

Głos biskupa Aeditusa rozbrzmiewał pod kopułą katedry w Rii, kiedy duchowny z powagą i namaszczeniem wygłaszał kazanie. Kościół był wypełniony po brzegi. Lud Harcourt, podniesiony na duchu zwycięstwem swego hrabstwa nad Tuathannami i druidami, zgromadził się pod krzyżem Chrystusa, napelniony nową nadzieją. W chrześcijańskiej stolicy przeżywano szczęśliwe chwile. Zapomniano o twardych rządach AFRoega. Zapomniano o groźbach Rycerzy Płomienia, o naciskach i nawracaniu siłą. Duma z przynależności do tak silnego hrabstwa była ważniejsza niż wszystko. Wydawało się, że ludzie sami zdecydowali, że wolą mieć krótką pamięć... Mojra była już tylko złym wspomnieniem. Druidzi zapomnianymi duchami. Hrabiemu AFRoegowi w końcu udało się zjednoczyć mieszkańców kraju i wszyscy liczyli na to, że poprowadzi on ich do ostatecznego zwycięstwa. Harcourt, niegdyś znieważane i opluwane przez resztę wyspy, jutro będzie centrum i najważniejszym hrabstwem królestwa.

Jesienne światło przenikało przez wielkie, wielobarwne witraże katedry, rzucając na szare kamienne kolumny kolorowe fioletowo-błękitne refleksy. Promienie słońca wnikały do długiej nawy i biegły aż do ołtarza, gdzie Aeditus oddawał cześć Bogu, który dał im zwycięstwo. W powietrzu unosił się zapach kadzidła, a głos biskupa wypełniał całą przestrzeń.

- Mamy do rozegrania ważną partię - szepnął Al'Roeg, pochylając się ku hrabiemu Ziemi Brunatnej.

Ten pokiwał głową.

- Podział w łonie Rady Druidów to nasza jedyna szansa, by wygrać tę partię. Ale najpierw musimy zająć hrabstwo Sarre. Hrabia Albath Ruad jest słabeuszem, podda się pierwszemu, kto go zaatakuje. Dlatego musimy uderzyć jak najszybciej, zanim zrobi to Galacja. Musimy być tam pierwsi.

- Nie będę się wahał ani przez sekundę - odparł Meriand. - Ale co potem? Czy sądzisz, że jesteśmy wystarczająco silni, by ostatecznie pokonać Galację? A Bizania nie przyłączy się przypadkiem do królowej?

- Bizania jest tu w istocie jedyną niewiadomą. Byłoby idiotyzmem atakować ją w tej chwili, bo ciągle pozostaje neutralna, a jest niebezpieczna. Ale masz rację, trzeba się upewnić, że baron nie sprzymierzy się z królową.

- Bizania zawsze stawała po stronie Galacji...

- Tak, ale prawowitość władzy królowej jest dyskusyjna. Mogłaby być sądzona za zamordowanie męża. Moglibyśmy się jej pozbyć, wykorzystując prawo i żądając, by została skazana za zabicie Eoghana.

- A następnie użyć nacisków naszych trzech hrabstw, by ciebie osadzić na tronie?

Feren Al'Roeg nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Pomysł wstąpienia na tron Gaelii bez konieczności pokonania Galacji był bardzo pociągający. Ale zdawał sobie sprawę, że nie będzie to takie proste.

- Zobaczymy. Wiesz, Meriandzie - zaczął ciszej - że największą siłą mego hrabstwa jest religia.

- Jak to?

- Popatrz na nich. Każdy nawrócony mieszkaniec Harcourt staje się prawdziwym wojownikiem. Mówi się, że wiara potrafi góry przenosić.

- Do czego zmierzasz? - zapytał Meriand, przyglądając się wsłuchanym w słowa Aeditusa wiernym.

- Musimy przyspieszyć proces nawracania twoich poddanych w Ziemi Brunatnej.

- Mojra jest wciąż bardzo zakorzeniona w wierzeniach mojego ludu - odpowiedział hrabia Mor.

- Dlatego trzeba przyspieszyć oficjalną datę twojego nawrócenia. Kiedy twoi poddani wezmą udział w ceremonii, nie będą mieli innego wyjścia, jak tylko pójść w twoje ślady. Stałeś się ich bohaterem, wypędzając Tuathannów z waszej ziemi.

- Owszem, ale nie wymaże się tak łatwo tych wszystkich lat druidzkiej indoktrynacji.

- Być może. Ale możemy się posłużyć rozłamem w Radzie, by zdyskredytować druidów i odebrać im wiarygodność. Musimy nawet posunąć się jeszcze dalej. Zabronić im wstępu na nasze ziemie. Zakazać obchodzenia druidzkich świąt. Zastąpić ich zwyczaje obrzędami chrześcijańskimi.

- Nie da się tego zrobić w kilka dni - studził jego zapal Meriand Mor.

- Stanie się to o wiele szybciej, niż myślisz. Jutro wrócisz do Ziemi Brunatnej i zapowiesz swą uroczystą konwersję na następny tydzień. Poproszę

Aeditusa, by przewodniczył tym obrzędom, a następnie zajął się krzewieniem chrześcijaństwa na twojej ziemi.

Meriand Piękny kiwnął głową. Wiedział, że nie ma wyboru. Dzisiaj był już tylko wasalem Harcourt. Niezupełnie o tym niegdyś marzył, ale lepsze to, niż zostać pokonanym przez barbarzyńców z Sidu.

Musiał to tylko uświadomić mieszkańcom swego kraju.

\*

Wchodząc do sali tronowej w podziemiach pałacu Shankha, Almar Cahin nie mógł odpędzić wspomnień.

Długie lata czuwania w Saratei. Ciche lata, kiedy był tylko potajemnym Czuwającym mistrza. Sam przeciw tym wszystkim wioskowym głupkom. Ukrywał swe prawdziwe przeznaczenie pod płaszczkiem zawodu rzeźnika, bo nie mógł wyjawić imienia tego, któremu naprawdę służył. Tak jak wszyscy Czuwający z hrabstwa Sarre, Almar nigdy nie powiedział nikomu o tym, że oddał się pod panowanie Maolmórdhy. Mistrza czcilo się w sekrecie.

A potem pojawiło się to dziecko. Alea. Tajemnicza. I Felim, który kilkakrotnie przybywał, by ją śledzić. Inni mieszkańcy Saratei nie zdawali sobie z tego sprawy. Ale on wiedział. Wielokrotnie widział Felima, idącego nocą zobaczyć to dziecko, które pojawiło się w wiosce nie wiadomo skąd.

Almar odkrył to wszystko i informując o tym mistrza, z pewnością otworzył sobie drzwi do lepszej przyszłości. Od rozpoczęcia Unseannu rzeźnik czekał na tę chwilę. Miał nadzieję, że Maolmórdha da mu wreszcie szansę, by się wykazał i zajął wyższą pozycję w hierarchii jego sług.

Almar bowiem marzył o zemście. Zemście na swym podłym losie, na swym miasteczku, a nade wszystko na tej małej zarazie, Alei.

Szedł wolno w stronę tronu, ze spuszczonej oczami. Gdy tylko przekroczył próg, uderzył go dziwny zapach panujący w komnacie. Zapach zwierzęcy, wilgotny, idealnie pasujący do lepkości ciepłego powietrza dookoła. W tym dziwnym zapachu było coś podniecającego. Jakaś głęboka, nadnaturalna moc, jakaś boska obecność.

- Podobno znasz małą włóczęgę.

Głos Maolmórdhy był jeszcze dziwniejszy niż atmosfera komnaty. W jego brzmieniu nie pozostało już nic ludzkiego. Można by powiedzieć, że było to kilka głosów, które mieszały się i odkształcały, wychodząc z jego gardła.

Almar uklęknął na posadzce. Drżał.

- Tak, panie, wiele lat mieszkałem w tym samym miasteczku. Widziałem, jak dorasta, widziałem też, jak pierwszy raz ujawniła się jej moc.

Za plecami Almar wyczuwał obecność Ultana, prawej ręki Maolmórdhy. Ultan przyszedł po niego przed chwilą i oznajmił, że mistrz pragnie z nim rozmawiać. Czuł na sobie jego ciężkie spojrzenie. Widział też wydłużony cień jego olbrzymiego ciała, padający tuż obok na szarą kamienną posadzkę.

- Doskonale. Być może będziesz nam przydatny, Almarze - odparł Maolmórdha z wysokości swego tronu z ludzkich kości.

Rzeźnik skłonił głowę. A więc godzina jego zemsty nareszcie wybiła. Ledwie mógł w to uwierzyć. Jak on, taki skromny, tak mało znaczący w wielkiej organizacji Maolmórdhy, mógł się okazać naprawdę przydatny? Miał tylko nadzieję, że go nie zawiedzie.

- Mówi się też, że Amina, królowa Galacji, pochodzi z tego samego miasta i że się przyjaźniły...

- To prawda - odpowiedział rzeźnik drżącym głosem. - Amina Salia, pamiętam ją doskonale.

- Dobrze. To dziwne, nieprawdaż? Jak ten świat jest doskonale urządony - ironizował Maolmórdha. - Powierzam ci misję, Almarze.

- Jestem do waszych usług, panie.

Almar nie był w stanie mówić pełnym głosem. Miał ściśnięte gardło, głos mu drżał, a przerażone spojrzenie uciekało na boki.

- Pojedziesz do Providence i skontaktujesz się z królową.

- Ja... Tak, ale jakże miałbym to zrobić? - wyjąkał Almar.

Natychmiast pożałował, że okazał zwątpienie. Miał nadzieję, że Maolmórdha go za to nie ukarze. Jak mógł się ośmielić wątpić w swego mistrza? Ale Maolmórdha wybuchnął śmiechem.

- Nie martw się, rzeźniku, mogę obdarzyć cię taką mocą, o jakiej ci się nie śniło. Będziesz miał z sobą Ahrimana. A królowa już cię zna. To powinno ci ułatwić zadanie.

Almar usiłował odzyskać normalny oddech.

- Co mam zrobić, kiedy już się z nią spotkam? - wyjąkał.

- Powiesz jej, że Alea zabiła jej ojca.

- Kowala?

-Tak.

- To Alea go zabiła?

Maolmórdha westchnął głośno.

- To nie ma najmniejszego znaczenia, rzeźniku. Ważne, żeby królowa w to uwierzyła.

- Rozumiem - odpowiedział pospiesznie Almar.

- A więc rozumiesz, na czym polega twoja misja. Dobrze.

Almar pokiwał głową bez słowa. Był jednocześnie przerażony i szczęśliwy. Zemsta będzie więc możliwa.

I nagle, kiedy zbierał się już do wyjścia, poczuł, że jego ciało przenika ognista fala. Ahriman. Ta ciepła siła, która wlewała się w jego żyły i napełniała je tak, że mało nie pękły. Jego mózg w jednej chwili rozświetliły jakby tysiące płomieni. Świat dookoła stał się bardziej wyraźny, ostrzejszy. Każdy dźwięk, zapach, kolor.

Przez długą chwilę Almar klęczał nieruchomo, niepewny. Nie potrafił oswoić się z tą nową siłą, którą czuł w swoim ciele. W końcu wstał. Nie był już tą samą osobą. Wszelkie wątpliwości zniknęły. Strach także. Została tylko nienawiść i żądza zemsty.

Podniósł oczy na swego pana. Po raz pierwszy mógł zobaczyć jego twarz. Twarz Maolmórdhy. Czarny hełm zasłaniał mu głowę, ale przez otwartą przyłbicę widać było przekrwione oczy. Widział je i nie drżał. Teraz był już gotowy.

\*

Przy Tagorze zostało więcej Tuathannów, niż spodziewała się Alea. Ich wkroczenie do obozowiska Rycerzy Ziemi było prawdziwym świętem,

poruszającą ceremonią, która wryła się głęboko w pamięć wszystkich obecnych.

Alea i jej najbliżsi towarzysze stali przed wielkim namiotem, którego jeszcze nie złożono. Nagle wśród Rycerzy Ziemi zaległa głucha cisza. Rozproszeni po obozie, jedni kończąc posiłek, inni przygotowując się do wymarszu, w jednej chwili znieruchomieli, gdy zza czarnych skał wyłoniła się długa kolumna Tuathannów.

Byli liczniejsi niż Rycerze Ziemi. Blisko trzysta osób, mężczyzn i kobiet, zbliżało się w ciszy, ich boscie stopy ledwie muskały skalistą ziemię, wielu trzymało w rękach włócznie. Spojrzenia się krzyżowały, jedna armia poznawała drugą, ale nie padło ani jedno słowo. Po jednej i drugiej stronie szacunek mieszał się z nieufnością. Zapadła martwa cisza, a napięcie było niemal namacalne. W sercach zgromadzonych zagościła jednocześnie ulga z powodu znalezienia nowych sprzymierzeńców i lęk przed nieznanym.

Na czele oddziału, w towarzystwie czterech wysłanych przez Aleę zwiadowców, szedł młody Tuathann o zadziwiającej godności i dostojności. Był wspaniale umięśniony, jego tors pokrywały wojenne barwy, a głowę zdobił grzebień niebieskich włosów związanych na karku rzemieniem i przystrojonych orlimi piórami. Kiedy podszedł bliżej, można było dostrzec jego oczy, jedno niebieskie, drugie czarne, i malującą się na jego twarzy powagę i godność właściwą przywódcy klanu.

- Tagor. Mój brat - szepnęła Alea, przyglądając się zbliżającemu się ku nim orszakowi.

Uśmiechnęła się. Tuathannowie zatrzymali się kilka kroków dalej. Wystarczył jeden gest Tagora, by długa kolumna w jednej chwili stanęła.

- Bądź pozdrowiony, Tagorze, mój bracie, synu Sarkana, niech Ziemia uzna ciebie i wszystkie klany.

Młody wojownik podszedł bliżej i ujął dłoń Alei.

- Witaj, siostrzyczko - powiedział po prostu.

Po czym objął ją i przytulił. Alei łzy napłynęły do oczu. Brat. Prawdziwy brat. Czuli to w jego głosie, w jego gestach. Tak jakby znała go od zawsze. Jej jedyna rodzina.

- Czy twoi ludzie mówią językiem Gaelii? - zapytała szeptem brata.

- Tak. Nauczyliśmy się. Tak samo jak nauczyliśmy się mierzyć czas.

Stali tak przez długą chwilę, jakby chcieli nadrobić wszystkie stracone lata, przeżyte bez siebie. Później Tagor zwolnił uścisk, zrobił krok do tyłu i pochylił się, klękając na jedno kolano.

- Oto wszystko, co pozostało z ludu z krainy Sid, Aleo. Klany są rozbite, ich przywódcy nie żyją, jesteśmy ostatnimi Tuathannami. Jest nas niewielu, ale ta armia należy do ciebie.

- Widzę kobiety i dzieci - odparła Alea. - To nie armia, Tagorze, tylko cały lud. A ta ziemia będzie potrafiła was ugościć.

- Ona należy do nas! - wykrzyknął jeden z tuathanneńskich wojowników.

Tagor odwrócił się, by zobaczyć, który z jego braci to powiedział. Alea dostrzegła gniew w jego oczach. Uspokajającym gestem położyła mu dłoń na ramieniu i zwróciła się do zebranych.

- Ziemia nie należy do nikogo, Tuathannowie! Ani do was czy waszych przodków, ani do Gaelijczyków czy ich potomków. Wasi przywódcy zginęli, bo myśleli inaczej. Kiedy Ziemia staje się czyjąś własnością, wybuchają wojny. Niczego się nie nauczyliście? Spójrzcie, ilu was dziś pozostało. Spójrzcie, ilu

jest nas. Ilu jeszcze musi zginąć, byśmy pojęli tę lekcję? Ziemia nie należy do żadnego człowieka, to ludzie należą do niej. Niech ci, którzy wciąż myślą, że ta ziemia należy do nich, natychmiast opuszczą obóz, bo nie będę tolerować takiej postawy wśród swoich ludzi. Pozostali witajcie pośród Rycerzy Ziemi.

Alea potoczyła spojrzeniem po tuathanneńskiej armii. Czekala na najmniejsze poruszenie. Wiedziała, że ta chwila jest decydująca, że wszystko rozegra się w tym momencie. Wiedziała, że jeśli Tuathannowie mają do niej dołączyć, to muszą to zrobić w imię tego samego celu, tego samego marzenia.

- Kailiana dobrze powiedziała! - wykrzyknął w końcu jeden z Tuathannów.

Przez tłum przeszedł szmer, po czym jedna z kobiet zawołała:

- Niech tak będzie!

Tagor uśmiechnął się. Spojrzał na Aleę i skinął głową.

- Jesteśmy Rycerzami Ziemi, Aleo.

Podszedł bliżej i znowu ją przytulił.

- Siostrzyczko, jesteś lepsza niż najlepszy przywódca klanów.

Mówił to z uśmiechem. Przypominał sobie niemowlę, które jego matka zabrała z Sidu, i nie mógł uwierzyć, że wyrosło ono na tak niezwykłą kobietę. Bardzo silną, choć wciąż jeszcze tak młodą.

- Tagorze - podjęła Alea - przedstawiam ci Mjollna, mojego najstarszego przyjaciela. A to Finghin, druid, który nam towarzyszy.

Tagor przywitał się z nimi.

- Oto Kaitlin, która jest wędrowną aktorką i której obecność nie raz była dla nas wielką pociechą. A oto Erwan AFDaman, ma- gistel Finghina.

Tagor poznał po głosie Alei, że ten młody mężczyzna zajmuje w jej sercu szczególne miejsce. Puścił do niej oko i odwrócił się do swych ludzi.

- Niech klany się wymieszają! - krzyknął, a Tuathannowie natychmiast rozeszli się po obozowisku, wychodząc na spotkanie rycerzom Alei.

Bardzo szybko przełamano pierwsze lody, bo choć Tuathannowie nie władali jeszcze biegle gaelijskim, znali go wystarczająco dobrze, by się przedstawić i by można było ich zrozumieć. Te dwa ludy, niegdyś tak sobie obce, natychmiast pokonały ostatnie uprzedzenia, ponieważ łączyła je wspólna nadzieja. Nadzieja niesiona przez dziewczynę, którą wszyscy podziwiali.

Tak jak Felim połączył się z matką Tagora, tak teraz Tuathannowie otworzyli się na Gaelijczyków. Dwa światy nareszcie się spotkały. Marzenie Alei zaczęło się spełniać.

Dziewczyna zdecydowała, że pozostaną w tym miejscu jeszcze przez jeden dzień. Chciała dać ludziom czas, by się poznali, sama też bardzo chciała nacieszyć się bratem, nim znowu wyruszą w drogę.

Spędziła z Tagorem cały dzień, poznając go, zadając tysiące pytań, opowiadając mu swoją historię, mówiąc o swoich marzeniach i nadziejach.

Ultan stał nieruchomo, mocno ściskając w rękach miecz wbity w gardło dogorywającego zwierzęcia. Czarna krew przestała już spływać po srebrnym ostrzu. Wielki wojownik wyciągnął więc swą broń lekkim, zamaszystym gestem, a zwierzę zważyło się ciężko na ziemię.

Kilku widzów zgromadzonych wokół areny w pałacu Shankha zaczęło klaskać i wiwatować. Ich okrzyki rozbrzmiewały pod kamiennym sklepieniem. Znajdująca się w najgłębszych podziemiach pałacu arena tonęła w gęstej, złowrogiej ciemności. Każdy kąć pograżony był w cieniu, a w każdym zakamarku kryło się niebezpieczeństwo. Ciężka wilgoć unosząca się w

powietrzu skraplała się na kamiennych ścianach i przesycala atmosferę niepokojącym, kwaśnym zapachem.

Ultan odwrócił się powoli i skierował się w stronę swego mistrza. Był potężnym wojownikiem o szerokich barkach i masywnym karku. Jego długie białe włosy opadały na ramiona niczym srebrna kaskada. Zwisający ku ziemi miecz wyglądał jak naturalne przedłużenie jego muskularnego ramienia, a całe ciało zdawało się tworzyć jedność z ciemną metalową zbroją.

Za jego plecami ciałem powalonego zwierzęcia wstrząsały ostatnie konwulsje. Bezlitośnie poranione, było już tylko stertą mięsa i skóry.

Ultan zatrzymał się przed wysokimi trybunami okalającymi arenę i przyklęknął na jedno kolano. Podniósł wzrok na niewielką lożę górującą nad całą widownią. Przez chwilę w ciemnościach widział oczy swego pana, tajemnicze, szkarłatne ogniki, które natychmiast znikły. Maolmórdha oglądał walkę do samego końca. Ultan rozkoszował się honorem, jaki mu uczyniono. Pozdrowił widownię, po czym odwrócił się i skierował do łaźni, żegnany wiatami publiczności.

Kilka chwil później, kiedy kończył zmywać z siebie krew i opatrywać rany, Ultan zobaczył, że do łaźni wkroczył Maolmórdha.

Jeszcze nigdy mistrz nie zszedł aż tutaj. Wojownik natychmiast się pokłonił i opierając się na rękojeści miecza, znieruchomiał, czekając, aż jego pan pierwszy przemówi.

- Dobrze walczysz, Ultanie.

Grobowy głos Maolmórdhy przeszył pomieszczenie niczym podmuch zimnego powietrza.

- Dziękuję, mistrzu.

Maolmórdha pokiwał głową. Zbliżył się do swego wojownika, obszedł go dookoła i zatrzymał się przed jego mieczem. Patrzył na długie, ciągłe jeszcze zakrwawione ostrze.

- I wiem, że chciałbyś zmierzyć się z tą dziewczyną.

- Jestem do waszych usług, panie - odpowiedział po prostu Ultan.

- Lecz rozmawialiśmy już o tym. Czy myślisz, że zwyciężysz tam, gdzie poległ Sulthor? Masz nadzieję, że w ten sposób odzyskasz podziw, jakim darzyłem cię niegdyś, gdy byłem druidem, a ty moim magistalem, prawda?

- Czy kiedykolwiek cię zawiodłem?

- Jesteś moim magistalem, Ultanie. Magistel nie zawodzi. Wiem, co myślisz, w co wierzysz, co czujesz i czego pragniesz. Słyszę każdą twą myśl. Nie możesz mnie zawieść. Może mi ciebie zabraknąć, to wszystko. Chcę, byś stał u mego boku tego dnia, gdy ona tu przyjdzie. Bo przyjdzie. A tymczasem mamy wiele do zrobienia.

Rycerz podniósł głowę. Tak długo na to czekał. Po Sulthorze Maolmórdha wybrał Dermoda Cahla. Przez cały ten czas Ultan pozostawał w cieniu. Ale teraz będzie mógł znów zabłysnąć. Powiedział sobie, że mistrz zostawił go sobie na koniec.

- Chciałbym osłabić Aleę, nim się tu zjawi. Mam nadzieję, że temu głupiemu rzeźnikowi uda się nastawić królową przeciwko niej. Ale to nie wszystko. Mamy nowego wroga, którego się nie spodziewałem.

- Tak, panie?

- Nowego wroga, którego zwróciła przeciwko nam ta mała zaraza.

- Rycerzy, którzy jej towarzyszą?

- Nie, ci nie są zagrożeniem dla nikogo.

Maolmórdha podszedł do swego magistela. Jeszcze nigdy jego twarz nie była aż tak blisko. Twarz zdeformowana przez trawiący go ogień, oblicze zmienione nie do poznania, odkąd otrzymał Ahrimana.

- Wilki - wyszeptał Maolmórdha. - Musimy pozbyć się wilków.

\*

Noc już dawno zapadła, pogrążając zbocze góry w całkowitych ciemnościach. Alea siedziała na kamieniu i z zamkniętymi oczami wsłuchiwała się w ciche głosy nocnych zwierząt i wiatr szumiący w liściach drzew. Za jej plecami obóz tonął w mroku. Ogniska pomału gasły, a ostatnie sylwetki znikwały w namiotach i szałasach. Słysząc było tylko szepty, gdzieniegdzie jakieś pochrapywanie, ostatnie trzaski drewna w niknących płomykach ognia, syk dogasającego żaru.

Alea myślała o wilczycy. O białej wilczycy. Gdzie teraz była? Mogłaby jej szukać, spotkać się z nią w świecie Djar, ale nie wydawało jej się to właściwe. Wilczyca z pewnością potrzebowała teraz samotności, oddalenia się od świata dwunożnych. Alea to czuła. Niezwykle było już to, że wilki przyłączyły się do niej i wystąpiły przeciwko gorgunom. Teraz natura powinna na nowo przywrócić swoje prawa. Wilki powinny wrócić do swych zwyczajów, do swego dawnego życia. Alea wstydziła się, że wmieszała je w sprawy ludzi. A jednak... czy losy ludzi nie są ściśle związane z losami wilków? One przecież także są mieszkańcami Gaelii.

Westchnęła. Ale w tym westchnieniu nie było ani cienia rozpacz czy żalu. Raczej dziwna ulga. Poszukiwanie ukojenia w przeżywanej właśnie chwili. Dobrze się czuła, siedząc tu w samotności, tak jak kiedyś. Te wszystkie noce na ulicach Saratei, te samotne wyprawy na wrzosowiska. Te wieczory, kiedy się ukrywała, dni, kiedy musiała uciekać. A teraz wszystko było takie inne. Oczy tak wielu ludzi wciąż były w nią wpatrzone. Tylu przyjaciół wkroczyło do jej życia. A później ten nagle odnaleziony brat... W głębi serca nie wiedziała, czy było jej teraz lepiej. Było po prostu inaczej.

Wtedy usłyszała za sobą jakiś hałas. Nadstawiła uszu. Ale była to pewnie tylko kuna lub jakiś inny drobny drapieżnik, który znalazł się w pobliżu. Wyrwana z zamyślenia Alea podniosła się i zesza z kamienia. Jeszcze raz spojrzała na symbol wyryty w skale, po czym ruszyła w stronę obozu.

Przechodząc obok gasnącego ogniska, w którym tliły się ostatnie bierwiona, pozdrowiła dwóch mężczyzn rozmawiających szeptem. Tuathann i Gaelijczyk. Popatrzyli na nią i pozdrowili z szacunkiem. Uśmiechnęła się do nich. Zobaczyła w nich obietnicę na przyszłość. Dwaj nieznajomi rozmawiający do późnej nocy. Dwa ludy, które wreszcie wyciągnęły do siebie ręce.

Weszła po cichu do wielkiego namiotu przeznaczonego dla niej i jej najbliższych przyjaciół. Wszyscy zdawali się pogrążeni w głębokim śnie, każdy w swojej części namiotu, dokładnie przykryty grubą kapą. Przez chwilę stała nieruchomo, po czym skierowała się za wiszącą po prawej stronie zasłonę.

Wolno uklękła i położyła się przy Erwanie, po czym wśliznęła się pod jego koc. Poczowała się cudownie i nie wiedziała, czy to Saiman, czy to serce było tak mocno w jej piersi. Zamknęła oczy. Nagle poczuła dłoń Erwana na swym ramieniu. Teraz była już pewna: to było jej serce.



Ręka Erwana przesunęła się delikatnie po jej ramieniu, aż do brzucha. Jego palce były tak gorące, że zdawały się płonąć ogniem Saimana. Alea odwróciła się wolno w stronę chłopaka i mocno się w niego wtuliła. Objęła go i oddawała każdą pieszczotę ze zdwojoną czułością, zanurzając dłonie w jego długich rozpuszczonych włosach. Później kochali się w ciszy, a ich namiętność miała słodki smak nowości i odkrycia. Zastygli w uścisku spowici niezmaconą ciszą jesiennej nocy. Obydwoje odnaleźli w sobie nieoczekiwane pocieszenie i zapomnianą słodycz utraconej intymności. Przez całą noc tulili się do siebie, jakby chcieli opóźnić moment rozłąki. Tak bardzo nie chcieli czuć się dłużej samotni. Saiman przenikał ich ciała, choć może była to namiętność, tak wielka, że dorównywała mu siłą.

### ROZDZIAŁ 3

## PRZEJŚCIE

Polowanie w dolinie Loma nigdy nie należało do najłatwiejszych, ale terytorium było wystarczająco rozległe, by wataha znalazła w końcu pożywienie. Wilki polowały zwykle o świcie, co kilka dni, dzieliły się dużą zdobyczą, a czasem między posiłkami udawało im się upolować jakieś mniejsze zwierzę.

Minęło już wiele tygodni, odkąd wilki zadomowiły się w dolinie. Regularnie znaczyły swoje terytorium, dzieliły czas między polowanie, odpoczynek i zabawę. Pomału utrwały się związki i relacje między osobnikami w grupie. Wszyscy członkowie watahy ocierali się o siebie, wymieniali swoje zapachy, aby zapewnić sforze jedność.

Taibron i Imała, para dominująca, wciąż umacniali swój autorytet i władzę nad stadem, szczerząc kły, jeżąc sierść lub po prostu dyscyplinując wilki groźnym spojrzeniem. Czasami ich ostrzeżenia przybierały jeszcze bardziej agresywną formę. Inne wilki okazywały wtedy uległość, warując, odwracając wzrok lub kładąc uszy po sobie.

Imała okazała się szczególnie surowa wobec jednej z samic, tak że ta stała się niemal kozłem ofiarnym sfory. Nie dlatego, że była najsłabsza - wręcz przeciwnie, należała do najszybszych, a więc bardzo przydatnych w czasie polowania - lecz prawdopodobnie dlatego, że Taibron kilkakrotnie okazał jej za dużo zainteresowania, obwąchując i biegając za nią przez cały dzień. Imała uznała więc, że konkurentka jest zbyt groźna, i zarezerwowała dla niej całą swoją agresję. Często wskakiwała na nią i gryzła ją w pysk, przytrzymując ją przez długie, upokarzające chwile. Biedna wilczyca robiła, co mogła, by okazać swą uległość, ale Imała była bezlitosna i zażarcie okazywała dominację.

Takie były prawa klanu i tak biegło życie sfory, coraz silniejszej, zacieśniającej więzy w oczekiwaniu na zimę, kiedy para dominująca w końcu będzie mogła się rozmnożyć.

Pewnego jesiennego dnia sfora z Lomy stanęła przed pierwszym prawdziwym wyzwaniem. Słońce z trudem przebijało się przez ciężkie chmury, oświetlając to tu, to tam wysokie żółte trawy porastające wrzosowisko. Wataha swym zwyczajem zgromadziła się niedaleko rzeki, obok kępy krzewów, których splecione gałęzie zdawały się pełzać po ziemi. Na horyzoncie rysowało się wzgórze porośnięte rzadkim świerkowym lasem. Nad doliną szybowało kilka orłów, ale były tak wysoko, że zwierzęta z pewnością ich nie widziały. Później, tuż przed południem, kiedy wszystkie wilki pogrążone były w leniwej drzemce, inna wataha wtargnęła na ich terytorium.

Imała jako pierwsza odkryła najście. Zerwała się na równe nogi i warknęła, wyrывая pozostałe wilki z odrętwienia. W stadzie zapanowało poruszenie, kiedy inne zwierzęta dostrzegły w oddali intruzów. Szybko jednak zdały sobie sprawę, że tamci są liczniejsi. Było ich co najmniej tuzin.

Taibron zaczął warczeć i z podniesionym, zjeżonym ogonem ruszył nagle na nieproszonych gości, a za nim pozostali członkowie stada, na czele z Imałą. Wilki zaczęły biec, chcąc sprawiać wrażenie groźniejszych. Miały nadzieję, że przestraszą intruzów, którzy ośmielili się wtargnąć na ich terytorium, jednak obce wilki wyszczerzyły kły i wygięły grzbiety, jeżąc sierść.

Konfrontacja odbyła się na odległość. Była to próba onieśmienia przeciwnika, której stado z Lomy nie miało szansy wygrać, bo choć znajdowało się na swoim terenie, było mniej liczne od intruzów. Jednak ci nie zamierzali zostać w tej części doliny na długo. Kiedy wrogie stado zorientowało się, że w okolicy nie ma zwierzyny, skierowało się w przeciwną stronę. Taibron zrozumiał, że niebezpieczeństwo minęło, i uspokojony zawrócił razem ze swoją watahą, w czasie drogi odwracając się co jakiś czas, by sprawdzić, czy nieproszeni goście nie wracają. Wilki znów zgromadziły się przy rzece, ale wciąż nerwowo obserwowały obcą sforę, która poruszała się przy granicy ich terytorium.

Intruzi jeszcze kilka razy przekraczali granicę i wycofywali się, uparcie szukając nowych terenów łowieckich, po czym zniknęli na dobre.

Jednak jakiś czas później Taibron ruszył z położonymi uszami i ciałem nisko przy ziemi, jakby był na polowaniu. Coś wyczuł. Imąła podążyła za nim. Wkrótce dołączył do nich Tamaran, jednoooki wilk.

Cała trójka zbliżała się wolno do granicy swego terytorium, gdzie obce wilki przebywały przez jakiś czas. Zwalniając kroku, przedzierały się przez wysokie żółte trawy i w końcu odkryły wilka: młodego, nierozsądnego samca, który został na ich terenie, chociaż reszta jego sfory już dawno odeszła.

\*

Kaitlin zatrzymała konia przy drodze, by przepuścić Rycerzy Ziemi i resztę pochodu. Szli szybkim krokiem, niesieni wiarą w Aleę i pokój na wyspie. Wielu z nich posyłało aktorce pełne szacunku uśmiechy, z pewnością dlatego, że była przyjaciółką Samildanacha. To wystarczało, by zyskać ich uznanie.

Tego ranka Alea ogłosiła, że powinni dotrzeć do Tarnei, stolicy hrabstwa Sarre. Miała nadzieję, że powiększy tam swoją armię i zyska nową polityczną siłę, co w końcu pomoże jej rozwiązać konflikty na wyspie. Choć nie będzie to proste.

Kiedy minęli ją ostatni rycerze, Kaitlin zauważyła wreszcie Aleę, która zwykle jechała z tyłu, podczas gdy Erwan otwierał pochód małej armii.

- Dlaczego tak bardzo się starasz pozostawać zawsze z tyłu, za wszystkimi?  
- zapytała Kaitlin, zrównując swego konia z wierzchowcem przyjaciółki.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Być może dlatego, że dzięki temu mogę widzieć wszystkich bez ciągłego odwracania się. I pewnie dlatego, że nie czuję się jeszcze do końca swobodnie w roli przywódcy, a pozostawanie z tyłu ciągle mi przypomina, że to za mną podążają ci wszyscy ludzie.

Kaitlin z uśmiechem skinęła głową.

- Tak, rozumiem. Ale przez to jesteś daleko od Erwana, który prowadzi rycerzy...

- No i co z tego? - odparła Alea.

Kaitlin wybuchła śmiechem.

- Jak to „no i co”? Przestań, słyszałam was wczoraj w nocy!

Twarz Alei natychmiast pokryła się rumieńcem. Nie przywykła rozmawiać o takich sprawach i nie miała szczególnej ochoty zacząć dzisiaj.

Naprawdę nie wiedziała, co odpowiedzieć, a ta przedłużająca się cisza była coraz bardziej żenująca. Rozbawiona Kaitlin postanowiła położyć kres cierpieniom przyjaciółki i odezwała się pierwsza.

- Daj spokój, chce mi się śmiać z was, Gaelijczyków, i waszej wstydlivosti! Nie ma nic piękniejszego od miłości, a wy nie chcecie o niej rozmawiać, jakby chodziło o coś okropnego!

Alea zagryzła wargi. Wahala się przez chwilę, w końcu zdecydowała się odezwać.

- Wiesz, nigdy wcześniej nie byłam zakochana... No i przypominam sobie, że nawet Faith była zmieszana, kiedy mówiło się z nią o Galiadzie... Właśnie o to mi chodzi, jesteście śmiesznie przewrażliwieni.

- A wy, wędrowni aktorzy, mówicie o miłości bez skrępowania? - zdziwiła się Alea.

- Oczywiście! - odparła Kaitlin, wzruszając ramionami. - Wiesz, cygańskie życie na trakcie nie pozostawia wiele miejsca na sekrety i intymność, więc prędzej czy później każda tajemnica wychodzi na jaw, a że przy tym wszystkim dosyć łatwo się zakochujemy... A chyba lepiej być dumnym ze swej miłości, niż wstydzić się jej.

- Zgoda. W takim razie opowiedz mi o Finghinie! - odparła Alea.

- Problem w tym, że w tej materii druidzi są najgorsi ze wszystkich Gaelijczyków! - odpowiedziała Kaitlin, wydymając wargi. - Finghin ledwie ośmiela się wziąć mnie za rękę... Więc niestety nie mam ci zbyt wiele do opowiedzenia.

- Ech, no cóż, w każdym razie jesteś na dobrej drodze!

- Wiesz, nie spieszy mi się. Mamy przed sobą całe życie, a Finghin i tak ma teraz dużo na głowie. Za to ty nie tracisz czasu! - zażartowała aktorka.

Tym razem Alea się roześmiała.

- Ufam swojemu instynktowi. Wy, wędrowni aktorzy, nazywacie to chyba kroczeniem ścieżką Mojry, prawda?

- Doskonała wymówka! - zadrwiła Kaitlin.

- Erwan i ja przeżyliśmy razem tyle niewiarygodnych rzeczy, że mam wrażenie, jakbym go znała od dziesięciu lat.

- Rozumiem.

- Poza tym jego ojciec chyba był nam przychylny...

- Tak jak my wszyscy, Aleo. Jesteście dla siebie stworzeni, to oczywiste! Idealnie do siebie pasujecie.

- Nie wiem, to dla mnie takie nowe. Chociaż odkąd opuściłam swoje miasteczko, wszystko jest dla mnie nowe!

Na tym właśnie polega przyjemność podróżowania: na codziennym o Alea przytaknęła. Lubiła te momenty, kiedy aktorka przychodziła z nią porozmawiać. Przypominało jej to dawną przyjaźń z Aminą. Więż, której jej brakowało. Teraz wiedziała już, że trzeba doceniać każdą taką chwilę. Ze przyjaźń nie musi być dana raz na zawsze.

- A jednak czasem tęsknię za Sarateą - wyznała. - Za jej spokojem, zwyczajami. Za przyzwyczajeniami, których już się wyzbyłam.

- Skoro idziemy do Tarnei, to czy nie będziemy przechodzić niedaleko twego miasteczka?

- Możliwe.

- Możemy się tam zatrzymać - zaproponowała Kaitlin.

- No nie wiem... Trochę mnie to przeraża.
  - To idiotyczne! Przed chwilą powiedziałaś, że tęsknisz za swoim miasteczkiem. Powinnaś je przynajmniej zobaczyć.
  - Czemu nie? Zresztą chętnie zadałabym parę pytań niektórym mieszkańcom. Naprawdę chciałam się dowiedzieć, skąd się tam wzięłam. I jak odnalazł mnie Felim.
  - Oczywiście. Ja w każdym razie jestem bardzo ciekawa miasteczka, w którym dorastałaś.
  - Nie wiem, czy będziemy mieć czas, by się tam udać. Zobaczymy...
- Dziewczęta uśmiechnęły się do siebie i zamilkły, napawając się po prostu przyjemnością jazdy obok siebie. Przed nimi długa droga, więc jeszcze niejedno sobie opowiedzą.

\*

Ceremonia odbyła się ostatecznie przed pałacem królewskim w Providence, u stóp wieży Lorilien, gdzie królowa kazała przesadzić stuletni dąb z Sai-Miny. Od wielu dni czterej Wielcy Druidzi, a także trzydziestu dwóch druidów, ich magistele i liczna służba, wprowadzali się do wysokiej wieży, która od południa zamykała pałacowy park mający kształt trójkąta. Ogrodnicy w wielkim pośpiechu odtwarzali okrągły dziedziniec, pośrodku którego wznosiło się legendarne drzewo. Królewscy rzeźbiarze otoczyli dąb trzynastoma ceremonialnymi tronami z kamienia.

Wewnątrz wieży przygotowano dwanaście wielkich apartamentów, wiele pokoi, dormitoria, a na samym szczycie wielką komnatę, w której mogły się odbywać posiedzenia Rady. Całość nie była jeszcze tak przebogato zdobiona jak wieża Sai-Miny, na razie zadbano o to, co najważniejsze, w przyszłości jednak wybitni artyści mieli nadać budowli splendor, jakiego wymaga jej status. Wszystko było przygotowane, by stworzyć nowy pałac druidów.

Zaproszono wszystkie liczące się osobistości z miasta, wpływowe rodziny, generałów, obecny był cały królewski dwór, a także ambasadorzy Sarre i Bizanii, kilku bardów - choć większość pozostawała wierna Sai-Minie i nie przyjęła zaproszenia - oraz zwykli mieszkańcy królestwa.

Ozdoby zarezerwowane na święto Lugnasad zdobiły teraz pałac oraz specjalnie przygotowane na uroczystość namioty, trybuny, loże, podesty...

Jeszcze nigdy żadna druidzka ceremonia nie była odprawiana przed tak wielką publicznością, ale taki właśnie kierunek królowa pragnęła nadać nowej Radzie: chciała zapewnić jej popularność i prestiż, o jakim dotąd druidzi nie mogli nawet marzyć.

Wszystkie trybuny i rzędy ławek wypełnione były do ostatniego miejsca, tak że mieszkańcy Providence gromadzili się na trawnikach, cisnęli się jeden przy drugim, niecierpliwie czekając na rozpoczęcie widowiska.

Nawet słońce nie chciało przeoczyć takiego wydarzenia i zjawilo się w pełnej krasie. Tuż przed południem, w niezwykle jasnym jak na tę porę roku świetle, oczom zebranych ukazał się orszak druidów.

Czterej Wielcy Druidzi ubrani w swe długie białe płaszcze, z ogolonymi głowami i z laskami w dłoniach, prowadzili królową ubraną w zieloną suknię uzdrowicielki. Ze spiętymi na karku długimi blond włosami wyglądała

jednocześnie olśniewająco i poważnie. Każdy jej krok emanował dostojnością, każdy gest był pełen wyniosłej gracji.

Trzydziestu dwóch druidów trzymało nad nimi zdobioną jemiolą płachtę z białego lnu, przytwierdzoną do końców ich dębowych lasek i okrywającą cały orszak niczym namiot. Procesja szła wolno przez dziedziniec prowadzona zachwyconymi spojrzeniami widowni i zatrzymała się u stóp wielkiego dębu.

Wtedy rozpoczęła się ceremonia. Z trybun ledwie można było usłyszeć słowa druidów, które były głównie rytualnymi szeptami. Ale widać było każdy gest, każdy akt tego niezwykłego przedstawienia.

Na początku odprowadzono królową do małego namiotu, gdzie pozostawiono ją w samotności. Potem u stóp wielkiego dębu ośmiu druidów mianowano Wielkimi Druidami, by nowa Rada miała zwyczajową liczbę dwunastu członków. Otrzymawszy namaszczenie od swych starszych braci, odeszli z nimi na bok i słuchali szeptanych im do ucha sekretów. Bo właśnie w ten sposób przekazywano tradycję.

Następnie wszystkie spojrzenia skierowały się na mały namiot, w którym przebywała królowa. To, co miało nastąpić, było historyczną rewolucją: po raz pierwszy kobieta miała być wyniesiona do godności druida, a co jeszcze bardziej niewiarygodne, miała zająć najwyższe miejsce w Radzie, uzyskać tytuł Arcydruida. Jednak czasy się zmieniły i te rewelacje nie dziwiły już prawie wcale ludu Galacji.

Henon, cały w bieli, z twarzą ukrytą pod rytualnym kapturem, podszedł do wejścia do namiotu i uniósł zakrywającą je zasłonę.

Święte słowa wybrzmiały w niezmaconej ciszy, która zaległa na trybunach, niczym niesione przez wiatr.

- Kim jesteś?

- Uzdrowicielką - odpowiedziała królowa pochylona przed druidem.

Henon położył rękę na ramieniu Aminy. Jego gesty były powolne, jakby niepewne. Trudno było zgadnąć, czy powolność ta miała podkreślać uroczysty charakter rytuału, czy też Wielki Druid z takimi oporami przystępował do inicjacji królowej. Prawdopodobnie i jedno, i drugie.

-Czego chcesz?

-Światła! - odpowiedziała Amina pewnym głosem.

-Czy wzmocniłaś swą duszę w samotności tego miejsca?

-Tak.

-Zatem możesz pójść za mną, uzdrowicielko.

Amina zdjęła sandały i zgodnie z tradycją przeszła boso, prowadzona przez Wielkiego Druida, który trzymał rękę na jej ramieniu, do kamiennego kręgu trzynastu tronów. Kilku bardów uświetniało uroczystość, grając podniosłe melodie na swoich harfach. Henon i Amina stanęli przed dwoma druidami, z których każdy trzymał w dłoniach część złamanego miecza.

Niewielki orszak ruszył dalej przez tłum zaproszonych gości, by zatrzymać się przed wygładzonym kamieniem, na którym położono chleb i sól. Henon zdjął dłoń z ramienia królowej, pochylił się, posypał chleb solą i podał młodej monarchini.

-Uzdrowicielko, ten chleb i ta sól są Ziemią, przez którą umierasz i możesz się narodzić ponownie.

Królowa wzięła chleb i zgodnie ze zwyczajem zjadła połowę, a drugą połowę odłożyła z powrotem na kamień. Procesja udała się w dalszą drogę dookoła kamiennego kręgu, by zatrzymać się po jego północnej stronie, przed kolejnym wygładzonym kamieniem. Henon sięgnął po stojący na nim kubek z wodą i podał go królowej.

-Uzdrowicielko, oto woda, która cię oczyści.

Amina wzięła kubek i zaczęła pić, ale nie wypila do dna, lecz zostawiła połowę i odstawiła naczynie na kamień, sądząc, że należy powtórzyć ten sam gest, który wykonała przy chlebie i soli. Pomiedzy druidami przeszedł cichy szmer, którego królowa zdawała się nie zauważać. Henon ruszył dalej, jak gdyby nic się nie stało. Oczywiście wiedział, że królowa powinna była wypić wodę do dna: był to rytualny znak, że osoba poddawana inicjacji została oczyszczona do końca. Żaden, nawet najmłodszy druid nie popełniłby podobnego błędu. Ale Amina nie spędziła siedmiu lat na poznawaniu symboliki zakonu. Nie mogła nadrobić zaległości w kilka dni. Oczywiście zrobiła wszystko, by poznać, a nawet zrozumieć rytuał swej inicjacji, ale z braku czasu skazana była na błędy i właśnie popełniła pierwszy. Henon uznał jednak, że nie należy jej poprawiać. Z jednej strony bał się rozgniewać królową, z drugiej rytuał oczyszczenia wykonany tylko w połowie rozbawił go. Królowej udało się wymusić na druidach zgodę na przyjęcie jej do zakonu, za co Henon żywił do niej urazę i skryty żal, a ta pomyłka dała mu pewną satysfakcję. Kontynuował rytuał bez słowa, a pozostali druidzi doskonale zrozumieli niemą wiadomość, którą im przekazał. Inicjacja królowej odbywała się wbrew jego woli, nie mógł już nic zrobić, by zapobiec temu świętokradztwu, ale nie zamierzał też jej pomagać. Henon poprowadził królową do ostatniego kamienia leżącego po południowej stronie kręgu. Druid odczepił przytwierdzoną do kamienia pochodnię i wyciągnął ją w stronę Aminy. Uzdrowicielko, oto ogień, który cię oświeci. Królowa ujęła pochodnię w obie dłonie, po czym podążyła za Henonem aż do środka kręgu, idąc po lnianej tkaninie udekorowanej jemiołą, ułożonej teraz na ziemi. Ponieważ Rada nie mianowała jeszcze swego Arcydruida, więc pod majestatycznym dębem zasiadał Tiernan.

- Wielki Druidzie - przemówił Henon, kłaniając się uroczyście - przedstawiam ci Aminę, uzdrowicielkę, którą uznaliśmy za godną bycia druidem.

Tiernan skinął głową, po czym wstał i zapytał:

- Zgoda?

Druidzi i Wielcy Druidzi odpowiedzieli chórem:

- Zgoda!

- A zatem - podjął Tiernan - ponieważ panuje zgoda, możemy kontynuować.

Henon odszedł, pozostawiając królową samą na lnianej tkaninie przed Tiernanem. Wszystkie spojrzenia były skierowane na nią, zarówno zgromadzonych wokół druidów, jak i widzów cisnących się na trybunach i trawnikach.

- W imię Mojry pytamy cię, uzdrowicielko Amino, czy wyniesiona do uświęconej godności druida będziesz korzystała z jego mocy jedynie w służbie tego, co jest prawdziwym Dobrem?

Królowa nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Z całego serca będę się starała tak czynić - odpowiedziała pewnie.

Tiernan kontynuował:

- Czy obiecujesz, że z pomocą Mojry będziesz pamiętał, iż...

Tiernan zdał sobie sprawę ze swej pomyłki. Do tej pory wszystkie rytuały druidów dotyczyły wyłącznie mężczyzn. Poprawił się natychmiast, rzucając Henonowi zawstydzone spojrzenie.

- ... będziesz pamiętała, iż sprawując funkcję, do jakiej zostałaś powołana, zobowiązujesz się dawać przykład dobrego życia wszystkim tym, którzy zostaną ci powierzeni w opiekę?

- Obiecuję - odpowiedziała królowa, marszcząc brwi.

- Czy obiecujesz przechować troskliwie niczym uświęcony depozyt moc, jaka będzie ci powierzona?

- Obiecuję - odpowiedziała królowa, a jej oczy zalśniły nowym blaskiem.

- Czy obiecujesz trwać w nieustannej gotowości, by służyć wszystkim ludziom, o ile będziesz w stanie?

- Obiecuję.

- Niech nasi przodkowie mają cię w opiece, droga siostró, i niech cię umacniają w sprawowaniu tej godności.

Królowa stała przez chwilę nieruchomo. Wolno odwróciła głowę i spojrzała na Henona, który stał po jej lewicy. Przyglądał się jej. Lecz to ona wygrała. W końcu dostała to, czego zakon zawsze jej odmawiał, to, co zawsze było niedostępne dla kobiet. Dlatego jej twarz promieniała dumą.

Następnie, ponieważ wszyscy zebrani niecierpliwie czekali właśnie na ten moment, ukłękła.

- Teraz będziesz mogła z całą odpowiedzialnością nauczać tego, co uznasz za dobre, tych, których uznasz za godnych otrzymania twych nauk. Odpowiedzialność za rozpowszechnianie tych nauk spoczywa na tobie: jesteś zwolniona z zachowywania tajemnicy.

Tiernan podszedł bliżej i uniół ręce nad pochyloną głowę królowej.

- Ja, Haldir Mornac, syn Naidu, zwany bardem Stanem, zwany druidem Tiernanem, Wielki Druid świętego kręgu Lorilien, podnoszę przed Gaelijczykami Jej Łagodność Aminę do godności druida. Na znak tego, ponieważ jej nauczyciele mówią, że jest kobietą sprawiedliwą, będzie zwana druidką Aislinn przez swych braci oraz przez wszystkich ludzi. Niech Mojra cię chroni, Aislinn!

Wszyscy zaczęli klaskać i wiwatować na cześć królowej, która uzyskała nową godność. Wtedy Tiernan położył ręce na jej czole i Saiman powoli przeniknął do jej umysłu.

Lecz wówczas na oczach tłumu królowa padła na ziemię i straciła przytomność, jakby otrzymała jakieś niewidzialne uderzenie. Tiernan pomógł jej wstać i dość do siebie, po czym podał jej biały płaszcz i dębową łaskę.



- Jesteś druidką, Aislinn. To należy do ciebie.

Odzyskawszy świadomość, Amina przyjęła dary. Jej dłonie drżały, ale oczy błyszczały pewnością siebie. Wygrała. A był to dopiero początek.

Za chwilę druidzi, ci, którzy tak długo ją odrzucali, zaofiarują jej godność Arcydruida. Jej, Aminie Salii, dziewczynie z Saratei.

Nie ma już dla niej rzeczy niemożliwych.

\*

Imała, Taibron i Tamaran podkradali się do nieostrożnego młodego wilka. Szum wiatru zagłuszał szmer ich kroków. Biała wilczyca oddaliła się od dwóch samców i skręciła na zachód, aby przeciąć wrogowi drogę, gdyby próbował uciekać w stronę wzgórza, tam gdzie jakiś czas temu przeszła jego wataha.

Młody wilk szybko wyczuł niebezpieczeństwo, ale nie widział swoich wrogów. Zamiast uciekać, wyprostował się i zaczął bacznie obserwować okolice, by odkryć, skąd nadchodzi niebezpieczeństwo. Usłyszał jakiś hałas i wyczuł zapach trzech obcych wilków, ale jak dotąd niczego nie dostrzegł. Zaskowyczał niepewnie i zaczął się wycofywać. Niestety stał tyłem do zbocza góry i jego położenie było bardzo trudne. Został sam na terytorium wroga, a jego stado odeszło już z pewnością zbyt daleko, by przyjść mu z pomocą.

Nagle zza zarośli wyłonił się Taibron i rzucił się w stronę młodego wilka, a za nim podążył Tamaran. Przerażony młody wilk uskoczył w bok w ostatniej chwili, po czym nie odwracając się, zaczął się cofać, aby oddalić się od atakujących. W tym momencie pojawiła się Imała i wilk nie zdążył zareagować. Kiedy zauważył spadającą na niego białą wilczycę, było już za późno. Imała schwyciła go za gardło i powaliła z łatwością, była bowiem dużo cięższa od swego przeciwnika. Jednak młody wilk przewrócił się na bok i udało mu się wyrwać z kłów białej wilczycy.

Taibron i Tamaran natychmiast ponowili atak i warcząc zajadle, skoczyli w kierunku młodego wilka, który znów znalazł się na ziemi i tym razem nie zdołał strząsnąć z siebie dwóch napastników. Natychmiast dołączyła do nich Imała. Atakujące wilki nie okazały żadnej litości i błyskawicznie zagryzły swą ofiarę. Młody wilk zawył jeszcze przeraźliwie, po czym zdechł z rozszarpanym gardłem.

Zaalarmowane odgłosami walki stado młodego wilka zawróciło. Ale kiedy znalazło truchło swojego brata, wataha Taibrona zdążyła się przegrupować i tym razem Imała i jej klan nie zamierzali już być tak pobłażliwi jak ostatnio. Wzmocnieni zwycięstwem, podnieceni przelaną krwią, byli gotowi do walki i obca sfora musiał to wyczuć, bo tym razem nie ośmieliła się przekroczyć granicy ich terytorium.

Dwa stada wymieniły tylko wrogie warknięcia, po czym intruzi wycofali się, pozostawiając trupa swego pobratymca.

Taibron zawył głośno, a wraz z nim reszta stada, po czym wataha powróciła do swojej doliny z wysoko podniesionymi łbami.

Młoda sfora wyszła zwycięsko z pierwszej poważnej próby. Odtąd inne wilki nie będą już tak łatwo wkraczały na jej terytorium. Jednak przyszłość szykowała dla braci Imali inne niespodzianki.

\*

Po raz pierwszy, odkąd wyruszyli w drogę, wszyscy towarzysze Alei zebrali się na naradę po wieczornym posiłku. Alea nalegała, by każdy jak najszybciej uporał się ze swymi obowiązkami i przyszedł na naradę.

Wszystkich zasiadający za wielkim stołem, poza Tagorem, którego nikt nie zdążył jeszcze naprawdę poznać, łączyła głęboka przyjaźń, niewytłumaczalne ciepło, niezwykle mocna energia, której nic nie mogło stłumić. Zarówno w żartach i docinkach, jak i w czułości była intymność wynikająca ze wspólnoty trudnych przeżyć. Zagrożenia, choć liczne, zdawały się teraz odległe i myśleli o nich mniej niż kiedyś. Dobry humor i optymizm królowały pośród młodych przyjaciół.

Jednak pod koniec posiłku Alea zabrała głos i nie było już miejsca na żarty i zabawę.

- Musimy znaleźć sposób, by jak najszybciej dostać się do Tarnei. Tymczasem jeśli nadal będziemy szli tak jak teraz, omijając góry, będziemy zmuszeni przejść bardzo blisko Providence, czego za wszelką cenę chcę uniknąć.

- Chyba nie chcesz prowadzić tych wszystkich ludzi w góry? - zaniepokoił się Erwan.

- Mam nadzieję, że znajdziemy inny sposób, ale jeśli będzie trzeba, to wolę góry niż przejście przez Providence.

- Dlaczego? - zdziwił się Mjolln.

- Ponieważ chcę dotrzeć do hrabstwa Sarre, zanim spotkam Aminę. Zanim spotkam kogokolwiek.

- Sądzę, że chrześcijanie z Harcourt myślą tak samo jak ty - wtrącił Finghin.

- Moim zdaniem istnieje duże prawdopodobieństwo, że oni także wyruszyli już w drogę do Sarre.

- Właśnie dlatego musimy jak najszybciej dotrzeć do Tarnei - odparła Alea.

- No pięknie! Zaczyna się! - wykrzyknął Mjolln. - Znów będziemy gnali, jakby gonił nas sam diabeł!

- Jeśli nie możemy iść na wschód ani przeprowić się przez góry, to naprawdę nie wiem, którędy mamy się tam dostać - rzekł Erwan. - Przecież nie zawrócimy, by obejść góry od południowego zachodu... Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej.

- Rzeczywiście, byłaby to bezsensowna strata czasu - przyznała Alea.

- Hem. Nie wydaje mi się, byśmy zyskali na czasie, idąc przez góry, co to, to nie - dodał Mjolln. - Byłem tam, wysoko, i dobrze wiem, oj wiem, jak długo trzeba się wspinać, jak tam zimno i głodno, hem. Oj, nie mam samych dobrych wspomnień.

Alea położyła dłoń na ramieniu przyjaciela. Przypomniała sobie, że kiedyś opowiadał jej tę historię. Dowodziła ona, że krasnolud był o wiele odważniejszy, niżby wynikało z jego słów.

- Tuathannowie z łatwością przejdą przez góry - rzekł Tagor.

- Nie wątpię, drogi bracie. Ale jesteśmy zbyt liczni, a nie wszyscy tu są równie wytrzymali jak twoi ludzie.

Kaitlin podniosła rękę, by zwrócić na siebie uwagę zebranych.

- My, dzieci Mojry, opowiadamy często, że nasi przodkowie przechodzili pod górami Gor-Draka. Przez jaskinie smoków.

Wszystkie spojrzenia spoczęły na aktorce.

- No co, nie patrzcie tak na mnie! Przypominam, że wszystkie smoki wyginęły dawno temu...

- Wcale nie tak dawno - wtrącił Finghin. - To ojciec Erwana zabił ostatniego z nich.

- Naprawdę?

- To teraz nieważne - rzekł Erwan, choć nosił przypięty do pasa miecz Banthral, który jego ojciec wyjął z ogona ostatniego smoka. - Kaitlin, czy sądzisz, że te jaskinie naprawdę istnieją, czy to tylko legenda?

Kaitlin wzruszyła ramionami.

- Nie - wtrącił Mjolln - nie, nie, to nie legenda, hem. Tak, tak, ja też słyszałem te opowieści. Ale ostrzegam was, mowy nie ma, byście mnie tam zaciągnęli, co to, to nie!

Alea odwróciła się do Finghina i zapytała z uśmiechem:

- Co o tym sądzisz, druidzie?

- To samo co ty - wyznał.

- Ach tak? A co ja sądzę?

- Jeśli te jaskinie istnieją i jeśli rzeczywiście można nimi przejść z jednej strony gór na drugą, moglibyśmy zyskać wiele cennego czasu.

Mjolln jęknął rozpaczliwie. Lecz przyjaciele nie zwrócili na niego uwagi.

- Nawet jeśli te jaskinie rzeczywiście istnieją, nie wiemy, czy wciąż da się przez nie przejść - studziła ich zapal Kaitlin.

- No właśnie! I pewnie roi się tam od różnych ohydnych potworów! - dodał Mjolln. - Hem. Ostatnim razem, gdy wciągnęliście mnie pod ziemię, to o mało życia nie straciłem, pamiętacie... O nie, nie, nie upadłem jeszcze na głowę, moja noga nie postanie w żadnych podziemnych jaskiniach, wracam do swoich dolinek, jeśli tak dalej pójdzie!

- Erwanie? - zapytała Alea, jakby nie słyszała narzekań krasnoluda.

- Wydaje mi się, że szanse zyskania na czasie są niewielkie, za to ryzyko bardzo duże...

- Mógłbym wysłać zwiadowców z mego ludu - zaproponował Tagor. - Przywykliśmy do przebywania pod ziemią, przejdziemy tamtędy o wiele szybciej.

- Tak, o wiele szybciej - przyznała Alea - ale i tak niewystarczająco szybko, bo aby się upewnić, że warto podjąć ryzyko, musimy sprawdzić, czy jaskinie wychodzą z drugiej strony gór, więc twoi zwiadowcy musieliby przejść całą trasę i wrócić do nas.

Tuathann przytaknął, a Alea westchnęła. Czy znowu będzie musiała zdecydować za wszystkich? Narzucić im swoją wolę?

- Być może istnieje inny sposób - powiedział Finghin.

\*

Zdecydowano, że w dniu uroczystego przejścia Merianda Mora Pięknego, hrabiego Ziemi Brunatnej, na wiarę chrześcijańską, Aeditus poświęci także kamień węgielny pod budowę katedry, którą zamierzano wznieść w samym sercu Mericourt. Kamień przywieziono z Rii, wyjęto go z dziedzińca przed jej najstarszym kościołem, aby w ten sposób zaznaczyć duchową łączność między tymi dwoma świętymi miejscami.

Po odparciu Tuathannów Ziemia Brunatna odzyskała nadzieję, a hrabia Mor, jak słusznie przewidział APRoeg, został powitany w swym kraju jak bohater. W każdej wiosce i w każdym miasteczku, przez które przejeżdżał, wiwatowano na jego cześć i nikomu nie przeszkadzał widok jadącego u jego boku biskupa Harcourt z jego chrześcijańskimi symbolami i towarzyszącymi mu licznymi księżmi. Ten jedyny Bóg okazał się o wiele łaskawszy dla mieszkańców Ziemi Brunatnej niż Mojra i zaczął przenikać w ich życie i zwyczaje, nim władca cokolwiek im narzucił.

Tak więc w dzień uroczystego chrztu większość mieszkańców Mericourt stawiła się w miejscu, które hrabia wybrał pod budowę pierwszej katedry. Ceremonia rozpoczęła się o zmierzchu. Na środku przysłego placu budowy stali liczni księża z Harcourt, którzy przez najbliższe miesiące mieli ewangelizować Ziemię Brunatną, bliscy hrabiego, kilku rycerzy, którzy okryli się chwałą w czasie ostatnich walk, i architekt mający kierować budową katedry

Na miejscu, w którym miał stanąć ołtarz, wykopano zbiornik służący za chrzcielnicę, dookoła ustawiono zapalone świece, w powietrzu unosiła się woń kadzidła.

Aeditus ubrany w różowy ornat, z mitrą biskupią na głowie, przemówił do zebranych mocnym, donośnym głosem.

- Bądźcie pozdrowieni, bracia i siostry. Kościół z radością wita was oraz tego, który poprosił o chrzest, by otrzymać ten znak łaski Pańskiej i zostać włączony do świętego Kościoła Jezusa Chrystusa. Zanim zaczniemy go szukać, Bóg jest już przy nas; zanim mu odpowiemy, on już zwraca się do nas po imieniu. Chrzest jest znakiem tego Boga, który wychodzi nam na spotkanie.

Aeditus popatrzył na wielkie zgromadzenie. Czuł wagę tej chwili. Być może cały lud nawróci się razem z hrabią. W spojrzeniach zebranych szukał oznak chęci przyjęcia nowej wiary. Ale na razie była w nich tylko ciekawość i niecierpliwe oczekiwanie na pojawienie się Merianda Mora Pięknego.

Zbyt długo nasz lud był oszukiwany. Czekaliśmy, niczym ślepcy, na Mojrę, która nie chciała przyjść. Czy zjawiła się, kiedy wróg stanął u naszych bram? Jaki znak nam dała, gdy trwaliśmy w niepewności i zwątpieniu? Tymczasem nasz Bóg przychodzi do nas za każdym razem, gdy jesteśmy w rozpacz, przychodzi do każdego z nas, dlatego trzeba nieść dalej jego przesłanie. Wsłuchajmy się w słowa Pisma Świętego przypominające nam sens chrztu, w którym będziemy dziś uczestniczyć: „Wtedy Jezus podszedł do nich i przemówił tymi słowami: »Dana Mi jest wszelka władza w niebie i na ziemi. Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody, udzielając im chrztu w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Uczcie je zachowywać wszystko, co wam przykazałem. A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata«". Tak więc chrzest jest znakiem wejścia w przymierze, jakie Bóg zawarł ze swym ludem. Tak jak Bóg Ojciec powiedział do Jezusa: „Ty jesteś mój syn umiłowany, w Tobie mam upodobanie", tak dziś obwieszcza waszemu

hrabiemu: „Jesteś moim dzieckiem, przygarniam cię, choć jeszcze o tym nie wiesz, znam cię po imieniu, kocham cię nieprzemijającą miłością”.

Aeditus wyciągnął rękę do hrabiego. Meriand szedł długą aleją, przy której tłoczyli się mieszkańcy Mericourt. Nad trasą jego przejścia zawieszono kolorowy baldachim. Szedł wolno ku biskupowi Aeditusowi, który czekał na niego przy chrzcielnicy. Meriand stanął przed nim, uklęknął na jedno kolano i skłonił się.

Wtedy Aeditus rzekł:

- Skłoń czoło, Meriandzie Morze Piękny, złóż w pokorze swe klejnoty. Spal to, coś wielbił, uwielbiaj to, coś spalił.

Hrabia zdjął biżuterię i ubranie. Wtedy, położywszy dłoń na jego ramieniu, Aeditus poprowadził go do chrzcielnicy. Meriand wszedł do niej i zanurzył się aż po pas. Aeditus, który mu towarzyszył, nabrał wody w dłonie i oblał nią czoło hrabiego.

- Niech cię Pan błogosławi i strzeże. Niech ci towarzyszy co dzień na ścieżkach twego żywota i niech cię oświeci swą światłością i miłością.

Meriand zamknął oczy, kiedy po jego twarzy spływały krople wody. Był szczerze wzruszony i naprawdę dał się porwać pięknu ceremonii, która wydała mu się tak czysta.

Kiedy wyszli z wody, Aeditus zobaczył w twarzach zgromadzonych dookoła kobiet i mężczyzn, że odniósł zwycięstwo. Przesłanie Bożej miłości trafiło do mieszkańców Ziemi Brunatnej. Ci, którzy czuli się opuszczeni przez Mojrę, odnajdywali nową nadzieję, Boga wyciągającego do nich rękę.

Tłum wiwatował na cześć hrabiego, a Aeditus zrobił nad nim znak krzyża. Nie było armii silniejszej niż ta, która mogła się narodzić z nowo nawróconych. Tak jak w imię Boże poprowadził do walki lud Harcourt, tak też pociągnie za sobą Ziemię Brunatną.

A pewnego dnia całą Gaelię.

Gdy wieczorem do małej oberży na południu Galacji wszedł myśliwy, wszyscy biesiadnicy zamilkli i wlepili w niego zdumione spojrzenia, ze zdziwienia rozdziawiając usta. Mało że miał ślady krwi na twarzy i ubraniu, cały jego wygląd był dziwny. Od stóp do głów ubrany był w skórę, na plecach miał zawieszony duży drewniany łuk i kołczan pełen strzał, a przy pasie wielki wór z ciemnego płótna. Jego twarz ocieniał szeroki zielony kaptur. Lecz to nie jego twarz ani strój były najbardziej zadziwiające. Nie, gości tej małej oberży najbardziej zdumiało coś zupełnie innego. Nieznajomy ugiął się pod ciężarem cielska ogromnego szarego wilka.

Brudne, poplamione krwią futro lepiło się do skórzanej kurtki wędrowca. Grube łapy zwisały bezwładnie wzdłuż jego piersi, a na końcu skreślonej szyi zwierzęcia kołysała się wielka głowa.

Oberżysta, kiedy już otrząsnął się z zaskoczenia, skierował się ku nieznanemu, marszcząc groźnie brwi.

- Ej, ty, zostaw to rta zewnątrz, bo wszystko mi tu zapaskudzisz!

Kiedy oberżysta podszedł bliżej, zdał sobie sprawę, że myśliwy jest jeszcze większy, niż mu się wydawało. Zatrzymał się kilka kroków od olbrzyma, zastanawiając się, czy powinien był zwracać się do niego w ten sposób.

Nieznajomy parsknął głośno, powiódł wzrokiem po gościach oberży, po czym zrobił dwa kroki do tyłu. Pchnął biodrem drzwi, wystawił jedną nogę na zewnątrz, pochylił się lekko i zrzucił zwierzę przy wejściu.

Zakrwawione ciało uderzyło o piaszczystą ziemię z głuchym odgłosem, jak wielki wór ziemniaków. Myśliwy wszedł z powrotem do oberży i usiadł sam przy pustym stole.

Oberżysta głośno przełknął ślinę, po czym podszedł obsłużyć dziwnego klienta.

- Dziękuję. Podać coś do picia?

Wciąż nie udało mu się zobaczyć twarzy nieznajomego, skrytej w cieniu szerokiego kaptura.

- Podaj mi twoje najlepsze wino - powiedział w końcu myśliwy, kładąc rękę na stole.

Inni goście zaczęli powoli wracać do przerwanych rozmów, przyzwyczajony do obecności tej szczególnej postaci. Był tam też jednak młody galatyjski wieśniak, którego za bardzo męczyła ciekawość, by mógł spokojnie wrócić do swoich spraw. Podniósł się i skierował w stronę nieznajomego odprowadzany zaniepokojonymi spojrzeniami innych chłopów.

- Czy mogę się przysiąść? - zapytał, wskazując puste krzesło naprzeciwko.

Myśliwy wolno podniósł głowę. W promieniu światła ukazały się w końcu jego oczy. Kasztanowe jak skóra, z której uszyto jego ubranie. Po czym szybko zniknęły w cieniu kaptura.

- Proszę.

Jego głos był gruby i zachrypnięty, ale mówił jak człowiek z wyższej kasty, druid albo galatyjski szlachcic.

Chłopak usiadł naprzeciwko i postawił na stole swój kubek wina. Wypił łyk i mlasnął. Starał się wyglądać na rozluźnionego, chociaż tak naprawdę myśliwy robił na nim wielkie wrażenie.

- To wilk? - zapytał w końcu chłopak, wskazując podbródkiem drzwi oberży.

- Mhm - potwierdził nieznajomy.

- Polujesz na wilki?

-Tak.

- Po co? Zjadasz je?

Myśliwy pokręcił głową.

- Dla nagrody - wyjaśnił.

- Jakiej nagrody?

Nieznajomy westchnął.

- Nagrody - powtórzył. - Nie słyszałeś o wielkich łowach?

- Nie - przyznał chłopak.

Myśliwy przetarł twarz. Jego ręce były ubłocone i umazane krwią, cuchnął i głośno oddychał. A jednak w jego zachowaniu było coś szlachetnego. Wziął do ręki kubek, który podał mu wracający z kuchni oberżysta, patrząc na niego spoje łba. Upił łyk i odstawił naczynie na stół.

- Liczni możni panowie z Galacji, a nawet z Ziemi Brunatnej, ogłosili wielkie łowy, jak te, które odbywały się na tych ziemiach jeszcze w czasach Brytów.

- Na czym to polega?

- Moźni organizują polowania i dają jedną złotą monetę za wilcze szczenię, dwie za wilczycę i cztery za dorosłego samca. Mówi się, że tej zimy będzie można dostać pięć złotych monet za ciężarną wilczycę.

- Ale dlaczego ci panowie płacą za wilki?

- Jak to dlaczego? Wilki to okrutne, drapieżne bestie. Największy wróg człowieka i innych zwierząt.

- Wystarczy zostawiać stada pod ochroną psów. My tu tak robimy i wilki nigdy nie atakują naszych zwierząt...

- Bo nie są jeszcze zbyt liczne w waszej okolicy. Ale jeśli się rozmnożą i zabraknie im pożywienia w lasach, zaczną podchodzić pod wasze wioski i miasta. Wilczyca może wydać na świat nawet trzynaście młodych. Wkrótce będzie ich mnóstwo, a są tak krwiożercze, że spustoszą cały kraj.

- Tak krwiożercze?

- Tak. Podobno atakują już nawet ludzi, zwłaszcza dzieci, bo lubią delikatne mięso. A ponieważ żywią się ropuchami, ich ugryzienie jest jadowite.

- Naprawdę? I to dlatego na nie polujesz?

- Nie - powiedział nieznajomy z uśmiechem. - Gwiżdżę na to. Jedyne, co mnie interesuje, to złote monety.

Chłopak pokiwał głową. Już nie wydawało mu się to takie dziwne. Czasy były ciężkie. On też nie pogardziłby jedną czy dwoma złotymi monetami.

- A jak na nie polujesz? - zapytał, coraz bardziej zainteresowany.

- Nie słyszałeś nigdy barda Gacea de la Vigne?

-Nie.

- Szkoda, bo często bywa w waszej okolicy i w swoich poematach opowiada o polowaniach. Powinieneś go posłuchać. Nikt tak pięknie nie opowiada o polowaniach na wilki. O obławach w grupie, z nagonką, ale także o samotnych łowach i myśliwych takich jak ja.

- A więc jak to robisz?

- Jesteś wyjątkowo ciekawski!

- No bo... też chciałbym zarobić parę złotych monet...

- Widzę. Ponieważ jestem sam, muszę zastawiać pułapki i czasem siedzę na czatach przez wiele dni. Nigdy nie polowałeś?

-Nie.

- Więc może to być dla ciebie trudne. Lecz jeśli wytrwasz, możesz się wciągnąć. Wiesz, nie znam nic bardziej pasjonującego - szepnął nieznajomy, puszczając do chłopaka oko.

Młody wieśniak podrapał się po głowie. Zerknął na swych przyjaciół siedzących przy sąsiednim stole, po czym zwrócił się do nieznajomego, zniżając głos:

- Mógłbyś mi pokazać?

Zobaczył uśmiech nieznajomego w cieniu kaptura.

- Poluję samotnie.

- Ale mógłbym ci się przydać - nalegał chłopak. - Dobrze znam okolicę.

Nieznajomy położył ręce na stole i długą chwilę siedział nieruchomo. Nie było widać jego oczu, lecz z całą pewnością przyglądał się rozmówcy. W końcu zdecydował:

- Zgoda. Ale tylko jutro. Później będziesz musiał radzić sobie sam. I nie licz na to, że podzielę się z tobą nagrodą, jeśli złapiemy wilka.

- Nie, oczywiście! Jak cię zwa? - zapytał chłopak.

- Wołają na mnie Wagabunda.

- Finghinie, spotkałam druida Kiarana w świecie Djar. Przekazał mi smutne wieści z Sai-Miny.

Noc już dawno zapadła i obozowisko oświetlały jedynie tańczące płomienie wielkiego ogniska. Młody druid, który wraz z Aleą oddalił się od namiotów, zmarszczył brwi.

- Rada się podzieliła - ciągnęła Alea. - Wasi czterej bracia opuścili Sai-Minę, by przyłączyć się do Aminy w Providence.

Finghin westchnął ciężko.

- Ernan i tak długo wytrzymał - szepnął. - Jestem pewien, że on wiedział. Jeśli nakłaniał mnie do wyjazdu, to dlatego że wiedział, tak samo jak przed nim Ailin, że Rada się nie utrzyma i cała nie będzie mogła cię wspierać.

- Przykro mi.

- Nie martw się, Aleo.

Wielki Druid wcale na nią nie patrzył. Wbił wzrok w ziemię i zastanawiał się, analizował sytuację, starając się ocenić zagrożenie. Musiał myśleć jak druid. Przypomnieć sobie nauczanie braci, by dogłębnie zrozumieć wydarzenia, ich przyczyny i liczne potencjalne konsekwencje.

- Choć wygląda to bardzo dramatycznie - ciągnął - ostatecznie może się to okazać doskonałą sposobnością dla Ernana. Pozbywając się najbardziej opornych, będzie mógł w końcu przekonać Radę, że powinna cię wspierać.

- Byłabym zaszczycona - powiedziała Alea i była to szczerza prawda.

- Miło mi. Ja nazywam się Agerik.

Uścisnęli sobie dłonie nad stołem. Znak przyjaźni, który był raczej nie w smak pozostałym gościom oberży. Ale Agerik postanowił się tym nie przejmować. Miał przed oczami tylko jedno: złote monety, które mógł zdobyć.

Nazajutrz mężczyźni wyruszyli na łowy.

- Najbardziej martwi mnie to, co zrobi Amina z druidami, którzy do niej przystali.

- Też chciałabym to wiedzieć. Boję się ponownego spotkania z Aminą. Zachowałam o niej tak dobre wspomnienia. Jednak wszystko wskazuje na to, że bardzo się zmieniła. I to w sposób, który raczej mi się nie spodoba. Zobaczmy...

- Tak. Ale najpierw musimy pomyśleć o tym, co tu i teraz. Góry. Powiedziałem wam niedawno, że być może istnieje sposób... Pamiętasz, jak użyliśmy Saimana, by zbadać podziemny korytarz w Rii? - zapytał Finghin.

- Oczywiście. Widziałam też, jak to robił Felim - odpowiedziała dziewczyna z uśmiechem.

- Czy sądzisz, że we dwoje dalibyśmy radę zebrać wystarczająco dużo Saimana, by zbadać jaskinie pod górami Gor-Draka bez konieczności wchodzenia do nich?

- Domyśliłam się, że właśnie o tym myślałeś, i od tego czasu ciągle się nad tym zastanawiam. Ale szczerze mówiąc, trudno cokolwiek powiedzieć. Przede wszystkim nie wiemy nawet, czy te jaskinie rzeczywiście istnieją, a jeśli tak, jaka jest ich długość, któredyś będą...

Finghin skrzywił się.

- Tak, tak, wiem. Ale nie przekonamy się, dopóki nie spróbujemy.

- Oczywiście - przyznała Alea. - A gdyby się nam udało przez nie przejść, naprawdę zaoszczędzilibyśmy wiele cennego czasu. Problem, Finghinie, polega



na tym, że nie wiemy też, gdzie znajduje się wejście do tych jaskiń, jeśli naprawdę gdzieś jest.

- Coś mi mówi, że nasz przyjaciel Mjolln wie co nieco na ten temat, ale nie chce nam nic powiedzieć, bo za bardzo się boi, że wciągniemy go tam z sobą.

Alea przytaknęła.

- Nie mamy prawa go do tego zmuszać. Ale możemy mu zaproponować, by poszedł normalną drogą i dołączył do nas później.

- By poszedł całkiem sam? Nigdy się nie zgodzi! - odparł druid.

- Właśnie na to liczę.

Finghin wybuchnął śmiechem.

- Rozumiem. Chodźmy więc z nim porozmawiać - zaproponował.

Zawrócili do obozu i stracili sporo czasu na poszukiwania krasnoluda, który domyślając się, że będą chcieli go przekonać, ukrył się w jednym z namiotów Rycerzy Ziemi i udawał, że twardo śpi.

- Panie Abbac - szepnął Finghin, pochylając się nad nim - chcielibyśmy z panem porozmawiać.

Krasnolud przewrócił się na brzuch z głośnym chrapnięciem.

- Panie Abbac - nie dawał za wygraną Finghin.

- Nie! - odpowiedział Mjolln. - Hem. Pan Abbac nie rozmawia z druidami, Samildanachami i innymi szarlatanami waszego pokroju. Ot co. Dajcie krasnoludowi spać!

Finghin odwrócił się do Alei i wzruszył ramionami.

- Po co włąziłeś na tę górę, skoro dziś masz mniej odwagi niż czternastoletnia dziewczyna? - zapytała prowokacyjnie.

- Czternastoletnia dziewczyna, która uważa się za zbawcę świata? - odparował.

- Mjollnie, powiedz nam tylko, czy wiesz, gdzie znajduje się wejście do tych jaskiń. Później, jeśli nie będziesz miał ochoty tam wchodzić, możesz obejść góry normalną drogą i dołączyć do nas w Tarnei nieco później. Ja muszę się tam dostać jak najszybciej.

- Pięknie! - zagrzmiał krasnolud. - Wiedziałem, że tak będzie! Szantaż! Hem. Naprawdę, jesteś najbardziej podstępna ze wszystkich dobrych kobiet na tej wyspie! Ot co. Żadna krasnoludka nie była w stanie tak wyprowadzić mnie z równowagi!

- Żadna też nie była w stanie dostarczyć ci tyłu przygód... Myślałam, że to właśnie kochasz, przygody.

- Ale nie w podziemiach! Nienawidzę ich, dobrze o tym wiesz!

- No to dołączysz do nas później, w Tarnei, ale powiedz nam przynajmniej, gdzie znajduje się wejście - nalegała Alea, szturchając przyjaciela, który skulił się pod derką.

Nagle krasnolud się odwrócił i skoczył na równe nogi, z wściekłością zrzucając z siebie przykrycie. Jego krzaczaste brwi były tak zmarszczone, że niemal łączyły się z sobą. Z błyszczącymi oczami i zmarszczonym nosem wyglądał jak rozjuszony byk. Kopnął swój siennik i potraćwszy Aleę, wyszedł z namiotu, złorzeczając pod nosem.

Finghin rzucił Alei zdumione spojrzenie.

- No to jak!? - krzyknął krasnolud, widząc, że Alea za nim nie idzie. - Chcesz zobaczyć to wejście czy nie?

Dziewczyna pokręciła głową i wyszła za nim z namiotu. Ciągle mruczając pod nosem, ruszył przed siebie i przeszedł przez obóz jak huragan, nie zatrzymując

się ani na chwilę i nie patrząc na nielicznych mijanych rycerzy, którzy nie udali się jeszcze na spoczynek. Alea nigdy dotąd nie widziała, żeby tak szybko przebierał nogami. Uspokoila gestem Erwana, który zaalarmowany hałasem wybiegł z namiotu. Magistel od razu zrozumiał, że to tylko scena odgrywana przez humorzastego krasnoluda, i spokojnie wrócił do siebie.

Finghin wahał się przez chwilę, po czym dogonił Aleę. Szedł tuż za nią i nie odzywał się ani słowem. Jednak dąsy krasnoluda były tak dziecinne, że z trudem powstrzymywał wybuch śmiechu. Nie chciał go jednak jeszcze bardziej zdenerwować, więc zdecydował, że najlepiej będzie milczeć. Najwidoczniej Alea, która dobrze знаła krasnoluda, doszła do tego samego wniosku i podążała za Mjollnem, nie zadając pytań.

Mimo ciemności nocy Mjolln odnajdywał drogę z niezwykłą łatwością. Odgarniając krzaki i gałęzie kopniakami, ze złością torował sobie drogę, nie odwracając się ani razu.

Maszerowali już dosyć długo, w końcu Alea nie wytrzymała i odezwała się:

- Mjollnie, byłoby jednak łatwiej, gdybyśmy szli razem... Będziesz się dąsał przez całą drogę?

Ale krasnolud nie odpowiedział. Syknął tylko ze złością i z wysoko podniesioną głową dalej przedzierał się przez zarośla.

Alea zaczęła już marznąć, kiedy nagle krasnolud się zatrzymał. Staneła, za chwilę dołączył do nich Finghin.

- Proszę bardzo, uparciuchu. Masz tu swoją jaskinię! - wykrzyknął Mjolln, wskazując ogromną czeluść wyłaniającą się spod skał.

Alea podeszła bliżej i ze zdziwieniem odkryła wejście. Tak blisko! A Mjolln przez cały czas wiedział, że tu jest. Czy kiedykolwiek powiedziałby im o tym, gdyby go nie zapytali?

- Dziękuję, dudziarzu - powiedziała, zaglądając do jaskini.

- Dudziarzu, dudziarzu! - powtórzył Mjolln ze złością. - Gdybym nie łaził za tobą wszędzie jak wierny pies, już dawno byłbym bardem!

- A czy wiesz, Mjollnie, kto jest uprawniony do mianowania bardów? - wtrącił się Finghin, podchodząc do krasnoluda.

Ten zawahał się przez chwilę, podniósł głowę i odpowiedział:

- Ci przekłeci druidzi!

- Właśnie - odparł Finghin. - I wiesz także, że ja jestem przeklętym druidem?

- No i co z tego?

- A to, że mógłbym mianować cię bardem.

Mjolln zmarszczył brwi.

- I chcesz mi powiedzieć, że aby to się stało, muszę tam z wami wejść, tak?

- Może mi być trudno przekazać ci sekrety bardów, jeśli cię z nami nie będzie.

Mjolln westchnął.

- I nie zapominaj też, że wartość barda mierzy się liczbą historii, jakie ma do opowiedzenia. A nie znam ani jednego barda, który mógłby opowiedzieć, że przeszedł przez jaskinię smoków!

Krasnolud skrzywił się. Patrzył to na druida, to na Aleę. Wiedział, że dał się złapać w pułapkę. Ale zaczynało mu się to podobać...

- To rzeczywiście byłaby piękna historia - rzekł, krzyżując ramiona.

- W każdym razie nie powinniśmy się zbyt podniecać - wtrąciła Alea. - Nawet nie wiemy, czy naprawdę da się przejść przez te jaskinie.

- A więc nie czekajmy, tylko sprawdźmy to od razu - zaproponował Finghin.

## ROZDZIAŁ 4

### W BRZUCHU SMOKA

-Czy mamy jakieś wieści od biskupa? - zapytał Feren Al'Roeg po powrocie z przejażdżki po jesiennym lesie w kolorze ochry.

Dwóch stajennych wybiegło mu na spotkanie i trzymało już wierzchowca, by pomóc hrabiemu zsiąść. Stojący za nimi namiestnik Alembert witał swego pana szerokim uśmiechem.

- Wygląda na to, że chrzest Merianda Pięknego był wielkim sukcesem! - rzekł, podając hrabiemu laskę.

Z wiekiem monstualna tusza hrabiego zaczęła dawać mu się we znaki, a chodzenie sprawiało coraz większą trudność. Mimo to był człowiekiem budzącym szacunek. Łysina i czarne oczy przydawały mu drapieżności, a mocny, ostry głos pozwalał mu zawsze mieć ostatnie słowo. Al'Roeg był jednym z najinteligentniejszych przywódców w historii wyspy, lecz również jednym z najbardziej antypatycznych.

- Doskonale - odparł, chwytając laskę. - Jestem pewien, że Aeditusowi uda się nawrócić większość mieszkańców Ziemi Brunatnej. A my, Alembercie, będziemy mogli spokojnie zająć się hrabstwem Sarre.

- Czy sądzisz, panie, że uda nam się ochrzcić mieszkańców Sarre równie łatwo jak Brunatyjczyków? - zapytał duchowny.

Hrabia skierował się w stronę małego parku, przez który musiał przejść, by dostać się do swych apartamentów w północnym skrzydle pałacu.

- Nie to jest moim głównym zmartwieniem. Zamierzam wysłać tam Rycerzy Płomienia, mój drogi namiestniku. W tej chwili to nie nawracanie mieszkańców Sarre interesuje mnie najbardziej i nic się nie stanie, jeśli potrwa nieco dłużej. Interesuje mnie ich ziemia i władza, jaką da mi kontrola nad trzema spośród pięciu hrabstw wyspy. Nawrócenie Brunatyjczyków było mądrym posunięciem, ale w przeciwieństwie do mieszkańców Ziemi Brunatnej, którzy są dzielni i hardzi, mieszkańcy Sarre nie będą stawiali żadnego oporu i będę mógł zająć ich kraj z pomocą zaledwie garstki rycerzy. Religię narzuci się im później. I środki ostrożności, które musieliśmy przedsięwziąć w wypadku Ziemi Brunatnej, tu nie będą potrzebne.

- feśli królowa nam na to pozwoli - wtrącił Alembert.

- Na razie jest za bardzo zajęta zabawą w druida! - zadrwił hrabia, wyciągając laskę w stronę swego rozmówcy.

- A Alea? Czy wiadomo, co się z nią stało?

- Po tym jak uciekła z więzienia, za którego administrowanie ci płacę!? - uniósł się Al'Roeg, odwracając się do Alemberta.

- Musisz przyznać, panie, że nie była to zwykła więźniarka... Rzadko która dziewczynka w jej wieku umie zrobić dziurę wielkości niedźwiedzia w kamiennym murze samą siłą woli...

- Właśnie dlatego powinieneś był umieścić ją w lepiej strzeżonej celi. Ale dość o tym, nie ma sensu do tego wracać. Ja też nie doceniłem tej małej zarazy!

- Tak. I nie wolno nam drugi raz popełnić tego samego błędu. Być może jest ona dla nas większym zagrożeniem niż królowa. Tymczasem nie wiemy, gdzie

teraz jest. Wiem tylko, że nie była z małą armią, która walczyła pod jej sztandarami na wzgórzu Sablon...

Nie. Ale zgnetliłmy tę jej armię, tak samo jak Tuathannów i druidów. Tak więc gdziekolwiek teraz jest, z pewnością nie ma sił, które mogłaby rzucić przeciwko nam. Zresztą szybko ją odnajdę, a w tej chwili nie jest to najważniejsze. Czy przekazałeś Dancrayowi, by czekał w moim gabinecie?

- Oczywiście, panie hrabio, jest już na górze.

Feren Al'Roeg pokiwał głową i przyspieszył kroku. Przeszli przez park i stanęli wreszcie przed pałacem w Rii. Wchodząc do środka, hrabia zrzucił swój długi kaftan, podał go jednemu z sług i zaczął mozolnie wspinać się po wielkich drewnianych schodach prowadzących na pierwsze piętro. Na górze inny sługa otworzył przed nim drzwi gabinetu.

- Witam, panie generale - powiedział Al'Roeg, wchodząc, gdyż Dancray siedział już w środku.

- Dzień dobry, panie hrabio - odpowiedział ten, wstając.

Od bitwy pod Sablon generał Dancray stał się jednym z najbardziej zaufanych ludzi hrabiego. Jego błyskotliwe zwycięstwo było punktem zwrotnym w historii Harcourt i od tego czasu hrabia darzył go wielkim szacunkiem.

- Jak tam nasze oddziały, mój drogi?

- Całkiem dobrze, rekrutujący mają pełne ręce roboty. Zgłaszają się setki ochotników. Młodzi ludzie nie mogą się już doczekać walki z Galacją.

- To nie z Galacją będziemy walczyć w pierwszej kolejności - poprawił go Al'Roeg, ciężko opadając na szeroki fotel naprzeciwko generała.

- Oczywiście, panie hrabio, lecz być może to dobrze, że taka jest podstawowa motywacja naszych rycerzy. Ten cel ich podnieca. Odebrać tym aroganckim Galatyjczykom kontrolę nad całym królestwem...

- Skupimy się najpierw na hrabstwie Sarre, mój drogi generale.

- Tak, przedstawiałeś mi już swój plan, panie - odpowiedział Dancray, kręcąc głową.

- Tak bardzo ci się nie podoba? - zdziwił się hrabia, bo zdawało mu się, że słyszy nutę sceptycyzmu w głosie generała.

- Nie o to chodzi. Sądzę, że twój plan, panie, jest dobry, jednak niepokoją mnie dwie sprawy. I nie jest to ani Galacja, ani Sarre.

- Bizania?

- Nie, nawet jeśli nie należy lekceważyć siły jej armii, wszyscy dobrze wiemy, że Bizańczycy będą się starali pozostawać neutralni, jak długo się da, a w najgorszym razie zawsze można ich przekupić. Znamy to już z historii.

- A więc co? Dziewczyna?

Generał wolno skinął głową.

- Tak. Ona i Maolmórdha, panie.

- Czy naprawdę sądzisz, że po bitwie pod Sablon ta cała Alea może jeszcze przysporzyć nam jakichś kłopotów? - zapytał hrabia.

- Tamtego dnia nie była nawet obecna, a jej towarzyszom udało się w mgnieniu oka zebrać dla niej kilkutysięczną armię. I chyba nigdy nie widziałem takiego oddania w walce, nawet u naszych wiernych Rycerzy Płomienia.

Przez twarz hrabiego przemknął grymas.

- To nie przeszkodziło nam ich wybić.

- Jutro, pojutrze, jeśli zechce, zbierze armię dziesięć razy większą i równie oddaną. W miastach i wioskach opowiadają o niej legendy. Nawet w Harcourt

mówi się o niej więcej niż o kimkolwiek innym z wyspy. A wiesz, panie, jaką moc mają legendy. Wiesz, jak łatwo ludzie podążają za takimi osobami...

- A więc co? Mamy rzucić nasze wojsko przeciwko tej smarkuli? - zdenerwował się hrabia.

- W tej chwili nie wiemy nawet, gdzie ona jest. Ale może rozsądniej byłoby nie rozpraszać zbytnio naszych sił, byśmy byli gotowi na wszystko.

Al'Roeg westchnął ciężko.

- Rozumiem. A Maolmórdha? Czyżbyś sądził, że jest równie dużym zagrożeniem?

- Może nawet większym. Niestety prawie nic o nim nie wiemy, poza tym, że boją się go sami druidzi i że ma wielu szpiegów w całym kraju.

- Także u nas?

Generał Dancray wzruszył ramionami.

- Z pewnością. Myślę, że czeka, aż osłabimy się nawzajem wewnętrznymi walkami, i wtedy wyjdzie z cienia.

- Mówisz mi o zagrożeniach, Dancray, a nie o rozwiązaniach! Jestem gotowy cię słuchać i wierzyć ci, ale jesteś generałem i strategiem, więc powiedz, co według ciebie powinniśmy zrobić!

- Musimy za wszelką cenę uniknąć walki z Galacją - odpowiedział natychmiast generał. - Królowej udało się odwrócić stosunek sił między Providence a druidami i przenieść Sai-Minę do swego pałacu...

- Nie wszyscy Wielcy Druidzi do niej dołączyli - wtrącił Al'Roeg.

- Nie, ale na ich miejsce zostali wybrani nowi, więc nowa Rada, prawowita czy nie, liczy, tak samo jak poprzednia, trzynastu członków. A co więcej, po raz pierwszy od bardzo dawna na jej czele stoi mocny przywódca, zdolny zapewnić jej jedność, a więc także skuteczność. Strategia królowej jest naprawdę niebezpieczna.

- Myślisz, że nie bylibyśmy w stanie jej pokonać, tak? - zaniepokoił się hrabia.

- Tego nie wiem, ale próbując, wyczerpiemy swoje siły i wtedy Maolmórdha lub Alea będą mieć wolne pole do działania.

Hrabia westchnął. Potarł czoło i zapadł się głębiej w swym wielkim fotelu.

- Z pewnością masz rację - rzekł. - Lecz czy to oznacza, że aby oszczędzić nasze siły, muszę także zrezygnować z hrabstwa Sarre? To zniweczyłoby moje plany.

- Nie, nie, panie hrabio. Nie musimy rezygnować z Sarre. Jeśli udałoby nam się dotrzeć tam przed innymi, zajęcie tego hrabstwa może być wielkim atutem. Trzeba po prostu, jeśli pozwolisz, panie, wysłać tam tylko konieczne siły i ani jednego człowieka więcej. Większość naszych oddziałów powinna zostać tutaj i służyć nam do obrony.

-Rozumiem. Lecz w takim razie życzę sobie, byś to ty poprowadził Rycerzy Płomienia do Tarnei. Skoro wysyłamy mało ludzi, niech nimi przynajmniej dowodzi zdolny i doświadczony generał.

-To wielki zaszczyt. Jestem na pańskie rozkazy, panie hrabio.

-Mój drogi, znów będziesz miał okazję wykazać się swoim strategicznym geniuszem! Jestem pewien, że bez trudu zrzucisz z tronu tego pajaca Ruada. Ten tchórz już zbyt długo kryje się w swoim zamku w Tarnei. Nie zasługuje, by rządzić Sarre.

-Jutro wyruszę, panie. I za tydzień hrabstwo Sarre będzie twoje albo mnie już nie będzie.

\*

Rycerze Ziemi, do których dołączyli teraz także ostatni Tuathanowie, tworzyli długą kolumnę ponad pięciuset uzbrojonych wojowników, która wiała się pośród skał. Nieśmiałe promienie słońca z trudem przebijały się przez gęstą szarą mgłę okrywającą łańcuch gór Gor-Draka. Postanowiono porzucić konie, które z pewnością nie dałyby sobie rady w tym trudnym terenie, a skoro dysponowali nimi tylko nieliczni, nie mogły pomóc zyskać na czasie. Niestety bagaż, który dotychczas nosły, musiało wziąć na swoje barki kilku pełnych poświęcenia tragarzy.

Tego ranka Alea wyruszyła przed wszystkimi wraz z Finghinem, Erwanem, Tagorem, Kaitlin i Mjollnem. Sześcioro przyjaciół przez całą noc zastanawiało się, czy powinni zdecydować się na przejście przez jaskinie. Alea i młody druid, którzy wcześniej nieco je zbadali, poświadczali, że istnieje przejście, a nawet kilka przejść, na drugą stronę gór. Lecz nawet oni nie okazywali wielkiego entuzjazmu na myśl o wkroczeniu do tych mrocznych pieczar, o których krążyły straszne opowieści. Jednak konieczność przeważała nad strachem. Należało jak najszybciej dotrzeć do Tarnei i nawet Mjolln zdecydował się zaryzykować.

-Oto wejście do jaskiń - powiedziała Alea, wskazując otwór między skałami.

- Hem, to nie przywołuje dobrych wspomnień - mruknął Mjolln.

Alea uśmiechnęła się do niego. Ona też myślała o podziemiach, które zaprowadziły ich do Borcelii. A z wszystkich przyjaciół, którzy razem z nią zeszli do tych potwornych korytarzy, został tylko Mjolln. Nie było już Felima, Galiada ani Faith... Tak bardzo za nimi tęskniła! Jakże pomogłaby jej teraz ich obecność!

Westchnęła głęboko.

- Chodźmy - nakazała. - Erwanie, Tagorze, upewnijcie się, że ludzie idą w grupie. Jest nas bardzo dużo, trzeba dopilnować, byśmy się nie pogubili.

Młodzi mężczyźni potaknęli. Co prawda, tego ranka wyjaśnili rycerzom, jak należy się zachowywać w takich sytuacjach i w jakim szyku powinni iść, ale nic nie stało na przeszkodzie, by przypomnieć im o tym jeszcze raz przed wejściem do jaskiń. Z pewnością nie będzie łatwo przeprowadzić aż pięćset osób wąskimi korytarzami. Większość wprawdzie stanowili wojownicy, ale były wśród nich także tuathanneńskie kobiety i dzieci.

Kiedy wszyscy dotarli na miejsce, Alea i Finghin ruszyli przodem. Gdy tylko weszli do pieczary, wypuścili przed siebie strumienie Saimana. Alea dostrzegła fale czerwonej energii wydobywającej się z dłoni młodego druida. Jej energia, w kolorze błękitnym, sięgała o wiele dalej w meandry korytarzy. Połączone energie ślizgały się po ścianach jaskini i pokazywały im przejście.

Prawie co piąty rycerz niósł zapaloną pochodnię i wkrótce grocie rozjaśniło ciepłe światło. Ludzie ze zdumieniem odkrywali przedziwne miejsce, w którym się znaleźli.

Ogromne ściany były idealnie gładkie, podzielone na niezliczone małe płaszczyzny, niczym wielki diament. Jaskinia była tak wysoka, że pod jej sklepieniem zmieściłoby się sześciu lub siedmiu ludzi stojących jeden na drugim, co dawało pewne wyobrażenie o wielkości stworzeń, które tu niegdyś mieszkały.

W tej chwili dookoła wędrowców był tylko ten półokrągły korytarz wykuty w czarnej skale, ale jego rozmiary były tak imponujące, że przez długą chwilę wszyscy szli w całkowitym milczeniu. Tuathanneńskie kobiety i dzieci szły z przodu, zaraz za pierwszymi szeregami zbrojnych. Wojownicy z Sidu, przyzwyczajeni do ciemności, zwinniejsi i bardziej doświadczeni, ustawili się wzdłuż kolumny, tworząc gigantyczną eskortę.

Erwan szedł z tyłu, z ostatnimi Tuathannami, Tagor na samym przedzie, tuż za Finghinem i Aleą. Kaitlin i Mjolln maszerowali zaś wśród tuathanneńskich kobiet i dzieci.

Zresztą aktorka zdawała się bardziej zachwycona właśnie Tuathannami niż niezwykłością jaskiń. Jak dotąd nie miała czasu, by naprawdę poznać lud z Sidu, a wędrowanie z nim stanowiło ku temu doskonałą okazję. Tak samo jak mężczyźni, z ich czubami, warkoczami i wojennymi barwami, kobiety nosiły liczne oznaki przynależności do poszczególnych plemion. Ich ubrania uszyte były z miękkiego futra, które nie pochodziło z żadnego zwierzęcia zamieszkującego Gaelię. Z pewnością więc wykonali je jeszcze w Sidzie. Także skóra, z jakiej były zrobione ich buty, paski i rzemienie we włosach, różniła się kolorem od tej, którą garbowano na wyspie. Ich stroje nie były zbyt barwne, poza czerwonym i niebieskim, na jakie malowano długie kolczyki kobiet, dominowały brązowe i bladożółte kolory skór i futer. Ich związane na plecach włosy splecione były w liczne cienkie warkocze. Ale najbardziej zadziwiło Kaitlin bogactwo ich ozdób: bransoletek, naszyjników, wisiorków, noszonych także przez dzieci. Szczególnie zauroczyła ją mała, na oko trzyletnia dziewczynka, która ukryta w ramionach swej mamy, bawiła się uplecionymi ze skórzanych rzemyków bransoletkami na swoich nadgarstkach. Kaitlin jeszcze nigdy nie widziała tak grzecznych dzieci. Były one przeciwieństwem krnąbrnych pociech wędrownych aktorów: głównym zajęciem ich dzieci było skakanie, śpiew, wrzaski i głośny śmiech. Tymczasem wszystkie tuathanneńskie dzieci wykazywały się zadziwiającym spokojem, tak jak ta mała, cichutka

dziewczynka o dojrzałym spojrzeniu. W tych okolicznościach było to niezwykłą zaletą, lecz także oznaką wielkiego smutku. Ta rasa naznaczona była nostalgią, której żaden mieszkaniec Gaelii nie będzie w stanie zrozumieć.

Nagle Kaitlin zdała sobie sprawę, że pochód się zatrzymał.

\*

Sposób, w jaki tego samego dnia baron Alvaro Bisagni mógł nurzać się w najgorszej perwersji i rozpuścić oraz udzielać młodzieży lekcji decenzy, czyli dobrych manier i szlachetnego zachowania, stanowił jedną z tajemnic Bizanii, których nigdy nie pojmie żaden cudzoziemiec.

Gdy do wielkiej komnaty w zamku w Farfanaro, pięknej drewnianej stolicy Bizanii, wkroczył posłaniec, by obudzić barona, wszystko wskazywało na to, że ostatnia noc nie miała wiele wspólnego z zasadami decenzy wykładanej w najlepszych szkołach.

- Brrr - mruknął baron - jeśli nadal będę pił tyle trunku moich przyjaciół, właściciele winnicy, pewnego dnia obudzę się z obciętą głową i nie będę nawet wiedział dlaczego.

- Jeśli któregoś dnia obetną panu głowę, drogi baronie, to pan się już nie obudzi...

Pokaźnej tuszy Alvaro wybuchnął śmiechem i opadł ciężko na wielkie łożo, w którego okolicach zakończył wczorajszą noc. Dookoła spali jacyś mężczyźni i kobiety, niektórzy całkiem nadzy, inni rozchełstani. Na ziemi i meblach stały do połowy opróżnione karafki z winem. Dywany poplamione były resztkami jedzenia, wszędzie wałały się brudne naczynia, zmięta pościel, bielizna i prześcieradła. Zamkowa służba nie odważyła się jeszcze tu wejść.

- Czego chcesz, człowieku? - zapytał posłańca, zamykając oczy w geście wielkiego znużenia.

Powiedzieć wam, że królowa sama mianowała się Arcy- druidką, że każe się teraz nazywać Aislinn i że utworzono na nowo całą Radę, która ma teraz siedzibę w wieży Lorilien w królewskim pałacu w Providence.

Baron wolno podniósł głowę i uniósł brew.

- Arcydruidką? Ha, ha - zaśmiał się szyderczo. - A to dobre! Czy wiemy już dokładnie, kto ośmielił się opuścić Sai-Minę?

- Henon, Kalan, Otelian i Tiernan. A z nimi około trzydziestu druidów ze swoimi magistelami.

Baron znów wybuchnął śmiechem. Posłaniec milczał. Widocznie nie chwycił komizmu tych słów. Alvaro podniósł się z trudem.

- Dobrze - mruknął pod nosem, ziewając. - Będę więc musiał porozmawiać o tym z tą bandą pajaców, którzy służą mi za doradców. Zwołajcie całą tę zgraję w moim gabinecie - rozkazał. - Kapitana Giamette, bailifa Stefano, tego stukniętego Pepo i najgorszą ze wszystkich: moją córkę.

- Już czekają, panie.

- Ach - westchnął baron.

Sapnął niezbyt elegancko, po czym mrużąc coś pod nosem, udał się w stronę wielkich drzwi komnaty. Przemierzył długi korytarz prowadzący do gabinetu i gwałtownie pchając drzwi, wkroczył do sali. Rzeczywiście wszyscy doradcy już tam byli i wszyscy podskoczyli zaskoczeni. Baron zaśmiał się nerwowo, podrapał świeży zarost na policzkach i zasiadł w swym fotelu.

Jak wszystkie pomieszczenia w zamku i większość domów w Farfanaro, gabinet był bogato - lub jak twierdzili niektórzy, przesadnie - udekorowany. Wszystko pokryte było drewnem. Ściany ozdobiono intarsjami i drewnianymi kolumnadami, każde skrzyżowanie ostrołuków sklepienia było samo w sobie dziełem sztuki, a mozaika na podłodze tworzyła ogromny obraz. I wreszcie meble, inkrustowane białym i czarnym marmurem, wszystkie były arcydziełami rzeźby i dekoratorstwa.

- Ojczy, przynosisz hańbę Bizanii - zaczęła Carla, patrząc z niesmakiem na barona.

- Dziękuję, droga córko - odparł Alvaro z uśmiechem. - Staram się, jak mogę.

Carla podniosła oczy do nieba i pokręciła głową.



- Czy zna pan już nowiny, panie baronie? - zapytał Giametta, kapitan straży.  
- I tak bym ich nie pojął... - zakpił baron Bisagni.  
- Czy zajmiesz się wreszcie tym, co dzieje się na naszej wyspie? - zapytała dziewczyna zrozpaczonym tonem.

- Przypominam, że wysłałem ambasadora na ceremonię, podczas której ta wiejska dziewoja tak efektownie przekroczyła granicę absurdu - odparł Bisagni.  
- Nie jestem tak naiwny, jak ci się wydaje, moje dziecko.

Rzeczywiście, baron był z całą pewnością najmniej naiwny ze wszystkich. Zamiłowanie do luksusu i nieumiarkowanie w uciechach cielesnych nie przeszkadzały mu być zdolnym politykiem. Ale był znużony. Zmęczony głupotą współczesnych, pychą swych bliskich i absurdalnymi wojnami, które prowadzili z sobą inni przywódcy Gaelii.

- W tej chwili nie mamy nic do zrobienia - ciągnął. - Sądzę, że wszyscy teraz rzucą się na Sarre, mając nadzieję, że pozostaniemy neutralni, i powiem wam, właśnie tak zrobimy!

- Jeśli Harcourt albo Galacja naprawdę zajmą Sarre, nasza siła i znaczenie polityczne bardzo zmaleją - wtrącił skarbnik, który był najstarszym doradcą barona.

- Po tym jak ten imbecyl z Harcourt i idiotka z Galacji zetrą się z sobą, obydwójce ledwie będą stali na nogach. A wtedy, być może, będziemy mogli pobawić się w sępy, jak nam to nieźle wychodziło w przeszłości, nieprawdaż?

- Bizańczycy byli kiedyś najlepszymi rycerzami na wyspie, a nawet w całej Brittii! - wykrzyknął kapitan Giametta.

- Jakież to musiało być nudne! - zakpił baron.

- Czyli nie zamierzasz nic zrobić? - westchnęła jego córka.

- Skądże znowu! - zaprzeczył baron z uśmiechem. - Możemy zorganizować wielkie święto, by uczcić głupotę naszych sąsiadów.

Rozdrażniony kapitan gwardii poderwał się gwałtownie i wyszedł z gabinetu bez słowa. Alvaro wybuchnął śmiechem.

- Ojczy, tego dnia, kiedy wreszcie obudzisz się z pijackiego zamroczenia, w którym tkwisz od tak dawna, ten kraj będzie w ruinie.

Alvaro w jednej chwili przestał się śmiać. Wstał, pochylił się nad córką. Tym razem jego wzrok był straszny.

- Posłuchaj, ty upierdliwa, głupia oso, odkąd rządę tym krajem, jeszcze nikt nie odważył się mnie zaatakować. A wiesz dlaczego? Bo prawdziwa siła militarna tkwi w zagrożeniu, a nie ma nic groźniejszego niż neutralny kraj. Oszczędziłem tej ziemi wielu wojen, kiedy ty zajmowałaś się tylko paskudzeniem pieluch w ramionach twej zmarłej matki. Więc zanim zaczniesz pouczać człowieka, którego jedynym życiowym błędem było powołanie cię na świat, zetnij włosy, przebierz się za mężczyznę i idź do Mont- -Tombe nauczyć się historii. Mówisz mi o hańbie, a jedyną hańbę, jaką musi znosić rodzina Bisagni, mam tu przed sobą. To twoja nieszczęsna ignorancja.

Następnie odwrócił się do dwóch pozostałych doradców.

- A co do was, bezwolni głupcy, skoro tak rozsadza was chęć podróży, zanieście królowej tę wiadomość: „Baron gratuluje Waszej Wysokości przenikliwości i pochwała wolę korzystania z królewskiej władzy jedynie w służbie tego, co jest prawdziwym Dobrem”.

Przez chwilę patrzył na swych doradców, po czym grymas złości na jego twarzy znów zamienił się w promienny uśmiech.

Odwrócił się, ziewnął i wyszedł z gabinetu.

\*

Maszerowali już wiele godzin, schodząc coraz głębiej w czeluście pod górami. Opadająca wciąż w dół droga zdawała się nie mieć końca. Im niżej schodzili, tym szersza stawała się jaskinia i tym ciemniej było wokół. Wiele pochodni zgasło, a te, które się jeszcze paliły, nie mogły już oświetlić ścian gigantycznej groty. Brak światła i wielkość jaskini zaczynały być przygniatające.

Ludzie stawali się coraz bardziej milczący, lecz echo każdego ruchu, każdego szeptu rozbrzmiewało niepokojąco.

- Nie czuję już ścian po bokach - szepnął Finghin, pochylając się ku Alei.

- Ja też nie - wyznała.

Za ich plecami zaległa cisza. Ludzie, którzy szli tuż za nimi, prawdopodobnie usłyszeli ich słowa, które nie brzmiały uspokajająco.

- Może spróbuję oświetlić jaskinię, byśmy lepiej widzieli drogę - zaproponowała dziewczyna. - Czuję, że wszystkich ogarnia coraz większy strach z powodu ciemności.

Finghin przytaknął. Alea skoncentrowała więc całą swą energię wokół siebie. Nie potrafiłaby wytłumaczyć, co tak naprawdę zamierza zrobić, jednak pozwoliła, by prowadził ją instynkt. Chciała zamienić Saimana w miliony małych świecących cząsteczek, które poszybują w górę. Kiedy poczuła, że osiągnęła maksymalną koncentrację, uwolniła energię, wyciągając ręce do góry.

Z jej wyprostowanych ramion wytrysnął promień światła. Najpierw wyglądał jak strumień wypływający z jej dłoni, później zamienił się w kulę i wypełnił całą przestrzeń dookoła.

Setki mężczyzn i kobiet idących z tyłu westchnęły z zachwyty i zadziwienia. Wszyscy podnieśli oczy do góry i podziwiali niewiarygodny świetlny spektakl, który rozgrywał się nad ich głowami.

Teraz mogli dokładnie zobaczyć, jak ogromna była jaskinia. Z pewnością dotarli do samego serca góry. Grota zdawała się bezmierna, jej ściany ginęły gdzieś daleko, w ciemnościach. Jednak dookoła siebie odkryli zadziwiającą, gigantyczną strukturę, która tworzyła nad nimi coś na kształt namiotu: ponad ich głowami znajdowało się sklepienie zbudowane z wielkich, łukowatych ramion. Zrozumieli w ułamku sekundy: to były kości. Znajdowali się wewnątrz zakopanego w ziemi ogromnego szkieletu smoka! Wielkie łuki kości zdawały się wskazywać im dalszą drogę.

- To nadzwyczajne! - zachwycił się Finghin. - Zdajesz sobie sprawę, jak wielkie musiało być to stworzenie?

- Tak. Trudno sobie wyobrazić, jak Galiad mógł sam walczyć z jednym z tych potworów - odparła Alea.

- Być może tamten nie był aż tak wielki - zastanawiał się Finghin. - Był ostatnim przedstawicielem swego gatunku i z pewnością nie miał takich rozmiarów jak ten.

- I pomyśleć, że nie ma już ani jednego!

- Tak. Niektóre gatunki są skazane na wymarcie...

Alea odwróciła głowę do przyjaciela. Uśmiechnęła się. To ostatnie zdanie miało głębszy sens. Finghin wypowiedział je specjalnie. Przytaknęła.

- Gdzie twoim zdaniem jest czaszka? Minęliśmy ją czy znajduje się na drugim końcu?

- Patrząc na wygięcie szkieletu, wydaje mi się, że jest przed nami.

- A więc chodźmy tam - zaproponowała Alea.

Tagor, idący za nimi, rozkazał wojownikom ruszyć w drogę. Długi szereg posuwał się korytarzem zbudowanym z kości.

Mjolln, który przez długą chwilę stał jak wryty, z rozdziawionymi ustami, ruszył pędem, by dogonić Finghina i Aleę otwierających pochód.

Dopadł ich zziębnięty i pociągnął Aleę za ramię.

- Powiedz mi, miotaczko kamieni, hem...

-Tak?

Krasnolud wahał się przez chwilę. Wpatrywał się w sklepienie z kości.

- Powiedz mi - powtórzył - czy nie istnieje legenda mówiąca o tym, że smoki pilnowały skarbów?

Dziewczyna uśmiechnęła się. Mogła się domyślić, że krasnolud zada właśnie to pytanie.

- Tak, istnieje taka legenda - odpowiedziała. - Ale rzeczywistość często bardzo się różni od legend, nieprawda?

- Prawda, ale jednak... - skrzywił się krasnolud.

- Przekonamy się.

- Ach, no tak, przekonamy się, tak. Wiadomo, skarb się błyszczy.

\*

Generał Dancray ściągnął lekko wodze, by koń szedł stępą. Rycerze jadący za nim zrobili to samo, jeden po drugim, kolumna za kolumną. Galopowali od rana i wierzchowce zaczynały już okazywać zmęczenie.

Dancray wziął z sobą zaledwie trzy tysiące ludzi, wyłącznie na koniach, zgodnie z zasadą, że należy posuwać się szybko i nie rozpraszać za bardzo wojsk Harcourt. Lecz w miarę jak zbliżał się do stolicy hrabstwa Sarre, zaczął się zastanawiać, czy nie był jednak zbyt wielkim optymistą. Rycerze Sarre nie stanowili wielkiego zagrożenia, ale zdobycie władzy przy pomocy jedynie trzech tysięcy ludzi może nie być takie proste.

- Panie generale, sądzę, że postój nie zaszkodziłby ani koniom, ani ludziom - rzekł jadący obok kapitan Danii.

- Tak, tak, zatrzymajmy się tam, przy drodze.

Kapitan skinął głową i pojechał wydać rozkazy. Po chwili wrócił do generała.

- Utrzymując takie tempo, możemy dotrzeć do Tarnei za siedem, osiem dni. Ale nie jestem pewien, czy konie wytrzymają.

- Za trzy dni zrobimy dłuższy postój, w mieście, gdzie będziemy mogli oporządzić trochę nasze konie. Lecz do tego czasu chcę utrzymać szybkie tempo. Dziś wieczorem trzeba będzie wysłać dwie dodatkowe grupy zwiadowców.

- Tak jest, panie generale.

- Danii - ciągnął stary generał poważnym głosem - czy sądzisz, że byłem zbyt pewny siebie?

Rycerz był zaskoczony, że dowódca zadaje mu takie pytanie. Dancray uchodził za najwybitniejszego stratega w Harcourt, dlaczego miałoby go interesować zdanie zwykłego kapitana?

- Myślę, że nasze oddziały są wystarczająco liczne, by zająć Tarneę. Jednak by ją utrzymać...

Generał skinął głową.

- Myślisz więc tak samo jak ja.

Dojechali na miejsce, które wskazał Dancray, i zsiadli z koni. Po kolei dołączali do nich pozostali jeźdźcy, po czym zaczęli przygotowywać biwak.

- Lecz może udałoby nam się przeciągnąć armię Sarre na naszą stronę. Mówi się, że tamtejsi wojownicy są tchórzliwi i źle wyszkoleni, ale są liczni. Gdybyśmy przejęli armię Sarre albo przynajmniej jej część, mielibyśmy na miejscu dość ludzi, by utrzymać Tarneę - zaproponował Dancray.

- Sprzymierzanie się z armią kraju, który się najechało, jest bardzo niebezpieczne. Ilu spośród nich wykorzysta każdą sposobność, by się na nas zemścić?

- Czy nie warto zaryzykować, panie generale? Cała sztuka polega na tym, by zaskarbić sobie ich szacunek.

- Po tym jak ich zaatakujemy? To może nie być proste! - zauważył Dancray, przywiązując swego konia do drzewa.

- Być może powinniśmy znaleźć taką strategię ataku, która wzbudzi szacunek i zminimalizuje straty, zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie.

- Hrabia nie przekazał mi takich uprawnień, bym mógł w jakiejś sprawie negocjować.

- Ale to nie przeszkadza nam udowodnić im, że mamy dobre intencje. Moglibyśmy też po prostu sprawić, by chcieli przyłączyć się do zwycięzców. Choć często jesteśmy zniechęceni, Rycerze Płomienia mają jednak opinię doskonałych rycerzy. Jeśli im trochę pomożemy, być może mieszkańcy Sarre będą zadowoleni, mogąc należeć do tak wybitnej armii.

- Być może - odpowiedział generał. - Ale nie jestem aż takim optymistą jak ty. Zastanawiałem się nad inną strategią.

- Jaka? - zainteresował się Dancray.

Rycerze rozbili już obóz i zasiedli do posiłku.

- Druidzi opuścili Sai-Minę, by przyłączyć się do królowej w Providence.

- Nie wszyscy...

- Nie, ale wystarczająca część, by królowa mogła ogłosić, że Providence jest nową siedzibą Rady.

- Zgadza się.

- A skoro druidzi opuścili Sai-Minę, która leży blisko Sarre, i przenieśli się na południe, lud Sarre może odbierać to jako zdradę. Dawna Rada zawsze była o wiele bliżej ich hrabstwa. Mieszkańcy Sarre często udawali się do Sai-Miny, a druidzi pomagali im rozwiązywać ich problemy czy rozstrzygali konflikty. Teraz, kiedy znajdują się w Providence i sprzymierzili się z królową, lud Sarre może się czuć porzucony. Tym bardziej że lud nie darzy królowej takim szacunkiem, jaki miał dla druidów.

- Z całą pewnością, panie generale. Sądzi pan więc, że moglibyśmy ich uspokoić? Powiedzieć im, że po ucieczce i zdradzie druidów będziemy ich nowymi obrońcami?

- Coś w tym rodzaju. W każdym razie warto się nad tym zastanowić, nie sądzisz?

- Oczywiście. Ale jeśli pan pozwoli, generale, najpierw może zjedzmy coś...

General skinął głową. Zostało im jeszcze kilka dni na dopracowanie strategii. Dołączyli z Danilem do swoich ludzi, którzy siedzieli na pniach drzew lub gołej ziemi, by z nimi zjeść i odpocząć nieco, nim ruszą w dalszą drogę.

\*

Alea, wyczerpana, zmniejszyła nieco energię Saimana. Światło wokół nich natychmiast przygasło. Grotę znów wypełniła niepokojąca ciemność. Prawie żadna pochodnia już się nie paliła. Ludzie zwolnili kroku, by po omacku nie potknąć się i nie upaść.

Jaskinia zaczęła się zwięzać, ściany przybliżyły się do siebie. Pochód wyszedł już z wielkiej klatki z kości i teraz podążał wzdłuż tego, co najprawdopodobniej było górnym odcinkiem kregosłupa smoka, ale ciągle nie było widać czaszki.

Temperatura wzrosła. Powietrze było coraz bardziej wilgotne, przesycił je kwaskowaty zapach.

Nagle ciemność jaskini rozdarł przenikliwy krzyk. A po nim dziesiątki podobnych krzyków i głuchych uderzeń. Wszystkich ogarnęła panika.

Alea podniosła oczy. W tej samej chwili co pozostali dostrzegła w półmroku chmarę opadających z sufitu przerażających stworzeń, wyglądającą jak stado olbrzymich ptaków. Były to wielkie czarne nietoperze, o długich pyskach, spiczastych uszach i wystających spod skrzydeł haczykowatych pazurach.

Jeden z nich nagle zaatakował Aleę. Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie i w ostatniej chwili rzuciła się na ziemię. Podmuch powietrza pochodzący od wielkich, bijących skrzydeł uniósł do góry jej włosy. Alea ukłękła, próbując dojść do siebie. Dookoła ludzie krzyczeli i biegali we wszystkich kierunkach, niezdolni do obrony przed tym niespodziewanym atakiem.

- Wracajcie pod szkielet! - krzyknęła, podnosząc się gwałtownie.

Biegła, popychając ludzi przed sobą, by wskazać im kierunek, kiedy nad głową słyszała coraz bardziej zbliżający się trzepot skrzydeł.

Uzbrojeni w dzidy Tuathannowie próbowali się bronić przed tym niewidzialnym wrogiem, który znikał w ciemności, by pojawiać się nagle, bez ostrzeżenia, z wysuniętymi do przodu szponami. Kilka nietoperzy trafionych przez zwinnych wojowników upadło na ziemię, lecz było ich tak wiele, że odnosiło się wrażenie, że nic to nie zmienia. Atak zdawał się wręcz nasilać.

- Wracajcie pod szkielet! - krzyczała ile sił w płucach Alea, zasłaniając głowę.

Kolejny nietoperz spadł na nią i wbił szpony w jej ramię. Alea próbowała się pozbyć zakrzywionych pazurów kaleczących jej ciało. Lecz im bardziej się szarpała, tym bardziej szpony zagłębiały się w jej skórę. W przypiływie wściekłości, trochę na oślep, machnęła ręką do góry. Widocznie trafiła nietoperza w głowę, gdyż ten puścił ją z piskiem.

„Muszę coś zrobić”.

Krzyki ludzi mieszały się w jej głowie z piskami zwierząt. Wszystko zdawało się kotłować i oddalać. Przywołała do siebie Saimana, skoncentrowała energię w sobie. Powoli zagłębiała ręce w ziemi.

„Jestem Córką Ziemi. Jesteśmy jednością. Ona i ja. Muszę odnaleźć siłę”.

Saiman osiągnął swą największą moc i zaczął palić jej żyły.

„Jestem przeszłością”.

Energia wzrastała w jej ciele, przenikała jej organy niczym fala płomieni. Z zamkniętymi oczami próbowała powstrzymać jeszcze tę moc, gotową, by eksplodować.

„Jestem smokiem”.

Poczuła Saimana, który podszedł jej do gardła. Alea podniosła się gwałtownie. I nagle otworzyła usta, i wyciągnęła głowę w stronę nietoperzy. Saiman zmienił się w pożar. Z jej gardła wydostały się wielkie języki ognia. Alea wrzasnęła, a płomienie wybuchały niczym świetliste okrzyki. Jak smok ziejący ogniem skierowała całą swą energię przed siebie, by spalić bestie, które w końcu zaczęły się wycofywać. Ich wielkie skrzydła zajęły się ogniem, później zaczęły płonąć też ich ciała. Niektóre uciekały z wrzaskiem, inne spadały na ziemię i dopalały się, wstrząsane ostatnimi drgawkami. To było jak przerażający pokaz szalonych cyrkowców. Alea wypluwała z siebie kolejne fale wysokich płomieni. Ściany jaskini rozświetlały się przy każdej kolejnej eksplozji. Ciała nietoperzy rozpadały się na rozżarzone kawałki.

Kiedy Alea wyczerpała już ostatki energii, upadła nieprzytomna na ziemię.

Lecz potworne nietoperze już dawno uciekły albo spłonęły. Ziemia w korytarzu usłana była ich spalonymi truchłami, a pośród nich, to tu, to tam, leżały też ciała kilku Tuathannów, którzy do końca dzielnie walczyli z bestiami.

Agerik, młody wieśniak, czatował od wielu godzin, leżąc w wysokiej trawie obok łowcy wilków. Od czasu do czasu zamieniali szeptem kilka słów, ale milkli, gdy któryś z nich usłyszał choćby najcichszy szmer. Lecz przeważnie był to tylko jakiś zając lub ptak.

Na skraju lasu, gdzie poprzedniego dnia Wagabunda wypatrzył watahę, położyli zarżniętego barana, w nadziei, że zapach mięsa i krwi przyciągnie wilki. Następnie przygotowali sobie kryjówkę nieopodal: usypali niewielki kopiec z ziemi, za którym mogli się schować.

Ale jak dotąd żaden wilk się nie pojawił. Rozglądając się czujnie, dwaj mężczyźni mogli tylko czekać i mieć nadzieję. Agerik podziwiał cierpliwość myśliwego. Czas płynął tak wolno, zupełnie inaczej niż podczas pracy w gospodarstwie. Ale jakież to było podniecające! Agerik nigdy nie patrzył na przyrodę w ten sposób. Nigdy nie wsłuchiwał się w nią tak jak dziś. Tak jakby odkrywał ją po raz pierwszy, choć żył wśród niej od zawsze.

- To zabawne, wszyscy ci ludzie, którzy opowiadają, że widzieli wilka lub nawet że zostali przez niego zaatakowani, a jak się próbuje jakiegoś złapać, można czekać całymi dniami lub nawet tygodniami i nie zobaczyć ani jednego... - zagaił Wagabunda.

- Muszę wyznać - odpowiedział chłopak szeptem - że ja też nigdy żadnego nie widziałem. Poza tym, którego przyniosłeś wczoraj do oberży.

- Więc nigdy nie widziałeś żywego...

-Nie.

- Zobaczysz, to zwierzę, które najtrudniej upolować. Obławy organizowane przez myśliwych trwają czasem wiele dni, bo wilki są tak nieufne. I szybko biegają. Dlatego wolę własny sposób polowania. Ale nie wolno chybić. Wilka trzeba ubić od razu.

- Jedna strzała wystarczy? - zdziwił się chłopak.

Popatrz na te strzały - powiedział Wagabunda, pokazując wieśniakowi swój kołczan.

- Jest w nich coś specjalnego?

- Tak. Na wilki zawsze używam ostrych żelaznych grotów.
- Dlaczego?
- Bo przeszywają ciało mimo gęstej sierści. Na zające używam raczej strzał zakończonych ołowiem, żeby je ogłuszyć...
- Rozumiem. A te strzały wystarczą, by zabić wilka?
- Zazwyczaj tak. A jeśli nie, mam drugą szansę, popatrz - powiedział, wskazując grot jednej ze strzał.  
Żelazo zamoczone było w ciemnym płynie.
- Trucizna? - zapytał Agerik.

Wagabunda przytaknął z uśmiechem. Wyciągnął swój łuk poziomo przed siebie. Na cięciwę nałożona była strzała.

Agerik nie wziął z sobą broni. Chciał najpierw przyjrzeć się technice myśliwego i sprawdzić, czy sam umiałby ją stosować.

Nagle zauważyli w lesie jakiś ruch, za pierwszą linią drzew. Wagabunda przypadł niżej do ziemi. Gestem nakazał chłopakowi ciszę, po czym sięgnął po strzałę i naciągnął łuk.

Kilka liści się poruszyło. Wtedy wreszcie Agerik dostrzegł wilka. Jego brązowa sierść doskonale wtapiała się w jesienne kolory zarośli, tak że chłopak nie zauważył go od razu, ale teraz mógł podziwiać piękną sylwetkę zwierzęcia w całej okazałości.

Wilk, z pyskiem nisko przy ziemi, opuszczonym ogonem i postawionymi uszami, skradał się ostrożnie w stronę barana. Jego wspaniałe rdzawe oczy szukały innego drapieżnika, właściciela tych porzuconych szczątków. Ale okolica zdawała się pusta. Podszedł niepewnie trochę bliżej.

Zwierzę było pięknie zbudowane, wysokie, o szerokich łapach. Jego gęsta sierść wydawała się miękka i jedwabista. Wyglądał na dorosłego, dumnego i silnego wilka, bardzo możliwe, że był samcem dominującym. Mógł to być też samotny wilk, co wyjaśniałoby, dlaczego znajdował się sam na obrzeżach lasu. Agerik rzucił okiem na myśliwego. Tamten trwał nieruchomo. Musiał mieć niezwykłą siłę w palcach i ramionach, bo trzymał naciągnięty łuk już dobrą chwilę i nie poruszył się nawet o włos. Grotem strzały, nie czyniąc najmniejszego hałasu, podążał za zwierzęciem, celując w nie z niezmaconym spokojem.

Wilk nabrał pewności siebie i podszedł do barana. Kiedy stał już nad zdobyczą, ostatni raz powiódł wzrokiem dookoła. Nic się nie poruszyło. Powąchał zwierzę, zatopił w nim zęby, po czym cofnął się o krok i wyszczerzył kły. Ciągle nic. Zbliżył się więc ponownie i wydając ciche pomruki, zaczął rozrywać zębami skórę barana. Po chwili mógł zanurzyć pysk we wnętrzościach i rozpocząć ucztę.

Całkowicie zajęty baranem wilk stracił czujność i nie zwracał już uwagi na otoczenie. Ale Wagabunda wciąż czekał. Mógł już wypuścić strzałę, z pewnością dosięgłaby celu, ale myśliwy wolał, by wilk się najadł i stał się zbyt ociężały, by chciało mu się biegać.

Agerik wstrzymał oddech. Odgłosy mlaskania i rozdzierania skóry napawały go wstretem, dlatego podziwiał spokój Wagabundy.

W końcu wilk podniósł głowę. Jego sierść umazana była krwią. Nie okazywał już zdenerwowania. Popatrzył na zachód, obliznął się, po czym odszedł kilka kroków, by położyć się w cieniu. Wtedy Agerik usłyszał brzęk cięciwy, a następnie świst strzały przeszywającej powietrze. Trwało to ułamek sekundy

Wilk zdążył tylko cicho zaskomleć i padł na ziemię.

Agerik podniósł głowę i ujrzał nieruchome ciało zwierzęcia. Z jego boku wystawała połowa strzały. Nagle wilk się poruszył. Podniósł się z trudem, zrobił kilka niezdarnych kroków, zatoczył się. Zaskomlił żałośnie.

Agerik widział, że zwierzę się poddało. Wilk nie próbował sprawdzić, skąd przyszła śmierć, nie próbował wyrwać strzały, nawet nie zawył. Po prostu zrobił kilka kroków. Była w nich jakaś godność i szlachetność, których chłopak, był tego pewien, nie zapomni już do końca życia.

Po chwili wilk zwałił się ciężko na ziemię pośród traw.

- Aleo Cathfad, obudź się!

Dziewczyna wolno otworzyła oczy. Wciąż było ciemno, ale rozpoznała twarz Erwana, który trzymał jedną z ostatnich pochodni. Magistel uśmiechnął się do niej. Pochylił się i złożył na jej ustach pocałunek.

- Szybciej! - krzyknął stojący za nimi Mjolln. - Chodźcie! Wychodzimy stąd, już dłużej nie wytrzymam! Panie Erwanie, niech pan pomoże mojej małej miotaczce kamieni wstać, i hop, nie traćmy ani chwili!

Mjolln był u kresu wytrzymałości. Oczywiście martwił się o przyjaciółkę, ale nie mógł już znieść ciemności i zaduchu.

- Wszystko w porządku, siostrzyczko? - zapytał Tagor.

- Chyba tak - odpowiedziała, przecierając twarz.

Potwornie bolała ją głowa, ale mimo to spróbowała się podnieść. Ciemności nie ułatwiały jej zadania. Erwan chwycił ją za rękę i pomógł utrzymać równowagę. Oddychała głęboko, próbując dojść do siebie, ale jej nogi były jeszcze słabe i drżące, a rana na ramieniu powodowała straszny ból.

- Chodźmy - powiedziała jednak.

Ona także chciała jak najszybciej wyjść z tej jaskini i była przekonana, że wszyscy podążający za nią pragną tego samego, czy byli Tuathannami czy Rycerzami Ziemi, dorosłymi czy dziećmi. Ruszyli więc w drogę, a Tagor dał swym wojownikom rozkaz do wymarszu. Coraz bardziej zwężająca się grotą rozbrzmiewała odgłosami ich kroków.

- Ilu ludzi straciliśmy? - zapytała Alea idącego obok Erwana.

- Tylko trzech.

- To i tak za dużo - odparła. - Nie powinnam była prowadzić nas tą drogą!

- Gdyby nie ty, stracilibyśmy ich dużo więcej - rzekł Erwan. - Nie masz sobie nic do zarzucenia i wszyscy tu są ci wdzięczni.

Co więcej, są pod ogromnym wrażeniem. Większość z nich nigdy nie spotkała się z magią druidów, a twoja jest jeszcze bardziej zadziwiająca!

- Wolałabym robić na nich wrażenie swoją mądrością, a nie tymi okropnymi sztuczkami! - wyznała, obracając się do magistela.

- Jeśli o mnie chodzi, obie te rzeczy bardzo mi imponują - rzucił z uśmiechem.

Alea ścisnęła ramię Erwana. Obecność chłopaka dawała jej siłę, jakiej wcześniej nie miała. Pozytywną energię, która pomagała jej zaakceptować swą rolę i lepiej wypełniać swoje zadanie. Kiedy był blisko, nie bała się tak bardzo przyszłości.

- Przed chwilą nazwałeś mnie Aleą Cathfad, prawda? - szepnęła do Erwana.

- Tak się przecież nazywałeś?



-Tak, masz rację. Tak się nazywam. Jesteś pierwszą osobą, która o tym pomyślała.

Nagle Mjolln wrzasnął przeraźliwie. Chcąc jak najszybciej wydostać się z jaskini, szedł na przodzie z Finghinem.

-Co się stało? - zaniepokoił się Erwan i przyspieszył kroku. Finghin i Mjolln zatrzymali się i stali, nieruchomo wpatrując się w ziemię przed sobą.

Alea i Erwan dołączyli do nich i wtedy dostrzegli to, co wywołało krzyk krasnoluda. Czaszka smoka. Ogromna, długa i płaska, w połowie zagrzebana w ziemi...

-Mjollnie, ten smok od bardzo dawna jest już martwy, nie sądzę, by mógł zrobić nam jakąś krzywdę... Dalej, w drogę!

Mjolln zrobił kilka kroków naprzód, schylił się nad czaszką, zawahał się, po czym wyrwał jeden ząb. Przystawił go do pochodni Erwana, zagwizdał z uznaniem, po czym schował ząb do kieszeni. Odwrócił się i ruszył przed siebie. Inni podążyli za nim, uśmiechając się.

Pięćset osób przeszło w ciszy obok szkieletu. Młody Tuathann zauważył, że w sumie mieli szczęście, iż musieli stawić czoło ogromnym nietoperzom, a nie takiemu potworowi jak ten smok.

Szli tak jeszcze bardzo długo, tracąc poczucie czasu, głodni i wyczerpani. Tunel zdawał się nie mieć końca.

Wkrótce świeciła się już tylko jedna pochodnia na czele kolumny. Finghin starał się jak mógł powtórzyć to, co Alea zrobiła wcześniej, ale nie udało mu się wytworzyć tyle światła. Ludzie niewiele widzieli, zaledwie zarysy sylwetek dwóch czy trzech osób przed sobą. Otwierający pochód Finghin i Mjolln szli bardzo ostrożnie, trzymając się ścian jaskini.

I nagle, kiedy wszyscy zaczęli już tracić nadzieję, zobaczyli w oddali promień słońca.

## ROZDZIAŁ 5

### WIELKIE ŁOWY

*Poszukam Kiarana. Potrzebuję go, by o czymś zdecydować. Nie wiem, co jutro zrobię druidzi. Czy powinnam zabrać ich z sobą? A kiedy skończę, czy zniknę, tak jak według legendy zniknie Saiman?*

*Z pewnością tak będzie. Ale jeśli to wszystko ma zniknąć, będzie mi brakowało tych chwil. Tych spotkań w świecie Djar...*

*Oto jest. W swoim stroju wędrownego aktora. Z tym uśmiechem i rozmarzonym wyrazem twarzy. Kto dziś zna go tak dobrze jak ja? Kto wie, ile mi daje, za każdym razem, gdy go tu spotykam? Jak ludzie będą wspominać tego druida, kiedy już go nie będzie? Będzie jedną z tych milczących osób, które nazaczyły historię, nie żądając w zamian żadnej chwały. I ludzie o nim zapomną.*

*- Kiaranie, czy widziałeś w świecie Djar moją wilczycę?*

*- Białą wilczycę? Nie, od dawna jej nie widziałem.*

*- Czy to możliwe, że ona... że ona nie żyje?*

*- Możliwe. Ale może być też tak, że jej sny nie przenoszą jej już do świata Djar. Stworzenia, które nie kontrolują swojej obecności w tym świecie, mogą nie pojawiać się tu przez całe lata.*

*- Tęsknię za nią.*

*- To wilczyca, Aleo. Jej życie jest lepsze z dala od ludzi.*

*- Wiem. Ale mimo to tęsknię.*

*Kiaran mi się przygląda. Ma w oczach coś z Felima. Pamiętam to spojrzenie.*

*- Co się dzieje w Radzie?*

*- Ernan przekonał wszystkich braci, że powinniśmy sprzymierzyć się z tobą. Wszystkich, z wyjątkiem jednego.*

*-Aengusa?*

*- Tak. Odszedł od nas, nie mówiąc, dokąd się udaje. Być może dołączy do królowej.*

*- Z pewnością.*

*Królowa... Amina! Jak dziwnie potoczyło się nasze życie, że znalazłyśmy się tu, gdzie jesteśmy. Tak bardzo chciałabym zrozumieć. Chciałabym cię zobaczyć, Amino. Zobaczyć, co zostało z dzieci, którymi byłyśmy.*

*- Aleo, teraz wyruszamy do Tarnei. Ernan chce tam do ciebie dołączyć.*

*- Dobrze. Przydacie się. Będziecie bronić miasta z Tuathannami i Rycerzami Ziemi.*

*- A ty nie, Aleo?*

*- Nie. Moim przeznaczeniem jest droga, druidzie, wiesz o tym. Izle znoszę dowodzenie tą armią... moją armię. Wiem, że jest niezbędna, wiem, że jej potrzebuję, ale potrzebuję także być sama, tylko z kilkorgiem przyjaciół.*

*- Rozumiem. Czy zastanawiałaś się nad pytaniem, które zadałem ci ostatnio?*

*- Pytanie. Tak, naturalnie. Ani przez chwilę nie mogę przestać o nim myśleć.*

*- Jaką Gaelię chciałabym zbudować? Oczywiście. Wciąż myślę tylko o tym, Kiaranie, ale nie sądzę, bym mogła odpowiedzieć na to pytanie sama. Wiem, o jakiej Gaelii marzę, ale wiem też, że marzenia nigdy nie stają się rzeczywistością i że nigdy nie uda mi się tego osiągnąć...*

*- Spróbuj się przynajmniej do nich zbliżyć.*

- *Próbuję, druidzie. Zawsze będę próbować.*

Wyruszyli wczesnym rankiem, po spokojnej nocy, która wreszcie przyniosła im głęboki, zdrowy sen. Odkąd wyszli z jaskiń pod górami Gor-Draka, wśród rycerzy znów zapanował dobry humor. Alea i jej najbliżsi towarzysze szli na czele pochodu, otoczeni przez niewielką eskortę złożoną z Tuathannów i Rycerzy Ziemi.

Wędrowali cały dzień, gdy na horyzoncie pojawiło się miasteczko Chlullyyn. Na okoliczne pola spłynął ciemny błękit wieczoru. Delikatny jesienny wietrzyk kołysał wysokie trawy, które w blasku zachodzącego słońca przypominały morskie fale. Za sobą pozostawili łańcuch Gor-Draka, którego szczyty różowiły się blado na tle wciąż jasnego nieba, usianego pierwszymi gwiazdami.

- Aleo, chcesz, byśmy rozbili tu obóz, czy wolisz, byśmy poszli do miasta? - zapytał Erwan.

- Nie sądzę, by to miasteczko mogło przyjąć pięciuset ludzi - odpowiedziała dziewczyna z uśmiechem.

- Nie, ale moglibyśmy rozbić obóz w pobliżu - zaproponował magistel.

- Tak, myślę, że to najlepsze rozwiązanie - przyznała Alea. - Pozwoli nam z pewnością zwerbować kilku ludzi i dowiemy się, co słychać na świecie. Być może w tym miasteczku przebywa jakiś bard.

- Dobrze, rozkażę rycerzom rozbić obóz pod miastem, a nasza szóstka pojedzie spotkać się z mieszkańcami. Z pewnością będą zaszczyceni, mogąc zobaczyć cię z bliska.

Alea przytaknęła z ciężkim westchnieniem. Młody AFDaman mrugnął do niej porozumiewawczo, po czym poszedł wydać rozkazy kapitanom.

- Mówisz, że w tym miasteczku powinien być jakiś bard? - zagadnął Aleę Mjolln. - Hem, bardzo by mi to odpowiadało, o tak. Bo mimo pięknych obietnic nasz przyjaciel druid niewiele mnie dotąd nauczył! Obiecanki cacanki! Powinienem był wiedzieć, że tak to się skończy.

- Byłem u ciebie wczoraj, mój mały przyjacielu - zaczął się bronić druid, który szedł z tyłu za nimi - ale spałeś jak suseł...

- Tak? A czego ode mnie chciałeś?

- Nauczyć cię kilku triad bardów, panie Abbac. Bo żeby zostać bardem, musisz je znać. Nie wystarczy umieć grać na dudach, co nawiasem mówiąc, robisz znakomicie...

- Naprawdę chcesz mnie nauczyć triad? - zapalił się krasnolud. - Ech, wspaniale, mamy jeszcze kawałek do miasteczka, dlaczego miałbyś nie nauczyć mnie ich po drodze, mój dobry druidzie? Hem?

- Świetny pomysł - odparł Finghin.

Druid odciągnął więc Mjollna nieco na bok i przez całą drogę słychać było, jak każe mu w kółko powtarzać jak litanię: „Trzy podstawowe obowiązki Człowieka: cierpieć, zmieniać, wybierać. Trzech pierwotnych rówieśników: Człowiek, Wolna Wola, Światło. Trzy poręki Nauki: przestać przebiegać każdy etap życia, przypominać sobie przebieg każdego etapu oraz jego epizody, móc przebiec swobodnie każdy etap”. Krasnolud powtarzał dokładnie każdą triadę, a jego oczy błyszczały radością, jak wtedy gdy Faith uczyła go gry na swym instrumencie.

Wczesnym wieczorem dotarli do bram miasteczka. Zbiegły się dzieci, zaciekawione dziwnymi strojami Tuathannów i czerwono- -białymi

sztandarami Rycerzy Ziemi. Lecz strażnicy przy bramie przypatrywali się pochodowi z nieufnością.

Podczas gdy Tagor wydawał rozkazy rycerzom rozbijającym obóz, Erwan podjechał w kierunku strażników. Dzieci rozstąpiły się przed nim, gapiąc się z zachwytem na jego szeroką pierś w błyszczącej zbroi.

- Witajcie, Galatyjczycy. Jestem Erwan AFDaman, syn Galiada, magistel druida Finghina i generał Rycerzy Ziemi. Oto armia Alei Cathfad, tej, którą druidzi zwą Samildanachem.

- Witaj - odpowiedział po prostu jeden ze strażników.

Dzieci prychnęły, widząc jak bardzo jest zalekniony. Z pewnością zwracając się do mieszkańców miasteczka, był o wiele bardziej pewny siebie, wręcz arogancki, i właśnie mocno tracił na swej dostojności.

- Jesteśmy w drodze do Tarnei - ciągnął Erwan - chcemy spędzić noc w pobliżu miasteczka. Mam nadzieję, że nie zakłócimy waszego spokoju.

- Ależ nie, oczywiście. Czujcie... czujcie się jak u siebie - wyjąkał młody strażnik, wyciągając rękę na powitanie do magis- tela.

- Czy znajdzie się jakaś oberża, w której Samildanach i jej pięciu towarzyszy mogliby spożyć kolację?

- Oczywiście. Zaraz przygotujemy stół, generale.

Erwan podziękował i wrócił do rozbijanego właśnie obozu. Zachwycone dzieci pobiegły przekazać wieść rodzicom.

\*

Najwięcej polowań na wilki urządzano na południe od Fendannen, na ziemiach kasztelana Germaina de Gorbon. Jego zamek, prosty i przysadzisty, był typowym przykładem architektury wschodniej Gaelii. To wokół niego organizowało się życie całego regionu.

Mury zamku, zbudowane z kamienia tak żółtego jak ziemia w tej części królestwa, zdobiło sześć szerokich wież jednakowej wysokości. Wewnątrz liczne przybudówki otaczały główny budynek. Były w nich mieszkania dla służby, ale także wszystko, co niezbędne do zajmowania się zwierzętami: stajnie, psiarnie, owczarnie, pomieszczenie dla sokołów. W zamku znajdowała się piekarnia, kuchnia i wielka jadalnia, której szerokie filary zdobił herb Gorbonów: cztery drewniane koła na błękitnym tle. Dalej była sala sądowa, gdzie suweren rozwiązywał spory i sądził złoczyńców - tych, którzy kradli, gwałcili, zabijali, albo po prostu tych, którzy nie zapłacili stolnikowi należnego podatku w zbożu lub nie przekazali łowczemu wilków odpowiedniej liczby baranów. Obok znajdowała się wielka zbrojownia, bez wątpienia najpiękniejsza komnata w zamku. To tutaj suweren przyjmował gości i tu eksponował swoją najwspanialszą zbroję. Wreszcie na piętrze znajdowały się liczne sypialnie.

Kiedy rycerz Ultan przybył do zamku, zobaczył dookoła budynku wieśniaków, którzy drągami mieszały wodę w fosie. Kasztelanowa była przy nadziei i Germain de Gorbon rozkazał swym chłopom uciszyć żaby, których rechot nie dawał pani wypocząć.

Sługa wybiegł powitać gościa i poprowadził go przez zamkowy dziedziniec. Kiedy dotarli przed stajnie, Ultan zdjął hełm i zsiadł z konia.

Sługa zobaczył wtedy surową twarz rycerza. Ostre rysy, czarne spojrzenie, liczne blizny, ale przede wszystkim te zadziwiające białe włosy, zaczesane do tyłu, które spływały mu na szeroki kark.

- Pan de Gorbon oczekuje na was w zbrojowni - oznajmił sługa.

- Dziękuję, znam drogę - odpowiedział Ultan, kierując się do głównego budynku.

Przeszedł przez długi korytarz prowadzący do wielkiej sali. Tam młody sługa otworzył mu drzwi.

W przeciwieństwie do reszty zamku komnata była bogato udekorowana. Ściany obito aksamitem. W wielkich rzeźbionych kredensach wystawiono naczynia i kolorowe bibeloty. Ogromne filary podtrzymywały arkadowe sklepienie, pod którym zawieszono sztandary, chorągwie herbowe i proporce. Ścianę naprzeciwko wejścia pobielono wapnem i ozdobiono rozetami i kwiatonami. Na środku wisiał gobelin przedstawiający sceny z bitwy o Harcourt, a pod nim stał wysoki dębowy tron, otoczony krzesłami wyściełanymi miękką tkaniną.

- Witaj w zamku Gorbon, mistrzu - powiedział kasztelan, podchodząc do Ultana.

- Pięknie urządziliście tę komnatę - odpowiedział Ultan, ignorując wyciągniętą dłoń pana de Gorbon.

- To tutaj moi wasale oddają mi hołd lenny. Lubię przyjmować ich w sali, która jest odbiciem dobrobytu panującego w moich włościach.

- Dobrobytu? Ile wilków ubiliście w tym miesiącu?

- Mistrzu, moi myśliwi osiągają najlepsze wyniki na wyspie, i...

- Ile? - przerwał mu Ultan, podchodząc bliżej.

Germain de Gorbon potarł dłonie przestraszony.

- Prawie sto - odpowiedział, cofając się o krok.

Ultan wymierzył mu siarczysty policzek. Uderzenie było tak mocne, że kasztelan upadł na ziemię. Metalowa rękawica rycerza przecięła mu policzek. Krew ściekała aż na szyję. Wstał, zataczając się.

Ultan przemierzył komnatę bardzo wolnym krokiem. W sali rozbrzmiewał szcęk jego zbroi. Następnie zasiadł na tronie swego gospodarza, który stał, milczący i nieruchomy, na drugim końcu komnaty, trzymając się za krwawiący policzek.

- Wciąż nie usłyszałem dokładnej odpowiedzi, Gorbon. Ile?

- Dziewięćdziesiąt dwa - szepnął kasztelan.

- Podejdź bliżej.

Germain de Gorbon zawahał się przez moment, po czym zdecydował się podejść. Nie mógł uwierzyć, że Ultan tak bardzo go upokorzył, w jego własnym zamku. Na szczęście żaden sługa nie widział tej sceny. Trudno będzie jednak ukryć ranę na policzku.

- Wiesz, Germain, że Pan kazał ci potroić tę liczbę od zeszłego miesiąca?

- Zabijamy dwa razy tyle zwierząt co inni myśliwi.

- Mistrz oczekuje od swych Czuwających tylko jednego: że będą mu posłuszni. Nie pytam, czy zabijasz więcej wilków niż twoi sąsiedzi. Żądam, byś spełniał jego wymagania.

Kasztelan zrobił kilka kroków w stronę tronu i spuszczaając głowę, powiedział żałośnie:

- Ultanie, muszę wyznać, ryzykując, że wzbudzę twój gniew... Nie wierzę, by można zabić trzysta wilków w jeden miesiąc!

Rycerz wstał i podszedł do Gorbona. Chwycił go za brodę, zmuszając, by podniósł głowę. Jego kciuk w metalowej rękawicy naciskał na ranę na policzku, która znów zaczęła obficie krwawić.

- Gorbon, widziałem chłopów przed zamkiem. Próbują uciszyć żaby, które hałasują w twojej fosie, tak?

- Tak - wyjąkał kasztelan.

- Twoja żona ma ci dać dziecko?

Gorbon przytaknął z przerażeniem w oczach.

- Jakież to słodkie - zakpił rycerz. - Pójdę do twojej żony, Germain. I coś mi mówi, że zaraz zmienisz zdanie.

W kącikach oczu kasztelana pojawiły się łzy

- Tak, coś mi podpowiada, że zaczniesz brać te polowania bardziej na serio - ciągnął Ultan, coraz mocniej ściskając brodę Gorbona. - Że wyślesz więcej ludzi, zastawisz więcej pułapek, zwiększysz nagrody... nieprawdaż?

Gorbon przytaknął, drżąc na całym ciele.

- I wtedy przekonasz się, że możesz zabić nawet więcej wilków, niż on od ciebie wymaga.

Ultan gwałtownie odepchnął kasztelana, który znowu upadł na posadzkę. Rycerz przeszedł przez komnatę bez słowa i Gorbon usłyszał, jak wchodzi na piętro.

\*

Finghin spędził wieczór przy Kaitlin. Był zmęczony i zamiast włączyć się do rozmowy, wolał słuchać innych i przyglądać się aktorce z czułością.

Spijał słowa z jej ust, podziwiał jej grację, uśmiech. Brała udział we wszystkich dyskusjach, a jej radość udzielała się całemu otoczeniu.

„Co za wolność! Kaitlin jest tu jedyną osobą, która nie ma wobec nikogo żadnych zobowiązań, i to pozwala jej mówić z taką szczerością! Teraz lepiej rozumiem filozofię życia wędrownych aktorów. Wszyscy jesteśmy niewolnikami własnej historii, a oni nie. Jestem niewolnikiem swojej przynależności do Rady, potrzebuję i pragnę zobaczyć znów Sai-Minę, porozmawiać z Emanem. Mjolln często wspomina, że pewnego dnia chciałby wrócić do swoich wzgórz, a teraz chce dołączyć do kasty bardów. Tagor poświęca się dla Tuathannów. Alea dla całej wyspy. Tylko Kaitlin jest wolna. A jednak nie jest to wcale taki łatwy wybór. Nie wiem, czy byłbym zdolny, by się nań zdobyć...”

Finghin pod stołem wziął w swoje dłonie rękę Kaitlin i ścisnął ją mocno. Aktorka uśmiechnęła się do niego, po czym odwróciła się do pozostałych i włączyła do rozmowy.

Oberża w Chlullyyn była duża, lecz niezbyt przytulna. Serwowano tam proste dania: pasztet z wątroby dorsza oraz małe paszteciki z mięsem i rodzynkami. Oberżysta specjalnie przygotował też liczne pieczyście do wyboru, od wołowiny po dzikie ptactwo, sałatki z gotowanych warzyw, pasztesy z wątróbki lub mózdzku drobiowego. Na deser podróżni wzięli tylko pieczone gruszki, po czym zasiedli przy ogniu, gdzie gromadzili się mieszkańcy miasteczka.

Finghin, zmęczony, z trudem wstał od stołu i usiadł za Kaitlin w przepastnym fotelu.

Oberża chyba nigdy nie miała tylu klientów co w ten wieczór. Wszyscy przyszli zobaczyć Aleę, dziewczynę, o której od jakiegoś czasu tak dużo się mówiło.

Życzenie Alei się spełniło: w miasteczku przebywał bard. Avendal zjadł z nimi wieczerzę, a teraz rozmawiali przy kominku. Był to człowiek starszy, ale mający żywe usposobienie i skłonny do żartów, dlatego wszyscy od razu go polubili.

„Czy wie o rozłamie w Sai-Minie? - zastanawiał się Finghin. - Co się stanie z tymi wszystkimi bardami i druidami, którzy przebywają w różnych małych miasteczkach, daleko od knoń i podstępów Rady? To właśnie z powodu utraty kontaktu z nimi Wielcy Druidzi doprowadzili Sai-Minę do ruiny...”

- Strażnicy powiedzieli nam przed chwilą, że zmierzacie do Sarre, tak?

„Oto prawdziwy bard - uśmiechnął się w duchu Finghin. - Najpierw sprawdza swoje informacje, a później będzie mógł puścić je dalej w obieg, i tak wieści obiegają całe królestwo”.

- Tak, idziemy do Tarnei - wyjaśnił Erwan.

- Ale to jedyne miejsce na wyspie, w którym nic się nie dzieje! - zdziwił się bard. - Za to w Galacji, Ziemi Brunatnej albo Harcourt jest tak ciekawie!

„Czy próbuje sprawdzić, co kryje się za naszym wyborem, czy obawia się wybuchu wojny?”

- To nie do końca prawda - odparła Alea. - W hrabstwie Sarre dzieje się o wiele więcej, niż możesz przypuszczać. Ale przede wszystkim to najbardziej wolny z wszystkich krajów na wyspie. Odkąd Sai-Mina jest podzielona, druidzi nie mają już takiej władzy nad mieszkańcami Sarre jak dawniej. Jak dotąd chrześcijanie nie próbowali tam jeszcze wszystkich nawrócić. Co do Aminy, jest zajęta Galacją i nie zajmuje się hrabstwem, w którym przyszła na świat. A zatem mieszkańcy Sarre cieszą się wolnością, jakiej wielu Gaelijczyków może im tylko pozazdrościć. Chcę się udać do Tarnei nie tylko po to, by strzec tej wolności, lecz także by mogła ona promieniować z Sarre na całą wyspę.

Finghin podniósł oczy na Aleę.

„Po raz pierwszy wyraziła swe prawdziwe pragnienia... Zaczyna rozumieć, co chce zrobić. W miarę jak mówi, sama porządkuje swoje myśli. Wcześniej nie sformułowała jasno tego pomysłu. A właśnie o to chodzi. To takie proste. Naturalna wolność Sarre. To tę wolność Alea chce odnaleźć i przywrócić wyspie. No tak...”

- Nie sądzę, by mieszkańcy Sarre uważali się za tak wolnych i szczęśliwych, jak ci się wydaje - odparł bard.

- Oczywiście, że mogłoby być lepiej, ale przynajmniej w tej chwili nikt im niczego gwałtem nie narzuca.

„Jest bardzo krytyczna względem mych braci. Nie sądzę, by druidzi kiedykolwiek narzucali coś gwałtem. A jednak być może powinienem spojrzeć na historię inaczej. Nauczyć się jej od nowa, na nowo zinterpretować. Wątpliwości Alei powinny mnie skłonić do przemyślenia tego, co zawsze uważałem za oczywiste”.

- Lecz, drogi bardzie, teraz ty przekaz nam trochę wieści ze świata - podjęła Alea.

- Tyle się dzieje! - odparł Avendal.

- W Galacji?

- Nasza królowa jest z pewnością najlepszym strategiem, o jakim ta wyspa mogła marzyć! - wykrzyknął bard.

„Jest ironiczny. Ale wie, do kogo się zwraca. Są tu mieszczenie, których nie chce zaszokować ani zaniepokoić, i jest Alea, która zrozumie, choćby mówił tylko półsłówkami”.

- Po tym jak zaofiarowała druidom, którzy opuścili Sai-Minę, siedzibę w wieży Lorilien, udało jej się ich przekonać nie tylko do tego, by przeprowadzili jej inicjację, ale także by obrali ją Arcydruidem. Czyż to nie wspaniałe?

- Tego nie wiem - odparła Alea - ale muszę przyznać, że ironia losu jest przyjemna, prawda?

„Mówi jak dojrzała kobieta. Ta dziewczynka, która chciała nauczyć się czytać i podsłuchiwała pod drzwiami Rady... Tak, ma rację. Ironia, jeśli nie przyjemna, jest w każdym razie usprawiedliwiona. Tak długo odsuwaliśmy kobiety od naszych instytucji, a tymczasem Alea i Amina udowadniają, że ani Saiman, ani zdolności polityczne nie są dla nich niedostępne. Konsekwencje inicjacji Aminy będą zapewne katastrofalne z politycznego punktu widzenia, ale mogą być zbawienne dla kultury. To pewne, że Gaelia, o której marzy Alea, to kraj, w którym mężczyźni i kobiety są równi i po równo dzielą się władzą. Ale czy to jest możliwe?”

- Mówi się jednak, że Henon przeprowadził jej inicjację wbrew sobie - dodał bard. - Widzicie, dla nas, bardów, to wszystko jest prostsze. Kasta bardów od zawsze była otwarta zarówno dla mężczyzn, jak i kobiet. Spodziewałem się, że pewnego dnia jakaś uzdrowicielka w końcu odnajdzie drogę do druidyzmu...

- Jesteś więc niezwykle przewidujący! - wtrąciła Kaitlin. - A co podpowiada ci dziś twoja przenikliwość? Czy Amina będzie dobrą królową?

„Kaitlin zastawia na niego pułapkę. Bard nie powie otwarcie niczego złego o Aminie, nawet jeśli jest oczywiste, że jak większość Galatyjczyków nie kocha jej za bardzo. Żadając mu to pytanie, Kaitlin zmusza go do zajęcia stanowiska. Wędrowni aktorzy bardzo lubią konfrontować nas z prawdą. Ale bard z pewnością jakoś z tego wybrnie”.

- Myślę, że jej głównym zmartwieniem w tej chwili jest to, jak być dobrą druidką! - odpowiedział Avendal nie bez uśmiechu.

„Kaitlin tak łatwo mu nie odpuści”.

Tak jak Finghin się spodziewał, aktorka zapytała:

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że zaniedbuje obowiązki królowej?

Bard skrzywił się. Rozejrzył się dookoła. W oberży znajdowali się strażnicy i cała reszta miasteczka.

- Nie, jeśli jej postępowanie względem Rady służy dobru królestwa.

- A służy? - naciskała Kaitlin.

„Ona się tak łatwo nie podda. Ten biedny bard trafił na mocniejszego od siebie!”

- Zrobiła już wiele jako królowa. Nigdy wcześniej w tym kraju nie przeprowadzono tylu zmian. A co do jej działań względem Rady, czyż nie jest jeszcze za wcześnie, by ocenić, czy posłuży to dobru królestwa?

- Gdybyśmy musieli oceniać naszych przywódców wyłącznie na podstawie popełnianych przez nich błędów, okazałoby się, że popełnili ich tyle, że nigdy byśmy sobie z nimi nie poradzili - zażartowała Kaitlin.

- Więc jak ich oceniać? Na podstawie ich przeszłości? Nie wiemy zbyt wiele o przeszłości królowej.

„Poza tym, że dorastała z Aleą!”

- Może nie chodzi o to, żeby ich oceniać, lecz by dać im władzę wyłącznie do czynienia dobra - wtrąciła Alea.



- Gdy ten dzień nadejdzie, bardowie zaczną fałszować - ironizował Avendal. Mjolln uznał tę odpowiedź za tak zabawną, że aż klasnął w ręce.

- Masz jeszcze inne wieści z królestwa? - zapytała w końcu Alea, widząc, że nie ma sensu zatrzymywać się zbyt długo przy Aminie.

- Hrabia Meriand Mor został wasalem hrabiego Ferena Al'Roega, a Aeditus ochrzcił go publicznie w Mericourt.

- Czy po tym wydarzeniu mieszkańcy Ziemi Brunatnej też przeszli na chrześcijaństwo? - zapytała Alea.

„Z pewnością właśnie w tym celu Aeditus ochrzcił hrabiego Ziemi Brunatnej. Temu człowiekowi udało się w pojedynkę nawrócić dwa spośród pięciu krajów na wyspie. Jego religia rozpowszechni się w całej Gaelii i już nie będzie odwrotu. Postępy chrześcijaństwa sprawiają, że wiara w Mojrę zanika. Ja jednak wiem, że ona istnieje”.

- Tak - odpowiedział Avendal. - Setki, jeśli nie tysiące wybrały nową religię. Przez oberżę przeszedł pomruk zdziwienia.

- Czy masz jeszcze jakieś wiadomości?

Bard wzruszył ramionami.

- Oczywiście, bardzo wiele, ale nie wiem, które was interesują. Jest jedna dziwna rzecz, o której coraz częściej słyszę, a która może was dotyczyć.

- Tak? - zaciekała się Alea.

- Ludzie mówią, panienko, że masz dar rozmawiania z wilkami. Czy to prawda? - zapytał bard nieco zakłopotany.

- Nie, to nie do końca prawda. A dlaczego o to pytasz?

- Trzej panowie z południa Galacji ogłosili wielkie polowania na wilki - wyjaśnił Avendal. - Ich skóry osiągają coraz wyższe ceny i zdaje się, że polowania na wilki zaczynają być modne.

Finghin zobaczył, że pięści Alei się zaciskają.

„Wilki. Jej bracia. To z pewnością ma uderzyć także w nią. Ale kto to rozpętał?”

- Jak nazywają się ci trzej panowie? - zapytała Alea, z trudem ukrywając wściekłość.

-Znam tylko jednego z nich. To Germain de Gorbon.

Alea podniosła się tak gwałtownie, że siedzący obok Mjolln aż podskoczył.

-Bardzo dziękuję za gościnę - powiedziała szybko. - Teraz musimy wracać do obozu.

Wyszła z izby szybkim krokiem, odprowadzana zdumionymi spojrzeniami gości oberży. Finghin zrozumiał, że jej ostatnie słowa były rozkazem, wstał i dał znak pozostałej czwórce. Grzecznie dziękując mieszkańcom za miłe przyjęcie, towarzysze Alei opuścili gościnny przybytek.

\*

Meriand Mor zgodził się towarzyszyć Aeditusowi w jego podróży przez Ziemię Brunatną. Jak wyjaśnił biskup, z pomocą hrabiego o wiele łatwiej będzie ochrzcić mieszkańców hrabstwa. Ich eskortę stanowiło zaledwie pięćdziesięciu zbrojnych. W orszaku było też pięciu księży z Harcourt i dziesięciu seminarzystów, którzy korzystali z tej podróży, by pogłębić swą wiedzę i zdobyć cenne doświadczenie.

Wieczorem czwartego dnia wyprawy biskup znalazł się sam z hrabią w salonie małego szlacheckiego dworu, na wschód od Aiverhin, miasteczka, w którym przyjęto ich po królewsku. Popijając gorący ziołowy napar przygotowany przez gospodarza, siedząc przed kominkiem, po raz pierwszy rozmawiali w cztery oczy.

-Czy masz wiarę, Meriandzie? - zapytał biskup bez ogródek.

Hrabia zdawał się zaskoczony.

-Nie wiem, Wasza Eminencjo. Nie jestem pewien, czy rozumiem, co to znaczy.

-Czy czujesz obecność Boga w sercu? - wyjaśnił Aeditus z uśmiechem.

-Czy można ją czuć, tak z całą pewnością? Czy trzeba mieć wiarę, by być dobrym chrześcijaninem?

Biskup nie odpowiedział. Przyglądał się hrabiemu, jakby chciał dostrzec coś, co skrywało się w jego oczach.

- Kiedy poprosiłeś o chrzest, zrobiłeś to, by podporządkować się hrabiemu Harcourt, czy dlatego, że miałeś wewnętrzne przekonanie, że Bóg istnieje?

Meriand zawahał się. Wszystko stało się tak szybko. Nigdy nie zadawał sobie takich pytań.

- Powiedziałem AFRoegowi, że jeśli poprowadzi nas do zwycięstwa, uwierzę w moc jego Boga. Kiedy wygraliśmy bitwę, dotrzymałem słowa i ogłosiłem, że chcę zostać ochrzczony...

- Tak, ale czy chciałeś tylko dotrzymać słowa, czy zwycięstwo rzeczywiście przekonało cię o istnieniu Boga? - dopytywał się biskup.

- Nie wiem, jaką odpowiedź Wasza Eminencja chciałby ode mnie usłyszeć.

- Chcę po prostu, byś był ze mną szczerzy. Nie obawiaj się, w tej chwili ważne jest to, by twój gest był przykładem dla mieszkańców Ziemi Brunatnej. Możesz mówić otwarcie.

- Jedno jest pewne, Wasza Eminencjo, że kiedyś nie odczuwałem bardziej obecności Mojry niż teraz obecności Boga. W rzeczywistości po prostu przyjmuję ją do wiadomości.

- A więc nie masz wiary, Meriandzie Piękny.

Hrabia przygryzł wargi.

- Wasza Eminencja nie odpowiedział na moje pytanie.

- Które? - zapytał biskup.

- Czy trzeba mieć wiarę, by być dobrym chrześcijaninem?

Aeditus uniósł brwi.

- Najpierw trzeba by ustalić, co rozumiemy przez bycie dobrym chrześcijaninem. A myślę, że to w dużej mierze zależy od kontekstu.

- A więc?

- W twoim wypadku bycie dobrym chrześcijaninem polega, być może, na sile przykładu, jaki dajesz. Może Bóg nie oczekuje od ciebie wielkiej wiary, ale zdolności do nawracania twoich poddanych, i to mu wystarczy.

- Tak? Wystarczy Bogu czy wystarczy dla waszych celów?

- Moim jedynym celem jest służba Bogu.

- A Wasza Eminencja ma wiarę?

Biskup wybuchnął śmiechem.

- Po raz pierwszy ktoś ośmielił się zadać mi to pytanie!

- A jednak jest uprawnione, skoro twierdzicie, że nie zawsze jest to obowiązek dobrego chrześcijanina!

Aeditus przytaknął z uśmiechem.

- A więc - podjął Meriand, który wcale się nie uśmiechał - czy Wasza Eminencja ma wiarę?

- Wiara to nie rzecz, którą się nabywa i chowa do kieszeni, Meriandzie. Wiara to walka, którą się prowadzi każdego dnia. To codzienne zwycięstwo. Traciłem ją i odzyskiwałem setki razy, czasem ją gubiłem, innym razem ona mnie oszukiwała. Ale im bardziej jest żywa, tym bardziej dowodzi, że Bóg też taki jest. W przeciwieństwie do Mojry, skostniałej, zapomnianej, a przede wszystkim źle rozumianej, Bóg jest towarzyszem podróży, którego szukamy, obok którego czasem idziemy, którego możemy zgubić i odwrócić się do niego plecami, ale on zawsze wyciągnie do nas rękę.

- A więc będę szukał, Wasza Eminencjo. Będę szukał wiary. Ale w tej chwili mogę wam ofiarować tylko me oddanie.

Biskup uśmiechnął się.

- To nam w zupełności wystarczy, drogi hrabio.

\*

- To wykluczone! - krzyczał Finghin w namiocie, uderzając dębową laską o ziemię.

- Wyruszam jeszcze dziś wieczorem - powtórzyła Alea. - Pójdziecie do Tarnei beze mnie. Muszę natychmiast zapobiec dalszym polowaniom na wilki! Jestem im to winna!

Chodziła w kółko po wielkim namiocie, próbując się uspokoić. Przyjaciele patrzyli na nią z zakłopotaniem, poza druidem, który próbował przemówić jej do rozsądku.

- Bez ciebie nasza podróż do Tarnei nie ma najmniejszego sensu. Jesteś naszą jedyną szansą powodzenia!

- Nie potrzebujecie mnie!

- Wręcz przeciwnie, bez ciebie nie będziemy wiedzieli, co zrobić. Prawdopodobnie musielibyśmy użyć siły, by hrabia Sarre w ogóle zechciał nas wysłuchać, a tego przecież chciałaś uniknąć.

- Wilki o wiele bardziej mnie potrzebują. Były przy mnie, kiedy potrzebowałam ich pomocy. Nie mogę pozwolić, by je teraz masakrowano.

- Tarnea jest zaledwie trzy, cztery dni drogi stąd. Ryzykowaliśmy życie w jaskiniach, by do niej dotrzeć, nie możemy teraz zrezygnować. Polowania na wilki nie zaczęły się dzisiaj, trwają już od jakiegoś czasu, więc twoja interwencja może jeszcze parę dni poczekać!

- Ani dnia dłużej! - wrzasnęła Alea, a jej oczy napęłniły się łzami. - Ani jeden dzień dłużej nie pozwolę, aby zabijano te zwierzęta, by się na mnie zemścić! Zbyt wielu ludzi już przeze mnie zginęło, a teraz jeszcze wilki? Nie! Ruszam na południe!

Złapała swój biały płaszcz i dębową laskę powieszoną przy ścianie namiotu i skierowała się do wyjścia.

Erwan zerwał się z miejsca i chwycił ją za ramiona.

- Aleo, kiedy wilki zaatakowały gorguny, zgodziły się umierać za ciebie. Zgodziły się na śmierć, żebyś mogła wypełnić swoje zadanie. Przez szacunek dla wilków, które zginęły tamtego dnia, nie możesz teraz zrezygnować.

- Nie zgodziły się na śmierć, abym mogła cokolwiek wypełnić! - odparła Alea. - Nie były niczego świadome! Wilki nie mają takiej świadomości,

Erwanie. Podążyły na ślepo za moją wilczycą, nie rozumiejąc, co się naprawdę dzieje. Walczyły, kierując się instynktem, nie rozumem!

- No właśnie. To instynkt dyktuje ci, żeby wyruszyć na południe, podczas gdy rozum powinien ci podpowiadać, byś została z nami. Finghin ma rację, bez ciebie nic nie zdziałamy w Tarnei.

Ale jeśli naprawdę chcesz się teraz zająć wilkami, to pojedziemy z tobą. Będziemy tam bardziej przydatni niż sami bez ciebie u bram stolicy Sarre.

- Nie, tym razem pojedę sama.

Erwan westchnął. Już zapomniał, jak uparta potrafiła być Alea. Nie wiedział, jakich użyć argumentów. Wciąż trzymał ją za rękę. Patrzyła na niego zdecydowanym wzrokiem. Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu jakiegoś wsparcia. Wtedy podniosła się Kaitlin.

Alea odwróciła się gwałtownie.

- Chyba nie będziecie mnie próbowali przekonać każdy po kolei!? - krzyknęła.

Kaitlin wzruszyła ramionami.

- Ależ nie - odparła. - Ja chcę tylko wyjść z tego namiotu, bo jeśli jeszcze przez chwilę posłucham twojego głosu i bredni, które wygadujesz, to będę miała ochotę ci przyłożyć, a my, wędrowni aktorzy, nie lubimy bić dzieci.

Alea wytrzeszczyła oczy

- Co? - wyjąkała zmieszana.

- Alea, nudzisz mnie! Wychodzę.

Aktorka przeszła obok Erwana i Alei, podniosła zasłonę wiszącą w wejściu do namiotu i wyszła bez słowa.

Pozostali milczeli, wymieniając zakłopotane spojrzenia. Po chwili Alea również wyszła z namiotu i zniknęła w ciemnościach spowijających obozowisko.

\*

Mistrz Jehan był pierwszym naganiaczem w Gorbon. Był to człowiek dosyć szpetny, ukrywający zniekształconą połowę twarzy pod szerokim skórzanym kapturem. Przy czapce nosił białe pióro naganiaczy wilków, ubierał się w strój z grubego zielonego sukna z wyłogami i kołnierzem z purpurowego aksamitu. Bardzo wysoki, a przy tym niezwykle chudy, poruszał się w dziwny sposób, zarazem żywo i niezdarnie. Był człowiekiem zgorzkniałym, który chciałby zostać wielkim łowczym, choć było to stanowisko zarezerwowane dla kogoś lepiej urodzonego niż on. Jehan musiał się zadowolić prowadzeniem nagonki, nie miał prawa strzelać ani nawet prowadzić psów.

Tego ranka obudził się przed wschodem słońca, by przygotować wszystko na nadchodzący dzień, zapowiadający się niezwykle pasjonująco. Od kilku dni pan de Gorbon okazywał coraz większe zniecierpliwienie i nalegał, by polepszyć jeszcze wyniki polowań na wilki.

Germain de Gorbon postanowił osobiście wziąć udział w wielkich łowach, które z woli Mojry organizowano tego dnia. Wszelkie prace w polu zostały zakazane na czas polowania, o czym uprzedzono wszystkich mieszkańców ziem pana de Gorbon.

Mistrz Jehan wstał jako pierwszy i zaczął znosić na dziedziniec kije naszykowane poprzedniego dnia. Następnie poszedł obudzić zarządcę psiarni,

który miał przygotować psy, oraz wielkiego łowczego, mającego poprowadzić całe polowanie. Na koniec rozkazał ustawić przy wejściu do zamku wielki stół, przy którym będzie można przyjmować ludzi.

Kiedy słońce wreszcie wstało, do zamku zaczęli napływać w wielkiej liczbie możni oraz okoliczni chłopci. Jehan w towarzystwie dwóch innych łowczych witał nowo przybyłych. W zależności od tego, czy byli chłopami czy szlachcicami, kierował ich na stronę naganiaczy bądź myśliwych. Tym ostatnim rozdawano łuki i strzały, kopie i sztylety, którymi trudniej się było posługiwać, ale które były bardziej skuteczne w razie ataku wilków. Wieśniakom rozdawano po prostu kije, niezbędne do naganiania zwierzyny.

Kiedy każdy miał przydzielone zadanie, zarządca przyprowadził psy i pokazał je naganiaczom, którzy mieli posłużyć się nimi podczas nagonki. Było to około pięćdziesięciu psów myśliwskich, trenowanych do płoszenia i gonienia zwierzyny. W psiarni pozostało dziesięć ogarów, mających za zadanie uprzednio wytropić wilki.

Słońce stało już wysoko ponad murami zamku. Nadszedł czas, by ruszyć na polowanie. Chwilę przed wymarszem Germain de Gorbon przemówił krótko do zebranych:

- Dziękuję wam wszystkim za przybycie na te wielkie łowy. Nigdy jeszcze nie organizowaliśmy tak wielkiego polowania i jestem szczęśliwy, mogąc w nim wraz z wami uczestniczyć. Pierwsi wyruszą naganiacze, prowadzeni przez mistrza Jehana, a z nimi szczwacze i psiarczykowie. Obejdą las na południe od zamku i rozpoczną nagonkę, posuwając się na północ. W tym czasie my, drodzy panowie, uformujemy pięć grup myśliwych i przejdziemy z północy na południe, by wyjść prosto na osaczoną przez psy zwierzynę. Wczoraj wielki łowczy z psiarczykami i ich ogarami sprawdzili las. Na południe od zamku zauważyli co najmniej dwie watahy. Łowy nie skończą się, dopóki nie wybijemy tych dwóch watah, czyli około piętnastu zwierząt, i do tego czasu wszelkie prace w polu są zabronione. Ktokolwiek opuści polowanie przed jego zakończeniem, zostanie osądzony i skazany na banicję. Jednak jeśli obie watahy zostaną wytrzebione, wszyscy chłopci, którzy brali udział w obławie, zostaną w przyszłym miesiącu zwolnieni z daniny w zbożu, a myśliwi otrzymają przywilej podziału między siebie wilczych futer.

Tłum zaczął wiwatować. Następnie mistrz Jehan, pierwszy naganiacz, dał znak chłopom, by zabrali swoje kije i poszli za nim. Opuścili zamkowe mury i szybkim krokiem udali się na południe, poprzedzani przez psiarczyków i ich gończe psy.

Jehan znał kilku wieśniaków, ale wolał z nimi nie rozmawiać. Szedł samotnie na przodzie, próbując utrzymać tempo narzucone przez psy. Łowczy nie lubił ludzi, zwierząt zresztą też nie. Nigdy nie miał łatwego życia, więc nie zamierzał rozczulać się nad czyimkolwiek losem. Naganiacze idący za nim rozmawiali, ale on nie odzywał się ani słowem.

Trawy w pobliżu lasu były gęste i wysokie, co utrudniało marsz. Jehan zaczął rozgarniać je kijem, ale nie chciał za bardzo zmęczyć rąk. Pot spływał mu po twarzy okolonej brązowym kapturem. Psiarczykowie zostali w tyle. Zatrzymał się na chwilę, popatrzył na nadchodzących naganiaczy. Otarł pot rękawem, splunął na ziemię i ruszył dalej.

Wkrótce dotarli do lasu. Przeszli brzegiem na zachód, aby nie spłoszyć zwierzyny od razu. Należało pogonić wilki na północ, więc naganiacze powinni znaleźć się jak najdalej na południu i dopiero stamtąd zacząć nagonkę. Jehan

brał udział w wielu łowach w tym regionie, ale nigdy nie prowadził aż tylu ludzi. Szło za nim blisko osiemdziesięciu chłopów, ale ilu dotrwa do końca?

\*

Kiedy Mjolln wspiał się na niewielki pagórek, tak jak przypuszczał, zobaczył Aleę siedzącą w trawie z głową schowaną w ramionach. Zatrzymał się kilka kroków dalej i nie robiąc hałasu, stał przez chwilę nieruchomo, wpatrując się w sylwetkę dziewczynki rysującą się na tle rozgwieżdżonego nieba. Wydawała się taka samotna, taka biedna, może nawet bardziej niż wtedy, gdy po raz pierwszy spotkał ją na drodze w Galacji, tego dnia, kiedy pomogła mu obronić się przed zgrają banitów.

Miał wyrzuty sumienia. Tak często okazywał się egoistą, podczas gdy jego młoda przyjaciółka musiała wziąć na swoje barki ciężar, jakiego on nigdy by nie uniósł.

Na jego oczach rozgrywała się historia. Właśnie teraz. I tylko ten jeden raz. Drugiej szansy nie będzie. Alea to zrozumiała i czuła odpowiedzialność każdego dnia, przed każdym kolejnym zadaniem. Gaelia musiała się zmienić. Mjolln musiał się z tym pogodzić i zaakceptować swoją rolę w tej historii. A jeśli było coś, co mógł zrobić, to pomóc Alei. Pomóc swojej małej miotacze kamieni. Jeśli nie zrobi tego dziś, nigdy sobie nie wybaczy. Przez całe życie będzie sobie wyrzucał, że nie wykorzystał swojej szansy. Alea go potrzebowała, tak samo jak pozostałych. A jeśli ktoś z nich zawiedzie, nigdy nie będzie mogła wypełnić zadania, które zostało jej przeznaczone.

- Mjollnie, zostaw mnie samą. Muszę pomyśleć.

Alea nie poruszyła się. Ciągle trzymała głowę w ramionach. Po prostu go usłyszała.

- Nie, Aleo — odpowiedział Mjolln, podchodząc do niej. - Nie, wcale nie musisz pomyśleć. W tej chwili potrzebujesz tylko, by gruby, głupi krasnolud potrzymał cię za rękę.

- Nie jesteś ani gruby, ani głupi.

- Dobrze, może i nie, ale jestem krasnoludem, prawda?

Alea wzruszyła ramionami i pokręciła głową. Mjolln usiadł obok. Trwali tak przez chwilę, jedno obok drugiego, nie ruszając się. Później krasnolud zerwał mały kwiatek i zaczął kręcić nim w dłoniach.

- Aleo - odezwał się w końcu - być może znalazłem rozwiązanie. Uważam, że jesteś niezastąpiona w Tarnei. I cokolwiek twierdzisz, uważam, że powinnaś tam pojechać. Nie możesz zrezygnować, bo wtedy rycerze z Harcourt, ci przekłęci rycerze z Harcourt, mogą zająć Sarre, jeśli damy im na to czas.

- Wiem...

- Tymczasem jeśli, chodzi o wilki, nie jesteś niezastąpiona. Ktoś inny może pojechać, by powstrzymać dalsze polowania. A więc oto, co Mjolln Abbac ci proponuje: sam pojedę zająć się tymi wrednymi łowcami wilków, podczas gdy ty udasz się do Tarnei. Co ty na to, hem?

Alea podniosła głowę i popatrzyła na przyjaciela.

- Nie, Mjollnie - powiedziała z ciężkim westchnieniem. - To dobry pomysł i bardzo szlachetnie z twojej strony, że chcesz mi pomóc, ale dobrze się nad tym zastanowiłam i sama nie wiem, co mogłabym zrobić, udając się tam. Przecież nie pozabijam wszystkich myśliwych... To na nic by się nie zdało. Nie jestem

też w stanie obronić wszystkich wilków. Nie, macie rację. Muszę znaleźć inne rozwiązanie. Ale najpierw pójdziemy do Tarnei.

Mjolln chwycił dłoń dziewczyny, pocałował ją i przycisnął do serca.

- To bardzo dobra decyzja, Aleo. Jestem szczęśliwy.

Alea uśmiechnęła się do niego. W kącikach jej oczu do- st rzęgl łyzy.

- Wiesz - powiedziała, opierając głowę na ramieniu starego przyjaciela - najgorsze jest to, że nie wiem, czy Imała jeszcze żyje. Być może zabiły ją gorguny albo myśliwi.

- Jestem pewien, że przeżyła - odparł krasnolud. - Jest tak silna i sprytna. Na pewno nie dała się złapać. Jeszcze się nie narodził myśliwy, który byłby w stanie upolować taką wilczycę, mogę na to postawić moją białą brodę.

- Mam nadzieję.

Zamilkli, wsłuchując się w kojące odgłosy nocy. Alea wciąż opierała głowę na ramieniu krasnoluda. Słyszała bicie jego serca. Tego dobrego serca.

Nagle rozległ się trzask. Mjolln podskoczył. Alea odwróciła głowę.

To był Tagor. Spozrzegł ich i zmierzał w ich stronę. Był Tuathannem, więc gdyby tylko chciał, podszedłby, nie czyniąc najmniejszego hałasu, ale nie chciał ich zaskoczyć. Alea powitała go z uśmiechem.

- Kiedy widzę piękno nieba - powiedział, siadając przy siostrze - te tysiące gwiazd, zastanawiam się, jak nasi ojcowie mogli się zdecydować na życie pod ziemią.

- A tak, musiało im tego brakować - odpowiedział Mjolln. - Wiesz, że jest na niebie jedna gwiazda, której nadałem imię Alea, dawno temu, kiedy poznałem twoją siostrę?

Tuathann uśmiechnął się.

- To doskonały pomysł. Alea. Gwiazda. Doskonały pomysł.

Po czym odwrócił się do niej.

- Więc jak, siostrzyczko, podjęłaś decyzję?

Alea przytaknęła.

- Tak. Zostaję z wami. Pójdziemy do Tarnei.

- Tuathannowie podążą za tobą, dokądkolwiek się udasz.

- Pewnego dnia będę musiała was opuścić, Tagorze. Są rzeczy, które muszę zrobić sama.

- Wiem - odpowiedział Tagor. - Ale tego dnia będziesz musiała odejść w tajemnicy, bo moi bracia nigdy się nie zgodzą, by zostawić cię samą.

- Jestem wam wszystkim bardzo wdzięczna, Tagorze.

- Jesteśmy ci to winni. Nasz lud wygnał niegdyś twoją matkę i z naszej winy dorastałaś bez rodziców. Chcemy naprawić ten błąd. Jesteśmy twoją rodziną, siostrzyczko.

- Wiem, dziękuję.

Jedną ręką chwyciła dłoń brata, drugą krasnoluda i dała im znak, by wstali.

- Wracajmy do obozu. Będziemy potrzebowali snu.

## ŚMIERĆ WILKA

Przebudziła się, kiedy Erwan złożył pocałunek na jej czole.

- Wstawaj, panno Cathfad, musimy ruszać w drogę, a paru mieszkańców okolicznych wiosek chce się z tobą zobaczyć.

Alea przetarła oczy, przeciągnęła się i uśmiechnęła do magistela. Po wczorajszej rozmowie z Mjollnem i Tagorem, nareszcie spokojna, zasnęła głęboko.

- Już idę - obiecała.

Magistel kiwnął głową i zostawił ją samą, by mogła się przygotować. Kilka chwil później Alea stanęła przed dziesięcioma ludźmi, którzy czekali na nią przed namiotem.

Słońce zaczęło już swą wędrówkę po niebie, rzucając długie cienie na połacie żółtych traw. W dole miasteczko Chlullyyn budziło się do życia, ludzie wychodzili z domów, otwierali warsztaty i sklepiki, ustawiali stragany. Chłopi szli w pole, prowadząc woły ciągnące wozy.

Obóz również tętnił życiem. Tuathannowie i Rycerze Ziemi pakowali swe rzeczy, przygotowywali tobołki. Niektórzy robili nowe pochodnie, inni ostrzyli broń.

Oczekujący na spotkanie z Aleą czuli się nieco zagubieni pośród tego zaskakującego zgiełku.

- Pani - zaczął jeden z nich, widząc, że Alea do nich podchodzi - przyszliśmy prosić cię o przysługę.

Alea skinęła głową z uśmiechem. Dotąd nikt nie zwracał się do niej w ten sposób i wydało jej się to dosyć zabawne.

- Słucham was.

- Nie jest nas wielu - ciągnął - ale chcielibyśmy wstąpić do twojej armii.

Przyglądała się im. Byli to głównie młodzi mężczyźni, niewiele starsi od niej, ale ciężka praca w polu sprawiła, że nabrali krzepy. Była też między nimi jedna kobieta, na oko dwudziestoletnia.

Zaskoczona Alea podeszła do niej. Była to piękna dziewczyna, średniego wzrostu, o ciemnych, krótko obciętych włosach. Stała wyprostowana, z rękami skrzyżowanymi z tyłu.

- Ty też chcesz wstąpić do mojej armii? - zdziwiła się.

- Oczywiście - obruszyła się dziewczyna. - A czemu nie? Kobietom wstęp wzbroniony?

Alea nie mogła powstrzymać śmiechu. Wpadła we własne sidła.

- Nie, nie. Po prostu będziesz się czuła nieco osamotniona pośród tych wszystkich rycerzy...



- To chyba tak samo jak ty? - odparła dziewczyna.  
Alea pokiwała głową. Ta panna była wystarczająco zadziorna, by poradzić sobie w męskim towarzystwie.  
- Jak ci na imię?  
- Pansora.  
- I potrafisz się bić?  
- Lepiej niż te głupki - odpowiedziała, wskazując pozostałych chętnych. - Kiedy byłam mała, wędrowni aktorzy nauczyli mnie rzucać nożami i od tamtej pory nie przestawałam ćwiczyć. Posługuję się bronią dużo lepiej niż mężczyźni!  
- Rozumiem. Ale rzucanie nożem do celu z drewna to nie to samo, co celowanie w człowieka, który mógłby być twoim bratem, wiesz?  
- Pani, dobrze słuchałam tego, co mówiłaś wczoraj. Myślałam o tym przez całą noc i podjęłam decyzję: chcę ci towarzyszyć.  
- Dlaczego?  
- Po pierwsze, dlatego że to, co o tobie mówią, sprawia, że chcę wesprzeć cię w twojej walce, a po drugie, dlatego że... że bardzo podobała mi się twoja reakcja na wiadomość o polowaniach na wilki...  
- To wystarczyło, byś chciała się bić? - zdziwiła się Alea.  
- To wystarczyło, bym nabrała do ciebie zaufania. A jeśli uznałaś, że Gaelia potrzebuje, byśmy o nią walczyli, to chcę być jednym z twych wojowników.  
Alea wyciągnęła do niej rękę.  
- Witaj pośród nas - powiedziała po prostu.  
Później poprosiła nowo przybyłych, by poszli do Erwana, który da im broń i wskaże miejsce w pochodzie. Kolejni ochotnicy... Alea nauczyła się już akceptować, że ludzie chcą się przyłączyć do jej armii. To nadawało sens jej walce. Dawało nadzieję.  
Kiedy wszyscy byli już gotowi, armia wyruszyła na północny wschód. Do Tarnei była jeszcze długa droga, a Alea miała cichą nadzieję, że uda im się zatrzymać na chwilę w Saratei, miasteczku jej dzieciństwa.

\*

Mistrz Jehan rozkazał naganiaczom, by ustawili się w szeregu. Wieśniacy wykonali polecenie i z kijami w rękach czekali, aż łowczy da znak, by rozpocząć nagonkę. Czterech psiarczyków stało przed linią naganiaczy, na skraju lasu. Psy zaczynały się niepokoić. Z pewnością wyczuły już zwierzynę.

Kiedy Jehan zobaczył, że wszyscy są gotowi, chwycił róg, który miał przypięty do pasa, i zagrał. Na ten sygnał psy zostały spuszczone ze smyczy i poszły w las niczym strzały wystrzelone z łuku, z pyskami nisko przy ziemi, szukając tropu wilków.

Za psami ruszyli naganiacze i zagłębili się w las. Nie można było dopuścić, by wilki przeszły linię nagonki.

Był to las mieszany, w którym rosły przeróżne gatunki drzew: buki, dęby, brzozy, a nawet kilka wiązów. Ziemię pokrywał dywan opadłych liści, które zaczynały się już rozkładać, mech porastał kamienie i wystające korzenie drzew. Gałęzie drzew, szukając odrobiny słońca w tej gęstwinie, wyciągały się wysoko ku górze.

Jehan przyspieszył kroku, zostawiając za sobą długi szereg naganiaczy. Chciał dogonić psy, które zdążyły się jednak znacznie oddalić. Powinien był zostać z chłopami i dopilnować nagonki, ale wolał iść sam, by obserwować pracę sfory. W tej chwili tylko to go interesowało. Żywił bowiem nadzieję, że pewnego dnia pan de Gorbon mianuje go zarządcą psiarni. Miał gdzieś tych głupich wieśniaków. Niech sobie radzą sami.

Kiedy miał już pewność, że naganiacze go nie widzą, zaczął biec. Nie było to łatwe, gdyż miejscami las był tak gęsty, że musiał szukać innej drogi. Psy przechodziły przez miejsca, które dla niego były niedostępne. Czasami gubił ich ślad. Potem nagle zauważał poruszenie wśród zarośli, słyszał szczekanie lub warczenie i znów ruszał. Trudno było stwierdzić, czy psy znalazły trop. Polowanie na wilki było z pewnością najtrudniejsze ze wszystkich, bo zwierzęta te są równie przebiegłe, jak zwinne.

Wilki znały wiele podstępów, by wyprowadzić psy w pole. Należała do nich „zmyłka”, która polegała na zapuszczeniu się na terytorium zamieszkałe przez inne zwierzęta, aby zmylić ślady, „skok do wody”, kiedy wilki przepływały rzekę lub nawet jezioro. Psy gubiły wtedy trop i traciły okropnie dużo czasu, by go znowu odnaleźć. Wilki były tak przebiegłe, że potrafiły wrócić po swoich śladach i odbić w innym kierunku, tworząc w ten sposób dwie ścieżki, na których psy się rozdzielały.

Ale przede wszystkim wilki potrafiły bardzo szybko biec, nie zawsze na długi dystans, ale wystarczająco, by odsądzić się od goniącej sfory: w jednej chwili tak bardzo przyspieszały i zostawiały psy tak daleko za sobą, że te gubiły ich zapach. Musiały wtedy znowu szukać tropu, węsząc przy ziemi i zwalniając bieg.

Mistrz Jehan nagle zobaczył, że psy w końcu znalazły ślad. Zaczęły coraz głośniejsze i coraz częściej szczekać, słyszał, jak przedzierają się przez zarośla. Przyspieszył kroku, by coś zobaczyć. Zobaczyć, jak zachowują się psy. Zobaczyć, czy naprawdę znalazły wilka, czy niestety gonią jakieś inne zwierzę. Pot spływał mu z czoła, więc zdjął swój skórzany kaptur, czego nigdy nie robił publicznie, tak bardzo się wstydził swej zdeformowanej twarzy, otarł pot i pobiegł na północ.

Nagle, kiedy szczekanie było coraz głośniejsze, Jehan zauważył gwałtowny ruch za drzewami w oddali. Przyspieszył, by dostrzec, co się tam dzieje, i zobaczył niezwykłą scenę. Przebiegł tamtędy wilk, goniony przez trzy psy, i Jehan widział, jak zwierzę gwałtownie zmienia kierunek, by zmylić pogoń.

Naganiacz biegł tak szybko, jak potrafił, by nie stracić zwierząt z oczu, jednak wkrótce został daleko w tyle, a wilk i psy zniknęły pośród drzew. Gdyby tylko miał łuk! Może udałoby się mu ustrzelić zwierza. A gdyby wieczorem stanął przed panem z ciałem wilka na plecach, być może zasłużyłby na wymarzony awans!

Ale na razie był tylko naganiaczem i musiał się zadowolić kijem.

\*

Po trzech dniach armia Alei dotarła w okolice miasteczka, które dziewczyna rozpoznała z daleka. Miasteczka, które tak dobrze znała. Jego dachy, kominy... obraz tak wyraźny w jej wspomnieniach. Saratea. Od rana Alea nie odezwała

się do nikogo ani słowem. Ze wzruszeniem patrzyła na wrzosowisko i pagórkowaty krajobraz. Spędziła tu tyle czasu! Tyle razy uciekała tu z miasteczka, by w końcu i tak zawsze do niego powrócić, jakby nie mogła się oprzeć czarowi jego wąskich, ciemnych uliczek. Wydawało się jej, że rozpoznaje każde drzewo, każdy kamień, niczym szczegóły obrazu, który co wieczór ogląda w sekrecie.

Trawy ustąpiły miejsca piaskom wrzosowiska i spod stóp rycerzy zaczęły się unosić tumany kurzu. Na północnym zachodzie las Sarlia złocił się kolorami jesieni.

Alea dała się ponieść nostalgicznym wspomnieniom. Kilka kroków stąd było miejsce, w którym znalazła pierścień Samilda- nacha na palcu Ilvaina Iburana. Miejsce, w którym wszystko się zaczęło.

Rozejrzała się dookoła. Nikt nie mógł zrozumieć, co w tej chwili czuje. Nawet Mjolln, a spotkała go kilka dni po tym wydarzeniu. Jedyńm, który mógłby dzielić z nią ten moment, był Felim, człowiek, którego nie zdążyła nazwać ojcem.

Alea westchnęła ciężko. Spróbowała nie myśleć o przeszłości i skupić się na tym, co działo się tu i teraz. Czy raczej na tym, co miało nadejść. Odwróciła się i zobaczyła za sobą Finghina. Druid wciąż uczył Mjollna triad bardów. Krasnolud znał już prawie wszystkie, zostało mu już tylko zrozumieć ich sens, co nie było najłatwiejszą częścią nauki, o czym mógł zaświadczyć młody druid.

Alea uśmiechnęła się do siebie. Chciała się tym cieszyć, tymi drobnymi rzeczami. Była szczęśliwa, patrząc na swych przyjaciół. Wiedziała, że te chwile są bardzo cenne, że kiedyś będzie je wspominać z radością.

Nagle Erwan dał rozkaz, by się zatrzymać. Potem podszedł do Alei i zapytał:

- Podjęłaś decyzję? Chcesz, byśmy się tu zatrzymali? W twoim miasteczku?  
- Nie jestem pewna - wyznała dziewczyna ze smutkiem. - Nie ma już tam tych, których chciałabym zobaczyć. Lecz mam tyle wspomnień... Jednak stracilibyśmy w ten sposób dużo czasu.

- Możemy sobie pozwolić na postój tutaj, Aleo. A jeśli chcesz, możesz pójść do miasteczka sama.

Ich rozmowę przerwał zziąjany młody rycerz.

- Panie generale - wtrącił nieśmiało - z północy nadciągają jacyś ludzie!

Erwan odwrócił się, marszcząc brwi.

- Zbrojni? - zapytał.

- Nie wydaje mi się. Sądzę raczej, że to zwykli wieśniacy. Ale jest ich bardzo wielu, mają konie, wozy...

- Może to wędrowni aktorzy? - zapytała Alea.

- Nie, raczej nie.

- Natychmiast wyślijcie zwiadowcę - nakazał Erwan.

Młody mężczyzna skinął głową.

Erwan dał rycerzom rozkaz, by się przegrupowali i przygotowali broń. Nawet jeśli to nie oddział wojska, nie można było mieć pewności, że to nie zasadzka. Erwan nauczył się od ojca, by być czujnym w każdej sytuacji.

Zwiadowca szybko powrócił. Alea i jej przyjaciele słuchali jego wyjaśnień.

- To mieszkańcy Tarnei i jej okolic - mówił zziąjany, z trudem łapiąc oddech.  
- Mówią, że uciekli po ataku Rycerzy Płomienia.

- Harcourt? - zdziwiła się Alea. - Tak szybko?

Krzyknęła z wściekłości i ruszyła na spotkanie mieszkańców Sarre. Erwan dał znak pozostałym, by także podjęli marsz i skierowali się w stronę uciekinierów.

Alea szybko do nich dotarła i nie czekając na przyjaciół, zaczęła przepytywać biednych ludzi.

Było ich około stu: kobiety, mężczyźni, dzieci, młodzi i starzy, chłopci i handlarze, ludzie wszystkich stanów. W ich oczach czaił się ten sam strach. Ich skóra, ubrania, tobołki spakowane naprędce i wrzucone na wozy pokryte były kurzem. Musieli uciekać w wielkim pośpiechu, przebyli wrzosowisko tak szybko, jak się dało, i sądząc po ich zmęczeniu, nie mieli ani chwili odpoczynku.

- Co się stało? - zapytała Alea raniej więcej trzydziestoletnią kobietę trzymającą na postronku osła obciążonego ciężkimi pakunkami.

- Ty jesteś Alea? - zapytała uciekinierka, patrząc na nią szeroko otwartymi oczami.

- Tak. Co się stało?

Na twarzy kobiety i kilku osób stojących dookoła pojawił się uśmiech, jakby spotkanie z Aleą w tym miejscu sprawiło, że odzyskali nadzieję, jakby pierwszy raz od czasu ich tragicznej ucieczki wreszcie zaświeciło dla nich słońce.

- Przybyli zeszłej nocy. Podobno hrabia nie zgodził się ich przyjąć, nie chciał negocjować. Więc zaatakowali.

- Ilu ich było?

- Trzy albo cztery tysiące, tak nam powiedziano, może więcej, a wszyscy dosiadali koni. Dowodził nimi generał Dancray. Podobno to najstraszniejszy generał z Harcourt...

- I armia hrabstwa nie stawiała im oporu?

- Nie zdążyła. Rycerze Płomienia są przerażający, panienko. Mordowali na oślep, wyrzynając mieszkańców Tarnei, bez względu na to, czy byli to rycerze, czy nie. My zdążyliśmy uciec. Wielu z nas jest rannych albo poparzonych. Podpalili nasze domy. Nie widziałam wszystkiego, uciekłam, nim to się skończyło. Straciłam męża... Nie miałam odwagi, by tam zostać. Do tej pory na pewno zdobyli już zamek.

Jej oczy błyszczały, mówiła coraz szybciej, a głos jej się łamał i momentami przechodził w szloch.

- Musicie coś zrobić, chcemy odzyskać nasze ziemie. Musicie nas pomścić!

Alea podeszła do kobiety i wzięła jej dłonie w swoje.

- Uspokój się, pani. Znajdziemy jakieś rozwiązanie.

Odwróciła się do Erwana, który pojawił się przy niej.

- Rozbijmy obozowisko pod Sarateą. Opatrzmy tych biedaków. Udam się dziś wieczorem do Saratei. Będziemy potrzebowali ludzi i koni.

Wilk jednym susem przesadził szeroki pień martwego drzewa, który zagradzał mu drogę. Mimo zmęczenia był jeszcze w stanie skoczyć wysoko i daleko, pchany przez coraz głośniejsze i bliższe ujadanie psów.

Był to młody wilk o szarej, nakrapianej czarno-rudymi plamkami sierści. Goniony przez psy, oddalił się od swojej watahy i zgubił w tej części lasu, której nie znał. Dwukrotnie udało mu się zmylić pogoń, ale sprytni myśliwi odnaleźli jego ślad, co gorsza, wydawało się, że się wymieniają, by zachować siły i nie zwalniać biegu, podczas gdy on był już u kresu sił. Psy były tak

blisko, że czuł ich zapach, a kiedy odwrócił głowę, zobaczył ich czarne i brązowe sylwetki między drzewami i w zaroślach.

Kolejny raz zmienił kierunek, by zagłębić się w jeszcze większą gęstwinę. Ale pogoń była coraz bliżej. Uciekał z wywieszonym językiem, lecz tracił prędkość, a każdy kolejny skok nad coraz częstszymi przeszkodami był trudniejszy i wymagał więcej wysiłku. Nagle, gdy próbował przeskoczyć nad stertą liści, gałęzi i kamieni, zahaczył łapą o splątane łodygi i stracił równowagę.

Wilk upadł na bok i kilka razy przekoziołkował po ziemi, nim udało mu się podnieść. Na szczęście nie złamał sobie łapy, ale stracił mnóstwo czasu i psy niemal go dopadły. Gnał ile sił w nogach. Drzewa migwały po bokach, jego łapy zdawały się ledwie dotykać zaścielonego liśćmi podłoża. Z położonymi uszami i wyciągniętą szyją przecinał powietrze niczym strzała. Jednak ujadające psy były coraz bliżej. Wkrótce usłyszał za sobą ich oddechy i powarkiwanie. Były o krok od niego.

Pogoń trwała już cały dzień, a psy, doskonale wyszkolone, nigdy nie dawały za wygraną. Miały jeden cel: zmęczyć ofiarę.

Kiedy wilk zrozumiał, że nie może już dalej uciekać, odwrócił się gwałtownie i warcząc, wyszczerzył kły. Z najeżoną sierścią i wygiętym grzbietem starał się wyglądać na potężniejszego i groźniejszego, niż był w rzeczywistości.

Psy natychmiast się zatrzymały, a po chwili okrążyły wilka. Wszystkie ujadły i przyskakiwały do niego, a on przykucał i warcząc z podniesionymi wargami, spod których wystawały zęby, przygotowywał się do walki. Ale psy jeszcze nie atakowały, tylko ujadły coraz głośniej, zbliżając się do ofiary.

W pewnej chwili wilk spróbował ucieczki po raz ostatni. Uskoczył w bok, tam gdzie przeciwnicy zostawili odrobinę miejsca. Zdążył jednak zrobić ledwie kilka kroków, gdy nie wiadomo skąd skoczył na niego pies.

\*

Większość mieszkańców Saratei powitała Aleę jak bohaterkę, wiwatując na jej cześć, gdy tylko weszła do miasta. Niektórzy brali ją nawet w ramiona.

Rozpoznała wiele osób, z którymi chętnie wyrównałaby rachunki, ale nie był to czas na zemstę, a poza tym było też wielu mieszkańców miasteczka, którzy mogliby wypomnieć jej liczne kradzieże... Ona też miała sobie wiele do zarzucenia.

Erwan i Tagor próbowali, z mniejszym czy większym powodzeniem, trzymać ten rozhisteryzowany tłum na dystans, a Alea zmuszała się do uśmiechu, by przynajmniej okazać swą wdzięczność. Jednak nie mogła odpowiedzieć na wszystkie pytania, które jej zadawano. Kiedy w końcu mieszkańcy miasteczka uspokoili się trochę, zapytała:

- Gdzie jest kapitan Fahrio? Chciałabym z nim pomówić!

W tłumie zapanowało poruszenie. Ludzie się rozstąpili. Alea od razu rozpoznała dowódcę straży. Wciąż nosił skórzaną zbroję, a na jego plastronie widniała jaskółka, herb hrabstwa Sarre.

- Dzień dobry, kapitanie - rzekła.

- Zmieniłaś się nie do poznania, Aleo - odpowiedział, przyglądając się dziewczynie.

- Musimy spokojnie porozmawiać - powiedziała pospiesznie.

Kapitan skinął głową.

- Chodźmy do koszar - zaproponował.

Rozkazał mieszkańcom miasteczka, by się odsunęli, i skierował się w stronę wielkiej bramy. Erwan i Tagor szli z tyłu, eskortując Aleę, i wkrótce cała czwórka znalazła się w cichych koszarach, z dala od ciekawskich spojrzeń mieszczan.

Fahrio zaprosił ich, by usiedli przy wielkim stole w głównej sali. Bram Saratei pilnowało na stałe tylko trzech strażników, oprócz kapitana, w koszarach mieszkało więc czterech ludzi, ale przeznaczone były dla większej liczby rycerzy, więc miejsca nie brakowało.

- Ostatnim razem, gdy cię tu widziano - zaczął Fahrio - uciekałaś jak złodziejka... Prawdę mówiąc, byłaś złodziejką...

Alea uśmiechnęła się do niego.

- To nie do końca prawda. Ostatni raz, gdy mnie tu widziano, pracowałam w gospodzie Tary i Kerryego...

- Racja, pod koniec odkupiłaś nieco swoje winy. Tak czy inaczej nigdy bym nie pomyślał, że pewnego dnia wrócisz, a mieszczanie powitają cię, jakbyś była królową Galacji...

- Przecież królowa Galacji też pochodzi z tego miasteczka! - odparła Alea.

Fahrio nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Tak, to prawda! Saratea to jednak bardzo wpływowo miasto, nie sądzisz?

- Kapitanie, bardzo bym chciała mieć czas, by porozmawiać z tobą o wszystkim, ale niestety nie po to tu przyszedłam. Wiele ci zawdzięczam. Tego dnia kiedy znalazłam pierścień i sprzeczałam się z Almarem, doradziłeś mi, bym poszła do Tary i Kerryego, i to zmieniło moje życie. Rozmawiałeś ze mną jak z dorosłą, zaufałeś mi, i choć wtedy tego nie wiedziałam, bardzo wiele mi to dało. Dziękuję.

- Nie ma za co, Aleo. Robiłem tylko to, co do mnie należało...

- Tak czy inaczej, jestem tu dzisiaj, by prosić cię o pomoc. Czy wiesz, co się dzieje w Tarnei?

- Nie - przyznał kapitan, marszcząc brwi.

- Harcourt najechało i zajęło naszą stolicę.

Dowódca straży wytrzeszczył oczy.

- Kiedy? - zapytał z niedowierzaniem.

- Wczoraj. Rycerze Płomienia zaatakowali zamek Albatha Ruada.

- Na Mojrę! - wykrzyknął.

- Właśnie zmierzałam do Tarnei ze swoją... ze swoją armią. Ale liczy ona tylko pięciuset ludzi, podczas gdy Rycerzy Płomienia było co najmniej trzy tysiące.

- Tylko trzy tysiące? Wysłali tylko trzy tysiące ludzi, by zająć naszą stolicę?

- Tak, i wiele to mówi o szacunku, jakim darzą armię Sarre. Niestety, trzeba przyznać, że mają rację...

Kapitan westchnął ciężko. Nie chciał w to wszystko uwierzyć i wyglądał na bardzo przygnębionego. W końcu on też należał do armii hrabstwa Sarre.

- Kapitanie Fahrio, przedstawiam ci Tagora. Jest przywódcą ostatnich Tuathannów i moim bratem.

- Twoim bratem?

- Moim przyrodnim bratem. Mieliśmy jedną matkę.

- Znasz swoją matkę? - nie przestawał się dziwić kapitan.

- Mniej więcej. Pewnego dnia wszystko ci wytłumaczę, kapitanie. W tej chwili to nie jest ważne. Oto Erwan Al'Damana...

- Jesteś synem Galiada Al'Damana?

- Tak - odpowiedział magistel z uśmiechem.

- A więc to wszystko, co o tobie opowiadają, Aleo, to nie tylko plotki! Nie do wiary! Ludzie mówili, że przyłączyli się do ciebie Tuathannowie i że podróżujesz w towarzystwie niezwykłych ludzi, w tym syna Al'Damana... Mówiono także, że jest z tobą jeden z Wielkich Druidów z Sai-Miny, to prawda?

Tak, Finghin. Wkrótce go poznasz. Kapitanie Fahrio, chciałam się z tobą zobaczyć, abyś pomógł mi zwerbować więcej ludzi, byśmy mogli wyzwolić Tarneę. Z pięciuset ludźmi, nawet jeśli niektórzy z nich są walecznymi Tuathannami, nie mam żadnych szans.

Kapitan wolno pokiwał głową.

- Zwerbować ludzi... Nie ma tu zbyt wielu rycerzy. W Saratei jest nas tylko czterech, w sąsiednich miasteczkach jest podobnie, zdajesz sobie z tego sprawę...

- W okolicy jest jakieś pięć miasteczek, a to już daje dwudziestu doświadczonych rycerzy. Lepsze to niż nic, a poza tym jestem pewna, że znajdziemy wielu ludzi gotowych do walki.

- Nie zrobisz z nich rycerzy z dnia na dzień!

- W chwilach takich jak ta, kiedy trzeba ocalić nasze hrabstwo, każdy musi być gotowy, by chwycić za broń. Cokolwiek mówią oszczercy, ludzie tutaj są odważni, a z pomocą Rycerzy Ziemi szybko nauczą się tego, co najważniejsze. Większość moich wojowników to prości chłopci, którzy zaciągnęli się do mojej armii z własnej woli.

- Rozumiem... Nie sądzę, aby to się na wiele zdało, ale pomogę ci zwerbować Sarreńczyków z tego regionu i bez trudu przekonam rycerzy z innych miast, jeśli twoim celem jest naprawdę oswobodzenie naszej stolicy.

- Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć, kapitanie.

Fahrio westchnął.

- Wolałbym cię zobaczyć w innych okolicznościach. Ale i tak jestem szczęśliwy. I dumny z tego, co robisz. Ludzie tutaj wciąż o tobie rozprawiają. Mówią, że odmienisz ich życie. Że odmienisz życie nas wszystkich...

- Nie mów mi takich rzeczy, to wprawia mnie w zakłopotanie - wyznała Alea z uśmiechem.

Erwan puścił do niej oko.

- Zaczekajcie - powiedział nagle Fahrio, kiedy szykowali się już do wyjścia.

- Aleo, kiedy chcesz zaatakować Tarneę?

- Nie chcę atakować Tarnei, kapitanie. Chcę ją wyzwolić!

- Tak. Oczywiście... Mam nadzieję! Kiedy?

- Jak najszybciej. Jutro, pojutrze...

- Może warto by poczekać, w Sarban stacjonuje czterystu rycerzy Sarre.

Alea skrzywiła się.

- Czterystu rycerzy? - powtórzyła. - To liczba nie do pogardzenia. Ale czas jest dla nas cenny... Może moglibyśmy wysłać do nich posłańca z prośbą, by dołączyli do nas jak najszybciej w Tarnei.

- Jeśli to rycerze Sarre, bardzo możliwe, że hrabia Albath Ruad zawiadomił ich, że został zaatakowany. W tym wypadku są już w drodze do Tarnei - zauważył Erwan.

- Zobaczymy - rzekła Alea.

- Kapitanie - ciągnął Erwan - cała armia Sarre nie była przecież zamknięta w Tarnei. Jeśli jest garnizon w Sarban, są też pewnie inne.

- Nie na zachodzie hrabstwa. Choć może się to wydawać niewiarygodne, po tej stronie wyspy nigdy nie stacjonowało zbyt wielu rycerzy. Z tej strony nigdy nie było żadnej inwazji. Większość rycerzy Sarre znajduje się w centrum i na wschodzie.

- Szkoda. Miejmy nadzieję, że zostali powiadomieni i że zmierzają na ratunek stolicy...

- Może lepiej, żeby reszta kraju nie została bez obrony - odparł kapitan. - Nie wiadomo, czy Harcourt nie wysłał nowych wojsk, by zajęły też mniejsze miasta.

- Trzeba być czujnym, ale sądzę, że wysłali tylko trzy tysiące ludzi, ponieważ chcą zatrzymać resztę swojej armii na wypadek konfrontacji z o wiele groźniejszym wrogiem: Galacją.

\*

Germain de Gorbon po raz pierwszy w życiu uczestniczył w obławie na wilki. W przeciwieństwie do większości gaelijskich możnych, nigdy nie interesował się ani polowaniami, ani wojną, ani nawet turniejami rycerskimi, które organizowano na północy wyspy. Interesowała go głównie władza, więc uważał łowy za stratę czasu.

Jednak to polowanie miało zupełnie inne znaczenie. Jeśli rycerz Ultan pofatygował się aż tutaj, oznaczało to, że Mistrz obserwował z daleka jego poczynania. A jeśli istniał ktoś, kogo Gorbon nie chciał zawieść, to był to Maolmórdha.

Kariera Gorbona była dosyć niezwykła i tajemnicza. Bo ten galatyjski możny nie pochodził z rodziny szlacheckiej. I jeśli nikt nigdy nie poznał jego przodków, to dlatego, że skrzętnie ukrywał ich tożsamość.

Pewnego dnia przybył do tego biednego, południowego regionu Galacji i nikt nie wiedział, skąd przyjechał. Przepętny ambicjami, podstępem przekonał spokojnych mieszkańców biednych okolicznych miasteczek i wiosek, że jest szlachetnie urodzony. Udzielając dobrych rad i rozwiązując spory okolicznych chłopów, zaskarbił sobie w końcu ich zaufanie. Lecz by osiągnąć swój cel i wybudować zamek, który dałby mu odpowiedni status, nie wystarczyła przebiegłość i dobra reputacja. Wtedy właśnie zwrócił się do jedyne go na wyspie sprzymierzeńca, który mógł mu w tym pomóc, w zamian wymagając jedynie wiecznego poddaństwa. Do Maolmórdhy, Strażnika Mrocznego Płomienia. Wystarczyło podpisać pakt i Gorbon otrzymał wszystko, by się wybić i spełnić swe pragnienia. W krótkim czasie wykupił liczne posiadłości, zbudował swą siedzibę, przyciągnął nowych chłopów, a nawet kilku pomniejszych lenników.

A wszystko to za jedną przysięgę: zawsze służyć Mistrzowi.



Odkąd zaczął organizować łowy na wilki, mógł wreszcie dotrzymać przyrzeczenia. I nawet jeśli przerażało go okrucieństwo Ultana, Gorbon miał nadzieję, że Mistrz doceni gorliwość i uczestnictwo w tej wielkiej obławie.

Postanowił dołączyć do grupy łuczników, którą dowodził mistrz Saury, wielki łowczy. Z trudem nadążał za nimi na swym koniu, nieprzywykły do jeżdżenia po gęstym lesie. Trzeba było się schylać, by nie zahaczyć o gałęzie, odchyłać się w siodle do tyłu, gdy konie schodziły do rowów, i trzymać się mocno, gdy przechodziły do galopu, by z nich wyjechać.

Cały ranek i wczesne popołudnie spędzili, jeżdżąc po lesie w poszukiwaniu wilków, które nagonka miała przepędzić w ich kierunku. Ale żadne zwierzę się nie pojawiło i panu de Gorbon czas zaczynał się dłużyć. Bolały go plecy, a twarde siodło nie było zbyt wygodne.

Nagle usłyszeli ujadanie psów dobiegające z oddali.

- Zbliżają się! - wykrzyknął Saury, chwytając łuk. - Czy chcesz jechać przodem, panie?

- Nie, nie - odpowiedział de Gorbon bez wahania. - Wolę jechać za wami, wiecie, że nie mam doświadczenia w polowaniu.

Wielki łowczy potaknął z uśmiechem. Zapytał wyłącznie przez grzeczność.

- Za mną! - rozkazał, zmuszając swego konia do galopu.

Teraz zaczęło się prawdziwe polowanie. Konie świetnie знаły swoje zadanie i same kierowały się w stronę, z której dochodziło ujadanie psów. Pan de Gorbon kilka razy o mało nie spadł z siodła. Nawet nie próbował zdjąć z pleców łuku, przekonany, że i tak by nie trafił, i szczęśliwy, że może trzymać się grzywy swego konia dwoma rękami.

Z na wpeł zamkniętymi oczami i szczęką zaciśniętą do bólu marzył tylko o jednym: by ten szaleńczy wyścig się skończył.

W tym momencie wielki łowczy krzyknął, że widzi wilka. Konie mogły więc przejąć zadanie psów i gonić bardzo już zmęczone zwierzę.

Wilk zmienił kierunek ucieczki i skręcił na zachód, w gęste zarośla. Widać było, że ucieka już bardzo długo, i jeśli psy do tej pory go nie dopadły, to tylko dlatego, że same też zaczynały odczuwać zmęczenie. Ale konie były w pełni sił, a widok wilka zdawał się je dodatkowo podniecać.

Rankiem drugiego dnia zdecydowano zwinąć obóz i w końcu wyruszyć do Tarnei. Erwan, Tagor i Fahrio - którzy zwerbowali blisko stu mieszkańców Sarre i około pięćdziesięciu wojowników z regionu, dzięki czemu liczba Rycerzy Ziemi wzrosła do sześciuset pięćdziesięciu - z pewnością woleliby mieć więcej czasu, by przygotować wojsko i broń i lepiej przeszkolić tych, którzy nigdy nie walczyli na wojnie, lecz Alea nalegała, by nie tracili już ani chwili.

Nocą powrócił posłaniec z wiadomością, że garnizon z Sarban rzeczywiście był już w drodze do Tarnei i że możliwe będzie spotkanie w połowie drogi. Ponieważ było ich tylko czterystu, zdawali się zadowoleni, że znajdą po drodze sprzymierzeńców, którzy pójda z nimi do stolicy.

Tak więc jeszcze przed południem Armia Ziemi - tak zwano teraz wszystkich, którzy przyłączyli się do Alei, w tym Tuathannów - ruszyła w drogę do największego miasta hrabstwa Sarre. Mieszkańcy Saratei pożegnali ich, wiwatując, ale w ich oczach widać było niepokój. Nigdy jeszcze przyszłość hrabstwa nie była tak niepewna.

Saratejczycy dostarczyli Alei kilka koni, ale większość rycerzy musiała iść pieszo, więc wojsko nie poruszało się tak szybko, jak by życzyła sobie tego Alea.

Armia szła rażno aż do wieczora, nie zatrzymując się nawet na posiłek. Alea kazała zadowolić się zbieranymi po drodze jagodami i wyjaśniła, że poczekają z jedzeniem do wieczora. Podczas gdy trzej doświadczeni rycerze, Erwan, Tagor i Fahrio, doglądali poszczególnych formacji wojska, Alea jechała na czele z Kaitlin, Mjollnem i Finghinem. Przez cały dzień nie zamienili ani słowa, ale krasnolud zagrał na dudach kilka wesołych melodii, mając nadzieję, że odegra w ten sposób rolę barda zagrzewającego rycerzy do walki. Chociaż wcale mu się do tej walki nie spieszyło...

Kiedy słońce zaczęło chować się za horyzontem, Erwan pojawił się u boku Alei.

- Nasi zwiadowcy zobaczyli garnizon z Sarban, nieco na północ, niedaleko stąd.

- Doskonale! Wyślij do nich posłańca z wiadomością, by spotkali się z nami na tamtym wzgórzu - powiedziała Alea, wskazując palcem na wschód. - Myślę, że to godzinę drogi stąd. Rozbijemy tam obóz. Spieszmy się, ponieważ będziemy musieli wstać w środku nocy.

- Chcesz uderzyć przed wschodem słońca? - zapytał Erwan.

Alea przytaknęła.

- Czy to potrzebne? Na pewno już wiemy, że się zbliżamy. Jestem pewien, że wysłali wielu zwiadowców w okolice stolicy, i nie sądzę, by udało nam się zaatakować ich z zaskoczenia.

- Nie chodzi o to, by ich zaskoczyć, lecz by skorzystać z ciemności, Erwanie.

Magistel skinął głową. Nie miał najmniejszego zamiaru sprzeciwiać się jej w obecności rycerzy, zresztą ufał jej instynktowi. Zawrócił więc, by wysłać posłańca do garnizonu z Sarban.

Trochę ponad godzinę później Armia Ziemi dotarła na wzgórze, które wybrała Alea. Obóz rozbito na zachodnim zboczu, by nie być zbyt blisko wystawionym na widok zwiadowców ze stolicy. Dancray z całą pewnością wyśle szpiegów, to nieuniknione, ale nie należało ułatwiać im zadania.

Kiedy na miejsce spotkania dotarł także garnizon z Sarban, Alea poprosiła kapitana Fahrio, by przemówił do nich pierwszy, aby zdobyć ich zaufanie, po czym sama wyszła ich powitać. Została na swym koniu i siedząc w siodle, przywitała nowo przybyłych. Było ich dokładnie czterystu, nosili barwy hrabstwa Sarre i byli o wiele lepiej uzbrojeni niż większość towarzyszących dziewczynie wojowników. Stali w półkolu i z niecierpliwością czekali na słowa Alei.

Z pewnością słyszeliście o mnie - powiedziała głośno, by wszyscy ją usłyszeli.

- Połowa tego, co wam mówiono, to raczej nieprawda. Druga połowa może być prawdziwa. Ale w tej chwili powinniście o mnie wiedzieć jedno: chcę oswobodzić Tarneę.

Z szeregu wystąpił rycerz ze znakiem kapitana na hełmie. Alea domyśliła się, że jest to dowódca garnizonu.

- A więc w tym momencie mamy ten sam cel - powiedział mężczyzna, podchodząc do niej. - Ale co potem?

- To znaczy?

- Czy masz zamiar przejąć władzę? Bo jeśli tak, musimy o tym wiedzieć. Musimy wiedzieć, czy po prostu pomagamy ci wyzwolić Tarneę, czy w rzeczywistości prosisz nas, byśmy ci pomogli przejąć władzę nad naszym hrabstwem.

- Pokój interesuje mnie bardziej niż władza, kapitanie. Mam dziś o wiele więcej władzy, niżbym sobie życzyła, i gdybym mogła się jej pozbyć, z chęcią bym to zrobiła, choć może się to wydać niewiarygodne.

- Chwileczkę - wtrącił kapitan z Sarban, marszcząc brwi. - Musiałaś mnie źle zrozumieć. Nie obawiamy się, że przejmiesz władzę. Mamy taką nadzieję.

- Jak to? - zdziwiła się Alea.

- W czasie drogi mieliśmy dużo czasu na zastanowienie i dyskusję, pani. I wszyscy doszliśmy do tego samego wniosku. Jedyłą nadzieją dla Sarre jest twoje przywództwo. Chcemy walczyć o to, byś zajęła miejsce hrabiego, a nie by przywrócić na tron tego, który doprowadził nas do zguby!

Alea nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- A ja się bałam, że nie zechcecie się do nas przyłączyć! - wyznała. - Posłuchajcie, chcę być z wami szczerą. Nie, nie mam zamiaru przejmować władzy. Nie mam takich ambicji i mam nadzieję, że ktoś zrobi to za mnie. Chcę jednak bronić Sarre i oddam mą armię na usługi hrabstwa. Będziemy jeszcze mieli czas, by o tym porozmawiać. W tej chwili potrzebuję waszej pomocy i jeśli zechcecie wstąpić w szeregi Armii Ziemi, będę bardzo szczęśliwa.

- To dla nas zaszczyt! - zapewnił kapitan.

Patrząc na twarze stojących za nim ludzi, Alea widziała, że cały garnizon podziela jego uczucia.

\*

Wilk uciekał jeszcze tak długo, że pan de Gorbon miał wrażenie, iż trwa to wieki całe. Ale konie nie rezygnowały i zwierzęciu w końcu zabrakło sił. Z trzęsącymi się łapami, wywieszonym językiem i pianą na pysku, był już u kresu, zrozumiał, że nie ujdzie śmierci. W ostatnim przyływie brawury odwrócił się do swych prześladowców i zaczął warczeć, lecz bez większego przekonania.

Mistrz Saury natychmiast zatrzymał konia, pozostali poszli w jego ślady, także kasztelan, niezmiernie szczęśliwy, że galop wreszcie się skończył. Konie były jednak wciąż podniecone i zdawało się, że chcą podejść bliżej wilka.

Wielki łowczy wyjął strzałę ze swego kołczanu i naciągnął cięciwę łuku. Wilk, wyczuwając niebezpieczeństwo, zrobił kilka kroków do tyłu, ale było już za późno.

W jednej chwili strzała przecięła powietrze. Wilk uskoczył i ku wielkiemu zdziwieniu mistrza Saury uniknął strzały. Przerażone zwierzę odwróciło się i ponownie rzuciło się do ucieczki. Lecz nim zdążyło się oddalić, w powietrzu świsnęła inna strzała i wbiła się w jego bok.

Wilk zwałił się na ziemię, a jego szara sierść zaczęła spływać krwią.

- Brawo! - wykrzyknął Saury, machając do łowczego, który wypuścił strzałę po nim, i Saury zsiadł z konia.

Chwycił przypięty do pasa róg i zadał. Na ten sygnał pozostali myśliwi także stanęli przy swych koniach.

Germain de Gorbon, nieco oszołomiony, dołączył do pozostałych. Wilk jeszcze oddychał. Jego bok podnosił się z trudem i drżały mu jeszcze powieki. Pan de Gorbon skrzywił się na widok lepkiej krwi spływającej na zasłaną liśćmi ziemię.

Mistrz Saury podszedł do kasztelana i podał mu kij.

- Co to? - zaniepokoił się Gorbon, nie mając odwagi, by chwycić wyciągnięty w jego stronę przedmiot.

- Panie - wyjaśnił wielki łowczy - wilk jeszcze żyje, musisz go dobić. Ten honor przypada tobie.

- Dobić? - wykrzyknął Gorbon. - Tym? Dlaczego po prostu nie poderzniesz mu gardła?

- Mógłby ugryźć.

- No to możesz wystrzelić w niego jeszcze raz z łuku - odparł Germain.

- Zwyczaj każe inaczej, panie.

Kasztelan stał nieruchomo, w milczeniu. Popatrzył łowczemu prosto w oczy. I wyczytał w nich: „Jesteś panem na tych ziemiach, to ty zorganizowałeś to polowanie. Ty musisz go dobić. Twoi poddani nie będą cię szanować, jeśli nie odważysz się dobić tego zwierzęcia”.

I taka była prawda. Bez względu na to, jak odrażający wydawał mu się ten czyn.

Powoli wyciągnął rękę i chwycił długi kij. Przelknął ślinę i podszedł do zwierzęcia. Wszyscy myśliwi uśmiechali się do niego. Zachęcali go. Tymczasem nic nie mogło wzbudzić w nim większego wstrętu.

Przez całe swe życie Gorbon nigdy nie zabił. Nawet najmniejszego zwierzęcia. Ale dzisiaj nie miał wyboru. Wszystkie spojrzenia skierowane były na niego. Jeśli okaże słabość, jeśli mu się nie uda, ośmieszy się i straci cały autorytet. Widział, że wielkiego łowczego bawi ta sytuacja, co wprawiało go w jeszcze większą furję.

Ale nie miał wyboru.

Drżącymi rękami uniósł powoli kij nad dogorywającym wilkiem. Nabrał głęboko w płuca powietrza. Doskonale wiedział jaki, dziecinnie prosty, gest powinien wykonać, a jednak jakaś niewidzialna siła wstrzymywała jego rękę. Już teraz słyszał odgłos uderzenia. Jęk zwierzęcia. Być może trzask pękającej czaszki, tryskający strumień krwi. I myśl o tym go paraliżowała.

Moment zdawał się rozciągać w nieskończoność. Czuł na sobie spojrzenia myśliwych. Pogardę, która pojawi się w ich oczach, jeśli nie zdoła opuścić tego kija.

Najbardziej przerażała go myśl, że nie będzie miał odwagi, by uderzyć dostatecznie mocno. By mieć pewność, że zabije się zwierzę jednym ciosem, należało walnąć z całej siły. Bo najgorsze, co się może zdarzyć, to konieczność uderzenia jeszcze raz. Tymczasem wiedział, że nie ośmieli się użyć całej swej siły. Czuł z niczym nieporównywalny wstręt.

Łapami wilka wstrząsały drgawki. Kasztelan wzdrygnął się. Widział oczy zwierzęcia. To tam powinien celować. Tuż nad nimi, w górną część czaszki. Ale spojrzenie tych oczu było tak dojmująco smutne! Jakże mógł odebrać życie tej niewinnej istocie?

- Dalej, panie! - ponaglił go myśliwy stojący obok.

Gorbon wypuścił powietrze. Wolno opuścił kij nad czaszkę zwierzęcia, by przymierzyć się do uderzenia, po czym ponownie uniósł drąg do góry.

Uderzyć. Po prostu uderzyć. Prosty gest. Zamknął oczy, zacisnął zęby i pięści, po czym opuścił wreszcie wielki kij.

Uderzenie było brutalne. Kij zadrżał pod jego palcami. Krople krwi obryzgały mu twarz.

Jednak cios nie był wystarczająco silny. Germain otworzył jedno oko w momencie uderzenia i zobaczył, że wilk podskoczył. Jego łapy zaczęły jeszcze bardziej drżeć. Czaszka była wgnieciona, ale wilk wciąż jeszcze żył. I skomlał.

Gorbon skrzywił się z odrazą. Lament zwierzęcia był nie do zniesienia. Ale nie mógł się już wahać. Trzeba było uderzyć jeszcze raz. Znow uniósł drąg nad głową. Palce mu drżały. Czuł skurcz w brzuchu. Rzucił wielkiemu łowczemu spojrzenie pełne nienawiści, po czym uderzył zwierzę, tym razem z szeroko otwartymi oczami. A potem trzeci raz. Wilk ciągle się ruszał. Czwarty Piąty. Walił z całej siły, przepelnięty nienawiścią i odrazą. Gdy był już pewien, że wilk jest martwy, odrzucił kij i zrobił kilka kroków do tyłu.

Czuł mdłości. Fragmenty mózgu wypływały wraz z krwią z rozłupanej czaszki zwierzęcia. Kasztelan zamknął oczy, by powstrzymać łzy.

- Brawo, panie! - wykrzyknął wielki łowczy, klękając przy trupie wilka.

Saury wyciągnął ze swego worka wielki myśliwski nóż i zaczął dzielić zdobycz. Widać było, że ma w tym wielką wprawę. Rozłożył wnętrzności na rozciągniętej skórze wilka i dał się pożywić psom, później odciął przednią i tylną prawą łapę. Ostrze z trudem przebijało się przez mocne kości wilczych członków.

Kiedy skończył, podszedł z trofeum do pana de Gorbon.

- Proszę, panie - powiedział, podając mu dwie wilcze łapy - ten honor należy się tobie.

Lecz kasztelan odsunął się od zakrwawionego trofeum.

- Nie, dziękuję - odpowiedział. - Widziałem już dziś wystarczająco jak na jeden dzień!

## U WRÓT KAMIENNEGO MIASTA

Bely wszedł do wielkiego gabinetu królowej Galacji. Sługa czekający obok drzwi zaanonsował jego przybycie, lecz Amina siedziała w fotelu milcząca i nieruchoma. Zupełnie jakby nic nie słyszała. Sługa posłał Belyemu zakłopotane spojrzenie. Doradca gestem nakazał mu, by się oddalił. Sługa skłonił się i odszedł.

Bely westchnął ciężko. Już od wielu dni zachowanie królowej stawało się coraz dziwniejsze. Potrafiła spędzać całe godziny pogrążona w uporczywym milczeniu. Czasami słychać było, jak szepcze, jakby prowadziła cichą dyskusję z niewidzialnym rozmówcą.

Bely przeszedł przez gabinet i usiadł naprzeciwko królowej.

- Wzywałaś mnie, Wasza Wysokość? - zapytał, opierając dłonie o złoczone podłokietniki.

Amina nawet nie spojrzała w jego stronę. Wzrok wbijała w podłogę, zdawała się nie dostrzegać swego doradcy. Bely czekał w milczeniu. Odkąd została przyjęta do grona druidów, jej nastrój z dnia na dzień się pogarszał. Początkowo Bely obawiał się, że druidzi zajmą jego miejsce u boku władczyni, ale teraz jego niepokój miał zupełnie inny charakter. Czyżby królowa zaczynała popadać w obłąd?

- Czy drzwi są zamknięte? - zapytała Amina, nie podnosząc wzroku.

Bely, choć był pewien, odwrócił głowę, by sprawdzić.

- Tak, Wasza Wysokość, zamknięte.

- Czy to ty je zamknąłeś?

- Nie, sługa, kiedy wychodził.

- Zatem chciałabym, byś sprawdził, czy rzeczywiście są zamknięte. Bądź tak uprzejmy.

Bely wstał i podszedł do drzwi. Otworzył je i zamknął, starając się wykonywać te czynności na tyle głośno, by królowa mogła to usłyszeć.

Następnie wrócił na miejsce.

- Proszę, Wasza Wysokość, teraz są już dobrze zamknięte.

- Doskonale.

Potem znowu zapadło milczenie. Amina nie poruszała się, a jej wzrok był tak nieruchomy, że zdawało się, iż nawet nie mruga. Ale nie pierwszy raz Bely widział ją w takim stanie, więc próbował się nie niepokoić. Usiłował sobie wmówić, że wszystko jest w porządku.

- Czy słyszałeś, co mówią o Alei?

Doradca wyprostował się w fotelu i przełknął ślinę.

- Tak, oczywiście.

- Dlaczego „oczywiście”? - zdziwiła się królowa, podnosząc wreszcie wzrok na swego rozmówcę.

- Ależ... ponieważ w całym królestwie wiele się o niej mówi, Wasza Wysokość.

Amina pokiwała głową.

- Tak. Wiele się o niej mówi. Sądzisz, że ludzie znają Aleę lepiej niż mnie?

- Ty jesteś królową Galacji, pani! - odparł.

- To nie jest odpowiedź, Bely...

Doradca podrapał się w szyję.

- Ludzie znają cię, pani. Wiedzą, że jesteś królową i pierwszą druidką. A Alei tak naprawdę nikt nie zna, jest raczej legendą...

- Tak, być może. Ja ją znam - odparła Amina, znowu spuszczać wzrok.

Bely zamilkł. Słyszał plotki o tym, że Alea i Amina Salia, królowa Galacji, dorastały w tym samym miasteczku, ale nigdy nie przywiązywał do tego wagi.

- Byłam jej najlepszą przyjaciółką, wiesz? Byłyśmy nierozłączne, Bely. Byłyśmy sobie bliższe niż siostry bliźniaczki. Ale nie mógłbyś tego pojąć.

Westchnęła głęboko.

Bely splótł dłonie na wysokości ust, łokcie oparł na kolanach. Patrzył na królową. Próbował wykrzesać z siebie odrobinę współczucia. Chciał ją zrozumieć. Była taka młoda, a jednocześnie tak doświadczona przez życie.

Jej wygląd zmienił się, podobnie jak jej zachowanie. Nie czesała już swych długich jasnych włosów. Bywało, że przez wiele dni nie zmieniała szat. Nosila okropne, pogniecione suknie. Ona, taka delikatna! Tak pełna wdzięku! Ta, która przybywszy do pałacu w Providence, lubiła przechadzać się nago po tarasie, by pokazać mieszkańcom dworu, jak bardzo jest piękna. Tak bardzo chciałby zrozumieć...

- Amino - powiedział nieśmiało - Amino, co ci się stało?

Królowa wstała. Wsparta o fotel długo mierzyła doradcę wzrokiem.

- Saiman - wyszeptała w końcu.

-Tak?

- Druidzi mieli rację...

Zamknęła oczy i westchnęła głęboko.

- Nie mogę osiąść Saimana.

\*

Kiedy wszyscy już się posilili i gdy rycerze z garnizonu w Sarban dołączyli do grupy, Alea poprosiła Finghina, Erwana, Tagora i Fahrio o rozmowę na osobności.

- Tej nocy chcę się potajemnie dostać do Tarnei, by wy badać sytuację - oznajmiła uroczystym tonem. - Długo się wahałam, czy nie pojechać tam, nie uprzedziwszy was, ale pomyślałam, że kiedy odkrylibyście moją nieobecność, moglibyście wpaść w panikę. Wolę więc was uprzedzić o swych zamiarach i ewentualnie jeden z was może mi towarzyszyć.

- Chcesz szpiegować Dancraya? - zdziwił się Finghin. - To niezbyt ostrożne posunięcie. Czy nie moglibyśmy zamiast ciebie posłać dwóch rycerzy?

- Nie, Finghinie. Sądzę, że jestem najwłaściwszą osobą do tej misji.

- Doprawdy?

Alea westchnęła. Potoczyła wzrokiem po zebranych. Nie chciała dyskutować na ten temat. Miała już dosyć ciągłego tłumaczenia się i tego, że za każdym razem, gdy podejmowała jakąś decyzję, wszyscy chcieli ją chronić.

- Długo radziłam sobie sama, Finghinie, bez wojska. Zdarzyło mi się nawet szpiegować Radę, o czym doskonale wiesz. I dobrze na tym wyszłam...

- Rozumiem - odparł druid, krzywiąc się.

- A więc jadę do Tarnei. Nie ma o czym dyskutować.

- Pojadę z tobą, siostrzyczko - zaproponował Tagor.

- Ja też chciałbym ci towarzyszyć - dorzucił natychmiast Erwan.

- Znam Tarneę - wtrącił kapitan Fahrio. - Mógłbym ci służyć za przewodnika.

Alea zaczęła się śmiać.

- Tak jak myślałam. Teraz wszyscy chcecie jechać! Dziękuję, najmilsi, ale myślę, że lepiej będzie jechać we dwójkę...

- W takim razie - rzekł Finghin - najlepiej będzie, jak pojedzie z tobą Fahrio. Ponieważ zna miasto, zyskacie na czasie.

Alea przytaknęła.

- Przygotuj się do drogi, kapitanie.

Strażnik skinął głową i odszedł. Finghin i Tagor wrócili do obozowiska, ale Erwan został z Aleą. Objął ją i wyszeptał jej do ucha:

- Myślę, że nie trzeba ci przypominać, żebyś była ostrożna?

- Nie trzeba, ale to miłe uczucie wiedzieć, że komuś na mnie zależy...

- Nie brak ludzi, którym na tobie zależy, Aleo.

Uśmiechnęła się i pocałowała magistela, a potem odwróciła się i odeszła w stronę, w którą udał się Fahrio. W głowie miała już gotowy plan.

Oddalili się, najdyskretniej jak mogli, nie po to, by ukrywać się przed Rycerzami Ziemi, ale raczej by szpiegów, których najprawdopodobniej wysłał wróg, nie zauważyli ich odejścia.

Obydwoje byli odziani w ciemne szaty, a twarze poczernili sobie węglem. Trzymając konie za uzdy, odeszli na południe, by obejść strefę, w której mogli czaić się zwiadowcy. Gdy uznali, że są już wystarczająco daleko, dosiedli czarnych wierzchowców i pogalopowali w stronę stolicy.

Były to z pewnością najszybsze wierzchowce, jakie Sarreńczycy mogli zaoferować Rycerzom Ziemi, a wrażenie szybkości, które wywoływała ta nocna jazda, było upojne. Alea uśmiechała się. Wiatr wyciskał jej łzy z oczu, ale było jej wyjątkowo lekko na duszy. Rozglądała się wokoło, pilnując, by nie stracić równowagi. Po jej prawicy galopował Fahrio. Oprócz niego nie było nikogo. Ta samotność wcale jej nie ciążyła, wręcz przeciwnie. Czuła się wolna - bez armii, bez swych towarzyszy, bez odpowiedzialności za nich. Sama, choćby przez chwilę. Było to przyjemne uczucie: zapamiętać się w galopie i zapomnieć o tysiącu ludzi, których wiodła do walki. O tysiącach spojrzeń. O najgorszych wspomnieniach. O utraconych przyjaciółach... Zostawić to wszystko za sobą i upajać się chwilą. Był tylko wiatr. I tętent kopyt. Skrzypienie skóry. Głuche uderzenia serca.

To było jak sen. Nagle Fahrio ściągnął wodze swego wierzchowca. Alea natychmiast zrobiła to samo. Konie zwolniły bieg.

Najpierw przeszły w stęp, a potem zatrzymały się, dysząc chrapliwie.

- Tarnea jest po drugiej stronie tego wzgórza - wyjaśnił kapitan. - Zostawmy tu konie i dalej chodźmy pieszo.



Alea natychmiast zeskoczyła z siodła. Kapitan poszedł w jej ślady, a potem przywiązał wierzchowce do drzewa.

Ostrożnie wspinali się na szczyt wzgórza. Byli jeszcze daleko od Tarnei, ale dookoła z pewnością znajdowało się pełno strażnic i lepiej było zachować czujność. Ich wyprawa była bardzo niebezpieczna. Alea nie mogła wpaść w łapy wroga. Armia Ziemi bez niej najprawdopodobniej uległaby rozproszeniu. Usiłując nie narobić zbyt wiele hałasu, szukali drogi, przemykając obok nielicznych skał tkwiących gdzieś na wzgórzu Puy.

W przeciwieństwie do innych stolic Tarnea nie została zbudowana na wzniesieniu, lecz w kotlinie otoczonej niewielkimi wzgórzami, z których można było podziwiać jej piękno.

Noc była wyjątkowo ciemna, ale było to na rękę Alei i kapitanowi, którzy chcieli podejść do miasta niepostrzeżenie. Wkrótce dotarli na szczyt wzgórza i zaczęli szybko schodzić zboczem.

Nagle ujrzeli stolicę. Mimo ciemności można było dostrzec morze dachów pokrytych falistymi dachówkami. Pośrodku rysowała się elegancka sylwetka wieży zamku w Tarnei. To wokół tego wiekowego budynku zbudowano miasto, które rozciągało się na północnym brzegu Cele. Później wzniesiono mury obronne, które okalały stare miasto. Nazwano je Quai. W miarę jak przybywało mieszkańców, trzy przedmieścia weszły w skład stolicy. Aujou na zachodzie, Pin na wschodzie, a od strony południowej przedmieście Martin leżące po drugiej stronie rzeki, łączyło się ze starym miastem poprzez most Griffoul.

- Jak myślisz, Fahrio, którą bramą najłatwiej nam będzie dostać się do miasta?

Kapitan zastanawiał się przez chwilę.

Dancray z pewnością zajął zamek. Tam musimy się z nim zmierzyć. A zamek znajduje się w południowej części miasta, tuż nad brzegiem Cele. Moglibyśmy zatem zaatakować od południa, gdyby nie to, że rzeka stanowi poważną przeszkodę. Nasi ludzie musieliby przejść przez most Griffoul, a tym samym staliby się łatwym celem. Nie. Sądzę, że lepiej będzie zaatakować od wschodu, od przedmieścia Pin. Jego brama znajduje się najbliżej zamku.

Alea przytaknęła. Nigdy nie była w stolicy, choć to tak niedaleko od jej miasteczka. Musiała zdać się na osąd kapitana.

- Jedyńm problemem - ciągnął Fahrio - jest kanał przecinający przedmieście, wiodący od Estang, na wschód od zamku, przez bramę Pin.

- Dlaczego stanowi problem?

- Zagrozi nam drogę, gdybyśmy musieli uciekać.

Alea skrzywiła się.

- A może przeciwnie, będzie naszym atutem. Pokaż mi ten kanał - poprosiła.

\*

Al mar Cahin przemierzał samotnie Gaelię, odrętwiała niczym istota, z której uchodzi życie. Jego twarz była trupio blada, spojrzenie niewidzące, a ruchy powolne, prawie nieskoordynowane. To Maolmórdha dokonał tej zmiany, czego Almar prawdopodobnie nie był świadom. Nogi niosły go same. Szedł bezmyślnie przed siebie.

Pierwszego wieczoru nie czuł zmęczenia. Nie mógł zasnąć i zdecydował się podjąć nocny marsz. A potem szedł bez wytchnienia cały następny dzień.

Drugiego dnia pod wieczór zdał sobie sprawę, że nic nie jadł. A jednak nie czuł głodu. Znowu nie mógł zasnąć. Oczy nie chciały się zamknąć. Ponownie ruszył w drogę.

Nigdzie się nie zatrzymywał, z nikim nie rozmawiał, nie czuł ani palących promieni słonecznych, ani zimnych podmuchów wiatru. Jego umysł zaprzętała jedna myśl: iść naprzód.

Jednakże po kilku dniach nieprzerwanego marszu padł na ziemię. Usiłował się podnieść, ale ciało odmówiło posłuszeństwa. Odczekał chwilę, leżąc z twarzą w piachu, a potem udało mu się wstać. Siedząc na ziemi, odruchowo potarł twarz. Gdy spojrzął na swą dłoń, zobaczył krew. Dotknął czoła i poczuł pod palcami lepkość. Upadając, rozbił sobie głowę. Ale niczego nie poczuł. Nie czuł bólu, jakby jego zmysły zniknęły, a on sam oddzielił się od własnego ciała.

W rzeczywistości jego ciało było skrajnie wyczerpane. Bez sił. Ale on tego nie czuł. Jego organizm potrzebował zbawczego snu. Ale on tego nie czuł. Jego wysuszone gardło domagało się chłodnej wody. Ale z tego też nie zdawał sobie sprawy.

Maolmórdha uczynił z niego istotę nieodczuwającą żadnych potrzeb. Żyjącą w martwym ciele. Gdy Almar wreszcie zrozumiał, co się stało, wybuchnął śmiechem. Śmiech przeszedł w kaszel i Czuwający zaczął pluć krwią.

Siedząc samotnie pośrodku wrzosowisk, zastanawiał się, czy nie oszalał. Nie odczuwał ani bólu, ani przyjemności. Tylko potrzebę marszu. Długo siedział na szarym piasku. Krew spływała mu z czoła i zalewała oko, tak że wkrótce nie był w stanie go otworzyć. Zdawało mu się, że świat wokoło wiruje.

Nagle wydało mu się, że dostrzegł dwóch jeźdźców, którzy galopują w jego stronę. Splunął na ziemię i stracił przytomność.

Kiedy się obudził, leżał na wąskim drewnianym łóżku, w czymś, co przypominało szałas pasterski. Człowiek stojący obok niego właśnie przygotowywał coś do jedzenia, a drugi, który siedział na ławie, drzemał.

Almar podniósł się. Zobaczył, że ma czyste ręce. Dotknął palcami czoła i wyczuł bandaż. Ci dwaj opatrzyli jego ranę.

- Lepiej leż spokojnie - poradził mu człowiek stojący obok paleniska. - Jesteś jeszcze słaby! Przygotuję ci zupę, powinna postawić cię na nogi.

Almar popatrzył na kociołek, w którym mieszał nieznajomy. Unosiła się nad nim gęsta para. Zupa rozsiewała wokoło smakowity zapach, ale on nie był w stanie go poczuć.

Rzeźnik wstał, chwiejnym krokiem zbliżył się do nieznajomego i zdjął kociołek z ognia.

- Szalony! - krzyknął człowiek. - Poparzysz się!

Almar nie zaszczycił go ani jednym spojrzeniem i duszkiem wypił wrzącą zupę.

Drugi z nieznajomych zbudził się, słysząc przerażone okrzyki swego towarzysza.

- Co się dzieje? - wymamrotał, przecierając zaspane oczy.

Almar rzucił kociołek na ziemię i wyszedł z szałasu bez słowa, nie oglądając się za siebie. Jakby tych dwóch tam nie było.

Potem skierował się na północ, z oczyma utkwionymi w linii horyzontu. Z oddali dobiegały go obelgi miotane przez pasterzy.

Teraz już wiedział. Musi jeść i odpoczywać, mimo wszystko. Niech będzie. Ale to i tak niczego nie zmieni.

Rzeźnik zmierzał ku Providence.

\*

Kapitan Fahrio i Alea przecięli pola, by dotrzeć do południowo - - wschodniej części miasta, do mostu Pin, którym chcieli przejść na drugi brzeg rzeki Cele.

Tuż przed mostem był szpital oraz ogromna farma. Fahrio zaproponował, by spróbować przejść od wschodu.

- Na farmie z pewnością są psy, nie chciałbym, by zaczęły szczekać - wyjaśnił, dając znak Alei, by poszła za nim.

Pochyleni przeszli na przełaj przez pola, na drugą stronę drogi ciągnącej się wzdłuż rzeki, i doszli na jej brzeg.

- Pójdziemy wzdłuż rzeki, aż do mostu.

Alea kiwnęła głową. Podążała za kapitanem bez słowa, ostrożnie stawiając każdy krok. Szli brzegiem, przemykając między krzakami.

Gdy dotarli do mostu Pin, Fahrio gestem nakazał Alei, by się zatrzymała. Wspiął się na wzgórze i zniknął za niewielkim murkiem biegnącym wzdłuż drogi nad nimi.

Szybko wrócił i wyciągnął dłoń ku Alei.

- Droga wolna!

Dziewczyna z pomocą kapitana również wspięła się na wzgórze. Fahrio dał jej znak, by przykucnęła. Szli jedno za drugim w stronę kamiennego mostu. Poniżej szemrała rzeka płynąca na zachód.

Gdy byli już w połowie drogi, kapitan nagle znieruchomiał i położył dłoń na ramieniu Alei, by pochyliła się jeszcze bardziej.

- Padnij! Ktoś się zbliża - szepnął.

Ale było już za późno. Człowiek idący po drugiej stronie mostu z pewnością ich dostrzegł. Podchodził do nich niepewnym krokiem.

- Co robimy? - zapytał Fahrio. - Pozbywamy się go czy uciekamy?

- Może jest inne wyjście - odrzekła Alea. - Nie mamy pewności, czy to wróg...

Podniosła głowę, by spojrzeć na nieznanego ponad ramieniem kapitana.

- Nie wygląda na Rycerza Płomienia.

I nie pytając kapitana o zdanie, wstała.

- Kto tam jest? - krzyknął człowiek, cofając się.

- Jesteśmy Sarreńczykami - powiedziała Alea, która wychwyciła w głosie rozmówcy akcent z tych okolic.

Mężczyzna podszedł do nich. Ukrywanie się nie miało już sensu, więc Fahrio wstał z ciężkim westchnieniem.

- Czy na twym plastronie widzę jaskółkę? - zapytał nieznanomy, mrużąc oczy, by lepiej się przyjrzeć.

- Tak - odpowiedział Fahrio - jestem strażnikiem z Saratei.

- Ale co wy tutaj robicie? - zaniepokoił się mieszczanin. - Szybko! Chodźcie za mną, musicie się schować!

Obrócił się na pięcie i gestem zachęcił, by poszli za nim. Alea wzruszyła ramionami, popatrzyła na kapitana i zdecydowała się zaufać nieznanemu.

Pospiechali za nim i doszli do niewielkiego budynku, w którym najprawdopodobniej naprawiano statki. Tu i tam wały się fragmenty masztów, żagle, części kog, drewniane pale i przeróżne narzędzia.

- Jesteście naprawdę szaleni! - wykrzyknął tarneańczyk, gdy wszyscy troje byli już w bezpiecznym miejscu. - O kilka kroków stąd jest strażnica, a Rycerze Płomienia wciąż patrolują ulice!

- W takim razie najprawdopodobniej uratowałeś nam życie - odpowiedziała Alea z uśmiechem.

- Ale kim jesteście i co tu robicie?

Alea zawahała się. Czy mogła naprawdę zaufać temu człowiekowi? Owszem, ukrył ich, by się nie natknęli na Rycerzy Płomienia, ale to mógł być podstęp. A jednak Alea nie wyczuwała w jego głosie i postawie żadnych złych zamiarów. Zdecydowała, że trzeba odrzucić nieufność.

- Jestem Alea Cathfad, córka Felima druida. Jestem przywódcą Armii Ziemi.

- To ty? Alea? Ale co robiłaś na tym moście w samym środku nocy?

- Mogłabym zadać ci to samo pytanie.

- Ja... Nie mogłem zasnąć. Myśl, że moje rodzinne miasto w ciągu jednej nocy wpadło w łapy najeźdźcy, nie daje mi spokoju!

- Rozumiem - odpowiedziała Alea. - Jak się nazywasz?

- Cadrige.

- Cóż, Cadrige, spróbujemy wyswobodzić twoje miasto.

- Sami, we dwoje? - zdziwił się tarneańczyk.

- Nie - odparła dziewczyna z uśmiechem. - Moja armia stacjonuje na południowy zachód od miasta. A my przyszlismy na rekonesans.

Cadrige uśmiechnął się szeroko i wyciągnął dłoń do Alei.

- Ach, jeśli mogę wam jakoś pomóc...

Alea uścisnęła jego dłoń.

- Oto kapitan Fahrjo.

Tarneańczyk przywitał się ze strażnikiem.

- Tak, możesz nam pomóc - ciągnęła Alea. - Wiesz, gdzie są Rycerze Płomienia?

- Na Mojrę! - odparł Cadrige, wytrzeszczając oczy. - Oni są wszędzie!

- Zajęli zamek?

-Tak.

- Koszary?

- Oczywiście, wszystkie stanowiska straży. Niewielką cytadelę na północy, kolegium druidów... Większość mieszkańców opuściła miasto, inni wciąż próbują się stąd wydostać.

- A hrabia? - zaniepokoił się Fahrjo.

Tarneańczyk skrzywił się smutno.

- Jego zwłoki zostały wystawione na placu Rozsądku.

- Ośmielili się zamordować hrabiego? - wykrzyknął kapitan z niedowierzaniem.

- Tak. Został powieszony przez Rycerzy Płomienia, gdyż nie chciał pójść na współpracę. Koniec końców ten stary szaleniec okazał się odważniejszy, niż powszechnie sądzono!

- Powiedziano nam, że było ich trzy lub cztery tysiące, czy ta liczba jest według ciebie prawdziwa?

-Tak.

- A wojownicy z Sarre, poddali się?

- Żartujecie? Ci, którzy nie padli w walce, natychmiast potem zostali zamordowani. Krążą pogłoski, że Dancray miał nadzieję wziąć miasto bez

rozlewu krwi i że to niespodziewany opór Sarreńczyków był przyczyną jego furii.

- To jakieś szaleństwo - westchnęła Alea.

Milczeli długą chwilę, gdyż żadne słowa nie mogły oddać tego, co czuli. Ale czas naglił i Alea wiedziała, że nie należy go tracić.

- Cadrige, chciałabym zobaczyć kanał. Mógłbyś nas tam zaprowadzić, tak byśmy uniknęły spotkania z Rycerzami Płomienia?

- Oczywiście - odparł tarneańczyk. - W każdym razie możemy spróbować.

- A więc chodźmy.

- Królowa dzierży w swym ręku o wiele więcej władzy niż Eoghan. Jeśli uzna, że nie jesteśmy jej potrzebni, zniszczy nas bez wahania.

„Teraz, gdy są z nią druidzi, zastanawiam się, czy nie jest już za późno”.

Carla Bisagni spotkała się w tajemnicy z dwoma doradcami swego ojca, którzy podobnie jak ona obawiali się o przyszłe losy hrabstwa. Byli to kapitan Giametta oraz bailif Stefano. Siedząc w ciemnej niewielkiej komnacie w zachodnim skrzydle pałacu w Farfanaro, mogli spokojnie spiskować.

- Jeżeli pozwolimy memu ojcu zarządzać Bizanią w ten sposób - podjęła dziewczyna - skończymy pod sztandarami królowej.

„A moje szanse na to, by stanąć na czele hrabstwa, zredukują się do zera”.

Kapitan Giametta potwierdził skinieniem głowy i zacisnął pięści.

„Giametta jest tchórzem. Przeraża go myśl, że mój ojciec mógłby odkryć, że coś knujemy za jego plecami. Ale mimo wszystko potrzebuję go. Jego rycerska duma może go przeciwstawić memu ojcu i będę mogła to wykorzystać”.

- Zmierzamy prosto do katastrofy. Sądzę, że baron stał się niezdolny do sprawowania władzy. Moja droga Carlo, muszę wyznać, że jestem przerażony, widząc, jak trawi czas na te groteskowe orgie, zamiast zająć się swym ludem...

- I swoją armią - dodała obłudnie Carla.

„Muszę mu pokazać, że mnie też leży na sercu los armii Bizanii. Muszę dać mu poczucie pewności siebie. Sprawić, by przeszedł na moją stronę”.

- To wszystko prawda, ale co możemy zrobić? - zapytał bailif, siedzący po drugiej stronie stołu.

Carla spojrzała mu prosto w oczy. A potem wolno powiedziała:

- Musimy zabić mojego ojca.

Beznamiętnie. Zimno. Twardo. Jakby od dawna o tym myślała. Zabić ojca. Zabić barona Bizanii.

„I zająć jego miejsce. Zasługuję na to o wiele bardziej niż on! Poza tym Gaelia właśnie przechodzi w ręce kobiet. Alea. Amina... Dlaczego nie ja?”

- Chyba nie mówisz poważnie? - wykrzyknął z oburzeniem bailif Stefano. - Twój ojciec może i stał się politowania godnym władcą, ale jest naszym przyjacielem! Nie wezmę udziału w tak ohydnej zbrodni, to poza wszelką dyskusją!

Wstał gwałtownie, o mało nie przewracając krzesła.

„Wiem, bailifie, wiem. Jeszcze do tego nie dojrzałeś. Ale kiedy roztoczę przed tobą wizję tego, co będziemy mogli zrobić bez mojego obmierzonego tatuśka, ten pomysł nie będzie cię już tak szokował. Zobaczysz”.

Kapitan Giametta złapał bailifa za ramię i siłą posadził na krzesło.

- Spokojnie, Stefano. Spokojnie. Jeszcze nie podjęliśmy żadnej decyzji, spotkaliśmy się tu, by porozmawiać. Carla trochę przesadza... Zabójstwo barona nie wchodzi w rachubę.

- Nie będę z wami dyskutował o zabiciu Alvaro! - odparł bailif, wrywając ramię z uścisku kapitana.

- Oczywiście, Stefano - rzekł Giametta. - Zatem uspokójmy się i poszukajmy innego rozwiązania.

Carla rzuciła bailifowi rozbawione spojrzenie. Nikt w całym hrabstwie nie pałał tak silną nienawiścią do starego Bisagniego jak jego własna córka. I to do tego stopnia, że miała większą ochotę go zabić, niż naprawdę sięgnąć po władzę. Ale z tym nie mogła się przed nimi zdradzić.

- Zanim postanowimy, co zrobić w kwestii barona - podjął kapitan - musimy ustalić, jaką politykę zamierzamy prowadzić.

„Obojętnie jaką, byleby wyniosła mnie na szczyty władzy i pomogła mi pozbyć się ojca, idioto!”

- Trzeba zbliżyć się do królowej, wzmacniając nasze polityczne znaczenie - zaproponował Stefano, najwyraźniej uspokojony.

- Występując przeciwko jej wrogom? - zapytała Carla.

- Czemu nie - odparł kapitan. - Moglibyśmy doprowadzić do wojny między Galacją a Harcourt, a potem położyć kres przekonaniu o naszej legendarnej neutralności i wziąć udział w walkach przeciwko chrześcijanom.

„Otóż to. Wiedziałam, że to będzie jego słaby punkt. Armia Bizanii. Wojna. Tylko tego chce”.

- To mogłoby nas zbliżyć do królowej - wtrącił bailif - ale nie rozumiem, w jaki sposób mogłoby wpłynąć na zwiększenie naszego znaczenia politycznego.

Carla odpowiedziała pewnym głosem:

- Przypomniałoby to wszystkim, że nasza armia najemna jest najsilniejsza na tej wyspie, wbrew temu, co sądzą poniektórzy.

- Właśnie! - wykrzyknął kapitan, nie zdając sobie sprawy, że wpadł w pułapkę zastawioną przez córkę barona.

- Jesteście tego tacy pewni? - zaniepokoił się Stefano.

- Mój ojciec popełnił wiele błędów, ale jest jedna rzecz, co do której naprawdę ma rację. Siła pieniądza. Siła armii Harcourt opiera się na wierze rycerzy. To oczywiście jest wielka siła, ale ta siła jest niczym wobec chęci zysku. Ten, kto wierzy w moc pieniądza, jest o wiele silniejszy niż ten, kto wierzy w Boga.

- To się jeszcze okaże - odparł bailif.

- W każdym razie - wtrącił kapitan Giametta - nasza obecność u boku królowej będzie ważnym atutem. Moi rycerze mogą zagwarantować jej zwycięstwo i w ten właśnie sposób możemy przywrócić nasze znaczenie polityczne. To tak proste jak partia *fidchell*...

- Zgadza się - rzekła Carla. - Trzeba ją zmusić, by zaangażowała się w walkę, a następnie położyć na szali nasze uczestnictwo, tak by królowa uznała nasze znaczenie.

„Oraz by cała Gaelia wiedziała, że to ja mam w ręku władzę nad Bizanią”.

- Ostrożnie. Ta decyzja może pociągnąć za sobą śmierć tysięcy ludzi - powiedział bailif poważnym tonem.

- Ta decyzja może pomóc Bizanii odzyskać dawny splendor - odparła Carla.

- Nigdy nie przekonamy do tego barona.

- Nie pozostawimy mu wyboru - rzuciła dziewczyna.

- Powtarzam, że nie przyłożę ręki do tego makabrycznego planu, który knujecie.

- Zrozumiałam. Przecież nie musimy go od razu zabijać - powiedziała Carla.

- Możemy na początek odsunąć go od władzy.

-Jak?

- Już ja się tym zajmę - powiedziała dziewczyna, wstając.

Wyszła z komnaty odprowadzana zaniepokojonym spojrzeniem bailifa. Jej nieposkromiony apetyt na przejęcie władzy napawał go coraz większym strachem. Miał jednak nadzieję, że uda się przynajmniej uniknąć najgorszego.

\*

Erwan dał znak Rycerzom Ziemi, by się zatrzymali. Teraz była to armia licząca tysiąc ludzi i szanse na to, by przeszli niezauważenie przez wzgórze, były właściwie żadne. Żeby wcielić w życie plan Alei, trzeba było co do joty działać zgodnie z jej instrukcjami.

Dziewczyna wróciła w środku nocy wraz z kapitanem Fahrio, budząc wszystkich i dając rozkaz, by przygotowali się do ataku. Podczas gdy wojownicy ubierali się i sprawdzali uzbrojenie, Alea szybko zgromadziła swych towarzyszy, by wyjaśnić im swoją strategię, a potem każdemu dała dokładne wskazówki.

Następnie odeszła z Finghinem, by dojść do miejsca, z którego będą mogli przystąpić do realizacji swojej części planu. Erwanowi pozostawiła pieczę nad armią.

Magisteł stał z wysoko wyciągniętą dłonią, aż nie słyszał już żadnego hałasu za sobą. Wiatr wiał na szczycie wzgórza, poruszając czerwono-białą flagą Samildanacha. W dole rysowały się kontury pogrążonej we śnie stolicy.

Teraz trzeba było czekać na sygnał. Alea obiecała magistelowi, że na pewno rozpozna jej znak. Był przygotowany na najgorsze. Gdy zobaczy sygnał, zrozumie, powiedziała. Zatem musiał czekać i być czujny. Armia Ziemi miała zejść ze zbocza, by zaatakować miasto z zachodniej flanki i przejść bramą Kawalia. Następnie trzeba było iść cały czas w prawo. Za bramą długa ulica miała doprowadzić ich prosto na plac Rozumu, leżący u stóp zamku w Tarnei. Gdyby plan Alei się powiódł, może mieliby szanse na zwycięstwo mimo liczebnej przewagi wroga.

Kilka mil dalej, dokładnie po drugiej stronie miasta, Finghin i Alea dotarli do kanału Estang. Przeszli przez most Pin, by wejść jeszcze wyżej.

Kiedy Alea uznała, że są już dostatecznie wysoko, każde z nich stanęło po swojej stronie kanału i zgromadziło w sobie energię Saimana. Jednocześnie zamknęły oczy. Alea trzymała się za skronie, Finghin skrzyżował ręce na wysokości ust. By osiągnąć zamierzony cel, musieli zgromadzić w sobie wiele pokładów energii i Alea była szczęśliwa, że może liczyć na pomoc druida, bo z pewnością nie udałoby się jej tego dokonać w pojedynkę.

Pierwsza otworzyła oczy. Saiman krążył w jej ciele, gotowy eksplodować. Wolno, z wdziękiem wyciągnęła ręce przed siebie, ponad wodą płynącą kanałem. Saiman dotarł do czubków palców. Powierzchnia wody zaczęła falować. Drobne prądy zaczęły podążać w kierunku przeciwnym niż nurt wody.

Potem zmieniły się w małe, a w końcu w duże fale. Ramiona Alei drżały. Zamknęła oczy, by nie stracić koncentracji. Każdy gest wymagał od niej tyle energii, że aż sprawiał ból.

W tej samej chwili Finghin podniósł ręce. Wysłał falę Saimana w stronę powierzchni wody. Siła Alei była niezwykła. Zanim on zaczął działać, jej udało się już odwrócić bieg wody. Hałas wywołany szumem wody zawróconej przez Saimana wzrastał się z każdą chwilą. Stawał się coraz bardziej głuchy. Wkrótce był głośniejszy niż burza.

Alea czuła obecność Finghina oraz jego Saimana, który łączył się z jej Saimanem. Woda w kanale stawała się coraz bardziej rwąca. Na czoło dziewczyny wystąpiły krople potu, które zaczęły ściekać jej do oczu. Ale ona nie mogła ich otrzeć. Nie mogła przerwać. Zaczynało jej brakować sił, tymczasem daleko im było do zamierzonego celu. Spróbowała odnaleźć niezbędną energię jeszcze głębiej w sobie. Potem, gdy nogi również zaczęły jej drżeć, podwoiła moc energii. Dała z siebie wszystko. Saiman wzburzył wodę niczym huragan. Wkrótce prąd w kierunku przeciwnym był o wiele silniejszy niż jej naturalny bieg. Woda zderzała się z kamiennymi ścianami kanału. Fale wznosiły się wysoko, niczym na wzburzonym morzu.

Alea otworzyła oczy i zobaczyła, że daleko w mieście zapłonęły pochodnie. Jej plan działał. Woda z kanału teraz właśnie wdzierła się w uliczki, zalewając plac niczym rozszalałe morze. Ale Alea nie od razu rozluźniła dłonie. Nie przerywając, odwróciła głowę w stronę Finghina i krzyknęła:

- Teraz!

Finghin, równie wyczerpany, na chwilę rozluźnił dłonie, wciągnął powietrze, a potem uniósł ramiona w górę. Resztką sił zgromadził pozostałą energię, a potem krzycząc, posłał w niebo ognistą kulę, która rozbłysła i eksplodowała nad miastem.

Druid runął na ziemię. Noc zajaśniała złotą poświatą, a potem tysiące małych świetlnych punkcików zaczęło wolno opadać na Tarneę. Niczym chmara świetlików.

Sygnal.

Po drugiej stronie miasta Erwan krzyknął:

- *Alragan!*

Wówczas wszyscy Rycerze Ziemi rzucili się w dół wzgórza, krzycząc i wznosząc broń. Ich serca były pełne przerażenia i nadziei na zwycięstwo.

Amina, która teraz nie życzyła sobie, by zwracano się do niej „królowo”, lecz wymagała tytułu „druidka Aislinn”, była sama w niewielkiej komnacie na najwyższym piętrze pałacu w Providence, przy oknie. Tym samym oknie, przy którym kilka tygodni wcześniej Eoghan dokonał żywota, pijąc truciznę, którą rozpuściła w jego kielichu.

Stała, patrząc gdzieś w przestrzeń, i śmiała się. Byłby to zwykły śmiech, gdyby nie towarzyszyły mu łzy. Wielkie łzy, które spływały jej z oczu.

- Zamknij się! - wrzasnęła nagle, łapiąc się za głowę.

Jej krzyk stłumiły ściany komnaty.

Znowu zaczęła się śmiać, ale śmiech przeszedł w kaszel. Amina potrząsnęła głową. Nadstawiła uszu. Z wytrzeszczonymi oczyma nasłuchiwała odległego dźwięku. Szeptu.

- Co mówisz? - zapytała cicho.



Zmrużyła oczy.

- To ty, Eoghane?

Jej oddech przyspieszył. Pierś wznosiła się i opadała nerwowo.

Słyszała głos w swojej głowie. Głos, który odbijał się nieznośnym echem. To był *jego* głos. Głos Eoghana. To Eoghan mówił w jej głowie.

„Ty mała dziwko! Spójrz na ziemię! Spójrz na ziemię, Amino! Patrz!”

Spuściła wzrok, a potem wydała okrzyk przerażenia, widząc na ziemi niewielką plamkę krwi. Cofnęła się. Plamka zaczęła się powiększać. Amina cofnęła się jeszcze o krok, ale krew w dalszym ciągu rozlewała się po drewnianej podłodze.

„Cóż to? Czyżby widok krwi napawał cię lękiem? Ale to ty ją przelałaś, Amino! Patrz!”

Plama nie przestawała rosnąć. Amina znowu się cofnęła. Wargi i dłonie jej drżały. Jej policzki były blade jak ściana. Z czoła spływały krople potu.

- Nie! - krzyknęła, ale krew nie przestawała płynąć.

Teraz zalewała już jedną czwartą podłogi.

„To moja krew, Amino. Wiesz o tym, ty dziwko, wiesz. Jest za- Iruta. Jeśli jej dotkniesz, umrzesz”.

Dziewczyna wciąż się cofała. Nagle zawadziła o taboret i upadła. Plecami z impetem uderzyła o podłogę. Przez krótką chwilę miała wrażenie, że straciła świadomość. Głos w głowie umilkł. Już nie widziała. Uśmiechnęła się. Wyobrażała sobie, że nie żyje, a wraz ze śmiercią powróciła wolność. A potem powróciło światło. Sufit nad nią wirował niczym karuzela.

„Dotkniesz krwi, Amino”.

Potrząsnęła głową. Czerwona plama zbliżała się w jej kierunku. Nieubłagane rozlewała się po podłodze i za chwilę jej dosięgnie.

Amina krzyknęła i odturlała się na bok. Podniosła się z trudem i weszła na fotel. Podkurczyła stopy, by nie dotknąć podłogi.

„Nie wiesz już, gdzie się schronić. Nie wiesz, co robić. Sądziłaś, że będziesz mogła poradzić sobie beze mnie, nieprawdaż? Ale teraz, kiedy druidzi uczynili cię jedną ze swoich, teraz gdy moje zabójstwo wyniosło cię na tron, co zrobisz, Amino? Jakiego marzenia bronisz? Kto obejmie po tobie sukcesję, skoro nie masz już męża, który dałby ci potomka? Naprawdę sądziłaś, że poradzisz sobie beze mnie?”

Z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z zamkniętymi oczyma, z ciałem wstrząsanym dreszczem przerażenia, królowa usiłowała wygnać głos ze swej głowy. Ale on był coraz silniejszy. Nic nie mogło go uciszyć.

Gdy ponownie otworzyła oczy, zobaczyła, że krew zalała już całą podłogę i zaczyna się podnosić. Opuściła wzrok i ujrzała czerwoną falę, podchodzącą pod nogi fotela, na którym siedziała.

Zatruta krew przychodziła po nią.

Po drugiej stronie korytarza, w wielkiej pralni, służąca nagle usłyszała przeraźliwy krzyk.

## ROZDZIAŁ 8

### U ŹRÓDEŁ SAIMANA

Rozlegające się na dziedzińcu paniczne okrzyki obudziły generała Dancraya. Wyskoczył z łóżka i rzucił się do okna, by sprawdzić, co się dzieje. Nie spodziewał się, że atak może nastąpić tak szybko, ale słysząc wrzaski i odgłos chaotycznej bieżaniny na zamkowym dziedzińcu, pomyślał, że nie może to być nic innego. Co prawda, najpierw przyszła mu do głowy myśl o podpaleniu. Trzeba się było liczyć z tym, że jakiś zdesperowany mieszkaniec Tarnei, w przypływie dzikiej wściekłości, podłoży ogień pod własne miasto, by sprzeciwić się okupantom.

Lecz kiedy Dancray wychylił się przez okno, zrozumiał, że chodzi o coś zupełnie innego. Dziedziniec był zalany. Gigantyczne fale wdzierały się przez wszystkie bramy, przepływały przez piwnice i zaczęły dostawać się już do głównego gmachu. Rycerze i służący biegali we wszystkie strony, usiłując zatrzymać katastrofę, ale tak naprawdę nie wiedzieli, co robić.

Generał Dancray zaklął pod nosem. Tego tylko brakowało! Pospiesznie włożył płócienne spodnie, narzucił na siebie koszulę i skórzaną kurtkę. Usiadł na łóżku i wkładając buty, próbował przeanalizować sytuację. Nagle odwrócił się do okna i spojrzał na nocne niebo. Nie padało. Nie było ani jednej kropli deszczu.

Jakim cudem Estang albo Cele mogły wystąpić z brzegów, skoro nic padało? Natychmiast pojął, że to zasadzka. Wstał gwałtownie, podbiegł do okna i zaczął krzyczeć: To pułapka! To pułapka!

Ale we wrzawie i panice nikt go nie słyszał. Na dole wszyscy byli zbyt zajęci walką z żywiołem, by zastanawiać się nad przyczynami powodzi.

W tej samej chwili nad miastem eksplodowała kula ognia. (Generał podskoczył. Zastanawiał się, czy mógł to być piorun. Nie, oczywiście, że nie. To część ataku. Tysiące iskierek spływały wolno z nieba, niczym złoty deszcz rozświetlający dziedziniec zamku. Generał mógł teraz zobaczyć rozmiary katastrofy.

„Idioci!”, pomyślał. Wszystkie bramy zamku były otwarte, a wezbrane fale porwały nawet paru ludzi.

- Zamknijcie bramy! - wrzeszczał Dancray, waląc pięścią w parapet. - Zamknijcie te przekłete bramy!

Ale jego krzyki na nic się nie zdały. Wściekły, odwrócił się na pięcie i skierował w stronę drzwi na korytarz. Kiedy wychodził, zderzył się na progu z wbiegającym do jego komnaty rycerzem.

- Przepraszam, panie generale - wyjąkał chłopak. - Przybiegłem pana poinformować, że mamy powódź...

Dancray nie wytrzymał.

- To nie powódź, kretynie, to zasadzka! - wrzasnął.

Odepchnął rycerza i skierował się na schody prowadzące na parter. Odwrócił się jeszcze i krzyknął do chłopaka:

- Znajdź mi kapitana Danila! Powiedz, żeby natychmiast przyszedł pod wielką bramę!

I nie czekając na odpowiedź chłopaka, zbiegł do sieni, która była już całkowicie zalana. Brnąc z trudem przez wodę, wydostał się na dziedziniec i skierował prosto ku wielkiej bramie. Za każdym razem, gdy mijał któregoś z rycerzy, krzyczał:

- Do broni! Do broni! To pułapka!

Rycerze biegali we wszystkie strony. Światło księżyca odbijało się srebrnymi refleksami na tańczących falach. Rycerze rzekazywali sobie słowa generała i sami nawoływali towarzyszy do chwycenia za broń.

- Zamknijcie bramy! Zamknijcie bramy! - wrzeszczał generał.

Kilku strażników próbowało wykonać rozkaz, ale wody było zbyt dużo, by mogło im się udać.

Właśnie w tej chwili z murów zamku generał usłyszał krzyk, którego się obawiał.

- Armia na horyzoncie! - wrzeszczał wartownik z wieży strażniczej. - Jakaś armia przekracza bramę Kawalia!

Dancray ryknął z wściekłości.

- Macie natychmiast zamknąć te bramy! - powtórzył, zawracając na dziedziniec.

Biegał od jednego rycerza do drugiego, rozkazując, by pomogli tym, którzy desperacko próbowali zamknąć ogromne drewniane skrzydła drzwi.

- Ty, na murach! - krzyknął do wartownika. - Pospiesz się! Przygotuj się do uruchomienia mechanizmu zamykającego bramę!

Strażnik rozłożył ręce z wyrazem bezradności na twarzy. Nie wszyscy rycerze zdążyli się zaznajomić z zamkiem i ten najwyraźniej nie miał pojęcia, o czym mówi Dancray.

- Z tyłu, za tobą! - krzyczał Dancray, wskazując miejsce tuż nad wielką bramą. - Uruchom ten przeklęty mechanizm, idioto!

Wartownik pobiegł nad bramę szukać mechanizmu.

- Panie generale!

Dancray odwrócił się. Był to kapitan Danii, a z nim kilkunastu rycerzy.

- Panie generale - wołał kapitan - to sztandar Alei!

- Oczywiście! - odparł Dancray. - A myśleliście, że co? Niby skąd wzięły się te iskry, które spadają z nieba? Wysłać łuczników na mury, ustawić kotły z gorącym olejem i smołą w wykuszach, jeśli zdążycie, i rozstawić włócznie i piki wzdłuż murów, mamy ich w zbrojowni więcej, niż potrzeba!

- Tak jest, panie generale!

Danii odwrócił się i przekazał rozkazy swoim ludziom. Po czym znowu zwrócił się do Dancraya:

- Sądzę, że powinniśmy zebrać kawalerzystów na dolnym dziedzińcu. Jeśli wróg się tu wedrze, musimy być gotowi.

- Słusznie, Danilu - zgodził się Dancray.

- Jeśli chodzi o pana, generale, lepiej, żeby pan wszedł na wieżę obronną.

- Jeszcze nie teraz. Ci idioci nie są w stanie bez nas bronić zamku. Danii, musimy tu zostać, dopóki panuje panika. Wyślij gońców do posterunków straży. Wszyscy ludzie muszą zgromadzić się w zamku.

- Tak jest.

Danii odwrócił się i pobiegł na zachodnią stronę górnego dziedzińca.

Tymczasem Dancray skierował się na schody prowadzące na mury obronne. W miarę jak się wspinał, słyszał coraz głośniejsze krzyki atakujących.

Gdy dotarł na miejsce, z przerażeniem stwierdził, że nie wszystkie stanowiska strzelnicze są obsadzone.

- Szybciej! - wrzasnął na ludzi, którzy biegli za nim.

Pochylił się, by spojrzeć na dziedziniec. Kiedy rycerze w dole zdołali wreszcie ruszyć dwa wielkie skrzydła bramy i już ją zamykali, pojawili się pierwsi Rycerze Ziemi, wznosząc bojowe okrzyki, z mieczami uniesionymi wysoko nad głową. Zaczęła się bitwa.

\*

Finghin podbiegł do Alei, by pomóc jej wstać. Dziewczyna drżała. Z wdzięcznością oparła się o ramię druida.

Ognista kula zgasła, ostatnie iskry opadły na ziemię. Niebo zaczynało się już rozjaśniać, a gwiazdy zanikać. Wstawał dzień. Woda w kanale za nimi płynęła już we właściwym kierunku, ale ciągle była wzburzona.

- Myślisz, że to podziałało? - zapytała Alea gorączkowo.

- Mam nadzieję. Pójdę sprawdzić. Ty tu zostań, musisz odzyskać siły.

Alea chciała zaprotestować, ale druid zasłonił jej usta dłonią.

- Ani słowa, Aleo! Nie jesteś w stanie walczyć! Jeśli jesteś tak głupia i uparta, że naprawdę chcesz iść, obiecaj mi chociaż, że poczekaasz tu przez kilka chwil. Ledwie trzymasz się na nogach! Usiądź i odpocznij chwilę.

Alea skinęła głową z westchnieniem. Druid rzucił jej pełne wątpliwości spojrzenie, po czym odszedł, kręcąc głową.

Zaczął biec wzdłuż kanału, przeszedł przez pierwszą bramę prowadzącą na przedmieścia Pin, przebiegł przez most na lewą stronę rzeki, minął rząd domów i wtedy zobaczył człowieka na środku drogi, który biegł w jego stronę.

Finghin zwolnił, nieufny.

- Druidzie! - wołał nieznajomy, z trudem łapiąc oddech. - Druidzie! Czy jest z tobą Alea?

Finghin zmarszczył brwi.

- Ktoś ty? - zapytał.

- Cadrige - odpowiedział człowiek, wyciągając rękę do druida. - To ja prowadziłem Aleę i kapitana Fahrio tej nocy. Czekałem w miejscu, w którym ich spotkałem. Chciałbym się na coś przydać.

Finghin kiwnął głową.

- Mówili mi o tobie.

- Chcesz się dostać do miasta? - zapytał Cadrige.

-Tak.

- Tak właśnie myślałem. Lepiej, żebyś tędy nie szedł, druidzie. Przy bramie Pin jest posterunek straży. Chodź za mną, zaprowadzę cię inną drogą, jest dyskretne przejście, które wychodzi na ulicę Cios, tam raczej nie będzie Rycerzy Płomienia.

- Prowadź - odparł Finghin, nie zwlekając.

Tarneańczyk skinął głową i szybkim krokiem ruszył w stronę miasta. Szli wzdłuż kanału, aż dotarli do skrzyżowania. Główna droga prowadziła prosto do bramy Pin, a mała uliczka wspinała się po zboczu na północ. Cadrige wybrał właśnie tę ścieżkę i skinął na druida, by podążał za nim.

Podejście było bardzo strome i Finghin szybko poczuł zmęczenie. Użycie Saimana bardzo go wyczerpało i choć stracił mniej energii niż Alea, nie czuł się najlepiej.

W końcu doszli do kolejnego skrzyżowania i skręcili w lewo, w uliczkę, która pięła się jeszcze wyżej. Finghin zatrzymał się i oparłszy się rękoma o kolana, próbował odzyskać oddech, jednak kiedy zobaczył, że tarneańczyk poszedł dalej, ruszył biegiem, by go dogonić.

- Tędy! - zawołał Cadrige, wskazując koniec uliczki. - Tam jest ścieżka, która prowadzi do miasta.

Minęli jeszcze kilka domów i w końcu ich oczom ukazały się mury miasta. Tarneańczyk zatrzymał się u wylotu ulicy i dał Finghinowi znak, by się pospieszył. Druid był już u kresu sił. Zwolnił kroku i szedł, opierając się ręką o ściany domów.

Nagle usłyszał za sobą świst. Podniósł głowę i zobaczył przerażoną twarz Cadrigea. Tarneańczyk, z wytrzeszczonymi oczami, jęcząc, padł na kolana. W jego piersi tkwiła strzała. Następnie jego ciało zważyło się na ziemię. Głowa z hukiem uderzyła o bruk.

Finghin schronił się pod murem. Na wałach stał łucznik. Druid, oddychając ciężko, z trzęsącymi się nogami, nie mógł ode rwać oczu od ciała Cadrigea. Gdyby szedł tędy sam, strzała, która przebiła serce tarneańczyka, byłaby przeznaczona dla niego. Czy udałoby mu się jej uniknąć? Czy zobaczyłby łucznika wcześniej, czy w tej chwili leżałby martwy? Spróbował odegnać od siebie te natrętne pytania i podniósł głowę, by sprawdzić, czy uda mu się dostrzec strzelca.

Wychylił się nieco do przodu i natychmiast usłyszał świst wypuszczanej strzały. Ledwo zdążył dopaść do ściany stojącego za nim budynku, strzała śmignęła obok i wbiła się w drzwi domu naprzeciwko.

Finghin nie śmiał się poruszyć. Oparłszy się plecami o ścianę, wstrzymywał oddech. Stał tak przez chwilę, po czym, kiedy usłyszał jakiś hałas na wałach, przyklejony do muru prześliznął się na drugą stronę domu. Wolnym krokiem bezszelestnie przeszedł za róg domu i przebiegł na drugą stronę uliczki, chroniąc się za ścianą domu naprzeciwko wałów. Tam odetchnął przez krótką chwilę, po czym zerknął na fasadę domostwa. Nie było żadnego okna. Nie mógł przejść przez środek domu. Będzie musiał go okrążyć. Przeszedł na drugą stronę budynku i stanął tuż za rogiem. Wystarczyło się wychylić, by zobaczyć wały obronne. Lecz strzelec z pewnością się domyśla, że druid pojawi się właśnie w tym miejscu.

Finghin się odwrócił. Zebrał w opuszkach palców nieco energii Saimana i wysłał w zaułek naprzeciwko, tam gdzie był jeszcze przed chwilą, małą kulkę energii, by narobić trochę hałasu i odwrócić na chwilę uwagę łucznika.

Natychmiast wychylił się zza rogu. Zobaczył otwór strzelniczy w murze i cień: łucznika przygotowującego strzałę. Druid nie wahał się ani chwili dłużej. Zacerpnął ze swego wnętrza bulgoczącą energię i wyciągnął ręce w kierunku otworu strzelniczego. Krótki rozbłysk wielkiego błękitnego pioruna, kilka iskier

odbijających się od kamiennego muru w miejscu, gdzie stał łucznik, i Finghin usłyszał odgłos ciała spadającego z wysokości na bruk. Trafił łuczniaka. Ale może był tam jeszcze jeden. Druid postanowił jednak zaryzykować i pobiegł w kierunku murów obronnych.

Biegł tak szybko, jak tylko potrafił, obawiając się, że za chwilę dosięgnie go strzała. Na szczęście udało mu się dopaść wału bez żadnych przeszkód.

Odzyskał oddech, przeszedł przez uliczkę, którą wskazał mu Cadrige, i wszedł do stolicy. Ziemia była mokra, ale wody już odpłynęły. Podbiegł do niewielkiego skrzyżowania, z którego widać było basztę. Zamek znajdował się kilka ulic stąd.

Zaczął biec, starając się zostać jak najbliżej muru, by ukryć się w jego cieniu i nie narażać na spotkanie z kolejnym łuczniakiem. Przebył jeszcze jedną, nieco szerszą ulicę i skręcił w następną ścieżkę. Po drodze widział kilku mieszczan, a nawet rycerzy, lecz oni na szczęście go nie dostrzegli, z powodu ciemności i panującej w mieście paniki. Wtedy usłyszał odgłosy walki. Miał tylko nadzieję, że plan Alei zadziałał.

Wkrótce dotarł do kanału i podążał wzdłuż niego aż do Estang. Wtedy zobaczył wielki plac, na którym wznosił się zamek.

Widok, który ukazał się jego oczom, był straszny. W jednej chwili pojał groźną sytuację. Armia Ziemi była masakrowana.

Bramy zamku były zamknięte. Łucznicy posyłali z murów tysiące strzał w stronę atakujących. Rycerze Ziemi, którzy próbowali wspiąć się po ścianie, zostali poparzeni. Ich ciała nagle odpadały od murów i roztrzaskiwały się o bruk. Plac zasłany był setkami trupów, a na stojącej na jego środku szubienicy kołysały się zwłoki hrabiego Sarre.

Przerażony Finghin upadł na kolana. Tyle ofiar! Tyle niewinnych ofiar! Czy Erwan także poległ? A Kaitlin? Łzy napłynęły mu do oczu. Ukrył głowę w ramionach. Zdawało mu się, że zaraz zemdleje. Ale nie miał prawa. Nie. Alea liczy na niego. Jest Wielkim Druidem. Nie może tak poddać się rozpacz. Odetchnął głęboko i spróbował się opanować.

I chyba Mojra to doceniła, bo gdy tylko podniósł oczy, po drugiej stronie placu zobaczył Erwana, swego magistela i najlepszego przyjaciela. Finghin podniósł się natychmiast. Erwan stał i krzyczał do swych ludzi, by trzymali się razem.

Finghin nie wahał się ani chwili. W przypiływie szaleńczej brawury pobiegł na plac. Zgięty wpół przebiegł na drugą stronę, przeskakując przez martwe ciała, nie bacząc na świszczące dookoła strzały.

Erwan go zauważył.

- Finghin! Finghin! - wrzasnął. - Szybciej! Oszalałeś!

Zostało mu już tylko kilka kroków. Druid przyspieszył. Poszukał w Saimanie trochę dodatkowej siły. Jego stopy zdawały się ledwie dotykać ziemi.

To stało się w jednej chwili. Już prawie dotarł na miejsce. Zostały dwa czy trzy kroki. Wszystko potoczyło się tak szybko, że nie wiedział, czy najpierw usłyszał krzyk Erwana czy świst strzały.

- Padnij!

Głos magistela rozbrzmiewał w jego głowie niczym we śnie. Druid rzucił się do przodu. Zdążył jeszcze zobaczyć grot strzały zbliżający się do jego głowy.

Wyciągnął się jak długi na mokrym bruku placu. Jego ciało przetoczyło się na bok. A potem nastąpiła ciemność. Całkowita ciemność. Ale tylko przez chwilę. Albo całą wieczność.

Otworzył oczy. Zobaczył pochyloną nad sobą twarz magistela. Erwan chwycił go za ramiona, by go odciągnąć w bezpieczne miejsce.

- W porządku?

Finghin podniósł się z trudem. Przeciągnął dłonią po ogolonej głowie. Pod palcami poczuł lepki płyn.

- To nic takiego - pocieszył go Erwan - strzała ledwie cię musnęła. Ale co ci przyszło do głowy, żeby biec tak bez osłony przez ten plac? Zupełnie oszalałeś!?

Druid przełknął ślinę. Po czym odetchnął głęboko.

- Wydawało mi się, że dam radę.

Magistel pokręcił głową.

- Kaitlin? - zapytał druid.

- Jest gdzieś tam, z Mjollnem.

Finghin spojrzał za siebie. Większość rycerzy opuściła plac i schroniła się tak jak oni w sąsiednich uliczkach. Pozostali leżeli martwi u podnóża zamku.

- Co tu się stało? - zapytał Finghin, krzywiąc się. - Nie podziałało?

Erwan zacisnął pięści. Patrzył na plac zasłany setkami zabitych wojowników. Podziałało, ale na krótko. Zaskoczenie nie trwało długo. Pierwsze oddziały wdarły się do zamku, nie wiem, ilu ludzi, ale weszli. Później Rycerzom Płomienia udało się zamknąć bramy. Oni wszyscy, tam w środku, pewnie są już martwi... A my tutaj nie możemy już nic zrobić. Wszystko zamknęli. Nie mamy żadnych machin, które pozwoliłyby nam na szturm. Żadnej katapuły, tarana ani wieży oblężniczej. Jesteśmy zgubieni, Finghinie.

\*

Jak co roku jesienią Alvaro Bisagni sprowadził do teatru w Farfanaro trupe wędrownych aktorów. Tradycja ta była bardzo ważna dla mieszkańców Bizanii, a dzięki niej możni z hrabstwa mogli się oddawać swej ulubionej rozrywce, czyli sztuce de- cenzy. Kobiety miały okazję, by pokazać swe najpiękniejsze suknie, mężczyźni, by pokazać swe najpiękniejsze kobiety, a stojący na balkonach teatru prosty lud podziwiał spektakl, który rozgrywał się zarówno na scenie, jak i na widowni.

Pierwszego wieczoru trupa wystawiała jedną z najslawniejszych sztuk w Gaelii, *Próbę*, wielkie dzieło barda Hanlona. Narzucony przed wiekami przez druidów zakaz pisania ograniczał liczbę sztuk w repertuarze aktorów na wyspie, bo przekazywano je sobie wyłącznie ustnie, co bardzo utrudniało ich rozpowszechnianie. W ocenie sztuk koncentrowano się więc głównie na grze aktorów i ich interpretacji tekstu, a publiczność uwielbiała oddawać się zabawie w porównania.

Jak większość ludzi jego rangi, baron znał tę sztukę na pamięć. Uznał jednak, że powinien uświetnić swą obecnością pierwszy występ, aby zachęcić Bizańczyków do przychodzenia do teatru. Utrzymanie budynku było dla miasta bardzo kosztowne, więc rozgłos, jaki zapewniała postać barona, był bezcenny. Dla możnych był to wieczór, kiedy wreszcie można się było pokazać, a dla ludu okazja, by zobaczyć arystokratów.

Alvaro Bisagni, ubrany w jeden ze swych najbardziej ekstrawaganckich strojów, zajął więc miejsce w bogato zdobionej łoży, w towarzystwie bailifa Stefano i jednego ze swych sług. W cieniu

proscenium, oparty o laskę, oglądał przedstawienie z zainteresowaniem. Oczywiście trochę żałował, że aktorzy nie wybrali na początek jakiejś mniej znanej sztuki - istniały przecież inne doskonałe teksty autorstwa tego samego barda, których prawie nigdy nie grano - był jednak miło zaskoczony interpretacją aktorów i po pierwszym akcie wstał nawet, by nagrodzić artystów brawami, a w ślad za nim cała widownia zgotowała im owację na stojąco.

- Zachwycające! - rzucił do bailifa, który odpowiedział mu uśmiechem.

Rozpoczął się antrakt, czyli dla większości arystokratów kulminacyjny punkt wieczoru. Okazja, by wychylić szklaneczkę czegoś mocniejszego z baronem lub podzielić się pierwszymi wrażeniami z innymi widzami.

Bisagni przeszedł się po widowni, uściśnął kilka dłoni i pogratulował reżyserowi.

- Zachwycające! - powtórzył, ściskając staruszkę. - Zachwycające!

Reżyser pokłonił się baronowi zgodnie z zasadami decenzy, a wszyscy gapię tłoczący się w kuluarach nagrodzili go gromkimi brawami.

Kilka chwil później wśród szmeru rozmów rozległ się głos dzwonka, zapowiadający rozpoczęcie drugiego aktu. Alvaro Bisagni wraz z bailifem Stefano wrócił do swej łoży, wspinając się z trudem o lasce po stromych marmurowych schodach.

Kiedy wszyscy wrócili na miejsce, zgaszono pochodnie na widowni. Wielka czerwona kurtyna uchyliła się po raz drugi. Aktorzy pojawili się na tle zupełnie nowych dekoracji.

Lecz kiedy zaczęli odgrywać pierwszą scenę, baron usłyszał jakiś hałas w swojej łoży. Zmarszczył groźnie brwi i odwrócił się, myśląc, że to jego służący. Zobaczył jednak ciemną sylwetkę mężczyzny trzymającego w dłoni sztylet. Baron podskoczył. Podniósł się w fotelu, drżącymi rękami szukając oparcia.

Spojrzał w bok, by sprawdzić, czy siedzący po prawej bailif zobaczył napastnika, lecz Stefano siedział nieruchomo, z poderżniętym gardłem.

Kiedy minął szok, Bisagni chciał krzyknąć, ale napastnik nie pozwolił na to, zakrywając mu usta dłonią. Prerażony baron zaczął się szamotać, ale nie był w stanie walczyć. Nie miał wystarczająco dużo siły.

Tymczasem przedstawienie trwało. Nikt nie zauważył dramatu, jaki rozgrywał się w łoży barona. I w pewnym sensie było to dla niego tym bardziej przerażające. Umrze samotnie. On, który tak lubił wystawiać swe życie na pokaz. Już nigdy nie spoczną na nim zachwycone, zazdrosne ani przerażone spojrzenia poddanych. Już nigdy nie zobaczy swej chwały odbijającej się w ich oczach. Umrze, kiedy wszyscy odwróceni są do niego plecami. Nawet nie usłyszą jego ostatniego, chrapliwego oddechu.

Nagle Alvaro poczuł zimne ostrze na szyi. Powoli sztylet zagłębił się w jego ciele. Poczuł jakby lodowate ugryzienie. Następnie ostrze prześliznęło się w poprzek jego gardła. Szybki ruch. Tak prosty.

Baron wykrwawił się i umarł w zupełnej ciszy. Czerwona ciecz płynęła obficie z jego szyi, rozlewając się po ciele i szerokim fotelu.

W tym samym czasie, nieco niżej, aktorzy odgrywali swą sztukę przed zachwyconą publicznością.

\*



- A to co znowu?

Zrozpaczony Erwan chciał już wydać swym oddziałom rozkaz do odwrotu i ucieczki na wzgórze, kiedy usłyszał za sobą pełen zdziwienia okrzyk Finghina.

Magistel odwrócił się i zdumiał na widok tego, co działo się na wielkim placu.

Stał z szeroko otwartymi oczami i nie mógł uwierzyć, w to, co widzi. Na samym środku esplanady, tuż nad ziemią, wirowała wielka, wciąż rosnąca kula ognia. Nadymała się coraz bardziej, wysyłając wokół siebie fale ciepła, które czuło się już na obrzeżach placu. Erwan, z otwartymi ze zdziwienia ustami, zrobił krok do tyłu. I wtedy po drugiej stronie placu dostrzegł grupę ludzi.

- Patrz - wyjąkał, szarpiąc Finghina za ramię. - Alea i Sai- -Mina!

Finghin przytaknął. On także właśnie ich zauważył. Ernana, Kiarana, Shehana i wszystkich pozostałych. Pięciu Wielkich Druidów i co najmniej pięćdziesięciu druidów stało wraz z Aleą przed wielkim stawem. Wszyscy połączyli swe siły, by powiększać rozmiary ognistej kuli, która przesuwała się teraz wolno w stronę głównej bramy zamku w Tarnei.

Erwan krzyknął z radości, ściskając rękę Finghina. Zgromadzeni za nim Rycerze Ziemi powoli zaczęli podchodzić coraz bliżej. Jeden po drugim ze zdziwieniem zauważali ten niewiarygodny spektakl.

Nagle wielka kula rozbłysła żółtym światłem i z niezwykłą prędkością rozbiła się o dwa drewniane skrzydła wielkiej bramy zamykającej wejście do zamku. Rozległ się ogłuszający wybuch. Brama rozpadła się na tysiące kawałków, runęły też całe fragmenty murów. Nad wejściem do twierdzy uniosły się obłoki dymu i kurzu, skrywając cały zamek w gęstej szarej mgłę.

Erwan rzucił Finghinowi oszołomione spojrzenie.

- Wi... widziałeś to? - wyjąkał z niedowierzaniem.

Ale Finghin nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko.

Dym zaczął się z wolna rozwiewać, a kurz opadać. Ogień zajął część fasady zamku. Belki i kamienie odpadały z trzaskiem na ziemię. Ale co najdziwniejsze, Erwan zobaczył, że na zamkowym dziedzińcu znów utworzyła się wielka ognista kula. Rzucił okiem na drugą stronę placu i zobaczył, że Alea i druidzi wciąż się koncentrują, przygotowując z pewnością kolejny atak, tym razem na basztę.

Magistel bez wahania odwrócił się do swych rycerzy i rozkazał, by gotowali się do szturm.

- Kiedy usłyszycie eksplozję, ruszajcie na zamek! Rycerze, zwycięstwo jest nasze! - wykrzyknął.

Miał tylko nadzieję, że nie pokrzyżuje to w żaden sposób planów druidom. Lecz należało wykorzystać okazję i zrobić użytek z rosnącej przewagi. Rycerze Ziemi odzyskali wiarę w powodzenie. W ich oczach na nowo rozbłysła nadzieja na zwycięstwo. Po klęsce pierwszego uderzenia dostali jeszcze jedną szansę. Szansę na zemstę.

Druga eksplozja była jeszcze bardziej imponująca. Wielkie kamienie oderwały się od baszty, poszybowały w górę i z ogłuszającym hukiem opadły na plac i dziedziniec.

- Alragan! - krzyknął Erwan, ruszając przez esplanadę z wyciągniętym przed siebie Banthralem, mieczem swego ojca.

Rycerze Ziemi z Tagorem na czele podążyli za nim, wznosząc okrzyki wojenne. Przebiegli przez plac, nim jakakolwiek strzała została wypuszczona z zamkowych murów. Podwójna eksplozja z pewnością zabiła wielu rycerzy w środku, a ci, którzy przeżyli, byli bez wątpienia ogłuszeni i zbyt oszołomieni, by od razu dojść do siebie.

Finghin przepuścił pierwszych rycerzy i stanawszy na palcach, rozglądał się za Kaitlin. Rycerze Ziemi potrącali się, biegnąc ku wielkiej bramie, i w tym zamieszaniu druid nie mógł nikogo rozpoznać. Lecz nagle dostrzegł aktorkę.

- Kaitlin! - krzyknął, machając rękami nad tłumem.

Dziewczyna podniosła oczy i zobaczyła go. Przedarła się przez napływającą falę rycerzy i rzuciła się w ramiona druida. Finghin pozwolił się objąć, ale nie potrafił powstrzymać rumieńca, który wystąpił mu na policzkach.

- Tak się cieszę, że cię widzę - powiedziała w końcu Kaitlin, głaszcząc go po twarzy. - Chodźmy - pociągnęła go, wskazując palcem zamek. - Muszę tam iść! Wszyscy musimy tam iść!

I pobiegła za Rycerzami Ziemi. Po chwili zjawił się Mjolln, wymachując przed sobą Kadhelem, mieczem, który niegdyś ofiarował mu Felim. Finghin patrzył za nimi, nieco zdezorientowany, po czym pobiegł dołączyć do Alei i druidów po drugiej stronie placu.

Rycerze Ziemi w jednej chwili dopadli murów zamku, przeskakując przez gruzy i trupy, pospieszyli na dziedziniec i rzucili się na oszołomionych Harcourtczyków.

Zajęcie zamku było teraz o wiele łatwiejsze. Rycerze Płomienia padali jeden za drugim, półprzytomni, atakowani z wszystkich stron, nierozumiejący, co się właściwie stało.

Bardzo szybko szala zwycięstwa przechyliła się na stronę armii Alei i zamek wpadł w ręce jej rycerzy. Zajmowali kolejne odcinki murów, wieżyczki strażnicze i wszystkie budynki. Wreszcie przyszła kolej na główną basztę.

Erwan był jednym z pierwszych, którzy wspięli się na wysoką wieżę. Bił się dzielnie, dając innym przykład doskonałego władania mieczem oraz wielkiej odwagi i pewności siebie.

Mocnymi kopniakami otwierał wszystkie mijane drzwi. Bo tak naprawdę szukał tylko jednego. Jednego człowieka, ściślej mówiąc. Dancraya.

Kiedy Erwan dotarł na ostatnie piętro baszty, otworzył pomału wielkie drewniane drzwi u szczytu schodów. Prowadziły do okrągłej, bogato udekorowanej sali. W środku nie było nikogo. Bardzo ostrożnie magistel zrobił kilka kroków naprzód. Sprawdził, czy nikt nie kryje się za drzwiami. Lecz komnata naprawdę była pusta. Wtedy zauważył wąskie kamienne schody z drugiej strony drzwi. Musiały prowadzić na dach baszty.

Erwan wolno podszedł do stopni. W tej samej chwili w drzwiach za nim stało dwóch rycerzy. Podniósł rękę, by dać im znak, aby się nie ruszali i nie robili najmniejszego hałasu.

Drzwi u szczytu bocznych schodów były otwarte.

Magistel po cichu zaczął wchodzić na górę. Mocno ściskając miecz, wyrzwał na zewnątrz. Nic. Słyszał bicie swego serca.

Stał na progu, wciągnął głęboko powietrze, zacisnął palce na głównej rękojeści miecza i wyskoczył na dach. Ledwie zdążył się odwrócić, by sparować cios rycerza, który zaatakował go mieczem. Wyciągając przed siebie Banthrala,

zatrzymał ostrze napastnika, następnie z całych sił odepchnął go do tyłu. Rycerz upadł i przeturlał się po wygładzonych kamieniach.

Erwan skorzystał z tej chwili, by przeanalizować sytuację. Było ich trzech na dachu baszty. On sam, rycerz, który go zaatakował, i naprzeciwko człowiek odwrócony do niego plecami, zdający się patrzeć w rozciągającą się przed nim pustą przestrzeń. Dancray.

Rycerz, którym był kapitan Danii, podniósł się, by ponowić atak. Lecz Erwan nie dał mu na to czasu. Z niezwykłą swobodą doskonale wyszkolonego magistela uskoczył, obrócił się wokół własnej osi i zachodząc przeciwnika z drugiej strony wymierzył cios w jego biodro, nim ten zdążył podnieść broń. Cios był tak mocny, że miecz przebił kolczugę, rozdarł pikowany gambeson i wbił się głęboko w ciało kapitana. Młody człowiek krzyknął z bólu i złapał się za zraniony bok.

Erwan spojrzał na Dancraya. Ten nawet nie drgnął. Za to Danii znów stał przed nim, gotowy do walki mimo krwi sączącej się z biodra. Zrobił kilka kroków w stronę Erwana i ich miecze znów się zwały. Kapitan wykonał wypad, ale nie sięgnął celu. Jego ciosy były zbyt wolne i przewidywalne, a magistel z łatwością je parował. Danii był z pewnością doskonałym strategiem, ale niezbyt zręcznym szermierzem.

Teraz, kiedy znał już możliwości przeciwnika, Erwan zdecydował, że czas przejść do ostatecznej ofensywy. Z niewiarygodną szybkością wykonał sekretny sztych, który przećwiczył tysiące razy: półobrót, cios w nadgarstek nieprzyjaciela i wypad. Erwan chwycił zranioną dłoń przeciwnika i obrócił go dookoła, jednocześnie wytrącając mu broń.

Kiedy kapitan znów znalazł się twarzą w twarz z magistelem, otrzymał cios mieczem między oczy, który zabił go na miejscu.

Erwan zwolnił uścisk i zakrwawione ciało Danila zwały się ciężko na posadzkę. Potem z opuszczoną bronią podszedł do Dancraya.

Generał odwrócił się i obserwował konanie swego ostatniego gwardzisty.

- Walczysz równie dobrze jak twój ojciec, ArDaman - powiedział Dancray, klaszcząc wolno w dłonie.

- A ty, Dancray, władasz mieczem z równą łatwością, jak wieszasz ludzi na szubienicy? - rzucił Erwan.

Generał wybuchnął śmiechem.

- Mieczem? Przypatrz się dokładnie, nawet nie noszę broni! Jestem strategiem, a nie zwykłym zbrojnym jak ty...

- Tak bardzo chcesz, bym cię zabił, że prowokujesz mnie w ten sposób? - zdziwił się Erwan. - Chcesz, by śmierć cię wyzwoliła?

Generał nie przestawał się uśmiechać.

- Nie obawiaj się - ciągnął Erwan. - Nie musisz mnie przekonywać, przyszedłem tu właśnie po to, by cię zabić, Dancray.

- A więc zrób to! - odparł generał, rozkładając ramiona.

Erwan uniósł Banthrala nad głowę. Ciągłe widział oczy mieszkańców uciekających ze stolicy. Ciało hrabiego wiszące na szubienicy. Setki trupów na wielkim placu. Nie czuł żadnej litości dla tego godnego pogardy kata. Przetnie mu czaszkę na pół.

- Stój! - krzyknęła Alea, która pojawiła się na dachu baszty.

Erwan westchnął i wolno opuścił miecz. W tej samej chwili generał wspiął się na blanki, by rzucić się w przepaść. Magistel skoczył w jego kierunku. W ostatniej chwili złapał Dancraya za nogi i przeciągnął z powrotem na dach.

Generał szarpał się, rozwścieczony. Erwan nie wahał się dłużej i ogłuszył go jednym ciosem pięści.

- Mogłem wyzwolić wyspę od tego potwora - mruknął Erwan, podnosząc się. Alea podeszła do niego z uśmiechem.

- Wiem, Erwanie. To było bardzo kuszące. Ale musimy zacząć dawać przykład. Wszystkiego tak nie rozwiążemy. A poza tym... mam do niego kilka pytań!

Złożyła na ustach magistela czuły pocałunek.

- Chodźmy. Na dole jest wiele do zrobienia.

\*

Stolica królestwa Galacji znów żyła swym dawnym rytmem, jak gdyby nic się tu nie zmieniło. Od kiedy królowa została ogłoszona druidem, nie ukazała się ani razu mieszkańcom Providence i wszystko wróciło do normy. Wąskie brukowane uliczki na nowo odżyły, hałaśliwe, niespokojne. Rzemieślnicy i przekupnie wrócili do swoich warsztatów, farbiarni, garbarni, wytwórni mydła, kuźni... Trotuary wypełniły się typowymi miejskimi zapachami, często nieprzyjemnymi, jak te przed sklepami rzeźników czy sprzedawców ryb. Przekupnie znów głośno nawoływali klientów, zachwalając swe towary. Na placach i w uliczkach mijało się czasem wóz wędrownego handlarza, trupe aktorów, posłańców, jakichś rycerzy... Stolica tętniła życiem niczym wielkie mrowisko.

Kiedy Almar Cahin wszedł do Providence, przechodnie rzucały w jego stronę niespokojne spojrzenia. Z opuchniętą twarzą, czarną od brudu skórą, w podartym ubraniu wyglądał jak niebezpieczny włóczęga i ludzie rozstępowali się przed nim. Kulejąc, przemierzał uliczki, kierując się prosto do pałacu i nie zwracał najmniejszej uwagi na spojrzenia mieszczan. Potrącił kilku gapiących się na niego przechodniów, ale żaden się nie odezwał, bo Almar naprawdę wyglądał na groźnego szaleńca.

Tylko jedno się dla niego liczyło. Dotrzeć do pałacu w Providence. Spotkać się z królową. Obiecał. Żył tylko po to. Przeszedł przez cały kraj i nic go teraz nie powstrzyma.

Kiedy stanął wreszcie przed wspaniałym pałacem królowej i już miał do niego wejść, ktoś go zatrzymał, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Nie możesz tam wejść w takim stanie!

Almar odwrócił głowę. Nie znał osobnika, który do niego mówił. Był to elegancki, wysoki, chudy mężczyzna o rudych włosach i zielonych oczach.

- Kim jesteś? - zapytał Almar zachrypniętym głosem.

Nie odzywał się do nikogo od wielu dni, gardło miał wyschnięte i podrażnione. Słowa sprawiały mu ból, przechodząc przez krtań.

Nieznajomy rozejrzał się dookoła, by sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje.

- Jestem taki jak ty, Almarze. Mistrz uprzedził nas o twojej misji. Ale nie możesz tam tak wejść. Nie wpuszczają cię. Chodź za mną.

Almar warknął. Nikt mu nie będzie rozkazywał. Tylko Mistrz miał do tego prawo. Idzie do pałacu. Nie zamierza słuchać nieznajomego. Nie.

- Idę do pałacu - wybełkotał z pustym, nieobecny spojrzeniem, jakby nie rozumiał, co powiedział jego rozmówca.

- Almarze - westchnął nieznajomy. - Mistrz nakazał mi pomóc ci dostać się do pałacu. Mam rozkaz zadbać, abyś spotkał się z królową. Lecz by się to udało, muszę zająć się twoim wyglądem. Jesteś brudny, śmierdzisz jak jakiś banita, a twoje ubranie jest w strzępach.

Rzeźnik spuścił wzrok i spojrzał na swój strój. Wybuchnął śmiechem.

- Królowa nie zechce przyjąć takiego łachmaniarza, co? - powiedział, rozkładając ręce.

- No właśnie! - odparł Czuwający z Providence z ulgą.

- Jak cię zwa? - zapytał Almar.

- Darragh.

- Witaj, Darragh, jestem Almar Cahin, rzeźnik.

- Wiem! - rzekł Czuwający, kręcąc głową.

Nie spodziewał się, że ten człowiek przybędzie w takim oplakanym stanie. Ale tak widocznie zaplanował to Maolmórdha.

Darragh miał tylko nadzieję, że uda mu się wprowadzić go do pałacu.

Czuwający ruszył przed siebie i dał znak Almarowi, by szedł za nim. Ten w końcu się poddał. Nie chciał ryzykować, że rozżłości Maolmórdhę. Trzeba być posłusznym. Jeśli ten Czuwający dostał rozkaz, by wprowadzić go do pałacu, to należy mu zaufać.

Liczy się tylko jedno. Jego misja. Musi zobaczyć królową.

\*

Požary zostały ugaszone w kilka godzin, a ostatni Rycerze Płomienia, którzy pozostali jeszcze na rozproszonych po mieście posterunkach straży, poddali się prawie bez walki. Miejsce lu dzi z Harcourt zajęli teraz w zamku Rycerze Ziemi. W ciągu zaledwie kilku dni twierdza Tarnea dwa razy przechodziła w nowe ręce, lecz tym razem zwycięzcy mieli do niej zdecydowanie większe prawo i bardziej ją szanowali. W końcu wielu Rycerzy Ziemi pochodziło z Sarre, a Alea spędziła w hrabstwie całe dzieciństwo. W każdym razie zamkowa służba, która jakimś cudem uniknęła śmierci z rąk Rycerzy Płomienia, okazywała nowemu wojsku ogromną wdzięczność, a w całym mieście szybko zapanowała wielka radość.

Bez interwencji druidów Armia Ziemi z pewnością nie zdołałaby oswobodzić Tarnei, więc rycerze Alei byli wdzięczni ludziom w białych płaszczach. Druidzi, którzy także rozlokowali się w zamku, opatrywali rannych i przyłączyli się do prac przy odbudowie najbardziej zniszczonych i groźących zawaleniem części budynku.

Alea poprosiła, by jeszcze tego wieczoru zorganizowano wielkie święto. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane, a miasto potrzebowało chwili radości i zapomnienia o smutku i cierpieniach.

Jednak to, co zdarzyło się później, przekroczyło wszelkie oczekiwania dziewczyny. Przez cały dzień plac Rozumu wypełniał się tłumem. Wciąż napływali kolejni mieszkańcy miasta, wiwatując

na cześć Alei, druidów i Armii Ziemi, świętując odzyskanie wolności. Po południu przybyli także mieszkańcy okolicznych miasteczek, by cieszyć się wspólnie ze zwycięstwa Samildanacha.

Wieczorne uroczystości na zawsze zapisały się w pamięci mieszkańców Sarre jako najwspanialsze święto zorganizowane w stolicy. Na głównym placu miasta licznie zgromadzeni bardowie z okolicy i ci, którzy przybyli z Sai-Miny, wystąpili ze swymi pieśniami i opowieściami. Tańczono, śpiewano i pito znacznie ponad miarę. Miasto rozbłysło kolorowymi światłami, wypełniło się śmiechem i radością.

Alea wieczerała w zamku ze swymi przyjaciółmi i Wielkimi Druidami z Sai-Miny. Jeden z najlepszych kucharzy w mieście, właściciel słynnej oberży przy placu Szkła, już od rana przygotowywał w zamkowej kuchni świąteczne potrawy dla znacznych gości.

Na przystawkę podano rogaliki z delikatnego kruchego ciasta nadziewane farszem z wieprzowiny podsmażonej na maśle z posiekanym jajkiem na twardo, kminkiem i śmietanką. Rumiano- -złote przysmaki niezwykle przypadły do gustu Mjollnowi, który od razu zjadł trzy, a na tym by się pewnie nie skończyło, gdyby służba nie wniosła głównego dania - faszzerowanego prosięcia.

Była to bez wątpienia jedna ze specjalności szefa kuchni, przygotowana naprawdę po mistrzowsku. Najpierw gotował on wieprzowe podroby w osolonej wodzie przez niemal godzinę, nie zapominając o wcześniejszym wyjęciu wątroby, aby nie była zbyt twarda. Ugotował także sporą ilość kasztanów i jaj. Po dokładnym oczyszczeniu prosięcia ze szczeciny i śladów krwi starannie posolił jego wnętrze i zabrał się do farszu. Posiekał ugotowane podroby, dodał szynkę i ser oraz rozgniecione kasztany i jaja na twardo. Aby farsz dobrze się połączył, dorzucił kilka surowych żółtek. Następnie obficie to wszystko posolił, posypał imbirem i szafranem, po czym napełnił farszem brzuch prosięcia, zaszył specjalną nicią i piekł przez wiele godzin, sprawdzając, czy skóra dobrze się przyrumieniła.

Kucharz podał swe danie z małymi białymi cebulkami przyrumienionymi na maśle i cukrze i posypanymi cynamonem.

Był to prawdziwy przysmak, godny najlepszych oberży Bizanii, i sami druidzi gratulowali kucharzowi, kiedy przyszedł sprawdzić, czy niczego gościom nie brakuje.

Kiedy przyniesiono deser, krem z mleka migdałowego z suszonymi owocami, większość biesiadników zaspokoila już głód.

- Emanie - zwróciła się do druida Alea pod koniec kolacji - jesteśmy wam nieskończenie wdzięczni.

- Nie dziękuj nam - odparł Arcydruid. - Naszym obowiązkiem jest bronić hrabstwa Sarre i Sai-Mina powinna była przybyć wam na pomoc o wiele wcześniej. Mam nadzieję, że nie jest za późno.

- Co chcecie przez to powiedzieć? - wtrącił Mjolln, u którego podobny pesymizm zawsze wywoływał niepokój.

- Chcę powiedzieć, że nie jestem pewien, czy uda się nam przywrócić pokój na tej wyspie. Konfliktów jest tak dużo i są tak bardzo złożone!

- Nie chodzi tylko o przywrócenie pokoju, Emanie. Nie chcę wracać do stanu z przeszłości, lecz tworzyć przyszłość. Chodzi o to, by całkowicie zmienić system Gaelii. Jeśli Gaelia upadnie, to dlatego że opiera się na niedobrych podstawach.

Arcydruid wolno pokiwał głową.

- Powrót do stanu z przeszłości byłby i tak bardzo trudny - przyznał. - Zaszło zbyt wiele zmian.

Położył ręce na stole.

- A niektórych nie byłem nawet świadomy - dodał, odwracając się do Finghina i Kaitlin.

Mjolln parsknął śmiechem.

- Lecz wiesz przynajmniej, czego chcesz, Aleo? - ciągnął Arcydruid. - Gdybyś naprawdę mogła zmienić stan rzeczy, czym zastąpiłabyś system, który znaliśmy do dziś?

W mojej głowie zaczyna się już kształtować pewna wizja, druidzie. Ale nie chcę sama nad tym myśleć. Wszyscy powinni się nad tym zastanowić. Jednakże wolę już teraz was uprzedzić, że jest kilka zmian, na których mi zależy, a które wcale się wam nie spodobają.

- Ostatnie wydarzenia nauczyły nas godzić się ze zmianami - odparł Shehan siedzący po prawicy Arcydruida.

- Uważam na przykład, że każdy powinien mieć możliwość nauczyć się czytać i pisać.

Kiaran, który do tej pory milczał, klasnął w dłonie.

- Niech tak będzie! - powiedział z uśmiechem. - Zawsze sądziłem, że ta reguła to idiotyzm odziedziczony po przodkach!

Ernan chrząknął i znowu zabrał głos.

- Ja bym tak nie powiedział, ale jeśli pokażecie nam, jakie dobro wyniknie z tego dla mieszkańców wyspy, i przekonacie nas, będziemy was wspierać.

- Właśnie to musi się zmienić, Emanie. To nie wy powinniście oceniać i decydować, co jest dobre, a co złe dla tej wyspy. Nie powiedziałam, że nakażę wszystkim naukę czytania. Powiedziałam, że każdy powinien mieć możliwość nauki. Wolność wyboru.

Ernan się skrzywił.

- Ktoś będzie musiał rządzić krajem, Aleo...

- Zobaczymy.

\*

Świętowano długo w noc. Sama w komnacie zamku, którą przygotowała dla niej służba, Alea słyszała okrzyki i śmiechy mieszkańców miasta. Nie spodziewała się aż takiej radości i kiedy po kolacji zeszła na główny plac, wiwaty tarneańczyków niemal ją wystraszyły.

Lecz trzeba było się z tym pogodzić. Od dnia, kiedy przyjęła swą rolę, nie miała już innego wyboru, jak tylko pogodzić się zarówno z wściekłą nienawiścią wrogów, jak i przesadnym entuzjazmem wielbicieli. Dla wielu ludzi na wyspie uosabiała nadzieję na zmiany, na odnowę. Nie mogła ich zawieść.

Dlatego teraz Alea postanowiła nie poddawać się lękowi. Nie zamierzała opuszczać rąk czy odwracać spojrzenia. Chciała stawić czoło wszystkiemu, co ją czeka, przyjąc wszystko z wysoko podniesioną głową. A zwycięstwo w Tarnei było tylko preludium tego, co zamierzała osiągnąć. Ponieważ teraz miała już pewność. To, czego potrzebuje Gaelia, to zupełnie nowy system. Ale nie byle jaki i nie wprowadzony byle jak. Odpowiedzialni za zbyt liczne targające

wyspą konflikty popełnili błędy, których teraz należało za wszelką cenę uniknąć.

Dziewczyna wyciągnęła się na łóżku, założyła ręce pod głowę i westchnęła. Hrabstwo Sarre było teraz wolne. Ale trzeba będzie utrzymać tę wolność, chronić kraj przed możliwymi atakami. Harcourt z pewnością zechce się zemścić, a Galacja, rządzona przez Aminę żelazną ręką, też może mieć ochotę na zagarnięcie tych terenów. Trzeba będzie odwrócić bieg rzeczy. Zamiast oddać Sarre na pastwę brutalnej monarszej władzy Galacji lub wojowniczego chrześcijaństwa Harcourt, trzeba będzie szerzyć ideę wolności. Dać przykład. Tarnea może stać się symbolem powiewu wolności. Świata, o jakim marzyła Alea.

Dziewczyna sięgnęła do leżącego przy łóżku podróżnego worka, z którego wyjęła opasły tom Encyklopedii Analego.

Kiedy tylko mogła, zaczytywała się w tym niezwykłym dziele, którego głębia nie przestawała jej zadziwiać. Czy Samildanach, który niegdyś spisał te strony, posiadał wiedzę absolutną, całkowitą znajomość bytów i historii? Jak mógł przewidzieć tyle spraw i tak dobrze je opisać? Czy mogła wierzyć temu rękopisowi, który był tak... wyrotowy!

Zaczęła rozdział, który czytała już wcześniej, a który był z pewnością jednym z najważniejszych w całym grubym tomie. Dotyczył Saimana, będącego przedmiotem drugiej przepowiedni, a to, co tam przeczytała, zadziwiło ją bardziej niż wszystko, co do tej pory odkryła na stronach Encyklopedii. Jeśli to, co mówił Anali, było prawdziwe, był to z pewnością najważniejszy przekaz jego dzieła, odkrycie, które całkowicie burzyło powszechnie przyjęty obraz świata.

Anali wyjaśniał przede wszystkim, w jaki sposób druidzi opanowują Saimana. Opisywał przeróżne ćwiczenia na koncentrację, które praktykowano w Sai-Minie, i poza kilkoma naprawdę niezwykłymi technikami Alea nie znalazła tam nic nadzwyczajnego. Jednak po opisaniu tego zagadnienia tekst Analego przybierał całkiem inną formę i Alea dwukrotnie przeczytała ostatnie zdania, by mieć pewność, że dobrze je rozumiała.

Według Analego Saiman nie był żadną magiczną mocą dostępną wyłącznie druidom, lecz raczej zbiorem praw i sił rządzących całym światem. Żadną magiczną mocą! Dawny Samildanach opowiadał, jak Sai-Mina posłużyła się zakazem pisania, aby nie dopuścić do rozpowszechnienia tej wiedzy i zarezerwować wyłącznie dla druidów możliwość posługiwania się tymi zwykłymi siłami. Naturalnymi siłami. Tak, właśnie tego słowa użył Anali. Naturalnymi. A w konkluzji autor tak wyjaśniał drugą przepowiednię: ostatni Samildanach odnajdzie sens tych naturalnych sił - których było trzy - i wtedy ich opanowanie nie będzie już dostępne wyłącznie kaście druidów, lecz rozprzestrzeni się po całym świecie. To właśnie będzie koniec Saimana...

Alea, zdumiona, położyła Encyklopedię na kolanach. Teraz lepiej rozumiała, dlaczego druidzi z Rady z taką niechęcią i nieufnością podchodzili do tekstu Analego. Podawał w wątpliwość całe nauczanie Sai-Miny, a druidów oskarżał nawet o działanie w złej wierze...

Czy Anali mówił prawdę? I jak zrozumieć naturę Saimana? Bo jeśli przepowiednie były prawdziwe, Alea jest ostatnim Samildanachem, a skoro nim jest, powinna odnaleźć pierwotny sens sił Saimana. Naturalnych sił... Ale czy była w stanie to zrobić?



Wszystko to wydawało jej się tak abstrakcyjne, tak rozmyte, że nie wiedziała nawet, od czego zacząć.

Schowała Encyklopedię do worka, położyła go na podłodze i wsunęła się pod koldrę, którą przykryto jej łóżko.

Zamknęła oczy, czekając na sen, z nadzieją, że noc przyniesie odpowiedzi na jej pytania.

- Gołąb pocztowy właśnie przyniósł niezwykłą wiadomość - wyjaśniła Carla Bisagni, zasiadając za wielkim stołem, przy którym czekali już kapitan Giametta i trzech inni oficerowie armii Bizanii.

Po ogłoszeniu śmierci jej ojca Carla Bisagni została proklamowana przez dwór Farfanaro baronową Bizanii. Po całym kraju krążyły plotki o prawdopodobnym udziale dziewczyny w brutalnym mordzie starego barona, ale nikt się tym specjalnie nie gorszył. Ludzie uważali nawet ten czyn za całkiem romantyczny, a ojcobójstwo nie było naruszeniem żadnej z zasad decenzy... Nie brakowało jej brawury, skoro zasiadła na tronie, zabijając swego ojca, w każdym razie świadczyło to o silnym pragnieniu zdobycia władzy, a to dobrze wróżyło na przyszłość. Dziwnym zbiegiem okoliczności jedyny człowiek na dworze, który mógł sprawić Carli prawdziwe problemy, bailif Stefano, zmarł tego samego dnia...

- Słuchamy cię, baronowo - rzekł kapitan Giametta.

- Alea Cathfad, Samildanach, z pomocą ostatnich druidów z Sai-Miny odbiła Tarneę z rąk generała Dancraya! - wykrzyknęła młoda baronowa z uśmiechem.

- Najwyraźniej hrabstwo Sarre znalazło w niej swego wybawcę, a tym samym Harcourt swego największego wroga.

- Czyżbyś uważała to za dobrą nowinę? - zapytał sceptycznie Giametta.

- Oczywiście! - odparła baronowa. - Ponieważ to osłabi Harcourt! Hrabia Al'Roeg chciał umocnić swe wpływy, anektując Sarre, a ta dziewczyna sprowadziła go na ziemię bez pardonu. Teraz powinniśmy bardziej niż kiedykolwiek wspierać Galację w ataku na Harcourt!

- Pozwól mi po raz pierwszy wyrazić pewną wątpliwość - powiedział nieśmiało kapitan Giametta.

- A to czemu? - obruszyła się Carla.

- Nie traćmy z oczu naszego celu, którym jest wzmocnienie naszej politycznej władzy, nieprawdaż? I aby go osiągnąć, chcemy okazać się potrzebni Galacji w walce przeciw Harcourt. Jak dotąd był to dobry plan i zgadzałem się z tobą, pani, co do jego słuszności. Ale czy dzisiaj nadal jesteśmy przekonani, że to Galacja jest główną siłą na wyspie?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Czy nie powinniśmy raczej szukać przymierza z Aleą? Wygląda na to, że w tej chwili to ona ma największą władzę!

- Chyba żartujesz! - wykrzyknęła baronowa. - Alea to jedynie anegdota! Nieważny szczegół! Oczywiście dziś jest sławna i odnosi zwycięstwo, ale to tylko epizod w historii wyspy! Jest niczym w porównaniu z symbolicznym znaczeniem Galacji! Za dziesięć lat nikt już nie będzie pamiętał o Alei. Jej czas minie. Tymczasem za sto, a nawet za tysiąc lat, Galacja wciąż będzie centrum królestwa. Nie, to raczej z królową powinniśmy paktować...

- To, co opowiadają o tej Alei, wydaje mi się ważniejsze, niż mogłabyś przypuszczać - zaprotestował kapitan. - Nie wydaje mi się, by tak szybko ją zapomniano.

- Przywiązujesz za dużą wagę do plotek i ludowych bają, mój biedny Giametto!

- Podobno władza Saimanem lepiej niż wszyscy druidzi razem wzięci. A patrząc na jej historię, nie mam powodów, by w to nie wierzyć. Najpierw pokonała Herilimów, później uciekła druidom, którzy teraz się do niej przyłączyli. Stawiła czoło Al'Roegowi w jego pałacu w Rii i odbiła Sarre z rąk najlepszego stratega na wyspie. Nie, baronowo, ta dziewczyna z pewnością nie jest jedynie anegdotą.

- Zdobyła Tarneę tylko dlatego, że hrabia Harcourt uznał, że wystarczy wysłać tam zaledwie trzy tysiące konnych. Ale gdyby jutro musiała stawić czoło prawdziwej armii, takiej jak wojsko Galacji, nie miałyby żadnych szans... Zapewniam cię, że naszym najlepszym sprzymierzeńcem jest królowa.

- Miejmy nadzieję, że Alea myśli podobnie i znajdziemy się w tym samym obozie.

- To całkiem możliwe - przyznała Carla. - Alea i Galacja mają w końcu wspólnego wroga: Harcourt. Właśnie dlatego powinniśmy dążyć do wojny z AFRoegiem. To tylko zwiększa nasze szanse na zwycięstwo.

Giametta przytaknął, częściowo przekonany, rzucił okiem na pozostałych oficerów, a ponieważ żaden nie rwał się, by zabrać głos, zapytał:

- Czy mamy się zatem przygotować do wysłania wojsk do Galacji, by wspólnie z królową wyruszyć na wojnę z Harcourt?

- Tak, bez dalszej zwłoki - potwierdziła baronowa. - Chcę, aby pierwsi najemnicy jutro wyruszyli.

- Jutro! To niemożliwe!

- Liczę na ciebie, Giametto. Jeśli nie jesteś w stanie wypełnić tego zadania, będę musiała poszukać kogoś innego na twoje miejsce. Mój ojciec nie żyje, kapitanie. Trzeba się znowu przyzwyczać do prawdziwej pracy.

\*

- Niejaki Almar Cahin pragnie się z tobą widzieć, pani. Twierdzi, że Wasza Wysokość go zna.

Królowa, która od dwóch dni pozostawała w swym wielkim łożu, zmarszczyła brwi.

„To pułapka”.

- Czy życzysz sobie, pani, bym go wprowadził?

„Już nawet nie wiem, kto to jest. Almar. Tak, znam to imię. Oczywiście. Jest zapisane gdzieś w mojej pamięci. Almar Cahin. Jestem pewna, że go znam, ale skąd?”

Królowa odezwała się pierwszy raz, odkąd zaniemogła.

- Tak, niech wejdzie.

Sługa wydawał się zaskoczony. Od dwóch dni Amina nie chciała nikogo widzieć, ani druidów, ani Belyego. Znalaziono ją zemdloną w komnacie na najwyższym piętrze pałacu i od tamtej pory spędzała dni w swym łóżku, szepcząc coś pod nosem, jakby była szalona.

Sługa wprowadził Almara do królewskiej komnaty i dyskretnie wyszedł.

- Amino? - powiedział Almar, podchodząc do łóżka.

„Rzeźnik. To rzeźnik z Saratei. Poznają ten głos. Gdybym wiedziała, że to on, nie pozwoliłabym go wpuścić. Nędzny rzeźnik! Czego może ode mnie chcieć ten idiota?”

Ze wzrokiem wbitym w sufit i rękami wyciągniętymi wzdłuż tułowia wyglądała na dwa razy starszą, niż była w rzeczywistości. Jej cera była trupio blada.

- Jesteś chora?

- Czego chcesz? - odpowiedziała królowa, nie odwracając głowy.

Almar wziął krzesło i usiadł przy łóżku.

- Przyszedłem cię ostrzec, Amino.

„Wiedziałaś, że to pułapka. To on go nasłał, Eoghan. To pułapka Eoghana. Znowu. Nie mogę dać się złapać. Nie mogę go słuchać. To zdrajca. Może to nawet sam Eoghan w przebraniu. Tak, jestem pewna, że to on. Wrócił z krainy umarłych, by się zemścić”.

- Przestrzec przed Aleą - ciągnął rzeźnik, przysuwając się nieco bliżej.

- Aleą?

Amina wolno odwróciła głowę do rzeźnika. Teraz go rozpoznawała. Wciąż był tak samo gruby i brzydki, ale coś się jednak zmieniło. Coś w jego spojrzeniu.

„To oczy Eoghana. To nie rzeźnik. Skąd miałby się tu wziąć? Nie! Jestem pewna, że to mój król. Mój martwy król. Przyszedł po mnie”.

- Nie powinnaś była jej opuszczać, Amino.

„To pułapka. On kłamie. Nie opuściłam jej. Alea była moją najlepszą przyjaciółką”.

- Wyjechałaś z Saratei i zostawiłaś ją samą. Nigdy ci tego nie wybaczyła.

„Nie miałam wyboru. To nie ja zdecydowałam o wyjeździe”.

- Nie znasz prawdy, Amino. A ja tak. Alea chciała cię mieć wyłącznie dla siebie! Dlatego nigdy ci nie wybaczyła. Byłaś sensem jej istnienia. To ona zabiła twój ojca. Bo nie chciała się tobą dzielić, Amino.

„To pułapka. Pułapka, pułapka, pułapka! Alea nie zabiła mojego ojca! Nie. Alea była moją najlepszą przyjaciółką”.

- Tak, moja królowo, to Alea zabiła twój ojca. Bo chciała cię mieć tylko dla siebie. A wtedy ty wyjechałaś. I Alea miała do ciebie o to żal...

„Kłamie. Nie miałam wyboru”.

- I jej żal narastał, z roku na rok. Oszalała. Miała w głowie tylko jedną myśl. Zemścić się. Zemścić się na tobie.

„Zamilcz, Eoghane! Zamilcz! Wiem, że to ty!”

- A teraz ma ku temu możliwości. Teraz może cię zabić!

„To ty chcesz mnie zabić, Eoghane. Zdrajco! Alea była moją najlepszą przyjaciółką! Kłamiesz!”

- Dlatego musisz mnie posłuchać, Amino. Przyszedłem cię ostrzec, bo ja, ja wiem... Tylko ja mogę cię obronić przed Aleą...

„Zamknij się! Zostaw mnie!”

- Amino, ona chce cię zabić.

„Zamknij się!”

- Ona chce cię zamordować!

Nagle królowa podniosła się z wrzaskiem. Oczy nabiegły jej krwią. Drżąc na całym ciele, rzuciła się na rzeźnika.

- Zamknij się! - krzyczała, chwytając go za gardło.

Almar spadł z krzesła. Usiłował złapać się niewielkiego stolika stojącego przy łóżku, ale tylko pociągnął go za sobą. Zwalił się z hukiem na marmurową posadzkę. Ale Amina nie wypuściła go z rąk. Zacisnęła palce na jego szyi, próbując go udusić, a w jej oczach były szaleństwo i nienawiść.

Rzeźnik, który nie mógł oddychać, zaczął się jej wyrwać. Wcale nie czuł bólu. Już od dawna nic nie czuł. Ale wiedział, że jeśli nie zaczerpnie odrobiny powietrza, umrze. A jeśli umrze, nie wypełni misji, którą zlecił mu Mistrz. Musiał jakoś z tego wybrnąć. Wściekłość królowej była jednak tak wielka, że podwajała jej siłę, i Almar nie mógł się wyrwać. Kiedy próbował się podnieść, podpierając się ręką o podłogę, nagle poczuł pod dłonią jakiś ostry przedmiot. Zapewne kawałek wazy, która stłukła się, spadając ze stołu.

Nie wahał się ani chwili. Chwycił skorupę. Ścisnął ją w dłoni tak mocno, że krawędź porcelany przecięła mu skórę. Ale nie poczuł tego. Podniósł rękę i przez chwilę trzymał ją wysoko nad sobą, po czym ze wzrokiem pełnym wściekłości z całej siły uderzył w szyję Aminy. Ostra skorupa wbiła się głęboko w gardło królowej, która upadła na posadzkę. Almar klęknął, zbliżył się do królowej i jeszcze raz uderzył. Ostry koniec trafił w oko jego ofiary i zagłębił się w jej głowie, sięgając aż do mózgu. Twarz Aminy zalała się krwią.

Królowa umarła natychmiast, ale Almar nie przestawał uderzać. Podnosił wysoko ostry kawałek rozbitej wazy i uderzał w twarz zmarłej. Mechanicznie. Nie zwalniając, nie zastanawiając się, jak długo jeszcze będzie musiał to robić. Im dłużej uderzał, tym bardziej podniecały go tryskające strugi krwi. Wkrótce twarz królowej była już tylko bezkształtną masą kości i krwi. Kiedy strażnicy wbiegli, by zatrzymać mordercę, ten wciąż zadawał ciosy.

**PRZED OBLICZEM KATA**

*Płynę przez świat Djar do miejsca, którego nie znam. To nie ja decyduję o kierunku tej podróży. Mogłabym się zatrzymać czy nawet opuścić Djar, ale chcę się przekonać, kto próbuje tak mnie przyciągnąć. Może to moja wilczyca. Imiała. Tak ode mnie daleko. Lub Kiaran, który nie mógł mi ostatnio powiedzieć wszystkiego, co chciał.*

*Unoszę się. Pozwalam się prowadzić. Nie ma dni ani nocy, jestem w nieskończoności świata Djar. Nie wiem, jak długo trwa ta podróż, chwilę czy wieczność. Tagorze, mój bracie, jak sobie z tym radziłeś, kiedy żyłeś w Sidzie? A jak radzisz sobie dziś? Tuathannowie nauczyli się żyć w zupełnie nowym świecie. A my? Czy będziemy zdolni nauczyć się żyć razem z wami w naszym starym świecie?*

*Zwalniam. Wydaje mi się, że rozpoznaję to miejsce. Oczywiście. Brama światów. To tutaj... Nie mogę w to uwierzyć. To on mnie tu przyciągnął! On!*

*Felim. Jest tutaj. Przede mną. Druid. Caron Cathfad. Ten, który dał mi życie. I który umarł dwukrotnie.*

*- Witaj, Aleo.*

*Wiem, ile kosztuje go przyjście tutaj, przekroczenie granicy. Musi mówić szybko.*

*- Witajcie, Caronie.*

*Zwracam się do niego jego dawnym imieniem. Imieniem, które nosił, kiedy spotkał moją matkę.*

*- Mam niewiele czasu, Aleo. Ale to, co przyszedłem ci powiedzieć, jest bardzo ważne. Niestety.*

*- Słucham was, druidzie.*

*- Możesz mówić na ty do swego ojca.*

*- Słucham cię.*

*- Maolmórdha. Musisz odnaleźć Maolmórdhę.*

*- Nie zapomniałam o nim, Caronie. Jak mogłabym zapomnieć?*

*- Posłuchaj, Aleo. Musisz go odnaleźć jak najprędzej.*

*- Dlaczego?*

*Waha się. Nie wie, czy powinien mi odpowiedzieć.*

*- Nie masz czasu na wahanie, Caronie. Odpowiedz! Dlaczego jak najprędzej?*

*- Ponieważ musi zostać zabity, nim zniknie Saiman.*

*- A więc Saiman naprawdę zniknie?*

*- Jesteś ostatnim Samildanachem, Aleo. Jeszcze w to wątpisz?*

*Nie. Jestem Samildanachem. Wiem to. W każdym razie jestem*

*tym, komu druidzi nadają takie miano.*

*- Gdzie znajdę Maolmórdhę?*

*- Jest w pałacu Shankha.*

*- Gdzie to jest?*

*- Za morzem, na małej wyspie, na wschód od miasteczka Ga-laban.*

*Jego postać staje się niewyraźna. Zaczyna wracać do świata zmarłych. Nie ma już wystarczającej energii, by dłużej tu zostać. Muszę się spieszyć.*

*- Czy koniecznie trzeba go zabić?*

*- Maolmórdha posiada Ahrimana. Ahriman musi zostać unicestwiony, zanim zniknie Saiman. Bo jeśli Ahriman przetrwa... Jeśli przetrwa... Aleo, nie mam czasu. Aby zniszczyć Ahrimana, musisz zabić Maolmórdhę. Tylko ty możesz to zrobić.*

*- Nie ma innego wyjścia?*

*Już go tu nie ma. Wrócił do świata umarłych.*

*Zabić Maolmórdhę. Zabić Ahrimana. A jednak... czy Finghin nie miał racji? Czy dla niego też nie powinnam znaleźć innego rozwiązania?*

*Felimie. Ojciec. Dlaczego musi tak być?*

*Odszedł. Żegnaj, Felimie. Teraz mogę płakać. Tutaj.*

\*

Feren Al'Roeg, jak każdego ranka, siedział w wielkiej komnacie w północnym skrzydle pałacu w Rii i czytał jedną z wielu ksiąg, które ofiarował mu biskup Aeditus. Było jeszcze tyle do odkrycia w tych cudownych woluminach! Cała ta wiedza, o której nie mieli pojęcia druidzi ani Gaelijczycy, ukryta na tych stronicach, na wyciągnięcie ręki! W tym tkwiła jego siła! Otworzył się na chrześcijaństwo i na wiedzę wcześniej niż jego wrogowie. I jutro zmiażdży ich wszystkich. Bo zdobył się na zmiany. Po prostu.

W każdym razie taką miał nadzieję. A na razie czekał na wieści od generała Dancraya. Nie wątpił, że strategowi udało się zająć Tarneę. I że będzie mógł wprowadzić w życie swój wielki plan zdobycia całej wyspy.

Hrabia zamknął leżącą przed nim księgę. Ktoś zapukał do drzwi komnaty. Podniósł wzrok. Sala była pusta, jak zwykle o tej porze. Nikt nie miał prawa mu tu przeszkadzać. Podczas tych samotnych godzin mógł rozmyślać. To tutaj, pomiędzy księgami, planował przyszłość, oceniał teraźniejszość.

*- Wejść! - krzyknął, zastanawiając się, kto ośmielił się zakłócić mu spokój.*

Wielkie drewniane drzwi zaskrzypiały i otworzyły się wolno. Ukazał się w nich namiestnik Alembert z zasepioną miną. Przeszedł przez bogato zdobioną komnatę, a hrabia patrzył na niego z irytacją.

*- Panie hrabio? - szepnął, podchodząc do szerokiego fotela.*

*Al'Roeg westchnął i odłożył księgę na kolana.*

*- Alembencie! Wiesz, że nie znoszę, jak mi się przeszkadza, kiedy czytam!*

*- Niestety, panie hrabio, sędzę, że trzy wiadomości, które przynoszę, nie mogą czekać.*

*Al'Roeg zmarszczył brwi.*

*- Słucham...*

*Namiestnik przełknął ślinę.*

*- Armia Samildanacha odbiła Tarneę z rąk generała Danc- ray.*

*Hrabia upuścił księgę na ziemię.*

- Niemożliwe!  
- Byli z nimi druidzi z Sai-Miny. Odbili miasto i teraz je zajmują. Ludność Sarre zdaje się ich popierać...  
- Jak Dancray mógł zostać tak łatwo pokonany? Generał Dancray! To katastrofa, prawdziwa katastrofa!  
Hrabia wstał, kręcąc głową. Dancray był jego najlepszym strategiem. Nigdy by nie pomyślał, że może przegrać walkę o Tarneę. I jak poradzi sobie teraz bez jego cennych rad... Strata hrabstwa Sarre mogła przekreślić wszystkie jego plany. Jakimż był głupcem, że nie wziął pod uwagę możliwości porażki. Trzy tysiące rycerzy! Trzeba było wysłać dwa razy tyle!  
- A dwie pozostałe wiadomości? - zapytał ostrym tonem. - Mówiłeś, że masz trzy.  
Alembert przytaknął.  
- Królowa Amina z Galacji została zamordowana.  
- Co takiego? Przez kogo?  
- Przez jakiegoś szaleńca, nic nieznaczącego człowieka, którego nikt nie znał.  
- Chryste! Czy to możliwe?  
- Ale to nie wszystko - ciągnął namiestnik, który chciał jak najszybciej pozbyć się swego zadania. - Baron Bizanii też nie żyje, został zasztytowany...  
Hrabia opadł z powrotem na fotel. Nie mógł w to wszystko uwierzyć. Patrzył na namiestnika, zastanawiając się, czy ten przy padkiem nie kłamie albo czy się nie pomylił, ale było to oczywiście niemożliwe. Alembert z pewnością mówił prawdę.  
- Królowa, baron... To wszystko zmienia! Alembercie, zwołaj za godzinę moich generałów i doradców. Musimy natychmiast zareagować!

\*

Alea poprosiła, by zostawiono ją samą przynajmniej na kilka godzin. Wiadomość o śmierci Aminy złamała jej serce i tylko wielkim wysiłkiem woli udało się jej nie rozplakać w obecności przyjaciół, ale teraz, kiedy znalazła się sama w pokoju na zamku w Tarnei, płakała rzewnymi łzami, jak dziecko, którym przecież wciąż była.

Nie chciała się nad tym zastanawiać, nie chciała zrozumieć, tylko pozbyć się bólu. Przeznaczenie wymagało zbyt wiele od dziewczyny w jej wieku. Przeznaczenie. Mojra. Ach! Jeśli Mojra rzeczywiście istnieje, jak może być tak okrutna? Dlaczego uwzięła się na tak młodą osobę?

Leżała tak już godzinę, z głową wtuloną w poduszkę, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

- Aleo, to ja, Kaitlin. Wpuść mnie!

Dziewczyna się nie poruszyła. Chciała zostać sama. Przecież prosiła, by jej nie przeszkadzano. Nie chciała żadnego pocieszenia.

- Otwórz, do cholery!

Alea wiedziała, że Kaitlin nigdy się nie poddaje. W końcu była wędrowną aktorką. Kiedy coś sobie postanowiła, nikt nie mógł jej od tego odwieść. Jeśli nie otworzy jej drzwi, będzie pukać tak długo, aż doprowadzi Aleę do szaleństwa.

Dziewczyna westchnęła ciężko, przewróciła się na plecy, wytarła łzy z policzków i kącików oczu, wstała i poszła otworzyć.

Aktorka uśmiechnęła się do niej i weszła do pokoju, stąpając na palcach. Alea zamknęła drzwi, odwróciła się i położyła plecami do Kaitlin.

- Aleo - zaczęła aktorka - wiesz, że Kieran należy do druidów, którzy się do nas przyłączyli... Ale czy wiesz, że jest moim wujem?

Dziewczyna nie odpowiedziała.

- Odnalazłam swojego wuja! - wykrzyknęła Kaitlin radośnie. - Tak długo go nie widziałam! No dobrze, to cię specjalnie nie interesuje... Ale mam inną dobrą wiadomość.

Alea wzruszyła ramionami. Aktorka mówiła do niej jak do dziecka. Tymczasem ból, którego doświadczała, nie miał w sobie nic dziecinnego i podobne słowa nie mogły go ukoić.

- Arcydruid Ernan postanowił nadać Mjollnowi tytuł barda.

Alea nie odpowiedziała. Wolalaby dowiedzieć się o tym w innych okolicznościach. Tak, chciałaby się tym cieszyć. Spełni się największe marzenie jej wiernego przyjaciela. Zostanie bardem. Ale czuła taki ucisk w gardle, że nie mogła mówić. Tak bardzo cierpiała.

- Aleo, jesteś niesprawiedliwa.

Kaitlin usiadła na brzegu łóżka przyjaciółki. Poglaskała delikatnie jej długie ciemne włosy.

- Zabraniasz nam rozmawiać z sobą, a przecież kiedy straciłam brata, najbliższą mi osobę, przysłaś ze mną porozmawiać.

Alea przypomniała to sobie, ale to wspomnienie zamiast ją pocieszyć, sprawiło, że poczuła się jeszcze smutniejsza.

- A pamiętasz, co mi wtedy powiedziałaś?

Alea pokręciła głową, z trudem powstrzymując łzy cisnące się jej do oczu.

- Powiedziałaś mi coś, czego nigdy nie zapomnę: „Wiem, że to nie zwróci ci brata, lecz choć znałam go bardzo krótko, jego twarz pozostanie na zawsze w mej pamięci. A ty na zawsze pozostaniesz moją przyjaciółką”. Czy coś takiego...

Alea, która skrzyżowała ręce na piersi, wyciągnęła prawą dłoń do aktorki i ujęła jej rękę.

A później powiedziała: „Dziękuję, sestro”. Wiesz, dlaczego to powiedziałaś? Chciałaś mi dać do zrozumienia, że choć straciłam brata, zyskałam siostrę. Zostałaś moją małą siostrzyczką. I uczyniłaś mnie wtedy szczęśliwą. Nie mogłam ci wówczas tego powiedzieć, ale uczyniłaś mnie szczęśliwą. Dzisiaj to samo spotyka ciebie. Straciłaś przyjaciółkę, tę, która kiedyś była ci najbliższa, ale zyskałaś przyjaźń wszystkich, którzy są dziś przy tobie. Finghina, Mjollna, moja... Odnalazłaś brata Tagora i ukochanego Erwana... Z Aminą dzieliłaś wspomnienia. Najpiękniejsze wspomnienia z dzieciństwa. A wspomnienia, Aleo, są nieśmiertelne. Nikt ci ich nie odbierze. Są twoje na zawsze. Coś mi mówi, że gdybyś dziś spotkała Aminę, to, jak bardzo się zmieniła, mogłoby zniszczyć twoje wspomnienia. Być może tak jest lepiej. Zachowaj swe najpiękniejsze wspomnienia, siostrzyczko.

Po tych słowach Kaitlin wstała, pochyliła się nad Aleą, ucałowała jej głowę i wyszła.

Alea leżała nieruchomo. Wciąż czuła ten ucisk w gardle, ale teraz uśmiechała się do siebie, smutnym uśmiechem, ale zawsze uśmiechem.

Ponieważ Kaitlin miała rację. I dobrze było jej posłuchać.



\*

- Musimy uderzyć na Providence, nim Galatyjczycy zdążą się na powrót zorganizować - rzekł stanowczo Feren Al'Roeg. - Król i królowa zmarli, nie zostawiając potomstwa, Galacja nie ma następcy tronu. To wymarzona okazja.

Hrabia zasiadał u szczytu stołu. Przywdział strój, w którym wyruszał do walki, jakby chciał dać do zrozumienia, że gotuje się do wojny.

- Ale jest jeszcze ta Alea Cathfad! - zaproponował generał Ruther z niepokojem na twarzy. - Nie możemy jej dłużej lekceważyć! Przypomnijcie sobie, co stało się w Tarnei...

- Nie przesadzajmy! - odparł generał Asley. - Wiem, że ta mała jest zadziwiająca, ale nie zdoła zebrać wystarczająco dużej armii, by nam zagrozić, jeśli szybko zareagujemy.

- Nie - rzekł hrabia. - Ruther ma rację. Musimy być bardzo ostrożni. Dancray i ja popełniliśmy błąd, lekceważąc ją, i zobaczyliśmy tego konsekwencje. Jutro wyślę szpiegów do Tarnei. W każdym razie, czy nasza armia w połączeniu z wojskami Ziemi Brunatnej nie wystarczy, nawet jeśli Alea sprzymierzy się z Galacją?

- Ilu ludzi możemy wysłać? - zapytał Alembert, któremu hrabia nakazał notować wszystko, co zostanie powiedziane w trakcie tej narady.

- Moim zdaniem - odpowiedział generał Ruther - jeśli chcemy zostawić tu wystarczająco dużo ludzi, by się obronić, gdyby armia Samildanacha zaatakowała nas od północy, nie sądzę, byśmy mogli wysłać więcej niż dwanaście tysięcy Ziemia Brunatna powinna móc wysłać siedem tysięcy. Krótko mówiąc, możemy zebrać niecałe dwadzieścia tysięcy ludzi...

- Uważam, że więcej - wtrącił się Asley - ale powiedzmy, że dwadzieścia tysięcy, dla pewności.

- Ilu zbrojnych liczy obecnie armia Galacji? - zapytał namiestnik.

- Za czasów Eoghana - odpowiedział Asley - plotki głosiły, że wojska Galacji liczą dwadzieścia pięć tysięcy ludzi.

- Jeśli Alea weźmie udział w walce - podjął Ruther - może być bardzo ciężko! Nie wspominając już o tym, że są z nią druidzi i że także Bizania może się włączyć do konfliktu. Mówiąc krótko, wracamy do dawnego układu sił...

- Z tą różnicą, że Galacja przeżywa kryzys - zauważył hrabia. - I nie ma władcy, który by ją poprowadził.

- Owszem - zgodził się Ruther - ale z drugiej strony interwencja Bizanii nigdy jeszcze nie była tak prawdopodobna! Teraz, kiedy Carla Bisagni pozbyła się swego ojca, ten kraj może zrezygnować z tradycyjnej neutralności. Panie hrabio, trudno będzie wygrać tę bitwę!

- Zawsze jest trudno, generale, ale jeśli natychmiast nie zareagujemy, będzie jeszcze gorzej. Nie możemy zostawić Galacji czasu, by się odbudowała. Przy odrobinie szczęścia śmierć królowej wywoła kryzys polityczny, który doprowadzi do paraliżu przynajmniej części armii królestwa.

- Przy odrobinie szczęścia - powtórzył Ruther sceptycznie.

- Lub z Bożą pomocą - dodał Asley.

- Bóg niewiele pomógł Dancrayowi w Tarnei - zauważył Ruther.

Hrabia rzucił mu wściekle spojrzenie.

- Bóg był z nami w czasie bitwy pod Sablon i będzie przy nas, jeśli zaatakujemy Galację! Ja wierzę w to zwycięstwo. Zasługujemy na nie. I jest ono w interesie całej Gaelii, która w końcu zostanie uwolniona od obskurantyzmu druidów i niekompetencji królów Galacji.

Generałowie milczeli. Żaden nie wątpił w to, że konfrontacja z Galacją stała się nieunikniona.

- Wyślijcie posłańców do Ziemi Brunatnej, aby Meriand i Aeditus dołączyli do nas - rozkazał hrabia, wstając. - Chcę się z nimi spotkać po drodze do Providence.

- W takim razie, aby dać Brunatyjczykom czas, by do nas dołączyli, lepiej przejść na południe od pasma gór Gor-Draka - zasugerował Asley. - To przynajmniej osłoni naszą północną flankę przed ewentualnym atakiem Alei.

- Dobrze, niech tak będzie - zgodził się Al'Roeg. - Armie spotkają się w Atarmai. Nie możemy dłużej zwlekać. Wojna jest nieunikniona. Nie będzie lepszej okazji. Panowie, wiecie, co robić.

\*

Bely uznał, że egzekucja Almara Cahina powinna się odbyć publicznie.

Główny plac Providence był wypełniony po brzegi. Tłum był nawet większy niż ten, który zebrał się na uroczystość zaślubin króla. Miasto wciąż było w szoku. Galatyjczycy nie byli zbyt przywiązani do tej dziwnej i charakternej królowej, ale niepokoiło ich to, że nie pozostawiła następcy tronu. Po raz pierwszy od

wielu lat Galacja nie miała władcy i w całym królestwie zaczynała się szerzyć panika. Galatyjczycy przeżyli zbyt wiele wstrząsów w krótkim czasie: ślub króla, później jego śmierć, panowanie Aminy, przybycie druidów do pałacu, inicjacja królowej, a teraz ten zamach na jej życie... Mieszkańcy królestwa pogubili się wśród tych wszystkich wydarzeń, równie skomplikowanych, jak tragicznych. Na razie Belyemu i druidom udawało się utrzymać pozory władzy i porządku, ale co będzie jutro?

Branie udziału w egzekucji tego, który pograżył ich w jeszcze większym koszmarze, dawało poczucie zjednoczenia, uczestnictwa w tworzeniu się historii. Było sposobem na złaczenie się w bólu i buncie, lecz jeszcze nie w nadziei. Ludzi przyszło więcej, niż spodziewał się Bely, a w tłumie czuło się narastające napięcie.

Doradca królowej zasiadał wraz z druidami i wojskowymi na królewskiej trybunie, tuż nad miejscem egzekucji. Procesja ze skazańcem powinna się wkrótce pojawić.

- Mianujecie nowego Arcydruida? - zapytał Bely Henona, pochylając się w jego stronę.

Druid potaknął.

- Tak, jeśli chcemy, by Rada przetrwała, mamy obowiązek mianować Arcydruida. Zaproponuję swoją kandydaturę na to miejsce.

- Oczywiście.

„Henon wziął rewanż za swe upokorzenie. Chciał zostać Arcydruidem, a królowa mu to uniemożliwiła, uzurpując sobie ten tytuł. Tak naprawdę śmierć Aminy jest mu na rękę. Jak i wielu innym. Mnie też powinna ona cieszyć, bo

nigdy nie wybaczyłem jej mordy na Eoghanie i prawdopodobnie wyjdę z tej sytuacji wzmocniony, a jednak... Jednak jestem smutny. Królowa miała w sobie coś wzruszającego. Była taka młoda. A jej śmierć to jeszcze jedno nieszczęście..."

- Lecz prawdę mówiąc - ciągnął Wielki Druid - nie to jest teraz naszym największym zmartwieniem, nieprawdaż? Musimy obrać króla.

„Tak, trzeba obrać króla. Tak jak i nowego hrabiego Sarre i barona Bizanii. Chyba że córka Bisagniego zostanie baronową! Wszystko zmienia się tak szybko!"

Eoghan i Amina nie pozostawili żadnych krewnych. Żadnego bratanka czy siostrzenicy - wyjaśnił Bely. - Sprawdzamy, czy nie ma gdzieś jakiegoś dalekiego kuzyna, ale myślę, że gdyby był, już by się pojawił...

- Dlaczego by nie koronować druida? - zaryzykował Henon, wpatrując się w przestrzeń przed sobą.

„Co za tupet! Wprost nie mogę uwierzyć! Naprawdę ten Henon coraz mniej mi się podoba! Najpierw zdradził swych współbraci, opuszczając Sai-Minę, a teraz jest gotów zdobyć tron, idąc po trupie królowej! Nie przypuszczałem, że druid może być takim oportunistą... To takie nieeleganckie!"

- To żart?

- Dlaczego? - bronił się Wielki Druid. - Zgodziliśmy się mianować waszą królową Arcydruidem. Czy Rada i królestwo nie są już odąd zjednoczone? Amina była jednocześnie królową i Arcydruidem. Byłoby jak najbardziej słuszne, gdyby po jej śmierci nowy Arcydruid zajął jej miejsce...

- To by cię świetnie urzędują, druidzie! - wykrzyknął Bely, który nie wiedział, czy powinien się śmiać czy niepokoić.

- Rada zbyt długo musiała kierować sprawami Gaelii na odległość. Zgodziliśmy się opuścić Sai-Minę i przybyć aż tutaj, ponieważ uznaliśmy, że nasze obowiązki względem wyspy wymagają jeszcze większego zaangażowania. Wierzę, że jesteśmy najlepiej przygotowani do rządzenia Gaelią.

„Rada zbyt długo kierowała sprawami Gaelii, kropka! Najwyższy czas to zmienić! Druidzi nie są od rządzenia!"

- Jeszcze trochę, a zacznę myśleć, że to ty wysłałeś tego zabójcę...

- Wypraszam sobie! - obruszył się Henon. - Tu nie chodzi o walkę o władzę ani żadne prywatne interesy, tu chodzi o czystą politykę i logikę, doradco. Przyznaj, że nie ma na dworze nikogo,

kto mógłby przejąć władzę nad wyspą, poza Radą, która od dawna rządziła, pozostając w cieniu, a ostatnio bardzo się przybliżyła do Providence.

„Wręcz przeciwnie, jesteś najgorszym pretendentem do tronu, mój biedny przyjacielu! Muszę mu pokazać, gdzie jego miejsce oraz że tron nie jest do wzięcia".

- Przyjmując was w Providence, królestwo zwróciło wam władzę i spójność, które utraciliście. To nie Rada wyświadczyła nam przysługę, to Providence, przyjmując Radę, okazała swą wspaniałomyślność. Uważam, że powinniście być szczęśliwi, mogąc utrzymać *status quo*. Nie liczyłbym na więcej...

„To powinno uspokoić jego chore ambicje!"

- Czy mam przez to rozumieć, doradco, że sam chcesz zostać królem?

- Decyzja nie należy ani do mnie, ani do ciebie. Dawno temu zdarzyła się już w królestwie podobna sytuacja. Król zmarł, nie pozostawiając następcy.

Tradycja nakazuje, by w takim wypadku to generałowie wybrali nowego władcę. Więc zobaczymy, co oni o tym myślą...

„Mało prawdopodobne, by wybrali starego, zgorzkniałego druida!”

- A oto i oni! - powiedział Bely, wskazując posępny orszak, który właśnie wkroczył na plac.

I rzeczywiście, pod kamienną arkadą zamykającą plac od północy pojawił się drewniany wóz. Siedzący z przodu kat, ubrany na czarno, z twarzą ukrytą pod szerokim, długim kapturem, ścigał wodze, by konie nie szły zbyt szybko. Wszyscy mieli zobaczyć twarz skazańca. Nie można więc było dopuścić do tego, by wystraszone przez tłum konie przeszły w kłus.

Za wozem szedł człowiek ze skrzepowanymi rękami, przywiązany do wozu sznurem zawieszonym na jego szyi. Był to Almar Cahin, rzeźnik. Człowiek, który zabił królową. Patrzył w przestrzeń niewidzącym wzrokiem, szedł spokojnie, jakby nie słyszał pełnych nienawiści okrzyków tłumu. Był bosy i poraniony - zapewne torturowano go przez całą noc - jednak wyglądał, jakby nie czuł zupełnie nic, jakby śmierć już dawno nim zawiądnęła.

Za skazańcem kroczyli czterej pomocnicy kata, także z zasłoniętymi twarzami. Czarni jak śmierć, nie przykuwali jednak uwagi tłumu. Nie, oczy wszystkich mieszczan zgromadzonych na placu skierowane były na człowieka, który miał wkrótce umrzeć. Na tego pozbawionego skrupułów mordercę, który podniósł rękę na królestwo Galacji.

Bely zacisnął dłonie na oparciu krzesła. Od lat nie przeprowadzono w Providence żadnej egzekucji. Król wolał skazywać winnych na wygnanie, z pewnością dlatego, że sam również nie znosił tych krwawych spektakli odbierania życia. Jednak tym razem Bely nie mógł się sprzeciwić żądaniom królewskiego dworu. Wszyscy chcieli mocnego symbolu. Generałowie, możni, doradcy... Wszyscy żądali publicznej egzekucji. A po twarzach w tłumie i wznoszonych przez zebranych okrzykach widać było, że lud jest tego samego zdania.

Zajechawszy na środek placu, wóz kata się zatrzymał. Oprawca wolno zsiadł z wozu i poszedł odwiązać Almara, by zaprowadzić go na miejsce kaźni, gdzie leżały skrzyżowane dwa duże pale. Czterej pomagierzy i kat położyli skazańca na palach i przywiązali go do nich. Trzeba było tak poprowadzić sznur, by możliwe było rozerwanie członków zabójcy, co wymagało pewnej wprawy.

Almar wcale się nie wrywał. Leżał na dwóch drewnianych palach, posłusznie wyciągnął ramiona, by można je było przywiązać, i z szeroko otwartymi ustami przyglądał się chmurom na niebie, spokojnie czekając na śmierć, której zdawał się zupełnie nie bać. Jakby znał ją już od dawna, niczym starą przyjaciółkę.

A może nie rozumiał, że zaraz umrze.

Napięcie w tłumie rosło. Kobiety i mężczyźni krzyczeli, pluli, rzucali w skazańca kamieniami. Królewska straż z trudem powstrzymywała tłum, który napierał, jakby chciał zgnieść zabójcę, zadusić go.

Kat i jego pomocnicy przywiązali cztery konie do członków skazańca. Z wyprostowanymi rękami i nogami Almar poddawał się egzekucji.

Bely zadrzał. Siedząc wysoko, z dala od ciżby, nie mógł zrozumieć radości tłumu. Żądzy krwi, ochoty oglądania śmierci.

„Jak oni mogą na to patrzeć? Jak mogą domagać się czyjejs śmierci? Oto czym jest motłoch. Jednego dnia zgorzzeni barbarzyństwem, następnego sami

stają się barbarzyńcami. Ile tu jest kobiet? Ile matek? I ilu winnych, którzy równie dobrze mogliby się znaleźć na jego miejscu?"

Okrzyki były coraz głośniejsze. Tłum coraz bardziej napierał. Pięści zaciśnięte z nienawiści wznosiły się do góry.

Kat wyjął z wozu wielkie obcęgi z kutego żelaza i unióś je wysoko nad głową, by wszyscy mogli je zobaczyć. Lud zaczął wiwatować.

- Na śmierć! Na śmierć! - krzyczeli gapię, oklaskując kata.

Ten podszedł do Almara. Stał z jego prawego boku. Następnie wyrwał obcęgami kawałek ciała z jego uda i ramienia. Członki nieszczęśnika podskoczyły, trysnęła krew, ale Almar nie krzyknął ani razu, nie mrugnął nawet oczami.

Kat stał obok niego nieruchomo. Czegoś takiego nigdy jeszcze nie widział. Ta odrażająca operacja poprzedzająca rozerwanie ciała była zwykle tym momentem egzekucji, w którym skazaniec wrzeszczał najbardziej, ponieważ ból był nie do zniesienia, a delikwent miał jeszcze siłę krzyczeć. Ale Almar zdawał się niczego nie czuć.

Kat pokręcił głową z niedowierzaniem i zaszedł swą ofiarę z drugiej strony. Powtórzył tę samą czynność. Członki zostały odarte ze skóry. Można było przystąpić do rozerwania końmi.

Kat zrobił krok do tyłu. Tłum szalał. Teraz nie było już wiadomo, czy wznoszone przez ciżbę okrzyki były powodowane nienawiścią czy przerażeniem na widok potoków krwi, które wciąż wytryskiwały z okaleczonego ciała.

Kiedy kat w końcu podniósł rękę, jego pomocnicy dosiedli koni i ruszyli stępa. Cztery liny napięły się, ciągnąc za członki skazańca, którego mięśnie zaczęły się rozrywać. Oczy Almara byty wciąż szeroko otwarte i nawet teraz wydawało się, że się uśmiecha.

Konie z trudem posuwały się przed siebie. Mięśnie były wyIrzymałe. Ciało rozerwało się w paru miejscach, ale w innych ścięгна wciąż się opierały. Nagle oderwało się jedno z ramion. Ręka upadła na ziemię, a uwolniony koń pociągnął ją za sobą. Tym razem tłum krzyknął z przerażenia.

Kat widząc, że trzy pozostałe konie nie mogą już przeć do przodu, chwycił za leżącą na wozie siekię, stanął nad okaleczonym ciałem Cahina i zaczął przecinać mięśnie i nerwy trzech pozostałych członków.

Wtedy udało się dokończyć egzekucję. Mięśnie zostały rozerwane, kości połamane. Zakrwawiony tułów Almara Cahina przetoczył się na bok i ciężko zwałił na ziemię.

Jego oczy wciąż były otwarte.

Pozostało trudne do rozpoznania, okaleczone, zakrwawione ludzkie ciało. I to spojrzenie, to spojrzenie tak pełne życia!

I jakby nagle zdał sobie sprawę, w czym tak naprawdę uczestniczy, tłum zamilkł. Krzyki ucichły. Wzniesione pięści opadły. Niektórzy, przepełnieni sprzecznymi emocjami, zaczęli nawet płakać.

- Nigdy więcej nie chcę brać udziału w czymś takim - szepnął Bely, nie wiedząc, czy mówi to głośno, czy tylko w myśli. - Nigdy więcej.

Henon położył mu rękę na ramieniu.

- Przyszły król powinien się przyzwyczaić do tego typu widowisk...

Bely pokręcił głową. Nie miał ochoty o tym rozmawiać. Nie chciał już dłużej dyskutować ze starym druidem.

- Daj spokój, to tylko jedna śmierć, Bely - ciągnął Henon z westchnieniem. - Rzeczywiście niezbyt elegancka, ale to tylko jedna śmierć. Jutro, kiedy u bram Providence stanie Harcourt, będziemy ich mieli tysiące.

- Sądysz, że Harcourt zaatakuje? - zapytał Bely, spuszczać wzrok, by nie patrzeć na to, co działo się na placu.

- Masz jakieś wątpliwości? Pomyśl! Zechcą skorzystać z naszej niestabilności, to oczywiste! Właśnie dlatego trzeba jak najszybciej obrać nowego króla...

Henon wstał z uśmiechem, poklepał Belyego po ramieniu i opuścił trybunę majestatycznym krokiem.

\*

Późnym popołudniem, kiedy wszyscy jej przyjaciele pracowali przy odbudowie i nowej organizacji miasta, Alea zeszła do zamkowych lochów.

Wąskie kręte schody zagłębiały się tak bardzo pod zachodnią wieżę murów obronnych, że kamienne ściany więzienia były zimne i wilgotne. Alea, oświetlając sobie drogę pochodnią, schodziła bardzo powoli, uważając, by się nie pośliznąć.

Zapach pleśni i nieprzeniknione ciemności przypominały jej pobyt w więzieniu w Rii, gdzie zamknął ją hrabia Harcourt. To potworne uczucie samotności gdzieś głęboko pod ziemią. I choć doceniała ironię sytuacji, pomyśl, by skazać tego generała z Harcourt na przeżywanie tego samego, co niegdyś sama przeżyła, wydawał jej się coraz bardziej nie do przyjęcia. W każdym razie ten pomysł nie pasował do nowego wizerunku, który chciała nadać Gaelii. Pomyślała sobie, że poprosi Erwana, by przeniesiono więzienie gdzie indziej, na powierzchnię, w miejsce, do którego dociera choć trochę światła słonecznego.

Wkrótce doszła do długiego korytarza, gdzie dwaj strażnicy rozmawiali, siedząc przy stole. Gdy ją ujrzeni, stanęli na baczność, co bardzo rozbawiło Aleę.

- Nie wstawajcie, proszę. Gdzie jest Dancray?

- Tu jestem! - krzyknął generał z końca korytarza, wystawiając rękę przez kraty zamykające celę.

Alea wzięła taboret spod stołu strażników i poszła dalej korytarzem. Nikogo więcej tu nie było, gdyż Erwan rozkazał, by generał został zamknięty w odizolowanej celi. Pozostali skazańcy znajdowali się w lochu pod zachodnim skrzydłem zamku.

- Dzień dobry, Dancray - powiedziała, stawiając taboret przed kratą.

- Tak sądzisz? No nie wiem, czy taki dobry...

Generał bardzo się zmienił. Zaledwie po dwóch dniach spędzonych w ciemnej celi cerę miał bladą, a oczy podkrążone i nabiegłe krwią. Tego nędznego obrazu dopełniał jeszcze źle ogolony zarost. Nie zmienił stroju od nocy ataku, wciąż nosił rozdarte płócienne spodnie, koszulę, która nie była już biała, i krótką skórzaną kurtkę.

- Dancray, nie przyszedł tu się bawić w jakieś gierki. Jesteś więźniem, a wielu ludzi tam na górze chciałoby żebyś kazała cię powiesić...

- Z przyjemnością! - odparł cynicznie generał.

- Amina z Galacji i baron Bizanii zostali zamordowani.  
Tym razem generał nie wiedział, co odpowiedzieć. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- W tym samym czasie? - zapytał w końcu, usiłując zrozumieć.

- Właściwie tak. Amina została zabita przez szaleńca, którego, jak podejrzewam, wysłał Maolmórdha, a morderstwo barona zostało zlecone przez jego własną córkę, która, jak nietrudno się domyślić, przejęła po nim władzę.

Generał zakaszłał.

- No cóż, nie ułatwi ci to życia!

- Dlaczego mnie?

- Ponieważ Al'Roeg zechce skorzystać z okazji i zaatakuje Galację... Ale nie wiem, po co ci to mówię, sama na pewno to przewidziałaś.

- Jesteś wybitnym strategiem, Dancray, ale nie potrafisz przegrywać!

- Och, wiesz, nie jestem tak dobrym strategiem, jak sądziłem. Gdybym wziął jeszcze dwa tysiące rycerzy, nigdy nie weszli- byście do miasta.

- Naprawdę? Sądzisz, że dodatkowe dwa tysiące zbrojnych mogłoby zatrzymać mnie i druidów? Wątpię, generale!

Oficer skrzywił się.

- Twój druidzi nie są niezwyciężeni... Pokonaliśmy ich pod Sablon, przypominam ci.

- Nie było mnie tam - odparła Alea.

- No tak, jesteś jeszcze bardziej zarozumiała, niż mi opowiadano.

Alea uśmiechnęła się do niego.

- Muszę przyznać, że rzeczywiście taka się stałam. Ale biorąc pod uwagę sytuację, chyba mogłabym być jeszcze bardziej pewna siebie, nie sądzisz?

- Czego ode mnie chcesz? - uciał generał.

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Przyszłam tu z dwóch powodów. Pierwszy jest taktyczny: chciałabym poznać twoją opinię na temat tego, co może się teraz wydarzyć. A drugi osobisty: chcę się nauczyć przebaczać.

Generał wytrzeszczył oczy.

- Przebaczać? Nie masz mi czego przebaczać!

Alea znowu się uśmiechnęła.

- A więc pomówmy raczej o taktyce - zaproponowała.

- Chcesz rady? Oto i ona: powieście mnie, i nie mówmy już o tym.

- Więc myślisz, że Harcourt uderzy na Galację? - naciskała Alea.

Generał milczał.

- Powiedz, Dancray, gdybyś został w Rii, co byś powiedział hrabiemu AFRoegowi? Radziłbyś mu zaatakować Galację?

Ale Dancray wciąż nie odpowiadał. Patrzył na nią wyzywająco, siedząc z założonymi rękami.

Dobrze, nie chcesz rozmawiać o taktyce. Wróćmy więc do iii ugiego tematu.

Jakiego drugiego tematu?

Wybaczam ci, Dancray.

Co?

- Wybaczam ci w imieniu wszystkich tych, za których śmierć irsleś odpowiedzialny.

- O co ci chodzi? - uniósł się generał.

- W imieniu Tuathannów wymordowanych pod Sablon, Narreńczyków, tarneańczyków. Wybaczam ci w imieniu dzieci, które musiały uciekać ze swych domów. W imieniu hrabiego, którego kazałeś powiesić. Wybaczam ci, Dancray.

- Dobrze. Przestań! Wystarczy!

Dancray wstał i podszedł do kraty, marszcząc brwi, jakby chciał przestraszyć Aleę.

- Wybaczam ci w imieniu wszystkich rycerzy z Harcourt, których zaprowadziłeś na śmierć. Wybaczam ci w imieniu ich żon i dzieci, które straciły mężów i ojców. Wybaczam ci to wszystko, Dancray.

- Zamknij się! - wrzasnął wściekle generał.

- Policzyłeś zabitych, Dancray? Myślę, że nie udałoby mi się policzyć wszystkich, za których śmierć odpowiadam. Jeśli chcę przebaczyć sobie, muszę najpierw przebaczyć tobie.

- Jesteś kompletnie szalona! - syknął generał, odwrócił się i usiadł.

- Powiedz mi, Dancray, teraz, kiedy straciłeś Tarneę, powiedz mi, na co zdało się tylu zabitych w twoich szeregach?

Generał wbił wzrok w ziemię. Nie chciał dłużej słuchać Alei. Nie chciał już na nią patrzeć.

- Odpowiedz, Dancray! Po co zginęli wszyscy ci, którzy zdobywali to miasto, skoro zostało odbite? Na co zdała się ich śmierć?

- Takie są prawa wojny.

- A wojna to twój zawód, wiem, wiem...

Alea westchnęła ciężko, po czym wstała, podeszła do stolika strażników, wzięła stamtąd pęk kluczy, wróciła do kraty i otworzyła celę generała. Wzięła swój taboret, weszła do celi, zamknęła za sobą kratę i usiadła na wprost Dancraya.

- Czy masz w życiu jakąś pasję, poza wojną?

Generał, zdziwiony, uniósł brew.

- Co proszę?

- Pasje... Jak mój przyjaciel Mjolln, który gra na dudach, na przykład...

Dancray nie mógł powstrzymać uśmiechu. Pokręcił głową z niedowierzaniem. Ta dziewczyna była naprawdę niezwykła, musiał to przyznać.

- No dalej, odpowiedz. Zadałam ci proste pytanie: czy masz jakąś pasję?

- Nie wiem - wymamrotał w końcu. - Lubię gry planszowe, na przykład/zdc/je//.

Alea wybuchła śmiechem.

- Nie! To się nie liczy! To dokładnie to samo, co wojna, tylko w miniaturze! Z pewnością masz jakąś inną pasję, Dancray.

- Nie, raczej nie...

- Malarstwo? Taniec? Muzyka? A może podróże?

- Nie - powtórzył generał. - Poświęcam się całkowicie swoim obowiązkom.

Alea przytaknęła.

- Rozumiem. No cóż, szkoda, bo kiedy nie będą cię już potrzebować, nie będziesz wiedział, co robić.

- Zawsze będą mnie potrzebować.

- Naprawdę? A na przykład dzisiaj komu jesteś potrzebny?

Generał westchnął.



- Do czego zmierzasz? Chcesz, żebym skorzystał z wolnego czasu i oddawał się w tej celi malarstwu?

Alea uśmiechnęła się.

- Nie pomyślałam o tym, ale byłby to rzeczywiście dobry pomysł. A tymczasem masz okazję, by stać się użyteczny...

Generał wybuchnął śmiechem.

- A więc ten wybieg był tylko po to, by mnie przekonać, żebym odpowiedział na twoje pytania? Panienko, rozmawiasz z generałem, a nie z małym dzieckiem!

Alea zrozumiała, że nie ma sensu nalegać. Wstała, wzięła taboret i wyszła z celi.

- Do widzenia, generale - powiedziała, zamykając kratę. - Wracam na zewnątrz, gdzie historia będzie się tworzyć bez twego udziału.

Skinęła mu głową i odwróciła się. Przeszła przez korytarz, wsunęła taboret pod stół strażników i oddała im klucze.

- Zaczekaj - krzyknął generał z końca korytarza.

Alea uśmiechnęła się pod nosem. Głos Dancraya odbijał się echem od starych kamiennych murów. Słyszała w nim wymieszane rozmaite uczucia oficera. Strach, złość, rozpacz.

- Oczywiście, że Al'Roeg zaatakuje! - rzucił Dancray, jakby chciał ją zatrzymać. - Uderzy najszybciej, jak to możliwe, zanim Galacja zdąży się na nowo zorganizować. Z pewnością już jest w drodze!

Generał mówił szybko, w jego głosie była desperacja. Nie był więc tak twardy, jak udawał. Trzymając się kraty, krzychał, choć nie wiedział, czy Alea go słyszy, czy jeszcze tam jest.

- Proszę bardzo. Chcesz jeszcze dokładniejszych informacji? - ciągnął cynicznie. - Mogę się założyć, że Ruther i Dayle poprowadzą oddziały kawalerii, a Asley zajmie się piechotą!

Alea stała nieruchomo, w milczeniu i z uśmiechem na ustach. Postanowiła jeszcze chwilę poczekać. Generał z pewnością powie więcej. W jego głosie słychać było rezygnację.

- Aleo, jesteś tam? - zawołał. - To ci nie wystarczy? Co jeszcze mam ci powiedzieć? Że Meriand Mor, hrabia Ziemi Brunatnej, na pewno się do nich przyłączy? A tak, wbrew sobie, biedny głupiec. Ach! Al'Roeg trzyma go w szachu. Aleo? Słyszysz mnie?

Alea mrugnęła do dwóch zdziwionych strażników i zawróciła w głąb korytarza. Milczała, ale wiedziała, że Dancray słyszy odgłos jej kroków. Zatrzymała się w połowie drogi. Lepiej, żeby jej nie widział. Niech jego niepokój potrwa jeszcze jakiś czas.

Dziewczyna usiadła, opierając się plecami o kratę, dwie cele od tej, w której znajdował się generał.

- A więc - zaczęła spokojnym głosem - Harcourt i Ziemia Brunatna zaatakują Galację. Ale gdzie uderzą?

- Oczywiście na Providence! Aleo, zastanów się! Gdzie niby mieliby uderzyć?

- Gdziekolwiek, aby zmusić Galację do rozproszenia oddziałów.

Generał westchnął, rozczarowany. Oparł się plecami o ścianę i zrezygnowany usiadł na ziemi.

- Nie - odpowiedział zmęczonym głosem. - Hrabia musi dążyć do jednej wielkiej bitwy, która przyniesie rozstrzygnięcie. Bo wie, że to bez wątpienia

jego ostatnia szansa. Wie, że Galacja prędzej czy później się odbuduje, i wie, że zdobywasz tu coraz większą władzę. Nie, wojna rozegra się w Providence i będzie straszna.

Alea westchnęła. Generał chyba miał rację.

- A Bizania? - zapytała.

- Bizania? Jeśli córka barona chciała przejąć władzę, to dlatego że nie mogła już znieść bierności ojca, nie sądzisz?

- A może po prostu zawładnęła nią żądza władzy...

- Nie, żeby zabić własnego ojca, trzeba go jednak bardzo nienawidzić.

Alea przełknęła ślinę. Ta myśl przywoływała złe wspomnienia, z którymi nie umiała sobie jeszcze poradzić.

- Myślisz, że przyłączy się do tej wojny? - zapytała.

- Nie wiem. Możliwe. Jeśli uzna, że przymierze z Galacją zwiększy jej militarne i polityczne znaczenie. Harcourt musi zadać sobie to samo pytanie. A także pytanie o twoje uczestnictwo w tej wojnie.

Alea milczała.

- Pójdiesz na tę wojnę? - zapytał generał.

Żadnej odpowiedzi.

Ja powiedziałem ci wszystko, Aleo... Odpowiedz! Pójdiesz?

Dziewczyna wstała i podeszła do celi generała. Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Jeśli pójdę, Dancray, czy mam jakąś szansę zapobiec tej wojnie?

Generał się zawahał. Patrzył na dziewczynę znużonym wzrokiem. To nie był już ten sam człowiek. Zrozumiał coś. Zrozumiał, że walka niczemu nie służy. A także, że być może się mylił. A jeśli się mylił, tylko w jeden sposób mógł teraz odkupić swe winy.

Musiał przyznać, że ta dziewczyna była najbardziej zadziwiającą osobą, jaką w życiu spotkał. Najbardziej niepokojącą. Najbardziej szczerą.

A więc czemu nie dać jej szansy? Postanowił jej zaufać, choćby za cenę utraty wszystkiego, co posiadał.

- Nie, Aleo, nie uda ci się zapobiec tej wojnie. Jest już za późno. Żadna ze stron nie jest ci przychylna. Żadna cię nie posłucha. A gdyby jedna posłuchała, druga skorzystałaby z okazji, by ją zmiażdżyć. Ta wojna wybuchnie, Aleo.

- A więc po co mam się do tego przyłączać? Po co mam ryzykować życie moich ludzi, skoro nie uratuje to nikogo?

Zamknęła oczy.

- Ale to tam wszystko się rozegra, prawda? - zapytała.

Generał przytaknął.

- Co byś zrobił na moim miejscu?

Generał wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- Pytasz człowieka, którego pokonałaś, co byś zrobił na twoim miejscu?

- Ufam twemu osądowi. Zresztą, generale, mało brakowało, by mój plan się nie powiódł.

- Twój plan?

- Powódź...

Generał przytaknął z uśmiechem.

- A więc - podjęła Alea - co byś zrobił na moim miejscu?

I Dancray odpowiedział z całkowitą szczerością. A Alea wiedziała, że przebacząc mu, miała rację.

\*

Hrabia Meriand Mor zdołał zgromadzić osiem tysięcy ludzi, którzy mieli wyruszyć do Atarmai, gdzie za kilka dni miał na nich czekać Feren Al'Roeg.

Wśród rycerzy panował ponury nastrój. Wybierali się na nową wojnę, która będzie z pewnością największa i najstraszniejsza z dotychczasowych. Być może ostatnia. W każdym razie taką żywili nadzieję. Ponieważ zbyt wielu Brunatyjczyków już zginęło. Zbyt wielu mężów brakowało w miastach i wioskach Ziemi Brunatnej. Wojny powinny się kiedyś skończyć, aby ludzie mieli czas na odbudowę, bo po co bić się o ruiny?

Jednak Meriand był całkiem zadowolony, że wyrusza do Atarmai. Bynajmniej nie dlatego, że myślał o tej wojnie lepiej niż jego rycerze - po prostu miał nadzieję, że w ten sposób pozbędzie się biskupa Aeditusa.

Z upływem czasu, który spędził w towarzystwie duchownego, nauczył się każdego dnia coraz bardziej go przeklinać. Zastanawiał się przede wszystkim nad tym, jakim prawem biskup stawiał się ponad innych. Nie prowadził ludzi do walki. Nie stracił swych bliskich, nie widział, jak jego własna rodzina umiera na jego oczach, by ocalić swą ziemię. Zresztą nawet nie miał ziemi, do niczego nie był przywiązany. Miał tylko, jak sam mówił, „ufność w Panu”. Ale czy to wystarczy, by uważać się za równego królom? Czy to wystarczy, by rozkazywać ludziom? By narzucać im moralne zasady i sposób życia?

Meriand zgodził się przejść na chrześcijaństwo, ponieważ zwycięstwo, które odniósł dzięki pomocy Harcourt, wydało mu się... cudem. Dał się ochrzcić, bo chrześcijański Bóg wydawał mu się łagodniejszy i lepszy od Mojry. Jednak teraz zaczął się

zastanawiać, czy nie popełnił błędu. Czy przypadkiem go nie oszukano...

Pomału Bóg miłości, jak mu go przedstawiano, zamienił się w Boga niezgody, Boga pogardy i przymusu. Zamiast pomóc Brunatyjczykom się rozwinąć, ta nowa religia jeszcze bardziej ich zamknęła. Stawiała bowiem tysiące barier i ograniczeń. Nakazywała wierzyć i myśleć tak, a nie inaczej. Zamiast łączyć ludzi, dzieliła ich. A ten biskup był nawet bardziej natarcywy niż niegdyś druidzi.

Tak więc, choć nie śmiał wyrazić wprost swojego zniecierpliwienia, Meriand cieszył się na myśl o dotarciu do Atarmai i zwróceniu AFRoegowi tego męczącego klechy.

Ale, co najgorsze, Meriand tak naprawdę nie odnalazł Boga. Jego Boga, którego światło spłynęło na niego w czasie bitwy pod Sablon. Tego wieczoru, kiedy hrabia był sam i szukał w głębi swej duszy, nie odnalazł go. Obiecana miłość? Zniknęła. Sprawiedliwość? Nieosiągalna. A jutro, wieczność? Cóż jest warta wieczność, jeśli człowiek nie potrafi sprawić, by choć te kilka chwil było radosnych? Po co marzyć o raj, jeśli nie potrafi się zbudować szczęścia tu, na ziemi?

Im dłużej towarzyszył biskupowi, tym bardziej żałował, że przyjął tę religię. Zastanawiał się teraz, co będzie dalej. Jak wybrnąć z tej sytuacji. Czy może dłużej okłamywać samego siebie i swój lud? Czy może wyjawić hrabiemu Harcourt, że jednak odrzuca jego Boga? Jak miałby to wyjaśnić wszystkim tym, którzy się nawrócili, idąc za jego przykładem? Znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

Ale teraz była wojna. Odpowiedzi przyjdą później. Jeśli jeszcze będą potrzebne...

- O czym pan myśli, hrabio? - zapytał biskup Aeditus, który właśnie pojawił się obok.

Meriand skrzywił się. Nie mógł odpowiedzieć zupełnie szczerze. Jeszcze nie teraz.

- O tej wojnie, Wasza Eminencjo.

Biskup przytaknął.

- Dni, które poprzedzają bitwę, są zawsze najtrudniejsze. Trudniejsze niż sama bitwa.

- Wasza Eminencja brał już udział w walce?

- Nie, ale nie jest mi to potrzebne, by rozumieć emocje innych. By czuć to, co czują twoi rycerze w tym momencie. Spróbuję przemówić do nich dziś wieczorem. Muszą znaleźć pocieszenie w słowie Bożym.

- Moi rycerze myślą w tej chwili o tym samym co ja. Myślą o swych kobietach i dzieciach. Czy Wasza Eminencja miał już kobietę?

- Też coś! - oburzył się Aeditus. - Dobrze pan wie, że nie, hrabio. Ludzie Kościoła się nie żenią...

- A więc Wasza Eminencja nie może zrozumieć.

- Tak sądzisz, hrabio? - uniósł się biskup. - Sądzisz, że trzeba mieć żonę, by wiedzieć, czym jest miłość? Myślisz, że nigdy nie kochałem? Że nigdy nie pragnąłem żadnej kobiety?

- Nawet gdyby Wasza Eminencja miał tysiąc kochanek, nie wie, jak to jest zegnać się ze swoimi dziećmi i z tą, która wydała je na świat.

- Miałem rodzinę. Rodziców, siostry, braci...

Meriand się uśmiechnął. Wiedział, że nie ma sensu kontynuować tej dyskusji. Zresztą mógłby się stać zbyt agresywny wobec biskupa. Zdecydował, że lepiej będzie jak najszybciej zmienić temat.

- Do Atarmai jeszcze daleko - powiedział. - Powiem kapitanom, by kazali maszerować szybciej.

Skinął głową biskupowi i ruszył galopem do swych rycerzy.

\*

- Żaden wojownik nie będzie nam towarzyszył - ogłosiła Alea przy kolacji.

- Jak to? - zdziwił się Erwan, który, tak samo jak pozostali, nie miał pojęcia, jaki plan przygotowała dziewczyna.

Wszyscy wiedzieli, że Alea przez kilka godzin dyskutowała / generałem Dancrayem, a po tej długiej rozmowie powzięła jakąś ważną decyzję co do dalszego przebiegu zdarzeń, ale nikt nie wiedział jaką.

Zwołała towarzyszy: Erwana, Kaitlin, Mjollna, Fahrio, Tagora, I inghina, i pięciu Wielkich Druidów z Sai-Miny. Teraz, kiedy opadła już radość po zdobyciu Tarnei, zaczął się ujawniać niepokój na wieść o zbliżającej się wojnie.

- A rnia Ziemi zostanie tu, w Tarnei, z tobą, mój drogi Fahrio, i / . tobą, Tagorze.

- Nie pójdę z tobą? - zapytał Tagor, marszcząc brwi.

- Nie, mój bracie. Będzie mi cię brakowało, ale Tuathannowie cię potrzebują. Ludzie z Sarre ich nie znają, a Fahrio nie nauczy się ich rozumieć wystarczająco szybko. Musisz tu zostać, by wspierać kapitana i by pomóc twemu ludowi osiedlić się tutaj.

Chłopak przytaknął w milczeniu. Wiedział, że jego siostra ma rację. Nie podobało mu się, że nie będzie mógł jej towarzyszyć, ale niestety miała rację. Znowu...

- Fahrio, jeśli wszyscy tu się zgodzą, chciałabym cię mianować tymczasowym zarządcą Sarre.

- Zarządcą? - powtórzył kapitan, zaskoczony. - Jestem tylko zwykłym stróżem porządku z Saratei...

- Tak, ale dopóki tego wszystkiego nie wyjaśnimy, hrabstwo potrzebuje przywódcy. Myślę, że jesteś najlepszym kandydatem. Jesteś sprawiedliwy, okazałeś się dobrym strategiem, kochasz ten kraj, a ludzie cię szanują. Takiego człowieka potrzebuje w tej chwili to hrabstwo. Czy ktoś ma jakieś zastrzeżenia?

- Ależ nie! To naprawdę doskonały pomysł! - zawołał Mjolln.

Alea podziękowała krasnoludowi. Jeszcze się nie przyzwyczaiła do jego błękitnego stroju barda, ale bardzo ją radowało, że marzenie przyjaciela wreszcie się spełniło. Był taki szczęśliwy!

- Arcydruidzie? - zapytała Alea, odwracając się do Ernana.

- Ufamy twemu osądowi, Aleo.

- Dziękuję. Fahrio, zgadzasz się?

Kapitan pokiwał głową.

- To dla mnie zaszczyt, Aleo. Nie wiem, czy jestem tak sprawiedliwy, jak mówisz, ale w jednym masz na pewno rację, kocham ten kraj. I mam nadzieję, że będę umiał być równie prawy i rozważny jak ty.

Zebrani gratulowali mu nowego stanowiska. Fahrio w krótkim czasie zdobył sobie sympatię towarzyszy Alei. Nie dzięki swemu poczuciu humoru - przez większość czasu był raczej poważny - ale dzięki uczciwości, prawości i oddaniu. Z całą pewnością był to dobry człowiek i nikt nie uznał za niestosowne, że został mianowany zarządcą tego hrabstwa, które nie mogło dłużej pozostawać bez przywódcy.

- Dobrze. Masz więc za zadanie zapewnić pokój w Sarre, odbudować to, co zostało zburzone w Tarnei, i zebrać armię, która w przyszłości nie będzie się już bała inwazji. Tagorze, liczę, że pomożesz mi w wypełnieniu tego zadania. Jeśli chodzi

- Tuathannów, niech twój lud, bracie, znajdzie wreszcie ziemię, na której zazna zasłużonego spokoju.

- Będzie nam tutaj dobrze - zapewnił Tagor z uśmiechem. - Muszę ci wyznać, siostrzyczko, że niektóre rodziny zamieszkały już w okolicznych wioskach...

- Bardzo dobrze. A teraz pomówmy o Gaelii.

Wszyscy biesiadnicy zwrócili oczy na Aleę. Dochodzili do sedna sprawy. W tej chwili pokój w hrabstwie Sarre nie był już zagrożony, ale przyszłość całej wyspy była coraz bardziej niepewna.

- Moim zdaniem nie ma wątpliwości, że w najbliższych dniach Harcourt i Galacja staną naprzeciw siebie - ciągnęła Alea. - Generał Dancray, z którym, jak wiecie, rozmawiałam, sądzi, że Feren Al'Roeg uderzy wraz z armią Ziemi Brunatnej na Providence, i to wkrótce. Zgadzam się z tymi przypuszczeniami i myślę, że wszyscy tu jesteście tego samego zdania.

Większość przytaknęła.

- Tak - dodał Kiaran z tajemniczym wyrazem twarzy - historia się powtarza.

- Co chcesz przez to powiedzieć, wujku? - zdziwiła się Kaitlin, ho nawet ona miała trudności ze zrozumieniem enigmatycznych wypowiedzi Kiarana.

- Ta wojna już kiedyś się odbyła - wyjaśnił Wielki Druid. - Było to przeszło dziesięć lat temu, ale to przecież nie tak dawno. Wojna o Harcourt.

- Z tą różnicą - sprostował Ernan - że wtedy to Galacja zaatakowała Harcourt, a teraz może być na odwrót.

- Ale wrogowie pozostają ci sami. Historia się powtarza. Tyle że tym razem to ty, Aleo, jesteś sprawczynią wydarzeń. Ty to wszystko wywołałaś...

- Alea nie wywołała tej wojny! - oburzył się Erwan.

- Ależ tak, oczywiście, że tak - bronił się Kiaran - i nie powinna mieć sobie tego za złe, wręcz przeciwnie! To jej jedyna rola! Ma zmienić losy wyspy, magistelu. Czy nie widzicie, co się właśnie dzieje?

- Szykuje się wojna?

- Nie tylko. Wojna jest tylko następstwem tego wszystkiego!

- A więc co? - niecierpliwiał się magistel.

- Gaelia wchodzi w nową epokę! - oświadczył Kiaran spokojnym, pewnym głosem.

Wszyscy zdawali się zakłopotani, poza Aleą. Jakby z góry wiedziała, co Wielki Druid zamierza powiedzieć. I tak rzeczywiście było, bo Kiaran i Alea już to zrozumieli.

- „Gaelia wchodzi w nową epokę”? - powtórzył Mjolln, krzywiąc się.

- Tak, myślę, że można nawet powiedzieć, że wkracza w dorosłość - dodał Wielki Druid z uśmiechem. - Ci, którzy kształtowali epokę, w której dziś żyjemy, znikną lub już ich nie ma. To już się zaczęło. My, druidzi, jesteśmy ledwie cieniem tego, kim niegdyś byliśmy. Zniknęli władcy: Eoghan, Amina, Ruad, Bisagni, a wkrótce bez wątpienia AFRoeg i Meriand Mor... Gaelia pozbywa się swych ojców. Carla Bisagni zabiła swojego. Alea zabije Mojre. To wszystko zniknie, prawda, Aleo?

Dziewczyna zagryzła wargi. Wizja Kiarana była tak bliska prawdy... Tak bliska temu, co zapowiadała Encyklopedia Analego! Nigdy nie odważyłaby się przedstawić tego tak otwarcie swoim przyjaciółom, a jednak działo się właśnie to, o czym mówił. Wolno skinęła głową.

- Co mają znaczyć te brednie? - wykrzyknął Erwan, który nie mógł się już opanować.

Magistel rzadko tracił panowanie nad sobą. Lecz może przez strach, by Alea nie została wciągnięta w wojnę gorszą niż wszystko, co ją dotąd spotkało, uniósł się gniewem.

- Musimy wyruszyć do Providence - powiedziała Alea łagodnie.

- Aleo - rzekł Erwan z rozpaczą w głosie - chcesz, żebyśmy poszli sami, tylko druidzi i my, do Providence, kiedy szykuje się wojna, w której wezmą udział dziesiątki tysięcy rycerzy?

- Erwanie, nie jesteśmy w stanie zapobiec tej wojnie. Chciałabym nie dopuścić do śmierci wszystkich walczących, ale tym razem jest już za późno.

- Czy to też część tej historii z „wchodzeniem w nową epokę”? - zdenerwował się Erwan, który na myśl o pozostaniu biernym i bezsilnym wobec takiej wojny wpadł we wściekłość. - Mamy pozwolić na śmierć naszych braci, aby „wejść w nową epokę”?

- Nie chodzi o pozwolenie na śmierć, lecz o zgodę na to, by się ponownie narodzić - odparł Kiaran.

- Druidzkie formułki! - wykrzyknął rozwścieczony Erwan.

- Erwanie - podjęła Alea, marszcząc brwi - nie możemy zapobiec tej wojnie! Gdybyśmy wyruszyli na nią z twoją armią...

- To *twoja* armia! - poprawił magistel.

- ... z *moją* armią, powiększylibyśmy tylko liczbę zabitych.

- Uważam, że Alea ma rację, niestety - wtrącił się Fahrio. - W tej konfrontacji jesteśmy dopiero trzecią siłą. Jedyne, co możemy, to przeważać szalę zwycięstwa na jedną ze stron, ale nie zapobiegniemy starciu.

Ale za to możemy wpłynąć na jego wynik - dorzuciła Alea, i Minując dłoń magistela.

Jak to? - zapytał, odzyskując spokój. - Jak będziemy mogli wpłynąć na cokolwiek, kiedy wojna się skończy?

już zaczęliśmy, Erwanie. Teraz musimy tylko zebrać plony naszej pracy. Zaufajcie mi, ten ostatni raz. Chodźcie ze mną do l'rovidence. Będę was potrzebować.

- A garstki zbrojnych to nie? - zapytał Erwan, jednak Alea wiedziała, że tym razem żartuje.

Jego zły humor minął równie szybko, jak się pojawił. Erwan był magistrem, rozsądnym człowiekiem, i szybko zdał sobie sprawę, że za bardzo go poniosło. Ojciec często go za to ganił. Należało zawsze zachowywać spokój.

- Nie - odpowiedziała Alea z uśmiechem. - Tylko my, przyjaciele. Znowu wyruszymy w drogę!

- Jak za dawnych dobrych czasów! - dodał Mjolln ironicznie. - Hem. Ilu nas jest? Ernan, Kiaran, Lorcan, Finghin, Shehan, Odhran, Kaitlin, Erwan, ty i ja. Dziesięcioro!

- Nie chcesz, by towarzyszyli nam druidzi i nasi magistele? - zapytał Arcydruid. - Nie lubimy rozdzielać się z naszymi magi- stelami...

- Nie - odparła Alea. - Dziesięć to dobra liczba.

- Samildanach i dziewięciu towarzyszy! - wykrzyknął Mjolln. - Oto materiał na piękną pieśń!

- Kiedy chcesz wyruszyć? - zapytał Erwan, obawiając się odpowiedzi Alei.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Jutro.

\*

Każdego dnia natura przystrajała się w piękne kolory jesieni: Gaelia mieniła się teraz odcieniami pomarańcza, czerwieni, żółci i purpury. W miarę jak dni stawały się coraz krótsze, liście

i trawy barwiły się jak za dotknięciem pędzla bizańskiego malarza. Drzewa przygotowywały się do zimy, zrzucając swe wielobarwne sukienki i rozkładając u swoich stóp mieniące się kobierce. Było coraz chłodniej, więc sierść wilków stawała się coraz gęstsza. Wkrótce będą nosiły piękne, zimowe futra. Podniecone powrotem zimna odzyskały żywotność.

Wataha Imali, która polowała od wielu dni, złapała dużą zwierzynę i właśnie odpoczywała nad brzegiem rzeki Sinain, kiedy na wzgórzu rozbrzmiały jakieś krzyki.

Pierwszy usłyszał je Taibron. Zerwał się, a za nim Imała i reszta watahy. Wkrótce zobaczyli w oddali groźne sylwetki, które wkroczyły na ich terytorium w dolinie Loma. Sylwetki proste, dumne, straszne. Dwunożni.

Wilki nie czekały ani chwili. Niczego tak się nie bały jak dwunożnych. Taibron ruszył biegiem na wschód, wzdłuż rzeki, a za nim owładnięta strachem reszta watahy, która szybko pojęła, jak wielkie grozi jej niebezpieczeństwo.

Wilki uciekały wzdłuż rzeki aż do zakola, po czym zostawiły Sinain za sobą i biegły dalej prosto, bo przed nimi rysował się sosnowy las, w którym być może znajdują schronienie. Za nimi wciąż rozlegały się krzyki dwunożnych, zmieszane z odgłosem grubych kijów, którymi uderzali o ziemię.

Wilkom udało się jednak zostawić dwunożnych w tyle. Ale Taibron zwolnił, dopiero kiedy dotarli do brzegu lasu. Bez tchu, z wywieszonymi językami wilki skryły się wśród sosen, mając nadzieję, że zgubią dwunożnych.

Zagłębiły się w las, szukając jakiegoś źródła, które zaspokoiłoby ich pragnienie, lecz wtedy znów usłyszały krzyki dwunożnych, tym razem na południu i o wiele bliżej.

W jednej chwili wilki ruszyły biegiem w przeciwnym kierunku, ale las stał się zbyt gęsty, by mogły trzymać się razem za Taibronem.

Wilki rozproszyły się między drzewami.



## NA WZGÓRZU PROCHÓW

Armia Rycerzy Płomienia dotarła do niewielkiego opustoszałego miasteczka na zachodzie Galacji. Atarmaja, obrócona w gruzy podczas inwazji tuathanneńskiej, nie została dotychczas odbudowana. Ruiny pozostawiono na pastwę piachu i wiatru. Stało tu zaledwie kilka budynków nadających się do użytku i armia Ferena Al'Roega skorzystała jedynie ze studni. Główny obóz rozbito poza miasteczkiem, korzystając z cienia, jaki dawały szczyty Gor- - Draka. Miasteczko było już tylko wspomnieniem.

Kiedy Meriand Mor Piękny przybył na czele swej armii od strony południowej, natychmiast dostrzegł sztandar Harcourt, czerwony płomień na białym tle, który powiewał między ruinami Atarmai. Feren Al'Roeg, katolicki hrabia, był właśnie na spotkaniu.

Stacjonowało tu o wiele więcej Rycerzy Płomienia, niż Meriand się spodziewał. Być może nawet piętnaście tysięcy. Całą dolinę pokrywały białe namioty rozbite przez armię Harcourt. Wojownicy Al'Roega roili się wokół miasteczka niczym mrówki dookoła mrowiska.

Dopiero teraz Meriand zdał sobie sprawę z rozmiarów konfliktu. Armia była tak liczna! Jeszcze nigdy nie widział tylu zbrojnych. Ta wojna będzie prawdziwą jatką!

Nagle podjechał do niego biskup Aeditus.

- Imponujący widok, nieprawdaż? - zapytał biskup z odcieniem dumy w głosie.

Meriand przytaknął. „Tak, robi wrażenie - pomyślał - ale z pewnością zupełnie inne na mnie niż na tobie”. Odwrócił się i rozkazał posłańcowi, by zjechał do doliny i niezwłocznie powiadomił hrabiego Harcourt o przybyciu armii Ziemi Brunatnej.

Meriand po raz ostatni rzucił okiem na zniszczone miasteczko, a potem skinął na generałów, by wydali rozkazy. Osiem tysięcy Brunatyjczyków podjęło marsz, niosąc herb hrabstwa, pozłacaną chimerę. Ostatnim razem, gdy armia Ziemi Brunatnej walczyła u boku Harcourtczyków, odniosła pamiętną wiktoria nad barbarzyńcami z Sidu. Większość rycerzy cieszyła się na myśl o tym sprzymierzeniu, nawet jeśli perspektywa tak wielkiej bitwy w rzeczywistości nie napawała radością. Zwycięstwo jednak było pewne.

Kiedy dotarli wreszcie do obozowiska, zostali ciepło przyjęci przez Rycerzy Płomienia. Oficerowie, którzy przyczynili się wspólnie do zwycięstwa pod wzgórzem Sablon, witali się z radością. Wspominano poszczególne momenty bitwy, poległych towarzyszy...

Meriand i Aeditus zostali poprowadzeni do namiotu hrabiego Harcourt. Szli przez obozowisko pośród zgiełku, a potem dotarli na niewielki pagórek, na którym rozbito namiot Ferena Al'Roega.

- Wejdźcie, przyjaciele! Wejdźcie! - zaprosił ich, wstając.

Hrabia ucałował pierścień biskupa i ciepło przywitał Merianda.

Był wyraźnie podniecony nadchodzącymi wydarzeniami, a może nawet odczuwał dumę, że staje na czele tak ogromnej armii. We trójkę usiedli przy niewielkim stole, na którym czekało słodkie wino.

- Cieszę się, że znów widzę Waszą Eminencję - rzekł Al'Roeg, wznosząc kielich w stronę biskupa. - Mam nadzieję, że podróż do Ziemi Brunatnej była owocna... Słyszałem na ten temat wiele dobrego.

- Tak, Brunatyjczycy byli dla mnie bardzo gościnni - odparł Aeditus. - Po chrzcie hrabiego Merianda wielu z nich wyraziło chęć nawrócenia się. Niestety nie mieliśmy na to zbyt wiele czasu. W tej chwili nie ma tam prawie żadnych struktur, ale hrabia Mor nakazał budowę katedry w Mericourt i sądzę, że już wkrótce nasza religia się tam zakorzeni.

- Doskonale! Gratuluję! - wykrzyknął Al'Roeg, uśmiechając się do hrabiego Ziemi Brunatnej.

Ale Meriand nie odpowiedział. Nie przybył tu, by wieść dysputy religijne, a poza tym wolał omijać ten temat.

- Jakie są nowiny dotyczące sprawy, która nas tu zgromadziła? - zapytał poważnym tonem.

- Nasi szpiedzy przynoszą raczej dobre wieści - odparł Al'Roeg. - Przede wszystkim doszły mnie słuchy, że armia Alei, którą zwą Armią Ziemi, nie opuściła Tarnei. Wydaje się, że ma tam pozostać i bronić Sarre. To nawet dobrze! Przynajmniej wiemy, że nie będą nam przeszkadzać w boju przeciwko Galacji. Straciliśmy Tarneę, ale nie przegramy bitwy z królową.

- Miejmy nadzieję! - westchnął Meriand.

- Co do Galacji - ciągnął Al'Roeg, nie zważając na sceptycyzm hrabiego Ziemi Brunatnej - wydaje się, że mamy do czynienia z narastającym konfliktem między druidami a generałami. Tak jak przewidywałem! A owa niezgoda polityczna może okazać się dla nas korzystna, bo Galacja nie będzie miała dość czasu, by przygotować plany obrony...

- Zapewne wiedzą już, że wyruszyliśmy - zauważył Meriand. - Nasza armia jest zbyt liczna, by mogła zostać niezauważona.

- Bez wątplenia - przyznał Al'Roeg - ale wyruszymy jeszcze tego wieczoru. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zaatakujemy za trzy dni. Nieważne, czy wiedzą o nas, czy nie. Nie zdążą się przygotować, jestem tego pewien.

- Mam nadzieję. Ilu zbrojnych macie? - zapytał Meriand.

- Czternaście tysięcy - dumnie odparł Al'Roeg.

- Z moimi ludźmi daje to dwadzieścia dwa tysiące... Nie sądzę, żeby Galacja widziała kiedyś tak wielką armię.

- Niech Bóg nas strzeże! - westchnął Aeditus.

- Niech Bóg da nam siłę, by zwyciężyć! - poprawił go Al'Roeg, wychylając wino jednym haustem.

„Niech Bóg nam wybaczy!”, pomyślał Meriand i również wypił wino.

\*

Tamaran pędził na północ. Dźwięki wydawane przez biegnących towarzyszy umilkły już dawno, ale jednooki wilk nie mógł się zatrzymać. Dwunożni nadciągali i było ich bardzo wielu.

Wilki były już poza swoim terytorium i Tamaran nie znał tego lasu. Nie wiedział, w którą stronę uciekać, więc biegł w kierunku przeciwnym do tego, skąd nadciągało zagrożenie. Teraz wielki brązowy wilk nie mógł kluczyć ani zacierać śladów, gdyż pogoń była zbyt blisko.

Gnał ile sił, roztrzając niskie gałęzie zagrządzające mu drogę, omijając doły, przeskakując przez powalone pnie, często tracąc równowagę na śliskiej trawie.

Podłoże lasu zaczęło nagle się wznosić, ale wilk starał się utrzymać tempo. Musiał włożyć w to więcej wysiłku, a zmęczenie zaczynało dawać mu się we znaki. Parł jednak naprzód. Biegł na szczyt wzgórza, ślizgając się na mokrej ściółce pokrywającej stok.

Kiedy wreszcie dotarł na szczyt, zwolnił i obejrzał się. Wciąż słyszał okrzyki dwunożnych i uderzenia drewnianych pałek o pnie drzew, ale teraz byli daleko. Hałas rozlegał się o wiele niżej, bez wątplenia u stóp wzgórza. Nie szli za nim.

Tamaran odpoczywał chwilę z wywieszonym językiem. Był zziębnięty, jego mięśnie zmęczone biegiem, oddychał zbyt szybko. Jego brzuch wznosił się i opadał w rytm oddechu. Chwilę tkwił nieruchomo na szczycie, od czasu do czasu spoglądając w dół zbocza i sprawdzając, czy dwunożni się nie zbliżają, gdy nagle tuż nad pyskiem usłyszał dziwny, nieznaną hałas.

Odwrócił się jednym gwałtownym ruchem. Długi zaostrzony na czubku kij właśnie śmignął pomiędzy jego uszami, a Tamaran ujrzał wbity w siebie groźny wzrok dwunożnego, który czaił się zaledwie kilka kroków przed nim. Ten, nie spuszczać z niego wzroku, chwycił drugi zaostrzony kij i umieścił go w jakimś przyrządzie, który wymierzył w Tamarana.

Wilk nie wahał się ani chwili. Wszystko w nim krzyczało: „niebezpieczeństwo!”, i przymuszało do natychmiastowej ucieczki. Skręcając na zachód, rzucił się naprzód i zapadł w las.

On, który tak często polował, dziś sam stał się zdobyczą. Nigdy jeszcze nie odczuwał takiego strachu jak w tej chwili. Nawet podczas licznych walk staczanych z innymi watahami. Nie. Tym razem był to strach o wiele głębszy, który mógł uciszyć jedynie instynkt nakazujący przeżycie. Tylko ten instynkt mógł mu dać cień szansy.

Nagle Tamaran usłyszał za sobą świst. Nie wiedząc, skąd nadlatuje, wiedziony instynktem, czy może strachem, padł na bok i to bez wątplenia uratowało mu życie. Zaostrzony patyk ledwie go musnął i wbił się w pień drzewa tuż przed nim.

\*

Dziesięcioro towarzyszy wyruszyło na długo przed wschodem słońca. Alea nie chciała, by ktokolwiek odkrył, że opuszczają Tarneę, i przedsięwzięła wszelkie środki ostrożności, by nikt z hrabstwa Sarre się o tym nie dowiedział. Musieli przejść przez most Griffoul, zanim obudzą się tarneńczycy, by uniknąć wiwatów na swoją cześć, co w oczywisty sposób położyłoby kres tajemnicy.

Kiedy słońce ukazało się na niebie, Alea i jej towarzysze byli już daleko od stolicy, galopowali przez wrzosowiska na silnych koniach, z których słychać było hrabstwo Sarre. Podróżowali z dala od uczęszczanych szlaków, by nikogo nie spotkać. Kiedy złota kula była już wysoko na niebie, zatrzymali się na posiłek.

Alea, Erwan, Kaitlin, Finghin i Mjolln wyraźnie odczuwali to samo. Wiedzieli, że w najbliższych dniach odbędzie się ostatnia, największa bitwa. Nadejdzie chwila prawdy Ta, w której Alei uda się - lub nie - stworzyć nową Gaelię. Ale cieszyła ich również wspólna podróż. Bez tysięcy rycerzy, za których muszą być odpowiedzialni. Tylko oni. Zdawali sobie sprawę, że są to takie same chwile, jakie połączyły ich w przeszłości, i wiedzieli, że nadchodzące dni mogą nie dać im kolejnej sposobności, by być tak blisko. Korzystali zatem z każdej chwili. I mimo niebezpieczeństwa, które im zagrażało, czuli się dobrze. Jak ludzie, którzy jeszcze wiele od życia oczekują.

Rozmowy podczas posiłku były przyjazne i serdeczne, a Wielcy Druidzi również w nich uczestniczyli. Mjolln opowiedział Alei o swojej inicjacji i wstąpieniu w szeregi bardów, Kaitlin i Kiaran wspominali dawne czasy, kiedy oboje byli wędrownymi aktorami. Alea słuchała z uwagą, trzymając Erwana za rękę, szczęśliwa, że choć przez chwilę mogą zaznać spokoju.

Poza tym ten pierwszy posiłek miał w sobie coś wyjątkowego. Był jakby zapowiedzią zmian mających wkrótce nastąpić. Przebywając bowiem w tej niewielkiej grupie, Wielcy Druidzi znów uczyli się prostego życia. Bez magisteli, bez służby i bez strachu widzianego w oczach innych ludzi. Tutaj każdy rozmawiał jak równy z równym. A pod koniec posiłku wszyscy mówili sobie po imieniu.

Nie było już Arcydruida, Samildanacha, generała czy Wielkiego Druida, lecz dziesięcioro towarzyszy, którzy zaakceptowali to, co wczoraj powiedział Kiaran. Przyjęli do wiadomości fakt, że wyspa wchodzi w nową epokę.

Wyruszyli w dalszą drogę po południu. Jechali tak szybko, jak się dało, i zatrzymali się dopiero po zapadnięciu zmroku, już za granicą Galacji, na północ od Purpurowej Rzeki.

Wieczorem podjęli przerwane rozmowy, słuchali z przyjemnością gry Mjollna, a potem poszli spać. Wiedzieli, że dotrą do Providence za dwa, trzy dni, ale myśl o dalszej drodze przepęłniała ich radością. Radość stała się udziałem także Wielkich Druidów. Wydawało się, że już nie cierpią z powodu kryzysu, który przywiódł ich aż tutaj. Że nie żałują Sai-Miny. Może zrozumieli, czego szukali poza Radą Felim i Finghin.

Alea, widząc, że Kiaran zamierza się oddalić, poprosiła go o chwilę rozmowy. Druid, który bez wątpienia czekał na to od dłuższego czasu, z radością przystał na propozycję wieczornej rozmowy.

Cieszę się, że wreszcie cię widzę, Kiaranie. I dziękuję ci za wszystko.

I ak. Jaka piękna noc, prawda? Masz mi z pewnością coś więcej do powiedzenia niż te podziękowania, tak?

Alea się uśmiechnęła. A potem zadrżała. Nie była zbyt ciepło ubrana, a jesienna noc była chłodna.

- Znów widziałam Felima w świetle Djar - powiedziała w końcu.

Wielki Druid się zatrzymał.

- Felima?

-Tak.

- Udało mu się wyjść ze świata umarłych?

- Tak, kolejny raz - przyznała Alea.

- Felim był naprawdę wyjątkowym druidem! - wykrzyknął Kiaran z uśmiechem. - Jakże mi go brak!

Położył dłoń na ramieniu Alei.

- Wiele mu zawdzięczasz, prawda?

Alea ujęła dłoń Wielkiego Druida i mocno ją uścisnęła.

- Tak. Ale to nie wszystko...

- Słucham.

- Felim powiedział mi, że muszę zabić Maolmórdhę, zanim Saiman zniknie bezpowrotnie.

Kiaran stał chwilę w milczeniu, drapiąc się w podbródek.

- Bez wątpienia obawia się, żeby Ahriman nie przetrwał dłużej niż Saiman - powiedział w końcu Wielki Druid.

- Tak właśnie zrozumiałam jego słowa.

- Hm, to interesujące - mruknął druid.

Pomilczał chwilę, a potem nagle klasnął w dłonie, jakby coś zrozumiał.

- Na Mojrę! Ależ tak, on ma rację, musimy się pospieszyć! - wykrzyknął.

- Dlaczego?

Kiaran się zawahał.

- To już się zaczęło - wyszeptał tajemniczo.

Alea zmarszczyła brwi.

- Słucham?

- Nie zauważyłaś? - zdziwił się Wielki Druid.

- Czego?

- Saiman zaczyna znikać - wyjaśnił Kiaran, krzywiąc się.

Dziewczyna wytrzeszczyła oczy.

- Tak - podjął Kiaran - to musi być to. Od wielu dni nie mogę wrócić do świata Djar, Aleo!

- Ale... To niemożliwe!

- Dlaczego?

- Bo przepowiednia głosi, że Saiman zniknie, gdy zrozumiem, czym jest... A ja nie rozumiałam. Wprost przeciwnie, niczego nie rozumiem!

- Może zaczynasz rozumieć, ale nie zdajesz sobie z tego sprawy.

- To nie ma sensu, Kiaranie! Albo się rozumie, albo nie!

Druid wzruszył ramionami.

- Naprawdę nie zastanowiłaś się głębiej nad tym tematem?

- Przeczytałam rozdział w Encyklopedii Analego, ale niczego się nie dowiedziałam. Oprócz... oprócz tego, że według Analego Saiman opiera się na trzech siłach natury, a nie na mocy magicznej, ale...

- Co takiego!? - wykrzyknął druid - Ależ to nadzwyczajne! I twierdzisz, że niczego nie rozumiałaś? Żaden druid zasiadający w Radzie nigdy by tego nie powiedział! Ale ty szukasz... Tak, Aleo, sądzę, że zrobiłaś pewien krok naprzód, że coś rozumiałaś. To dlatego Saiman zaczyna znikać.

Dziewczyna otworzyła usta ze zdumienia. Te przepowiednie cały czas wydawały jej się tak odległe. Tak niejasne, abstrakcyjne, jak cudowna baśń, w którą nie do końca wierzyła. A jednak... Czyżby naprawdę właśnie się spełniały?

Jeśli się nie mylisz, Kiaranie, to naprawdę będę musiała stanąć twarzą w twarz z Maolmórdhą, i to jak najszybciej! Bo bez Saimana nie będziemy mogli go pokonać, będzie za późno. Myślisz, że powinnam zrezygnować z tego, co zamierzałam zrobić w Providence?

Nie! Zostało nam jeszcze trochę czasu. Musisz zrobić obie te rzeczy. Jeżeli natychmiast wyruszysz na poszukiwanie Maolmórdhy, ryzykujemy, że tutaj też będzie za późno dla mieszkańców Gaelii.

- Ale czas nagli! - wykrzyknęła Alea.

- Zatem trzeba działać szybko.

Dziewczyna przytaknęła skinieniem głowy. Słyszała bicie własnego serca. Zamykając oczy, weszła w kontakt z Saimanem. Niebieski płomień wciąż tlił się w jej głowie. Wydawało jej się, że płonie z tą samą intensywnością co dawniej. A jeżeli Kiaran się myli? Jeżeli Saiman jeszcze nie zaczął znikać?

- Kiaranie, czy możesz teraz poszukać Saimana w sobie? - zapytała.

Druid skinął głową.

Powoli zamknął oczy. Odetchnął, a potem wyciągnął ręce przed siebie. Wtedy Alea ujrzała światło. Czerwoną poświatę, która rozbłysła wokół druida. Saimana.

Zrozumiała, że druid nie kłamie.

Światło nie było tak intensywne jak dawniej. Saiman tracił na sile.

\*

Tamaran zerwał się i pognął na północ. Krzyki dwunożnego były coraz słabsze i rozumiał, że znajduje się poza jego zasięgiem. Gnał jednak dalej, bez chwili spoczynku. Dwunożni byli wszędzie, rozproszeni po lesie. Trzeba uciekać. Wyrwać się z matni.

Widząc promienie słońca prześwitujące przez gęstwinę, jednooki wilk przyspieszył. Miał wreszcie szansę na opuszczenie lasu. Nie wiedział, czy odnajdzie watahę, ale nie to było najważniejsze. Teraz po prostu chciał przeżyć.

Klucząc między drzewami, wilk pędził na skraj lasu, wyczerpany i przerażony. Usłyszał od wschodu ostre ujadanie sfory psów. Zaskoczony znieruchomiał na chwilę, powęszył, ale gdy zrozumiał, że psy nie są zbyt daleko, zaczął biec tak szybko, jak tylko mógł.

W normalnych warunkach wilk mógł z łatwością zyskać przewagę nad swymi dalekimi kuzynami, ale Tamaran zbyt długo już biegł. Poza tym ledwie uniknął ataków dwunożnego i nie miał już sił. Mimo to wciąż próbował uciekać. Biegając ponownie na skraj lasu, wiele razy o mało nie padł z wyczerpania.

Gdy był już zaledwie kilka metrów od wrzosowiska, usłyszał ujadanie zbliżających się psów. Sfora zmierzała wprost na niego. Wilk rzucił się naprzód, zbierając resztki sił, by opuścić las. Nie udało się, więc natychmiast zawrócił w miejscu i przygotował się do ataku. Cofał się powoli, a kiedy ujrzał nadbiegające psy, obnażył kły, zjeżył sierść i wygiął łukowato grzbiet. Warczał, chcąc dać do zrozumienia, że jest gotów do walki.

Psów było jednak zbyt wiele. Zmierzały ławą w jego stronę, gotowe do ataku.

Tamaran poczuł, że jest zgubiony. Unosząc łeb ku jesiennemu niebu, zawył przeciągle, ale żaden z członków jego stada nie mógł mu odpowiedzieć.

Nagle poczuł, że nadszedł ten moment, by rzucić się na wroga, ale wówczas psy stanęły jednocześnie.

Wilk nie miał czasu, by zrozumieć dlaczego. Strzała przeszła jego czaszkę i basior upadł na ziemię, kilka kroków od psich łap.

\*

Dwudziestu dwóm tysiącom rycerzy z Harcourt i Ziemi Brunatnej trzeba było trzech długich dni forsownego marszu, by dotrzeć do doliny Providence, w samym sercu królestwa. Zmierzali w stronę stolicy, by stoczyć ostatnią bitwę.

Długa kolumna piechurów wyposażonych w piki i halabardy i ułanów galatyjskie wrzosowiska, a nad nią powiewały sztandary i flagi niekończącymi się szeregami piechoty, na której czele szli Kfui i Krowie, ciągnęła kawaleria. Konie okryte były haftowanymi i ozdobnymi dywanami, rycerze uginali się pod ciężarem zbroi, wielu jedną dłoń opierało na łuku szerokiego siodła, drugą dzierżyło wodze.

Armia Galacji jest już na miejscu - oznajmił zwiadowca hrabiom Harcourt i Ziemi Brunatnej.

Al'Roeg i Mor jechali na czele wojsk wraz z generałem Kullierem. Podczas bitwy oczywiście zajmą strategiczne pozycje na tyłach, teraz woleli jechać na przodzie.

Przybyliśmy zbyt późno, by narzucić styl walki! - wyraził niezadowolenie Al'Roeg. - Z pewnością wykorzystają przewagę, którą daje im teren.

- Zatem nie zaskoczymy ich tak, jak planowaliśmy! - powiedział Meriand Mor.

- Ilu ich jest? - zapytał generał Ruther.

- Myślę, że dwadzieścia pięć tysięcy - rzekł zwiadowca - może więcej.

- Zatem mają również przewagę liczebną! - zagrzemiał hrabia Ziemi Brunatnej.

Nowina mogła osłabić morale armii.

- Gdzie dokładnie się rozlokowali? - zapytał Al'Roeg.

- Na południe od Providence, w Dolinie Prochów. To prawdziwe pole bitwy. Ogromna, porośnięta trawą przestrzeń, ze wszystkich stron otoczona drzewami. Mimo waszych słów nie bardzo rozumiem, jaką przewagę może dać im teren. Pochyłość terenu jest taka sama w każdym miejscu, nie ma tam fosy, nie będzie więc żadnego efektu zaskoczenia...

- Z pewnością coś w tym musi być! - odparł generał Ruther. - Na pewno nie wybrali tego miejsca przypadkowo.

- Pytanie tylko, czy będziemy mieli dość czasu, by zbadać, co się za tym kryje, zanim odczujemy tego konsekwencje - powiedział hrabia Ziemi Brunatnej.

- Wyślijcie następnych zwiadowców i każcie im, by objechali całe pole bitwy i zorientowali się, czy przeciwnicy nie zastawili pułapki - rozkazał Al'Roeg.

Rycerz odszedł, by przekazać rozkazy.

- Wkrótce zapadnie noc - podjął generał Ruther. - Nasi rycerze są wyczerpani. Zaatakowanie dziś wieczorem nie byłoby zbyt roztropne.

- Myślisz, że powinniśmy się zatrzymać tutaj i wyruszyć dopiero jutro?

Generał westchnął.

- Tak. Albo możemy zrobić coś jeszcze.

- Słucham - powiedział Al'Roeg.

- Moglibyśmy sprawić, by wróg myślał, że rzeczywiście się tu zatrzymaliśmy, a następnie nocą zbliżyć się doń i zaatakować o świcie.

- Nasi ludzie się nie wyśpią! - wyraził obiekcję hrabia Harcourt.

- Nie, ale wykorzystamy element zaskoczenia.

- Jeżeli naprawdę zdołamy niepostrzeżenie powieść dwadzieścia dwa tysiące ludzi! - powiedział Meriand sceptycznie.

- To z pewnością nie będzie łatwe, ale jest warte zachodu. Trzeba poczekać jak najdłużej i naprawdę sprawiać wrażenie, że zatrzymujemy się tu na noc. Jeżeli nam się uda, to sądzę, że uzyskamy w ten sposób znaczną przewagę. Poza tym różnica w liczebności obydwu armii nie jest tak duża i ten plan może zaważyć na wyniku bitwy...

\*

Imała i Taibron uciekli dwunożnym, biegnąc na północ. Jednak gdy usłyszeli wycie Tamarana, instynkt dominujących osobników nakazał im dołączyć do towarzysza. Rozumieli nazbyt dobrze, co oznacza ten przejmujący krzyk rozpaczny.

Nie byli zbyt daleko od skraju lasu, gdy usłyszeli ujadanie sfory. Pobiegli tak szybko, jak mogli, tratując poźółkłą trawę. Mimo zmęczenia i strachu pędzili ile sił, by uratować swego brata ale gdy przybyli na miejsce, było już za późno.

Na widok myśliwego wilki powinny były rzucić się do ucieczki: oddalić się jak najszybciej i myśleć tylko o przetrwaniu. Poddać się instynktowi.

Ale Imała nie była zwyczajną wilczycą. Widząc dwunożnego, nagle coś sobie przypomniała. Wspomnienia powracały w jej umyśle falami, niczym ruchome obrazy. Kiedy wiodła życie stadne, wyparowały z jej umysłu, wyparte przez instynkt wilczy, ale teraz powróciły. Przypomniała sobie dwunożną, którą kiedyś spotkała. Innych dwunożnych, którzy jej towarzyszyli. Przypomniała sobie, jak ich chroniła. Jak zebrała wilki, by stanęły w ich obronie. Jak walczyły przeciwko zielonym kreaturom. Jak umierały licznie, by ocalić dwunożnych. Jak umierały dla nich.

Dlatego teraz nie odczuwała strachu. Już nie bała się dwunożnych. Ale nie rozumiała, dlaczego jeden z nich zabił wilka.

Podczas gdy Taibron gotował się do ucieczki, Imała zaczęła warczeć. Dwunożny podskoczył ze strachu. Odwrócił się i zobaczył dwa wilki niedaleko od siebie.

Zaskoczony Taibron spojrzał na białą wilczycę, a potem również zawarczał. Wilki zrobiły kilka kroków, obnażając kły, pochylając głowy. W oczach dwunożnego dostrzegły strach.

Ten odwrócił powoli głowę, by przywołać psy, ale one, zdjęte strachem, już dawno rozpierzchły się po lesie. Wydał pełen przerażenia okrzyk i rzucił się do ucieczki, pozostawiając na ziemi swoją sakwę, łuk i broczące krwią ciało jednookiego wilka.

Imała i Taibron nie pozwolili mu się wymknąć. Podnieceni ucieczką przyszłej ofiary, rzucili się w pogoń. Nie mógł uciec zbyt daleko, zaledwie po kilku metrach wilki go dopadły.

Taibron skoczył ku nogom i zatopił kły w udzie dwunożnego. Ten wrzasnął i przewrócił się na ziemię, ale krzyk szybko został zdławiony: korzystając z jego upadku, Imała skoczyła mu do gardła. Człowiek wyzionął ducha, gdy drugi raz zacisnęła szczęki na jego szyi.

Okrzyki jednego z rycerzy ze straży przybocznej wyrwały Belyego ze snu.

- Panie! Panie! Harcourt atakuje!

Przerażony doradca zerwał się na równe nogi. Potoczył dookoła nieprzytomnym wzrokiem i dopiero po chwili dotarło do niego, że jest w wojskowym namiocie, na południe od Providence.



- Co? - wymamrotał.  
- Armie Harcourt i Ziemi Brunatnej rozbiły obóz w dolinie. Ich kawaleria zaatakowała, gdy nasi ludzie jeszcze spali! Arcydruid cię oczekuje!

- Dobrze, dobrze... Powiedz mu, że już idę! - odparł Bely z wściekłością.  
Wstał, włożył w pośpiechu skórzany kubrak i chwilę później biegł w stronę Henona stojącego na szczycie Wzgórza Prochów.

To, co zobaczył, ścięło mu krew w żyłach. Słońce właśnie wzeszło, a świat skąpany był w dziwnym świetle. Szara mgła spowijała dolinę, ale pomiędzy siwymi kłębamii można było dostrzec tysiące rycerzy. Lance rozbłyskiwały w promieniach słonecznych, by po chwili zniknąć w oparach mgły. Konie, błyszczące zbroje, rosa na trawie, wszystko to tworzyło malowniczy, a zarazem przerażający widok. Dźwięki niosły się echem po całej dolinie.

- Przy odrobinie szczęścia to zaskoczenie nie na wiele im się przyda, da im może kilka metrów - powiedział Arcydruid, widząc nadbiegającego doradcę.

Długa biała szata druida zlewała się z mgłą. Można było odnieść wrażenie, że mężczyzna unosi się w powietrzu.

- Jak mogliśmy dać się tak zaskoczyć! - zawołał Bely, przecierając oczy.  
- Mgła. Dotarli tu w nocy, a my zorientowaliśmy się zbyt późno. Teraz musimy dobrze rozegrać tę bitwę, a to nie będzie łatwe. Popatrz.

Mgła rozwiewała się stopniowo, a słońce wznosiło się coraz wyżej na niebie, odsłaniając dramat rozgrywający się poniżej.

Dwie armie stały naprzeciw siebie w idealnej symetrii, która była bez wątpienia dziełem przygotowań strategów z Harcourt. W centrum piechota, najliczniejszy z oddziałów. Piętnaście tysięcy ludzi po stronie Galacji i prawie tyle samo naprzeciw. A po każdej stronie tych olbrzymich oddziałów, na prawej i lewej flance, kawaleria. Rzędy koni, szeregi łanc i tarczy.

APRoeg i generałowie z Harcourt odtworzyli szyk bojowy armii galatyjskiej, jakby ich armia była jej lustrzanym odbiciem. Chcieli walnej bitwy. Bezpośredniej konfrontacji. Rycerz przeciwko rycerzowi. Bez wątpienia chcieli w ten sposób uniemożliwić wojownikom Galacji zyskanie przewagi nad własną piechotą. Była to śmiała strategia, która z pewnością pociągnie za sobą ogromne straty w ludziach.

W tej samej chwili na szczycie wzgórza pojawiła się Carla Bisagni.

- Czy atak już się rozpoczął? - zapytała spokojnie.  
- Tak, baronowo, atak się rozpoczął. Od zaskoczenia.  
- Cóż, nie przejmujcie się tym zbyt. Nie sądzę, by Giametta dał się tak łatwo zaskoczyć.

- Być może - odparł Bely, wzdychając. - Ale wasz kapitan nie dowodzi całą armią! To nie on wyciągnie nas z tego bagna...

Baronowa pokiwała głową.

- Jest trochę denerwujący, to prawda, ale zaręczam, że jest doskonałym wojownikiem.

Bely zamknął oczy. Zaraz zacznie się koszmar.

\*

To rycerze generała Ruthera, stojący na prawej flance armii Harcourt, rozpoczęli szarżę. Korzystając z pochyłości terenu i efektu zaskoczenia, rzucili się na jazdę wroga, gdy tylko pojawiły się pierwsze promienie słońca.

Rycerze galatyjskiej przedniej straży mieli jedynie czas, by wyjść z namiotów, gdy ujrzeni nadciągających Rycerzy Płomienia. Pojawili się oni nagle, niczym statki wynurzające się z mgły, miażdżąc piechotę, przewracając namioty, zabijając pierwszych wrogów.

Niektórzy Galatyjczycy próbowali się bronić, wymierzając ciosy tym żelaznym smokom. Próżne były jednak ich wysiłki. Zbroje rycerzy Ruthera były o wiele wytrzymalsze niż Galatyjczyków. Zbroje doskonale dopasowane: kolczugi, stalowe nagolenniki, szyszaki. Rycerze Płomienia byli o wiele lepiej wyekwipowani i zamierzali to wykorzystać, by pokonać przeciwnika.

Poza tym zbroje te doskonale chroniły przed strzałami i ci w obozowisku, którzy wyciągnęli łuki, szybko porzucili broń, gdyż okazała się nieskuteczna.

Prawie pięć tysięcy rycerzy atakowało od frontu i żaden z galatyjskich wojowników nie pamiętał czegoś podobnego. Każdy Rycerz Płomienia dzierżył lancę w prawej ręce, lewy bok osłaniając tarczą. Każdy obalał wrogów, jednego po drugim.

Pierwsze minuty walki były prawdziwą masakrą. Wyrwani ze snu Galatyjczycy padali bez życia przed namiotami. Fontanny krwi tryskały w powietrze, na ziemię spadały odcięte głowy.

Armia Al'Roega nie napotkała żadnego oporu i najwięcej ludzi poległo właśnie podczas pierwszych chwil ataku. Napastnicy wdzierali się coraz głębiej w obozowisko. Do chwili gdy Galatyjczycy w końcu dosiedli koni, nie zginął ani jeden Rycerz Płomienia. Gdy rycerze galatyjscy zaczęli się bronić, było już za późno. Pierwsza linia została przełamana.

\*

Stojąc na niewielkim wzniesieniu po drugiej stronie doliny, Feren Al'Roeg obserwował z satysfakcją początek bitwy. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Nie był w stanie ogarnąć wzrokiem całej linii ataku, ale posłańcy wciąż dostarczali najświeższych informacji z pola walki hrabiemu Al'Roegowi, jego doradcom oraz Mriandowi i biskupowi Aeditusowi.

Jednakże nie trzeba było posłańca, by dostrzec, że rycerze galatyjscy Kuthera właśnie wygrywali bitwę na południowej flance. Galatyjczycy dali się zaskoczyć i teraz musieli się ugiąć pod naporem szarżującej kawalerii. Rycerze Płomienia bez trudu przełamali linię wroga.

Teraz nadszedł czas na atak piechoty, stanowiącej trzon armii. Panika na południowej flance z pewnością osłabi morale piechoty wroga i popchnie ją prosto w objęcia przeciwnika.

Dwanaście tysięcy piechurów pod komendą generała Asleya, z wygrawerowanymi na napierśnikach czerwonymi płomieniami Harcourt lub chimerami Ziemi Brunatnej, nacierało na nieprzyjaciela w rosnącym zgiełku. Okrzyki bojowe stały się wkrótce tak głośne, że nieomal zagłuszały szcęk metalu. Z uniesionymi łaniami, z mieczami w dłoniach, pierwsza linia piechoty rzuciła się naprzód, podczas gdy w drugiej linii szykowali się już łucznicy. Łuki unosiły się jeden po drugim, szukając idealnej trajektorii dla strzał, które miały spaść na wroga.

Po przeciwnej stronie Galatyjczycy, którzy nie zamierzali dać się zaskoczyć drugi raz, przygotowywali piechotę do ataku. Rycerze mający na swych

zbrojach diamentową koronę, godło Galacji, dobyli mieczy, toporów, a potem osłonięci tarczami rzucili się w bój.

Dwie wrogie armie zbliżały się ku centrum pola bitwy. Nic już nie było w stanie powstrzymać tej nieprzebranej ludzkiej masy. Zderzenie będzie straszne. Ponad dwadzieścia tysięcy ludzi wkrótce stanie twarzą w twarz w bitewnym kurzu.

Gdy pozostało już tylko kilka metrów do zderzenia dwóch armii, generał Asley dał rozkaz łucznikom z Harcourt, by wypuścili strzały.

Jednak wzniesione wysoko tarcze Galatyjczyków bardzo skutecznie chroniły przed atakiem. Większość strzał roztrzaskała się o metal. Zaledwie kilku rycerzy zostało ugodzonych przez strzały, ale ich nieprzerwany deszcz opóźnił marsz Galatyjczyków. Brunatyjczycy i Harcourtczycy nie zamierzali zmarnować takiej okazji i jeszcze silniej natarli na wroga. Przyspieszając kroku, krzycząc, rzucili się na armię galatyjską niczym stado rozwścieczonych zwierząt.

Zderzenie istotnie było okropne. Iskry tryskały przy zetknięciu się żelaza z żelazem, gwałtowne ciosy posyłały rycerzy w górę, a innych miażdżyły na miejscu. Miecze zagłębiały się w ciałach przeciwników, a potem ścinały ich głowy niczym kosy zboże podczas żniw. Lance nabijały ofiary na ostrza, sztylety śmigwały w powietrzu, czasem kończyło się na walce na pięści, w rękawicach nabijanych gwoździami.

Bardzo szybko zręczność i agresja Rycerzy Płomienia, zaprawionych w bojach, zaczęły brać górę. Wkrótce musieli przeskakiwać nad ciałami poległych nieprzyjaciół, by osiągnąć kolejnych wrogów, i stopniowo zyskiwali przewagę.

Feren Al'Roeg, zadowolony z takiego obrotu sprawy, pchnął posłańca z gratulacjami dla generała Asleya. Galatyjczycy się wycofywali.

\*

Kiedy kawaleria generała Ruthera przerwała linię wroga, dowódca próbował zewrzeć szeregi, by przygotować się do ponownego uderzenia na lewą flankę galatyjskiej piechoty

Jednakże Rycerze Płomienia uderzali na wroga z taką wściekłością i szybkością, że rozproszyli się po całej południowej stronie pola bitwy i najwyraźniej żaden z nich nie uznał za stosowne posłuchać rozkazu. Większość już dawno pogalopowała na wschód, zdecydowana zaatakować piechotę ariergardy.

- Zostać tutaj! Przegrupować się! - wrzeszczał generał, galopując do miejsca, w którym rycerze mogliby ponownie uformować szereg bojowy.

Ale albo nie słyszeli, albo rozgrzani zwycięstwem nie chcieli słuchać rozkazów. Ruther zaklął. Lata doświadczeń nauczyły go, że po pierwszym ataku kawaleria powinna się przegrupować i ruszyć ponownie.

- Ashkin! - krzyknął, rozpoznając jednego z rycerzy, przejeżdżającego obok.

Rycerz odwrócił się. Za nim, daleko w tyle, piechota z trudem odpierała atak Rycerzy Płomienia.

- Co oni robią? - wrzeszczał generał, wskazując na rycerzy pędzących w stronę ariergardy. - Dałem rozkaz przegrupowania się!

Ashkin wstrzymał konia tuż przed generałem.

- To zamieszanie, panie generale!

Młody rycerz zdjął hełm i zsunął z głowy kaptur. Z czoła spływała mu krew, wyglądał na wyczerpanego.

- Zamieszanie? Właśnie odnieśliście wspaniałe zwycięstwo na całej południowej flance! Nie ma tam żadnego zamieszania!

- Nie widział pan? - zapytał przerażony Ashkin.

- Czego? - chciał wiedzieć generał.

Rycerz wyciągnął rękę w stronę wzgórza górującego nad korytarzem, przez który właśnie przedarli się rycerze.

- Daliśmy się zaskoczyć łucznikom, którzy byli ukryci za rzędem tamtych sosen! Strzał było tyle, że wielu z nas poległo.

Generał spojrział w stronę drzew i rzeczywiście ujrzał nieprzerwany deszcz strzał lecących od strony wzgórza. Nie było ich widać na tyłach pola walki. Była to zatem pierwsza zasadzka przygotowana przez Galatyjczyków.

- I co z tego? - zapytał. - To wam nie przeszkodziło przerwać linii wroga!

- Nie, ale sądzę, że inni uznali, iż nieostrożnie byłoby dokonać przegrupowania pod ostrzałem, i być może dlatego pojechali na południe...

- Nie czekając na rozkazy? Tam jest ariergarda!

- Wydaje się, że niezbyt liczna, powinniśmy ją bez trudu roznieść w puch.

- Zawsze trzeba uważać na ariergardę! - krzyknął generał. - Jedź ich poszukać! Musimy się przegrupować.

Młody rycerz skłonił głowę, włożył hełm i pogalopował na południe.

„Dziesięć lat temu taka rzecz byłaby nie do pomyślenia - przemknęło generałowi przez myśl, gdy ruszył zebrać rozproszoną kawalerię. - Nigdy żaden rycerz nie zareagowałby w ten sposób, nie czekając na rozkazy”.

Ale zanim generał Ruther zwołał swe oddziały, te stanęły oko w oko z ariergardą. A tym razem nie byli to zwyczajni rycerze galatyjscy. Nie. Tym razem ludzie Ruthera musieli się zmierzyć z kondotierami z Bizanii.

\*

- Nie zamierzacie interweniować? - zapytał Bely, widząc, jak oddział rycerzy z Harcourt zmierza na ariergardę. - Właśnie zmasakrowali naszą południową flankę, a teraz atakują ariergardę!

Henon podrapał się w głowę.

- To poważny błąd! - rzekł. - Powinni raczej dokonać przegrupowania i zaatakować naszą piechotę!

- A tymczasem atakują naszą ariergardę! Sądzę, że przydałaby się moc Saimana, by zwycięstwo było po właściwej stronie, Arcydruidzie. Rada powinna interweniować.

- Nie w tej chwili - odparł Henon spokojnie. - Teraz wasza armia radzi sobie zupełnie dobrze i bez nas.

- Dobrze sobie radzi? To żart? Właśnie ich masakrują! Jeżeli natychmiast nie wkroczycie, nie obejdzie się bez wielu zabitych!

- Wkroczymy dopiero wtedy, gdy sytuacja będzie beznadziejna.

Bely wydał okrzyk wściekłości.

- Ach, wy druidzi! Zastanawiam się, do czego tak naprawdę jesteście potrzebni, oprócz robienia zamieszania i siania chaosu!

- Bacz na słowa, Bely. Moja cierpliwość ma swoje granice... Skoro twierdzę, że jeszcze nie czas na naszą interwencję, to widocznie mam ku temu powody.

Doradca pokręcił głową i wrócił na stanowisko dowodzenia, gilzie baronowa Bizanii w milczeniu obserwowała pole bitwy.

To oczywiście nie był najlepszy moment na zatargi z Arcy- druidem. Ale mimo wszystko! Bely nie rozumiał, dlaczego druidzi odmawiają wzięcia udziału w walce. Czyż nie byli głównym sojusznikiem Galacji? Czy nie przyrzekli bronić królestwa? Jednego był pewien: gdy ta wojna się skończy i gdy zostanie ogłoszony królem, wygna Radę z Providence. Druidzi do niczego już się nie przydadzą. Stanowią raczej zagrożenie.

Wzdychając, potoczył spojrzeniem po polu bitwy. Setki trupów zalegały na pokrytej kurzem i krwią ziemi. Wkrótce będzie ich jeszcze więcej. Harcourt odnosiło zwycięstwo.

Jednakże Bely dostrzegł z zaskoczeniem, że na północy coś się zmienia.

\*

Skoro tylko kapitan Giametta zrozumiał, że piechota po jego lewej ręce jest w opałach, zdecydował, że nadszedł czas, by ruszyć do ataku. Szyk bojowy przeciwnika zmuszał go do frontalnego uderzenia i niestety nie dawał mu żadnej szansy na zastosowanie podstępów. Zwycięży silniejszy. A w walce przeciwko Rycerzom Płomienia lepiej nie zakładać niczego z góry.

Giametta nakazał swoim rycerzom utrzymać zwarty szyk, w nadziei na łatwiejsze przerwanie linii wroga. Spychając go na boki, Bizańczycy mogliby sparaliżować kawalerię z Harcourt, gdyż po jednej stronie miała piechotę, a po drugiej las, w którym trudno się bić.

Z pomocą giermków rycerze stanęli na placu, każdy z lancą w dłoni, z tarczą okrywającą bok, z opuszczoną przyłbicą.

Gdy kapitan Giametta zobaczył, że kondotierzy zajęli pozycje, dał rozkaz ataku. Natychmiast tysiące koni zerwało się do galopu, wznosząc tumany kurzu. Lewa flanką jazdy z Harcourt zareagowała natychmiast, jadąc w ich stronę. Oba regimenty nacierały, wznosząc lance.

Rycerze z Bizanii, pod sztandarem, na którym widniał złoty ślimak, byli wojskiem najemnym, średnia wieku była wyższa niż w piechocie galatyjskiej, która biła się u ich boku. Byli nie tylko starsi, ale przede wszystkim bardziej doświadczeni, a do woli obrony kraju dochodziła jeszcze nadzieja na zdobycie pokażnej sumki. Hrabstwo nie narzekało na brak pieniędzy, a kondotierzy wiedzieli, że jeśli wygrają bitwę, wrócą do domów z kieszeniami pełnymi złota.

W każdym razie na to liczył Giametta. Do tej pory ta taktyka okazywała się skuteczna.

Nie umiał powiedzieć, czy wynikało to z obietnicy przyszłego bogactwa czy z szyku bojowego, jaki wybrał, ale już od pierwszej chwili było oczywiste, że Bizańczycy mieli przewagę. Kondotierzy parli naprzód, zmuszając przeciwnika do wycofywania się. Rycerze z Harcourt nie byli w stanie powstrzymać naporu hordy Bizańczyków. Padali jak muchy, rzadko który miał siłę, by się podnieść. Niektórzy ginęli natychmiast, roztrzaskując sobie głowy podczas upadku, inni umierali miażdżeni kopytami. Kiedy chaos był już zbyt wielki, a wróg zbyt blisko, by wciąż używać lanc, rycerze z Bizanii dobyli szerokich mieczy, siekąc Rycerzy Płomienia.

Podczas gdy na południu Harcourtczykom udało się zrobić wyłom w kawalerii wroga, na północy było odwrotnie. Poza tym rycerze kapitana Giametty nie popełnili tego błędu co rycerze generała Ruthera. Kiedy zmietli szeregi wroga, kondotierzy bi- zańscy, którzy znali arkana sztuki wojennej, powrócili do swego przywódcy, dokonali przegrupowania i rzucili się na piechotę generała Asleya.

\*

Kapitan Suzzoni być może nie cieszył się w Bizanii taką popularnością jak kapitan Giametta, ale nie ustępował mu w znajomości sztuki wojennej, i kiedy kawaleria generała Ruthera stanęła

przed szeregami jego rycerzy, wydał rozkaz utrzymania pozycji. Kłótni zdziwiony, że rycerze atakują ariergardę, gdyż był to poważny błąd taktyczny, nie dał się jednak zaskoczyć. Pułapka polegająca na ukryciu w lesie łuczników najwyraźniej się sprawdziła i kawaleria generała Ruthera uległa rozproszeniu.

- Zaczekajcie, aż podejda bardzo blisko, i dopiero wtedy atakujcie. A jeśli będą uciekać, nie rzucajcie się w pościg! - krzyknął kapitan Suzzoni.

Ale kondotierzy dobrze wiedzieli, co robić. Widząc szarżę rycerzy z Harcourt, osadzili w ziemi piki, tworząc najeżony mur, na który nadzieją się pędzące konie. Potem dobyli mieczy i zajęli pozycje.

Pędzący na swym wierzchołku generał Ruther nie zdążył na czas, by powstrzymać nieskoordynowany atak swych ludzi. Rycerze z Harcourt rozproszeni, niezorganizowani, atakowali bez zastanowienia, myśląc, że bez trudu pokonają kondotierów. Gdy zobaczyli pochylone piki, było już za późno. Wiele koni nadziało się na błyszczące ostrza. Inne wierzgały, by uniknąć pewnej śmierci, i zrzucały jeźdźców z grzbietów. Nieliczni kawalerzyści, którym udało się sforsować zapórę, zostali zabici przez bizańskich najemników.

Ariergarda twardo stała na swoim miejscu. Zgodnie z rozkazem Suzzoniego nie ruszali się, co zmuszało rycerzy harcourtryjskich do ponownej szarży. Rycerze Płomienia padali bez życia jeden po drugim, niezdolni do pokonania stojących w miejscu oddziałów Bizanii. Niedawno bez trudu roznieśli w puch kawalerię galatyjską, a teraz nie byli w stanie przełamać linii oporu kondotierów. Jakby rzucali się na twardą ścianę, która okazała się murem ze stali. Im dłużej to trwało, w tym większy wpadali gniew. A to zaślepienie drogo ich kosztowało. Niektórzy podejmowali szaleńczą próbę i zsiadali z koni, by przedrzeć się przez rząd pik, za którym dziesiątki kondotierów bezlitośnie wycinały ich w pień. Krew ludzka mieszała się z końską, trup siał się gęsto. Odcięte głowy toczyły się w dół zbocza pod stopy nadjeżdżających, przerażonych tym widokiem towarzyszy.

Kiedy generał Ruther wreszcie dotarł przed szeregi wroga i gdy wydał swym ludziom rozkaz do wycofania się, ku jego rozpaczce była ich zaledwie setka.

\*

Mimo że Harcourtczykom udało się złamać południową flankę, generał Loki był zadowolony z tego, czego dokonali jego ludzie.

Ukryci za szeregiem sosen, na wzgórzu wznoszącym się po południowej stronie doliny, zasypali armię Ruthera gradem strzał. Nie tylko zdziesiątkowali oddziały wroga, lecz przede wszystkim nie dali im szans na ponowne zwanie szeregów.

Loki rozkazał swym ludziom schować łuki i dosiąść koni. Nadszedł czas, by wypełnić drugą część powierzonej im misji: zaatakować piechotę Harcourt od tyłu, by ulżyć piechocie gala- tyjskiej.

Podczas gdy jego ludzie się przygotowywali, Loki dosiadł konia, by zorientować się w sytuacji. Piechota z Galacji była w opałach i jego pomoc była niezbędna, ale na północy szczęście uśmiechnęło się do kapitana Giametty, a na wschodzie jazda z Harcourt rozbiła się o ariergardę. Zwycięstwo wydawało się osiągalne. Plan doradcy Belyego zaczynał działać. Piechota z Harcourt została otoczona pośrodku pola walki.

Odwrócił się do swych ludzi, uniósł miecz i krzyknął:

- Galatyjczycy! W imię króla, do ataku!

I nagle wszyscy byli gotowi umrzeć na wspomnienie Eoghana, zdradzonego króla. Loki, który dobrze znał swych ludzi, celowo nie wspomniał o królowej Aminie. Jeśli rycerzom galatyjskim potrzebna była walka w słusznej sprawie, było nią z pewnością pomstwienie Eoghana. Konie popędziły po zboczu ku dolinie.

Hałas bitewny był tak wielki, że Harcourtczycy nawet ich nie usłyszeli. Rycerze Lokiego, by utrzymać jak najdłużej efekt zaskoczenia, nie zagłębiali się zbyt w szeregi wroga, lecz nacierali z boku, przesuając się dalej w stronę piechoty, która odkryła atak zbyt późno.

Z wysokości swych wierzchołków z łatwością mogli pokonać przeciwnika, który nie był w stanie odeprzeć ataku. Rycerze Lokiego rozłupywali czaszki przeciwnika rękojęciami mieczy, od czasu do czasu gwałtownymi cięciami pozbawiali wrogów ramion.

Galatyjczycy przełamywali szeregi nieprzyjaciela. Harcourt i Ziemia Brunatna właśnie przegrywały bitwę.

\*

- Ferenie, myślę, że nadszedł czas, by się poddać.

Meriand Mor Piękny siadł na jednym z krzeseł stojących w namiocie.

- Oszalałeś! - krzyknął Al'Roeg, odwracając się.

- Już przegraliśmy - rzekł hrabia Ziemi Brunatnej. - Żadna następna śmierć niczego tu nie zmieni. Trzeba natychmiast położyć kres tej rzezi.

- Nie ma mowy! Zwycięstwo jest jeszcze możliwe! - zawołał Al'Roeg, uderzając laską o podłogę.

- Prawie wszyscy ludzie Ruthera polegli, lewa flanka kawalerii właśnie poniosła klęskę, a nasza piechota musi teraz odpierać trzy jednoczesne ataki. Nie mamy już żadnych szans! To masakra!

- Rycerze Płomienia się nie poddadzą - wtrącił Aeditus spokojnym tonem.

- Cóż, ale ci z Ziemi Brunatnej owszem! - odparł Meriand.

- Nie pod moimi rozkazami! - wtrącił AUroeg.

- Zbyt wielu Brunatyjczyków poległo. Mam zamiar z tym skończyć.

- Umierają, by zapewnić przyszłość tej wyspie! - krzyknął wzburzony Al'Roeg.

Hrabia Ziemi Brunatnej zerwał się z miejsca i stanął przed Al'Roegiem i biskupem. Tym razem nie ustąpi. Jak mógł posunąć się tak daleko? Tak długo pozostawać ślepy? Nie mógł już usprawiedliwiać szaleństwa tych dwóch ludzi.

- Nie - podjął Meriand gniewnym głosem. - Moi rycerze giną, byście mogli narzucić waszego Boga wszystkim mieszkańcom Gaelii, a za to nie warto umierać.

- Naszego Boga? - obruszył się Aeditus.

- Tak. Waszego Boga! Tego, który jest przyczyną wszystkich tych wojen, tego, który narzuca swe prawa! Nie zgadzam się, Ferenie. Jestem ci oczywiście dożgonnie wdzięczny za pomoc w walce z Tuathannami, ale tamten bój był słuszny. Bronilem moich ziem, broniłem ludzi, którzy pragnęli żyć w pokoju. Dzisiejsza bitwa nie ma żadnego sensu. Nie wiem nawet, dlaczego się bijemy! I to napawa mnie wstrętem! Zatem proszę o wybaczenie, Al'Roeg, ale zaraz rozkażę moim ludziom, by złożyli broń.

Meriand odwrócił się, nie czekając na odpowiedź hrabiego, i zdecydowanym krokiem opuścił namiot.

Al'Roeg ogarnięty furią wybiegł za nim. Nie było mowy o poddaniu się, a Harcourt potrzebowało wsparcia Ziemi Brunatnej.

Lecz gdy był już na zewnątrz, spojrzął na pole bitwy i zwolnił kroku. Potem zamarł.

Czuł, że serce wali mu jak młotem. Słońce stało w zenicie i oświetlało całą dolinę. Z tego miejsca miał doskonały widok. Główne walki toczyły się teraz w samym sercu doliny. Tam gdzie było najwięcej ludzi. Piechota. Chmury kurzu wznosiły się nad walczącymi. Rycerze przeciwko kondotierom, piechota przeciwko piechocie, miecze przeciwko lancom, topory przeciwko mieczom. Jak okiem sięgnąć, metal uderzał o metal, żelazo rozrywało ciała. Na ziemi leżały stosy trupów. Było więcej poległych niż walczących. Nigdy wcześniej żadna bitwa nie była tak krwawa. Na flankach gdzieniegdzie widać było uciekających. Inni, zagubieni czekali na rozkazy. Tu koń galopujący bez jeźdźcy, przerażony hałasem. Tam jakiś kondotier, klęcząc, wyciągał dłonie ku niemu jakby czekał, aż ześle ono piorun, by zmieść go z powierzchni ziemi, aby nie musiał oglądać tych przerażających obrazów. Wszędzie ból i śmierć.

Cień padł na twarz Al'Roega, hrabiego Harcourt. Nigdy nie sądzili że dane mu będzie oglądać tak przerażający spektakl. Ale wdok poległych sprawił, że powrócił do rzeczywistości. Wreszcie. Ręce zaczęły mu drżeć. Z kamienną twarzą wolno odwrócił się w stronę biskupa Aeditusa i popatrzył na niego z przerażeniem: Meriand ma rację, Wasza Eminencjo. Przegraliśmy.



## W PAŁACU SHANKHA

Żadne kroniki nie podają, ilu dokładnie ludzi zginęło w bitwie, w której naprzeciw połączonych wojsk Harcourt i Ziemi Brunatnej stanęła armia Galacji. Jedno jest pewne: były ich tysiące. Mimo to do Providence nie przywieziono żadnych poległych.

Wykopano dwa wielkie doły i wrzucono do nich okaleczone ciała i odcięte członki, którymi usłana była ziemia, a także setki martwych koni. Zwycięscy generałowie nie dali swym ludziom dość czasu, by dokończyli tę odrażającą robotę, i przez wiele dziesięcioleci liczne szkielety przypominały o masakrze, która rozegrała się w tej niewielkiej galatyjskiej dolinie. W końcu i te szczątki zniknęły, zmieniając się w proch i przyczyniając się do nadania temu miejscu jego obecnej nazwy: Dolina Prochów.

Liczne wdowy i sieroty, które pozostały w całym królestwie, nie otrzymały żadnej wiadomości, żadnego zadośćuczynienia. Zarówno po stronie zwycięzców, jak i przegranych, te osierocone rodziny pograżyły się w takiej samej bezdennej rozpacz i żalu. Dla prostych ludzi wojny nigdy nie miały żadnego sensu i były niczym wobec trudów codzienności. Orać. Pracować. Jeść. Przeżyć z dnia na dzień - oto jedyne bitwy, jakie należało staczać.

Galacja odniosła zwycięstwo i tylko to się liczyło dla nowych władców królestwa. Wrócili do Providence w glorii triumfatorów wyniośli, dumni i pewni swych praw. Nazajutrz po zwycięstwie Bely, generałowie i dysydency Wielcy Druidzi przejęli pałac w Providence.

Zaledwie kilka dni po powrocie rycerzy w ogromnym pośpiechu zamieniono wielką komnatę pałacu na trybunał, gdzie miał się odbyć sąd nad tymi, którzy ośmielili się wypowiedzieć wojnę królestwu. Nie było żadnego wstępnego przesłuchania, żadnego śledztwa, gdyż liczyło się tylko jedno: rozpocząć ten proces jak najszybciej i otworzyć go dla publiczności, tak aby każdy bard na wyspie mógł zrelacjonować jego przebieg, żeby wszyscy i wszędzie wiedzieli, że Galacja pokonała Harcourt. Tylko tak galatyjski lud mógł powetować sobie straty.

Pierwszy raz od śmierci Eoghana Bely zwołał osiemnastu członków Wielkiej Rady Sądowniczej, sędziów, marszałków dworu i doradców, których nie widywano w pałacu w czasie rządów Aminy Salii.

W północnym końcu wielkiej sali ustawiono podium, na którym posadzono trzech oskarżonych: Ferena Al'Roega, Merianda Mora Pięknego i biskupa Aeditusa. Wzdłuż sali, od drzwi aż do podium, rozstawiono ławki, a pod bocznymi ścianami drewniane trybuny, których zwykle używano w czasie turniejów rycerskich.

Jednak bardziej niż o osądzenie najeźdźców chodziło o przypieczętowanie nowego układu sił i wpływów na wyspie. Harcourt i Ziemia Brunatna zostały pokonane, Gaelia już nigdy nie będzie taka sama, a wszystko zdecyduje się dziś, w murach tego pałacu.

Doradca Bely poprosił Carłę Bisagni i Arcydruida Henona, by weszli w skład trybunału, ale to on przewodniczył obradom, więc zarówno dla nich, jak i zgromadzonego tłumu stało się jasne, że Bely - zapewne przy wsparciu generałów - zamierza zasiąść na tronie Galacji. Dążył do tego od śmierci Aminy i nareszcie przyszedł moment, by sięgnąć po władzę.

W komnacie zgromadziło się kilkuset Galatyjczyków, a na zewnątrz znacznie więcej. I wszyscy zebrani czuli tę niecierpliwość, tę ciekawość wobec niejasnej przyszłości. Tak naprawdę nikt nie rozumiał do końca sytuacji, w jakiej znalazło się królestwo. Owszem, Galatyjczycy wiedzieli, że wygrali wojnę, ale wciąż nie mieli króla i nikt nie miał pojęcia, co się stanie z Harcourt i Ziemią Brunatną. Kto tak naprawdę jest u władzy i jak królestwo podniesie się po tych strasznych ostatnich miesiącach? Czy odpowiedź padnie w tej komnacie?

Wczesnym popołudniem jeden z marszałków dworu odczytał akt oskarżenia. Niczego nie oszczędzono ani Harcourt, ani Ziemi Brunatnej, ani chrześcijanom w ogóle. Lista była długa, a wyrok łatwy do przewidzenia. Bely postanowił mimo wszystko wysłuchać oskarżonych. Najpierw udzielono głosu hrabiemu Ziemi Brunatnej.

- Atak na Galację był wielkim błędem, za który poniosę słuszną karę - zaczął Meriand Mor, zwracając się bezpośrednio do Bely ego. - Jednakże walka, którą prowadziliśmy pod Sablon, była tylko konieczną i słuszną obroną naszych ziem i gdyby Eoghan tchórzliwie nie oddał mojej ziemi Tuathannom, by się ich pozbyć, z pewnością nie byłoby mnie tu dzisiaj.

- Oskarżasz Galację o wywołanie tej wojny? - oburzył się Bely.

- Oskarżam druidów o to, że przekonali mego brata, by oddał Ziemię Brunatną Tuathannom, nie przejmując się losem Brunatyjczyków.

- Tuathannowie domagali się zwrotu tej ziemi - wtrącił Henon. - Ich przodkowie zamieszkiwali ją na długo przed waszymi i to oni mają do niej prawo, a nie ty!

- Przybysze z Sidu roszczą sobie prawo nie tylko do Ziemi Brunatnej, ale do całej wyspy - odparł Meriand. - Dlaczego mamy dać im moje ziemie, zamiast obdzielić ich po równo ziemią wszystkich hrabstw? I czy sam fakt, że kiedyś tam zamieszkiwali, daje im nagle prawo, by wygnać nas stamtąd, choć mieszkamy tam już tak długo?

- Dlaczego w takim razie nie zaproponowałeś jakiegoś innego rozwiązania, skoro jesteś takim sprytnym politykiem? Ale nie, ty wolałeś skazać druidów na banicję i przyjąć chrześcijaństwo, a następnie pójść na wojnę z nami.

- Wtedy właśnie to wydawało mi się najlepsze. Uznałem, że tylko w taki sposób mogę ocalić swój lud.

- A teraz?

Meriand zagryzł wargi.

- Teraz... żałuję, że to wszystko się stało - wyznał hrabia, wzdychając ciężko. - Chciałbym tylko, żeby w Ziemi Brunatnej znów zapanował pokój... Mój lud, moja ziemia...

- Żałujesz, że zaatakowałeś Galację? - naciskał Bely, korzystając z przygnębienia hrabiego.

- Tak - przyznał Meriand i mówił to szczerze.

Bely pokiwał głową.

- Sąd z pewnością weźmie ten żal pod uwagę. Ale zdajesz sobie sprawę, Meriandzie, że twoje wyrzuty sumienia nie przywrócą życia tysiącom zabitych...

- Twoje wyroki też nie - odparł hrabia, kręcąc głową.

- Mylisz się, Meriandzie, ten trybunał z pewnością przyniesie nam pocieszenie - rzekł Bely, po czym zwrócił się do Aeditusa.

Od momentu aresztowania biskup nie odezwał się ani słowem. W przeciwieństwie do hrabiego Harcourt, który wyzywał pilnujących go strażników i wrzeszczał, domagając się lepszego traktowania, Aeditus zamknął się w całkowitym milczeniu z zaciętym i groźnym wyrazem twarzy.

- Biskupie Thomasie Aeditusie, co masz na swoją obronę? - zapytał Bely.

Biskup podniósł głowę, spojrział na doradcę, jednak wciąż milczał.

- Odmawiasz składania wyjaśnień? Z pewnością dlatego, że twego postępowania nie da się obronić.

Aeditus postanowił się w końcu odezwać, ale powiedział po prostu:

- Tylko Bóg może mnie osądzić.

Bely pokiwał głową.

- Dobrze, niech i tak będzie - powiedział kpiąco. - Zobaczmy, co powie Bóg po twojej egzekucji.

W chwili kiedy Bely miał się zwrócić do ostatniego oskarżonego, w głębi komnaty rozległ się dziwny, narastający szmer. Ludzie odwracali się i patrzyli w stronę wielkich drzwi wejściowych, stając na palcach i przepychając się, by lepiej widzieć.

Bely, zdziwiony, podniósł wzrok, ale nie mógł dostrzec, co przyciągnęło tak nagle uwagę tłumu.

- Co się tam dzieje? - zdenerwował się.

Ale hałas w głębi komnaty był już tak duży, że nikt go nie usłyszał.

\*

Ludzie stojący przy wejściu rozstąpili się. Przez otwarte drzwi wpadły do komnaty promienie słońca i wkrótce wszyscy zgromadzeni mogli zobaczyć, co się dzieje.

Wejście do komnaty skąpane było w oślepiającym blasku. Pośrodku kroczyła majestatycznie Alea Cathfad, Córka Ziemi. Obok niej szli przyjaciele i ostatni Wielcy Druidzi z Sai-Miny. Ubrana w uszyte przez elfy błękitne jedwabne szaty przetykane złotem, wspierając się na długiej lasce Felima, dziewczyna roztaczała niezwykłą charyzmę.

W miarę jak orszak zbliżał się do trybuny, szepty w tłumie cichły, ale wszystkie oczy skierowane były na Aleę.

- Kto pozwolił wam wejść? - krzyknął Bely, wychylając się z trybuny. - Macie natychmiast opuścić komnatę! Przerzywacie proces! Straż! Brać ich i wtrącić do lochów!

Zaskoczeni rycerze stojący wysoko na trybunach zawahali się przez chwilę, po czym poruszyli się, chcąc wypełnić rozkaz. Jednak nim zdążyli zrobić choćby krok, Alea rozprostowała ramiona i nagle rycerze znaleźli się pod ścianą, całkowicie unieruchomieni siłą Saimana.

Dziewczyna stała nieruchomo, z wyprostowanymi ramionami, patrząc prosto na doradcę. Później powoli opuściła ręce. Strażnicy zwalili się na ziemię pod ścianami, oniemiałi i przerażeni. Bely nie wierzył własnym oczom.

- Nie potrzebuję dodatkowej eskorty - powiedziała Alea tak głośno, by było ją słychać w całej sali.

Po czym podniosła głowę i z uśmiechem ruszyła w stronę sędziów i oskarżonych. Z Erwanem i Mjollnem po lewej, Kaitlin i Finghinem po prawej i pięcioma Wielkimi Druidami z tyłu, wyglądała jak królowa z orszakiem. Tak właśnie myślała o niej znaczna część zadziwionego tłumu.

Bely milczał przez chwilę, błądy i sparaliżowany strachem, po czym widząc, że dziewczyna się zbliża, zaczął szybko mówić:

- Nie macie tu czego szukać! List gończy, który wystawił za tobą Eoghan, jest ciągle ważny, panienko, i...

- Milcz, Bely, ośmieszasz się - ucięła Alea, zatrzymując się przed wielkim podium. - Eoghan nie żyje.

- Ale władza królewska trwa! - odparł Bely.

- Naprawdę? - zakpiła Alea. - Jaka władza? Nie widzę tu żadnej władzy.

Odwróciła się i powiodła wzrokiem po zebranych. Nikt się nie poruszył.

- Jaka władza? - powtórzyła.

- Moja! - krzyknął Bely. - Władza królewskich doradców i władza Rady Druidów z Providence...

- Druidów z Providence? Nie ma żadnych druidów z Providence! - odparła Alea z uśmiechem.

- Przeciwnie! Arcydruid jest tutaj! - krzyknął Bely, wskazując ręką siedzącego za nim Henona.

Alea pochylila głowę i przywitała go.

- Dzień dobry, Henonie. Cieszę się, że cię widzę. Myślę, że twoi przyjaciele też się ucieszą... Drogi Henonie, czy powiedziałeś Bely emu, dlaczego nie interweniowałeś wczoraj w czasie bitwy?

Doradca zmarszczył brwi i odwrócił się do druida. Ale ten nie odpowiedział.

- No co, Henonie, straciłeś mowę? - zakpiła Alea.

Po czym powoli odwróciła głowę do doradcy.

- Twój Arcydruid, mój drogi Bely, stracił swoją moc. Wczoraj nie stanął do walki u waszego boku, bo Saiman... go opuścił.

- Zamknij się! - wrzasnął Henon, podchodząc do Alei.

- Nie bałam się ciebie dawniej, kiedy jeszcze Saiman płynął w twoich żyłach, i tym bardziej nie boję się ciebie teraz. Wracaj więc na miejsce, druidzie, bo w moim ciele ta moc wciąż jeszcze jest.

Druid trząsał się z wściekłości. Zacisnął zęby, po czym nabrał głęboko powietrza, ale zdecydował się cofnąć i wrócić na miejsce. Upokorzenie było potworne, lecz niestety Alea mówiła prawdę.

Większości druidów nie udawało się już znaleźć Saimana. Płomień zgasł lub ledwie się tlił. Poza kilkoma wyjątkami, jak Finghin czy Ernan, u których wciąż świecił jasnym blaskiem, u pozostałych Saiman po prostu zniknął. Bez tej mocy, która płynęła w ich żyłach, druidzi byli takimi samymi Gaelijczykami jak inni...

- A więc, Bely, o jakiej władzy mówisz? O władzy druidów? Już jej nie posiadają. O władzy królewskiej? Ona nie należy do ciebie.

- Mam wciąż władzę! - odparł doradca. - Moja armia nie pozwoli ci uzurpować sobie praw do tronu!

- Tron mnie nie interesuje, Bely. I z przykrością muszę cię poinformować, że nie masz już żadnej armii.

- Miałem wystarczająco liczną, by wygrać tę wojnę! Pokonałem Harcourt i Ziemię Brunatną i jeśli będzie trzeba, jestem gotów pokonać i ciebie!

- A wydaje ci się, że jak udało mi się tu wejść, Bely? Kiedy ostatni raz podróżowałaś po swym własnym kraju? Nie słyszałaś, co mówią ludzie? Naprawdę myślisz, że jeśli rozkażesz swym rycerzom walczyć ze mną, to oni cię posłuchają? Trzeba było ich widzieć przed chwilą, gdy wjeżdżałam do Providence. Pytam raz jeszcze, jak twoim zdaniem udało mi się dotrzeć aż tutaj?

- Generałowicie...

- Generałowicie są tacy sami jak ty - ucięła Alea. - Stracili kontakt z rzeczywistością. Z mieszkańcami wyspy.

Dziewczyna weszła na podwyższenie, po czym zbliżyła się do Belyego i pozostałych członków Wielkiej Rady Sądowniczej.

- Ty hieno! - syknął ATRoeg za jej plecami. - Przyszłaś zgarnąć łupy po bitwie... Ty, która uważasz się za obrończynię wyspy, gdzie byłaś w czasie tej bitwy?

Alea odwróciła się do niego.

- Niczego nie chcę zgarnąć, Ferenie. Jutro rano już mnie tu nie będzie. Powiedziałam ci kiedyś, że władza mnie nie interesuje, przypominasz sobie? Jestem waszym całkowitym przeciwieństwem. Ale masz rację, przybywam po bitwie. Nie potrzebowaliście mnie, by się nawzajem powyrzynać.

Odwróciła się do baronowej Carli.

- Nawet stary Bisagni został zabity przez własną córkę. Spójrzcie na siebie! Oto kto sprawuje władzę na tej wyspie: pazerni, nienasyчени hrabiowie, chcący się nawzajem wymordować i walczący z sobą w imię Mojry albo Boga o ziemi, które do nich nie należą, i za ludzi, którzy się nimi brzydzą. Po jednej stronie jesteście wy, a po drugiej Gaelia. Niczego już tu nie reprezentujecie. Najwyższy czas, aby ta wyspa sama zaczęła o sobie decydować... Aby zaczął decydować cały lud Gaelii.

Następnie nachyliła się do doradcy.

- Bely - powiedziała - twoja armia przyłączyła się do Armii Ziemi. Co do twojej, Carlo, powiedzmy, że zmieniła pracodawcę.

Osiemnastu członków Wielkiej Rady Sądowniczej, baronowa, Henon i oskarżeni patrzyli po sobie z niedowierzaniem. Nie mogli zrozumieć, co się właściwie dzieje. Tak jakby nagle usunął im się grunt spod nóg.

Alea zwróciła się teraz do tłumu.

- Galacja umarła razem z Eoghanem. Nie ma już Bizanii, Ziemi Brunatnej, Harcourt ani Sarre. Została tylko Gaelia. Ziemia. Wyspa, na której wszyscy przyszliśmy na świat. Tuathannowie, Sarreńscy, Galatyjczycy, wędrowni aktorzy, banici... Jesteśmy przede wszystkim Gaelijczykami!

Głos Alei wypełnił całą przestrzeń. Niesiony przez Saimana unosił się nad tłumem i płynął na zewnątrz. Ludzie zgromadzeni w wielkiej sali pałacu, a także ci, którzy zebrali się na pałacowym dziedzińcu, zaczęli wiwatować i wznosić okrzyki radości. Tak jak tysiące mieszkańców wyspy, których Alea spotkała w czasie swej podróży, tak samo mieszkańcy Providence nie wahali się ani przez chwilę, pragnęli właśnie takiej Gaelii, o jakiej mówiła Alea. Podzielone królestwo powinno odejść w przeszłość. Nadszedł czas zmian. Bely nic nie mógł na to poradzić. Nikt w Galacji nie chciał już wracać do błędów przeszłości. Alea była symbolem zmian, których pragnęli wszyscy mieszkańcy Gaelii.

Twarze Al'Roega, Merianda Mora, Carli Bisagni, Aeditusa, Belyego i Henona stawały się coraz bielsze. A im głośniej krzyczał tłum, tym bardziej bladły.

- Ale kto będzie rządził Gaelią? - krzyknął nagle Bely, wstając.

Jego głos z trudem przebił się przez hałas, tak głośno tłum wiwatował na cześć Alei. Ale stojąca tuż przy nim dziewczyna doskonale go usłyszała. Odwróciła się do niego.

- Dobrze wiesz, że musi być jakiś władca! - ciągnął Bely, przybity. - Chyba nie pozwolisz, aby Gaelia pograżyła się w chaosie? Kto pokieruje wyspą?

Alea uśmiechnęła się szeroko.

- Wkrótce lud o tym zdecyduje.

\*

Kiedy z zapadnięciem wieczoru ostatni mieszkańcy Providence opuścili wielką komnatę pałacu i rozproszyli się w uliczkach stolicy, Erwan westchnął z ulgą. Na zewnątrz rozpoczęło się świętowanie i wszyscy zbiegali w stronę głównego placu miasta, by dołączyć do radosnych pochodów. I jakimś cudem wszystko odbyło się bez żadnych kłopotów. Jako generał armii Alei czuł się odpowiedzialny za utrzymanie bezpieczeństwa w mieście, co w powstałym zamieszaniu nie było łatwym zadaniem.

Przez cały dzień Erwan spodziewał się najgorszego. Co chwila obawiał się, że Providence pograży się w całkowitym zamęciu. A jednak wszystko odbyło się tak, jak przewidziała Alea. Armia Galacji przeszła na ich stronę, wykazując wyraźne zadowolenie z przyłączenia się do Armii Ziemi. Eoghan nie żył, Amina także, ci rycerze nie mieli już dowódcy, a nikt na tej wyspie nie wzbudził takiego podziwu jak ta dziewczyna, o której wszyscy mówili. Galatyjczycy nie wahali się więc ani przez chwilę i stanęli u boku Alei. Tak jakby jej pojawienie się przyniosło im ulgę. Jakby od dawna na nią czekali, a przyszłość, ku której ich prowadziła, była tym, o czym marzyli.

Oczywiście Erwan nieraz miał już okazję się przekonać, jak bardzo popularna stała się Alea, ale nigdy nie pomyślałby, że zdoła tak łatwo obalić władzę Galacji, nie potrzebowała nawet swej armii. Nie użyła siły A przecież właśnie o tym zawsze marzyła, właśnie tego chciała. Uwolnić wyspę od tych, którzy ją ciemnieżyli, nie wywołując nowej wojny. Tak obalić władzę tych na górze, by ci na dole nie musieli płacić za to własnym życiem.

Odwrócić piramidę.

Rycerze Armii Ziemi zostali w Tarnei, a Alea oswobodziła Providence wyłącznie dzięki swej popularności i groźbie użycia swej mocy, w którą nikt nie śmiał już wątpić. Erwana rozpiekała duma - jego ukochanej wreszcie udało się osiągnąć pokój.

Oczywiście to wszystko nie było takie proste. Lecz czy nie był to ostatecznie wynik długiej walki? Walki, której Alea poświęcała każdy swój dzień? W której poległo tylu jej przyjaciół?

Walki, która nie była jeszcze zakończona...

- Wiesz, co mnie teraz czeka? - zapytała Erwana jeszcze tego samego wieczoru.

Nie odpowiedział, choć znał odpowiedź. Wszyscy bliscy Alei wiedzieli to doskonale. Maolmórdha. Był ostatnim wyzwaniem, które musiała podjąć. Wyzwaniem najtrudniejszym. Chłopak uśmiechnął się do ukochanej.

- Powinnaś teraz cieszyć się razem z mieszkańcami Gałacji - powiedział.

To, co działo się w Providence, było naprawdę niezwykle. We wszystkich spojrzeniach widać było nową, szczerą nadzieję. Wśród ludzi zapanowała jedność, jakiej ta wyspa dawno nie oglądała. Lecz także tutaj wiele było jeszcze do zrobienia: należało zwrócić ludowi wolność i zapewnić trwałą pokój. Należało nauczyć mieszkańców wyspy życia razem, bez podziałów.

Alea pragnęła, by w całym kraju powstały szkoły, w których wszyscy, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, mogliby nauczyć się czytać. Pragnęła zniesienia banicji, ograniczenia władzy instytucji religijnych, zakazania polowań na wilki. Ale przede wszystkim chciała, by cały lud Gaelii mógł wybrać tego lub tych, którzy będą rządzić wyspą. Aby nigdy więcej władza nie była mu narzucana siłą. Erwan wiedział, że to nie będzie łatwe. Marzenia Alei będą drogo kosztowały, a ich realizacja z pewnością potrwa bardzo długo. Ale wyspa była gotowa na zmiany. Wszyscy ich pragnęli.

Dziewczyna zdawała się zadowolona ze swego pierwszego triumfu. Ostatecznie wydarzenia ułatwiły jej zadanie: jakby sama wyspa chciała jej pomóc. Jednak nie mogła się jeszcze cieszyć ze zwycięstwa.

Właśnie dlatego przyszła porozmawiać z magistrem, by znaleźć u niego trochę wsparcia. Bo mimo radości, która zamieszkała w sercach wszystkich jej przyjaciół, nie mogła zapomnieć o tym, co ją czekało. Jej ostatnia bitwa. Bitwa, której mimo marzeń o pokoju nie da się stoczyć inaczej jak tylko na śmierć i życie i w której trzeba narazić zarówno siebie, jak i innych na klęskę.

- Nie mogę przestać o tym myśleć, Erwanie. I nie będę mogła tu zostać tak długo, jak bym chciała.

Każdy mijający dzień stawiał pod znakiem zapytania jej zwycięstwo. Saiman prawie zupełnie zaniknął, a Maolmórdha wciąż był silny. Czowała, jakim jest zagrożeniem. Czowała jego mroczną moc.

Nie mogła dłużej czekać. To przez nią Gaelia była teraz osłabiona jak nigdy wcześniej i stanowiła nadzwyczaj łatwą zdobycz.

\*

Gdy Alea już zasypiała, usłyszała nagle pukanie do drzwi. Przecierając oczy, wstała z łóżka, przekonana, że to Erwan.

Lecz ku swemu zdziwieniu zobaczyła w drzwiach Kiarana i Ernana.

- Wejdźcie - zaprosiła ich do środka.

Druidzi przeszli przez próg. Czuli się najwyraźniej bardzo nieswojo: było już późno i domyślali się, że Alea musi być wyczerpana po tak bogatym w niezwykle wydarzenia dniu.

To był z pewnością najbardziej niezwykły dzień w całym jej dotychczasowym życiu. Lecz jednocześnie jeden z najszcześniejszych. Rzadko kiedy widzi się radość w tylu spojrzeniach. Bo jej prawdziwa siła była w nadziei, jaką dawała innym, nie w magicznej mocy Samildanacha. To był sens jej życia. Dar, który przywróciła tej ziemi.

- Spałaś? - zapytał Kiaran z uśmiechem.

- Jeszcze nie - zapewniła go dziewczyna. - Co was do mnie sprowadza?

- Kilka spraw - odparł Ernan. - Przede wszystkim chcemy ci pogratulować.

- Nie musiałam zbyt wiele robić... Tak jakby historia toczyła się sama, nie sądzicie? Jakby Gaelia sama pozbyła się tych, którzy ją krzywdzili...

- Nie, to ty byłaś sprawcą tych wydarzeń - odparł Arcy- druid.

- Ależ Emanie, jestem tylko zwykłą gaelijską dziewczyną...

- Zrobiłaś bardzo dużo i żałuję, że nie pomogliśmy ci wcześniej. Ułatwilibyśmy ci zadanie. Ale zawsze za późno zdajemy sobie sprawę, że nie dość zrobiliśmy.

- Nie martw się - odpowiedziała. - Jestem pewna, że będziecie mieli jeszcze dużo do zrobienia w przyszłości!

- Nie mamy już prawie wcale Saimana...

- Właśnie! - odparła Alea z uśmiechem. - W końcu staniecie się przydatni!

Teraz Kiaran się uśmiechnął. Stopniowy zanik Saimana niepokoił go tak samo jak wszystkich druidów. Ale zdawał się rozumieć, co Alea ma na myśli. Saiman oddalał ich od prawdziwych problemów wyspy. Były tysiące spraw, którymi ci ludzie powinni się zająć, a które nie miały nic wspólnego z Saimanem.

- Jednak niepokoi nas... - zaczął Erwan.

- Wiem - przerwała mu Alea, a w jej oczach druid widział ten sam niepokój.

- Maolmórdha. Saiman prawie całkiem zniknął, a Maolmórdha wciąż tu jest...

- Kiaran powtórzył mi to, co... co Felim powiedział ci w świecie Djar. Sądzę, że ma rację. Jeśli nie zniszczymy Ahrimana na czas...

- Jutro wyruszę - powiedziała Alea.

Podjęła tę decyzję, zanim do niej przyszli.

- Pójdziemy z tobą - oświadczył Kiaran.

- Wykluczone! Pójdą ze mną Finghin i Erwan. Nikt więcej. To nie zdałoby się na nic. Nie idę walczyć z całą armią, tylko z jednym człowiekiem. A wy będziecie bardziej potrzebni tutaj. Czeka tu na was wiele pracy.

- Z jednym człowiekiem? Maolmórdha z całą pewnością nie jest sam!

- W walce przeciwko mnie będzie.

Ernan przytaknął. Dziewczyna bez wątpienia ma rację. A on i jego współbracia rzeczywiście bardzo się tutaj przydadzą. Alea zostawia im ogromną pracę do wykonania. Zjednoczenie pięciu hrabstw i poszukiwanie nowego władcy... To nie będzie proste.

- Dlaczego Finghin? - zapytał Kiaran, pochylając głowę.

- Ponieważ jego Saiman jest najsilniejszy.

Druid pokiwał głową. Tak, Finghin był nie tylko najmłodszy / Wielkich Druidów, zachował również największą moc. Ailin, poprzedni Arcydruid, nie mylił się co do niego.

Skoro zanik Saimana jest tak zaawansowany, to znaczy, że więcej zrozumiałaś, prawda? - zapytał Kiaran.

Alea uśmiechnęła się. Oczywiście, przepowiednia. Wszystko się spełniało.

- Tak. Mniej więcej. A dobra wiadomość jest taka, że Saiman łak naprawdę nie zanika. Znika raczej nasza umiejętność kon- I rolowania go.

- Wytłumacz mi to - poprosił zdumiony Ernan.

Alea zawahała się, po czym usiadła na skraju łóżka. Wskazała druidom dwa krzesła ustawione pod oknem.

- Zaczynam rozumieć, co przepowiedział Anali... Myślę, że rozumiem nawet więcej.

- A więc? - niecierpliwił się Kiaran, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczami.



Alea przyglądała się mu. Kiaran był tak zadziwiający! Każdego dnia podziwiała go coraz bardziej. W jego głosie nie było niepokoju. Nie. On po prostu chciał wiedzieć. Zrozumieć. Koniec Saimana. Chciał wierzyć, tak samo jak ona, że w rzeczywistości to dobra wiadomość. Jakkolwiek trudne musiało to być dla druida. Ponieważ miał ufność. Chciał mieć ufność.

- Saiman nie istnieje jako taki - zaczęła. - Chodzi raczej o naturalne siły, to znaczy takie, które, jak mówi Encyklopedia Analego, kierują naszym światem...

- Trzy siły?

- Tak mówi Anali, ale ja nie jestem pewna. Myślę raczej, że jest ich więcej.

- Ale jaki masz dowód na ich istnienie?

- Myślę, że będzie to wielkie wyzwanie dla przyszłych pokoleń, Kiaranie. Zrozumieć te siły. Zmierzyć je, pojąć. Ale podam ci przykład: kiedy człowiek siwieje, czyż nie działa tu siła czasu?

- Tak, oczywiście. Czas jest jedną z tych sił?

Druid pokiwał głową. Tak, Finghin był nie tylko najmłodszy / Wielkich Druidów, zachował również największą moc. Ailin, poprzedni Arcydruid, nie mylił się co do niego.

Skoro zanik Saimana jest tak zaawansowany, to znaczy, że więcej zrozumiałaś, prawda? - zapytał Kiaran.

Alea uśmiechnęła się. Oczywiście, przepowiednia. Wszystko się spełniało.

- Tak. Mniej więcej. A dobra wiadomość jest taka, że Saiman faktycznie nie zanika. Znika raczej nasza umiejętność kon- i rolowania go.

- Wy tłumacz mi to - poprosił zdumiony Ernan.

Alea zawahała się, po czym usiadła na skraju łóżka. Wskazała druidom dwa krzesła ustawione pod oknem.

- Zaczynam rozumieć, co przepowiedział Anali... Myślę, że rozumiem nawet więcej.

- A więc? - niecierpliwził się Kiaran, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczami.

Alea przyglądała się mu. Kiaran był tak zadziwiający! Każdego dnia podziwiała go coraz bardziej. W jego głosie nie było niepokoju. Nie. On po prostu chciał wiedzieć. Zrozumieć. Koniec Saimana. Chciał wierzyć, tak samo jak ona, że w rzeczywistości to dobra wiadomość. Jakkolwiek trudne musiało to być dla druida. Ponieważ miał ufność. Chciał mieć ufność.

- Saiman nie istnieje jako taki - zaczęła. - Chodzi raczej o naturalne siły, to znaczy takie, które, jak mówi Encyklopedia Analego, kierują naszym światem...

- Trzy siły?

- Tak mówi Anali, ale ja nie jestem pewna. Myślę raczej, że jest ich więcej.

- Ale jaki masz dowód na ich istnienie?

- Myślę, że będzie to wielkie wyzwanie dla przyszłych pokoleń, Kiaranie. Zrozumieć te siły. Zmierzyć je, pojąć. Ale podam ci przykład: kiedy człowiek siwieje, czyż nie działa tu siła czasu?

- Tak, oczywiście. Czas jest jedną z tych sił?

Alea przytaknęła z uśmiechem.

-Tak, chcę w to wierzyć. Chcę wierzyć, że to szansa, postęp. Tak jak władza polityczna powinna należeć do wszystkich mieszkańców wyspy, tak samo te naturalne siły nie mogą być dłużej za- ir/i-rwowane wyłącznie dla druidów. Moi bracia, będziemy musieli nauczyć się dzielić.

\*

Przez całą noc Alea nie zmrzyła oka. Druidzi wyszli z jej pokoju bardzo późno. Długo jeszcze rozmawiali, jakby chcieli uciszyć swe obawy i przygotować się na niepewną przyszłość. Alea, podniecona, pełna nadziei i niepewności jednocześnie, nie była w stanie zasnąć, choć tak bardzo potrzebowała odpoczynku.

Tuż przed wschodem słońca poszła poszukać Finghina i Erwana. Nie mogła już dłużej wytrzymać, a poza tym chciała wyruszyć, nim pozostali się obudzą. Sprawa była zbyt pilna, by opóźniać wyprawę, a nie chciała tracić czasu na przekonywanie wszystkich, że powinni jej towarzyszyć wyłącznie Finghin i Erwan. Bo wszyscy chcieliby z nią iść. Wszyscy nalegaliby, żeby wzięła ich z sobą. Ale to nie było możliwe.

Nie uprzedziła Finghina i Erwana o godzinie wyjazdu. Owszem, ogłosiła wczoraj, że wyruszy nazajutrz, ale nie sprecyzowała godziny, wszyscy więc byli przekonani, że wyjadą w ciągu dnia.

Było jeszcze ciemno, kiedy dała znak Finghinowi i Erwanowi, by poszli za nią w ciszy do pałacowych stajni.

Zrozumiawszy powagę chwili, druid i magistel, którym schlebiało to, że tylko ich wybrała na swych towarzyszy, nie wahali się ani przez moment i w całkowitym milczeniu podążyli za Aleą. Zabrali tylko to, co niezbędne, wybrali trzy najlepsze konie i ruszyli galopem. Przejechali przez miasto, po czym znaleźli się na

wrzosowiskach. Nie rozmawiali, aż znaleźli się daleko na wschód od stolicy, a pierwsze promienie słońca rozświetliły ciemności. Zrobili wtedy pierwszy postój, aby dać koniom nieco wytchnienia. Erwan i Finghin zerkali na siebie z zakłopotaniem, bo Alea wciąż nie odezwała się ani słowem.

- Mjolln będzie wściekły! - rzucił w końcu magistel.

- A Kaitlin nigdy mi tego nie wybaczy - dodał Finghin, krzywiąc się.

Alea pokręciła głową. Długo się nad tym zastanawiała. Pozostawienie Mjollna i Kaitlin było naprawdę trudną decyzją, ale nie było sensu ryzykować ich życia. Jeśli nie uda im się pokonać Maolmórdhy we troje, obecność Mjollna i Kaitlin nic by tu nie zmieniła.

Alea wyłożyła im swoje argumenty i podziękowała, że zgodzili się jej towarzyszyć mimo trudów i zagrożeń, które na nich czekały.

- Musimy to zrobić sami. To nie miejsce dla Mjollna i Kaitlin. Już i tak zrobili dla mnie bardzo dużo. To, co zostało, chcę zrobić sama, tylko z wami dwoma.

Dwaj młodzi mężczyźni przytaknęli. Finghin był zadowolony, że Kaitlin nie zostanie wciągnięta w tę ostatnią, najtrudniejszą misję, ponieważ wiedział, że mają niewielkie szanse, by ująć z niej z życiem. A nie zniosłby widoku śmierci tej, którą tak bardzo kochał. Miał tylko nadzieję, że uda mu się do niej wrócić.

- Czy wiesz dokładnie, dokąd jedziemy, Aleo?

- Do pałacu Shankha, na małej wyspie na wschód od Galaban. To tam na mnie czeka. Wie, że do niego przyjdę.

- A więc to pułapka...

- Nie, bo ja wiem, że on na mnie czeka. Ale nie mam wyboru. On już teraz nie opuści pałacu. Każdego dnia Saiman coraz bardziej zanika, co działa na jego korzyść. Więc to ja muszę rzucić mu wyzwanie.

Skąd wiesz, gdzie on jest? - zdziwił się Erwan.

Kiaran mi powiedział. Rada z Sai-Miny od dawna już wie, e/l/ic przebywa Renegat. Jeden z druidów odnalazł go w zeszłym inlui i zginął, próbując go pokonać. Prawda, Finghinie?

Młody druid przytaknął. Niestety, wiedział niewiele więcej niż Al ca. Nie mógł powiedzieć nic ponadto, co powiedziała dziewczyna. Jedno było pewne: ukryty w swym pałacu Maolmórdha był o wiele bardziej niebezpieczny niż na zewnątrz. Jednak, jak powiedziała Alea, nie mieli wyboru.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, próbując zagłuszyć ogarniający ich strach, po czym ruszyli w dalszą drogę. Galopowali aż do wieczora. Krajobraz stawał się coraz bardziej płaski. W te jesienne dni amarantowe wrzosowiska były niewypowiedzianie piękne! Wiatr, wciąż łagodny, nasilał się, w miarę jak zbliżali się do wybrzeża.

Nadszedł wieczór i wędrowcy zasnęli, nie zamieniwszy z sobą słowa. Każde z nich było pogrążone we własnych myślach, targane przez niepokoje i podtrzymywane na duchu przez nadzieję. Noc zamknęła się nad ich nagłą samotnością. Gdzieś za sobą pozostawili nowe życie. Nowy start. Providence wciąż jeszcze świętowało i przygotowywało się do nowej ery. Lecz oni, samotni wśród gaelijskiego pustkowiec, znaleźli się poza czasem. Sami wykluczyli się z uczestnictwa w tym odrodzeniu i być może nigdy nie zobaczą jego owoców.

Czy Gaelijczycy dowiedzą się, dokąd wyruszyli? Czy zrozumieją znaczenie tej ostatniej podróży? Kto wiedział, jakie niebezpieczeństwo groziło wyspie w tym momencie, kiedy wszyscy czuli się wolni? Alea wiedziała to doskonale. Ich dotychczasowe osiągnięcia były niczym w porównaniu z czekającym ich wyzwaniem. Wszystko bowiem, czego dotychczas dokonali, przepadnie, jeśli nie uda im się pokonać Maolmórdhy.

Także tej nocy Alea z trudem zasnęła. Próbowała wejść do świata Djar, ale był pusty. Zupełnie pusty. Nie było już w nim ani śladu Saimana.

Alea miała nadzieję, że jeszcze nie jest za późno.

Galopowali przez trzy dni, milczący, targani niepokojem. Każdy krok przybliżający ich do celu potęgował ich strach. Starali się nie myśleć o tym, co ich czeka, zapomnieć o tym, z czym mieli się zmierzyć, lecz twarz wroga prześladowała ich niczym cień, we śnie i na jawie.

W miarę jak zbliżali się do morza, dni stawały się coraz chłodniejsze. Jakby niebo również wyczuwało nadchodzące niebezpieczeństwo i każdego dnia pochmurniało coraz bardziej.

Wieczorem trzeciego dnia dotarli na plażę na północ od Galaban. Już z daleka Alea dostrzegła na wydmach kilka opuszczonych drewnianych domków, postanowili więc rozbić tam obóz, było już bowiem zbyt późno, by wypływać w morze.

Były to pozostałości wioski rybackiej, zamieszkaney teraz wyłącznie przez kilka mew i skorupiaków. Do wnętrza domków wdarł się piasek, drewno zaczynało gnić, a wiatr szarpał okiennicami.

Zjedli kolację. Szum fal i wiatru przynosił ukojenie ich strapionym sercom.

- Płomień Saimana w mojej głowie prawie całkiem zgasł - wyznał Finghin poważnym głosem w połowie posiłku. - Coraz trudniej mi go dostrzec, poczuć. Mam nadzieję, że dotrzemy na miejsce, nim całkiem zniknie.

- Nie możemy jechać szybciej - odparła Alea. - Ale nie martw się, jeśli nie będziesz mógł uczestniczyć w walce, Finghinie, bo ja wciąż mam całą swoją moc. To dziwne, ale nie czuję, by zanikała...

- Tak, to dziwne - powtórzył druid. - Jak to się dzieje, że u ciebie Saiman nie zanika?

- Nie wiem, Finghinie. Może będę ostatnia.

- Tak czy inaczej, czas nagli - wtrącił Erwan.

- Kładźmy się spać - zaproponowała dziewczyna. - Jutro będziemy potrzebowali wszystkich naszych sił, z Saimanem czy bez.

Schronili się w jednym z domów. Lecz kiedy już zasypiali, Alea poderwała się nagle, sprawiając, że dwaj pozostali podskoczyli.

Co się stało? - zapytał Erwan, zaniepokojony.

- Tam ktoś jest!

Przez chwilę trwali nieruchomo, nadstawiając uszu. Ale niczego nie usłyszeli.

- Jestem pewna, że tam coś było - szepnęła dziewczyna.

- Wyjdźmy zobaczyć - zaproponował magistel, wstając.

Wyszli więc na zewnątrz. Noc była zimna i ciemna, rozświetlona tylko przez wąski sierp księżyca.

Posuwali się ostrożnie między domami. Erwan szedł na przodzie, trzymając w obu dłoniach Banthrala, swój miecz. Drżał. Oderwana od ściany domu drewniana deska zatrzeszczała poruszona wiatrem. Zaskrzypiały drzwi. Cienie budynków krzyżowały się, malując na piasku dziwne kształty.

Magistel zrobił krok naprzód. Cień się poruszył. Ktoś przebiegł za oknem.

- Kto tam jest? - krzyknął Erwan, opierając się o ścianę domu i przytrzymując Aleę za sobą.

Zza rogu domu wyszły dwie sylwetki.

- To my...

Magistel opuścił miecz. Teraz widział już ich twarze. Kaitlin i Mjolln. Westchnął ciężko. Tych dwoje wariatów ich śledziło! A teraz stali tu, przemarznięci, zagubieni wśród wydm.

- No chodźcie! - krzyknął Erwan, zapalając pochodnię.

Alea pokręciła głową z niedowierzaniem, to było czyste szaleństwo, ale w głębi duszy cieszyła się, że ich widzi.

- Zaraza! Hem! Tak, jesteś małą zarazą, Aleo! - wykrzyknął Mjolln, trzęsąc się z zimna. - Tak wyjechać, nie czekając na nas, no naprawdę, jesteś źle wychowana!

- Mój kochany dudziarzu! - krzyknęła Alea, biorąc go w ramiona. - Mogłam się tego spodziewać! Nie możesz się beze mnie obyć, co?

- Myślałam, że nigdy was nie dogonimy - wyznała Kaitlin. - Nie dość, że wyjechaliście wcześniej, to jeszcze ukradliście nam najlepsze konie ze stajni w Providence!

Finghin wyciągnął ręce, objął aktorkę i długo tulił ją do siebie.

- Zastanawiam się, po co w ogóle próbuję wyjechać dokądś sama. I tak zawsze mnie śledzicie!

- Chyba nie sądziłaś, niedobra, że zostawisz sobie Maolmórdhę tylko dla siebie! My też mamy mu kilka słów do powiedzenia!

Mimo niebezpieczeństwa, o którym wszyscy myśleli, cieszyli się, że znów są razem. Wrócili do małego domku, w którym się zatrzymali, i rozmawiali jeszcze długo w nocy. Nadzieje Alei, by oszczędzić tym dwojgu strasznej

bitwy, która się szykowała, rozwiały się, ale dobrze było mieć ich znów przy sobie. I mimo wszystko, mimo zimna i strachu, tej nocy spali lepiej niż poprzedniej.

Rano znaleźli starą barkę i wyruszyli w morze, prosto w stronę wschodzącego słońca. Ostatni rejs do siedziby ostatniego wroga.

\*

Kilka godzin później ujrzeli straszną wyspę, na której czekał na nich władca pałacu Shankha. Tak blisko Providence! Maolmórdha od tak dawna pozostawał w cieniu, niewidoczny na tej nieznannej wyspie! Jakże mógł tak zmylić czujność druidów, a nawet Galatyjczyków. A więc to z tej mrocznej górzystej wyspy przeprowadzał swe ataki? To tu było źródło zła, które zatruwało całą Gaelię?

Po przepłynięciu przez wzburzone fale pozostawili barkę u podnóża klifu i zaczęli się wspinać po czarnej, błyszczącej ścianie, która wznosiła się nad spienionym morzem. Przywiązani linami z trudem posuwali się do góry, kalecząc dłonie o ostre skały, ześlizgując się, dysząc ze zmęczenia i bólu.

W końcu, ostatnim wysiłkiem, dotarli na szczyt klifu i ich oczom ukazała się kolosalna fasada pałacu Shankha. Długą chwilą stali sparaliżowani widokiem tego potężnego gmachu z kamieni. i w kolorze ochry.

Na horyzoncie purpurowego nieba rysował się łańcuch pomarańczowych gór. Wysoka fasada pałacu z kolumnami zdawała się wytryskać z serca góry. Mury i pilastry wykute były w samym łaci z boku. Wtopiony w urwisko budynek był mocno zniszczony przez czas. Przed nimi wąskie schody z czerwonego kamienia wiły się między rzadkimi drzewami i niknęły w fasadzie pałacu niczym język w paszczy smoka.

Wiatr od morza dmuchał tu, jakby wspiał się za nimi po klifie Szumiął pośród skał, podnosił tumany kurzu i pochylał ciała do przodu.

Alea padła na kolana. Położyła dłoń na ziemi, jakby chciała zaczerpnąć z niej ostatnie siły i nabrać odwagi.

Mjolln przerwał ponurą ciszę, która między nimi zaległa:

- No, nigdy jeszcze nie widziałem podobnego budynku, hem... Można by powiedzieć, że wychodzi ze skały...

Finghin przytaknął, po czym podszedł do Alei i położył dłoń na jej ramieniu.

- Czy ty też to czujesz? Tę obecność?

Dziewczyna podniosła się wolno.

- Tak. Odkąd przybiliśmy do brzegu. On tu jest. Widzi nas. I jest okropnie pewny siebie, Finghinie.

- Musiał zastawić na nas pułapkę.

- Nie jestem tego taka pewna. Być może chce prawdziwej konfrontacji. Myślę, że on też chce to zakończyć raz na zawsze. Tak czy inaczej, nie mamy wyboru. Musimy tam pójść. Rzucić się w paszczę smoka.

Dziewczyna westchnęła, popatrzyła na swych wiernych przyjaciół, a potem, bez słowa, postawiła stopę na pierwszym stopniu schodów. Ze ściśniętymi gardłami, przerażeni, przyjaciele wspinali się w milczeniu do pałacu Shankha.

Idąc wolno długimi schodami wykutymi w skale, wciąż rozglądali się niespokojnie dookoła, ponieważ mieli dziwne wrażenie, że są szpiegowani, że ktoś ich oczekuje. Wreszcie dotarli przed wielkie, kamienne dwuskrzydłowe

drzwi. Ledwie stanęli na dziedzińcu, gdy drzwi powoli same się przed nimi otworzyły, potwierdzając to, co Alea i Finghin przeczuwali: byli oczekiwani.

- Jedno jest pewne, hem - szepnął Mjolln - nie weźmiemy go przez zaskoczenie...

Erwan wyjął miecz, który miał u boku, to samo zrobił krasnolud. Szczęk ostrza odbił się od ogromnych ścian. Popatrzyli na siebie, by nawzajem dodać sobie odwagi, po czym weszli do środka. Mijając wysokie kolumny, z żalem zegnali różowawe światło zachodzącego słońca.

Pograżeni w mroku, gdy tylko weszli, od razu poczuli jego obecność. Nie tylko Alea i druid, także pozostali. Wszędzie. Niczym groźba, złowrogie zaproszenie. Niewidzialna, przytłaczająca siła. Maolmórdha.

Komnata była tak wysoka, że nie było można dostrzec sufitu. Tylko kilka słonecznych promieni, które przebiły się przez dach pałacu, spadało z nieba niczym krople złotego deszczu, malując na kamiennej posadzce regularne białe koła. W tej wielkiej komnacie nie było nikogo. Można by pomyśleć, że pałac jest opuszczony. „I być może tak jest - pomyślała Alea. - Czeka na nas sam. Tak jak ja, kiedy chciałam wyruszyć bez towarzyszy, chce walczyć tylko ze mną”.

- Chodźmy dalej - szepnął Finghin, który czuł, że jego Saiman zanika. - Nie możemy dłużej zwlekać.

Na drugim końcu wielkiego holu znajdowały się bliźniacze schody prowadzące na wyższe i niższe piętra pałacu. Lecz Alea nie wahała się ani przez chwilę. On był na dole. W samym sercu góry, w podziemiach pałacu. Szła wolnym krokiem przez wielką salę. Oddychała głęboko, szukając płomienia Saimana. Był tam, w jej umyśle, wciąż żywy. Skoncentrowała się i poczuła, jak jej ciało wypełnia energia, do chodząca aż do opuszków palców. Zatrzymała się na chwilę, jakby chciała cieszyć się tym wrażeniem ostatni raz. Być może nie będzie już miała okazji, by poczuć Saimana. Bo jutro już go nie będzie albo ona będzie martwa.

Wysłała fale Saimana dookoła, sprawdzając każdy zakątek komnaty.

Podążając za Aleą, schodzili gęsiego po masywnych schodach, pograżając się w coraz większych ciemnościach. Alea wyczuła na- i isłający niepokój towarzyszy i zmieniła fale Saimana w świetlistą kopułę unoszącą się nad ich głowami.

Schody, które zdawały się nie mieć końca, zagłębiały się we wnętrzu zapomnianej wyspy i kiedy wreszcie dotarli na sam dół, powietrze stało się wilgotne i lodowate.

- Aleo? - szepnął Mjolln, trzęsąc się. - Wiesz, dokąd idziemy?

Dziewczyna przytaknęła. Dotarli do owalnego pomieszczenia i Alea ruszyła naprzód. Trzymając dłoń na rękojeści miecza, oddychała głęboko, próbując przegnać strach ściskający jej gardło. Ona także się bała. Nie mogła tego pokazać pozostałym, lecz była przerażona tak samo jak oni. Ponieważ teraz słyszała jego głos. Bardzo wyraźnie, w swojej głowie.

*Zbliź się. Zbliź się, Aleo.*

Korytarz zaczął się zwężać.

*Jesteśmy tu, po drugiej stronie, czekamy na ciebie.*

Powietrze było coraz bardziej wilgotne, a mroczny korytarz wypełniał obrzydliwy, mdlący zapach.

Nagle Alea zatrzymała się w miejscu, a za nią jej czterej towarzysze. Erwan, który nie mógł już patrzeć, jak światło wokół Alei gaśnie, zapalił pochodnię.

Dziewczynie nie zaczęło brakować Saimana. Jednak ogarniający ją niepokój sprawił, że nie potrafiła się skoncentrować i zapomniała o utrzymywaniu świetlistej energii dookoła siebie.

Teraz stała przed drzwiami. Wielkimi, dwuskrzydłowymi, drewnianymi drzwiami, rzeźbionymi i nitowanymi cyną.

Alea przełknęła ślinę i pochyliła głowę, aby rozluźnić mięśnie karku, niczym zapaśnik szykujący się do walki. Odwróciła się, by po raz ostatni spojrzeć na swych przyjaciół: Mjollna, Kaitlin, Finghina i Erwana - chłopca, którego tak kochała. Doprowadziła ich aż tutaj. A za tymi drzwiami znajdował się wróg, który ścigał ją od tak dawna. Ten, przez którego zginęli najdrożsi jej ludzie. Ilu jeszcze przyjaciół musi stracić? Który z tej czwórki zapłaci dziś życiem? Czy może... tym razem będzie to ona? Spuściła wzrok, starając się o tym nie myśleć. Ależ była tchórzliwa! Nie. Nie może spuszczać oczu. Nie po tym wszystkim, co przeżyła. Nie po tym, co wszyscy razem przeszli.

Podniosła głowę. Obejrzała się i w oczach przyjaciół ujrzała swoją twarz. Swoje pragnienie, by wreszcie z tym skończyć. Raz na zawsze. Nie było już wyboru. Musieli stawić czoło ostatniemu wrogowi. Następnej okazji nie będzie.

Odwróciła się i otworzyła wielkie drzwi, po czym weszła do środka, z dłonią na rękojeści miecza, ze spojrzeniem utkwionym w przestrzeń i napiętymi mięśniami.

Pozostali podążyli za nią bez wahania. Niesieni tą samą wściekłością, tym samym gniewem. Wiedzieli, że ona ich potrzebuje. Bardziej, niż chce się do tego przyznać.

Postąpili kilka kroków naprzód po wysypanej piachem posadzce i spostrzegli, że znajdują się na ogromnej arenie wydrążonej we wnętrzu góry. Wysoko nad ich głowami wznosiło się wykute w kamieniu sklepienie. Dookoła puste trybuny. A przed nimi jakaś postać. Pojedyncza sylwetka, wyrosła pośrodku tego wielkiego koła niczym kamienny posąg.

Alea zrobiła krok do przodu. Natychmiast zrozumiała, że to nie Maolmórdha. To nie jego spotkała w świecie Djar. To nie on ją szpiegował. Nie.

Dziewczyna rozejrzała się niespokojnie dookoła: najpierw po trybunach, później po głównej łoży na północnej stronie areny. Ale nie dostrzegła nikogo innego. Tylko tego rycerza o szerokich barkach, który szedł teraz w ich stronę. Jego długie włosy były tak iaae, że zdawały się zrobione ze srebra. Jego zbroja była tak szeroka i ciężka, że nadawała mu wygląd olbrzyma.

Erwan stanął obok Alei ze wzniesionym przed siebie Banthralem.

- Zajmij się nim - szepnęła Alea.

Magistel skinął głową. On także zrozumiał, że to nie był Renegat. Że to nie jego miała pokonać Alea. Musiał więc usunąć jej z drogi tę niespodziewaną przeszkodę. Nie, to nie był ten, którego przyszli zgładzić, ale przecież nie spodziewał się, że zwycięstwo przyjdzie z łatwością.

\*

Ultan opierał na ramieniu obosieczny topór. Na krawędziach broni migotały odbicia nielicznych pochodni, płonących wokół areny. Również jego powlekana nikiem czarna zbroja przy każdym najmniejszym geście rozbłyskiwała tysiącem płomieni.

Rzucił się wprost na Aleę niczym drapieżnik na ofiarę, ale magistel natychmiast stanął mu na drodze, trzymając w dłoni swój długi miecz.

Ultan uśmiechnął się. On także kiedyś był magistelem. Znał ten sposób walki. Ciosy przekazywane przez pokolenia instruktorów z Sai-Miny. Parady, uniki, ataki... Tak, znał je wszystkie. Zrobi z tego chłopczyka miazgę. Zbliżył się do Erwana i lekko skinął głową. Było w tym wyzwanie i zarazem gotowość do walki.

Wzniósł swój topór i skrzyżował go z mieczem magistela. Obydwa ostrza zwarły się ze szczękiem, aż pod sklepieniem areny poniosło się echo.

Korzystając z tego, Alea pobiegła wzdłuż muru na drugą stronę. Zniknęła w cieniu, zanim pozostali towarzysze mogli ją dogonić. Mjolln, Finghin i Kaitlin nawet nie próbowali za nią podążyć. Nie byli w stanie nic zrobić. Dziewczyna wiedziała, dokąd zmierza. Pójdzie tam bez nich. Lepiej będzie, jeśli zostaną tutaj i pomogą Erwanowi.

Nagle tuż za nimi wojownik z Shankha zakręcił młynka toporem. Ostrze zakreśliło w powietrzu łuk i z ogromną szybkością pomknęło w stronę gardy Erwana.

Magistel o włos uniknął zetknięcia z bronią przeciwnika, odchylając się w tył. Opuścił gardę, by po chwili ponownie zastawić się mieczem.

Ale Ultan ruszył natychmiast do ponownego ataku. Rzucając się w przód, wymierzył dwa potężne ciosy toporem, po obu stronach magistela. Ten sparował pierwszy cios, jednak nie był w stanie uniknąć drugiego, wymierzonego w biodro. Ostrze topora zagłębiło się w metalu, chroniącym tę część ciała wojownika, ale nie przecięło zbroi. Jednak siła uderzenia zmusiła Erwana, by się cofnął.

Młody magistel nie miał zamiaru dać najmniejszej szansy przeciwnikowi i zaatakował szybką fintą. Ostrze Banthrala zagłębiło się w kolczudze wojownika, w chwili gdy Erwan opadł na lewą nogę. Włożył w cios jeszcze więcej siły.

Ultan, który nie miał czasu na sparowanie ciosu, pochylił się naprzód, by zamortyzować uderzenie.

Magistel uwolnił miecz i chciał uderzyć ponownie, ale tym razem Ultan był szybszy. Wspomagając uderzenie wyrzutem biodra, okrężnym gestem wymierzył cios, a ostrze wbiło się w hełm magistela.

Erwan zachwiał się, usiłując odzyskać zmysły. W głowie mu huczało, a przed oczami wirowały tysiące gwiazd. Miecz w jego dłoni drżał. Zobaczył, że Ultan zmierza w jego stronę pewnym krokiem. Erwan westchnął głęboko i ścisnął rękojęść Banthrala.

Miał czas jedynie na to, by przybrać pozycję obronną, zanim topór zwałił się na niego. Sparował cios, ugiął kolana i z całej siły odepchnął broń Ultana.

Potem cofnął się, szykując się do uderzenia. Szerokim gestem ciął ramię przeciwnika. Krew trysnęła i zaczęła spływać po zbroi. Sługa Maolmórdhy krzyknął z bólu.

Erwan powoli zyskiwał przewagę i bez trudu odpierał ciosy. Zmuszał przeciwnika do cofania się, kreśląc przed jego twarzą efektowne młyńce mieczem. Ale ostrza po obu stronach to pora w dalszym ciągu stanowiły zagrożenie. Ultan nagle obrócił broń w rękach i rozciął przegub Erwana. Magistel zacisnął zęby, ale zadana rana sprawiła, że stracił przewagę.

Banthral i obosieczny topór skrzyżowały się jeszcze trzykrotnie, wznosząc snopy iskier. Erwan czuł impet ciosów aż w piersi. Pot gęstymi kroplami



spływał mu z czoła, zalewał oczy. Zadał cios, który Ultan sparował z łatwością. I kolejny. Ultan uśmiechnął się złośliwie. W końcu obosieczne ostrze rozorało udo Erwana. Obaj wojownicy zaczęli krążyć wokół siebie.

Erwan zrozumiał, że sztuka szermiercza na nic mu się nie przyda w starciu ze sługą Maolmórdhy. Ultan przewidywał każdy jego ruch, a nawet na niego czekał. Znał je na pamięć. Odpieranie tych ciosów najwyraźniej go bawiło - jakby pokonanie wychowanka Sai-Miny sprawiało mu radość.

Oślepiiony potem Erwan odskoczył w bok i zdjął hełm. We wzroku przeciwnika nie było strachu ani zwątpienia. Jedynie uczucie siły i żądza mordy, jakiej Erwan nie widział jeszcze nigdy dotąd. W ferworze walki magistel zdawał sobie sprawę, że stanowi jedyną zaporę ochronną dla przyjaciół. Nie mógł zawieść. Jego śmierć spowodowałaby natychmiastową śmierć przyjaciół. Żaden z nich nie był w stanie stawić czoła Ultanowi.

Kątem oka dostrzegł Kaitlin opartą o brzeg areny. Niezdecydowana wahała się, czy powinna pospieszyć mu z pomocą. Obawiała się, by Erwan nie został zraniony przez jej błąd. Wydawało się, że Mjolln i Finghin czekają na odpowiedni moment, by włączyć się do pojedynku. Ale Erwan wiedział, że nic nie mogliby zrobić. Ultan każdego z nich przewyższał siłą.

I nagle sługa Maolmórdhy ruszył do ataku. Erwan uskoczył w lewo, by uniknąć ciosu toporem, i ciał od dołu w bok nieprzyjaciela. Ten przykucnął, by dosięgnąć podbrzusza przeciwnika. Erwan o mało nie stracił równowagi, ale udało mu się sparować cios. Ultan potoczył się po ziemi i wstał kilka metrów dalej. Potrząsnął głową, by odrzucić z twarzy białe włosy, i chwycił topór, gotowy do następnego natarcia.

Erwan utkwiał wzrok w wojowniku i nie mógł powstrzymać myśli o ojcu. On również stoczył bój ze sługą Maolmórdhy. I przegrał. Galiad przegrał pojedynek z Dermodem Cahlem... Potworny ból ścisnął serce Erwana. Jak on wyjdzie z tego starcia?

Ale teraz nie było tak samo. Żywy trup, który zabił jego ojca, był wspomagany magią. „Ultan jest tylko człowiekiem”, pomyślał Erwan. Człowiekiem takim jak on. Magistelem. Nie może ustąpić. Nie może pozwolić, by ogarnęły go wątpliwości. Ani strach, ani zmęczenie. Nie mógł przegrać. Musiał zwyciężyć dla Alei, dla przyjaciół, dla tego wszystkiego, czego już dokonali.

I by pomścić ojca.

Erwan wziął miecz w obie ręce, uniósł go nad głowę i rzucił się naprzód. Zaatakował cięciem i z łatwością sparował dwa ciosy. Jego umysł był jasny, a ręka pewna.

Topór musnął jego twarz. Odbił go szerokim cięciem i roztrzaskał ramię Ultana. Ale nie miał czasu na napawanie się zwycięstwem. Ultan, wrzeszcząc z bólu, skoczył na niego i opuścił ostrze na głowę Erwana. Magistel dostrzegł to zbyt późno. Gdy topór spadał na jego czaszkę, zrozumiał, że nie będzie mógł sparować tego ciosu. Spróbował się odchylić, lecz ruch Ultana był zbyt szybki. Uderzenie zbyt silne. Ostrze trafiło prosto w skroń magistela.

Erwan ciężko zwałił się na ziemię.

\*

To, co udało się Alei, gdy oddaliła się z miejsca walki, nie udało się nigdy żadnemu druidowi. Była świadoma, idąc wzdłuż areny w świetle ludzi, a jednocześnie nieświadoma, zanurzona w świetle Djar, ścigając Maolmórdhę niczym zdobycz.

*Wiem, że tu jest. Po drugiej stronie. Postawił na mej drodze tego wojownika, by rozdzielić mnie i moich przyjaciół. Bo chce mnie, tylko mnie. Muszę im zaufać. Erwanowi, Finghinowi. Muszą powstrzymać tego wojownika. Bo wiem, że Maolmórdha tu jest. Nie mogę dłużej czekać.*

Trybuny pozostały za nią. Odgłosy pojedynku brzmiały za jej plecami, coraz bardziej odległe. Świat stawał się niewyraźny. Trudno jej było utrzymać otwarte oczy.

*Tu i tam jednocześnie. Jest tutaj, w świetle Djar, tak jak ja. Ukrywa się we wnętrzu góry i czeka na mnie w tym innym świetle. Ale znajdę go. Mogę być w dwóch światach jednocześnie.*

Stawiała stopy niezręcznie, machinalnie. Czowała, że idzie korytarzem, ale nie mogła go dostrzec.

*W jakim świecie się ukrywasz?*

Chciałaby mieć koło siebie Finghina. Ale Saiman w ciele młodego druida był już zbyt słaby. Nie mógł jej już pomóc. Nie mógł jej towarzyszyć w tej drodze. Miała tylko nadzieję, że przyda się Erwanowi. Bo ona też teraz to czuła. Zanikanie Saimana. Gasnący płomień...

*Dopadnę cię na czas, Maolmórdha. Dopadnę cię wcześniej.*

Trybuny stawały przed jej oczami. Cienie tańczyły. Rosły. W końcu dotarła na drugą stronę. Weszła w wąski korytarz, skręciła w prawo z zamkniętymi oczami. Szukała jego obecności. Ale wciąż go nie było.

*Znajdę sposób, Maolmórdha. Nadchodzę.*

\*

Ciało Erwana leżało nieruchomo na środku areny. Pierś młodzieńca nie podnosiła się. Towarzysze patrzyli na niego z przerażeniem.

Mjolln zareagował pierwszy. Unosząc Kadhela nad głowę, rzucił się z krzykiem na białowłosego rycerza. Biegł ile sił w nogach i myślał o naukach udzielonych mu przez Erwana i Galiada. Uderzyć celnie, zaskoczyć, odskoczyć. Stanować jedność z bronią, dać się prowadzić instynktowi. Ale krasnolud nie miał żadnych szans w starciu z przeciwnikiem o takiej posturze. Kiedy zdał sobie z tego sprawę, było już za późno. Nie mógł nawet opuścić broni na tak wysokiego przeciwnika, a potężny topór wojownika z pałacu Shankha ściał go w biegu. Mjolln przeleciał kilka metrów, potoczył się po piasku areny i znieruchomiał w kałuży krwi. Ciosy Ultana były szczególnie mocne. Miał on fenomenalną siłę, którą podwajał jeszcze ciężar topora.

Przerażona Kaitlin podbiegła do krasnoluda, by przyjść mu z pomocą, ale rycerz już zmierzał wprost na nią.

Finghin widział, jak unosi topór. Jego serce stanęło. Nie mógł dopuścić, by ten rycerz zaatakował aktorkę. Nie. Odszukał w głębi duszy ostatnie krople Saimana. Upadając na kolana, czerpał z zakamarków świadomości. Płomień jeszcze się tlił. Był minimalny. Śmiesznie nikłe światelko w ciemności duszy. Ale to wystarczy. Przynajmniej na ostatni cios. Musi tylko w to uwierzyć.

Druid zamknął oczy i wyciągnął dłonie przed siebie. Pozwolił, by energia wolno wypełniła jego ciało. Był ostrożny. Nie chciał naciskać zbyt mocno z obawy, by nie przerwać tej nikłej już więzi. Potem nagle otworzył oczy, wyciągnął jedną rękę w stronę wojownika i wypuścił z palców ostatnią falę energii, swój ostatni płomień.

\*

Alea nagle znieruchomiała na końcu długiego ciemnego korytarza. Przejście kończyło się wykutym w kamieniu schodkiem. Był tam. Tak blisko. Wreszcie.

*Jesteś tutaj.*

Na górze, nad tymi schodami.

*W świecie Djar. I w świecie ludzi. Oglądasz w milczeniu ten rozgrywający się poniżej spektakl. Śledzisz też mnie, Maolmórdho.*

Zakreśliło się jej w głowie. To wymagało od niej wielkiej siły. Opierając się o ścianę korytarza, próbowała wziąć się w garść.

*Mogłabym wejść całkowicie w świat Djar.*

Chciała jednak spojrzeć mu w twarz. Tutaj. Potrząsnęła głową, by pozbyć się zawrotów, a potem skierowała się na schody prowadzące do niewielkiej salki na górze. Krok po kroku szła na spotka nie z tym, który czekał w łożu, nieruchomy, Strażnik Mrocznego Płomienia.

*Tak, boję się. Ale czuję również twój niepokój. Nie jesteś pewien, czy mnie pokonasz, prawda?*

Schody zakreślały. Trzymała się ich kierunku, opierając prawą dłoń o ścianę korytarza. Szła ostrożnie, niczym ślepa, ufając zmysłowi dotyku i instynktowi. A potem nagle doszła do szczytu schodów.

I ujrzała go. Dokładnie przed sobą. Maolmórdha, Władca Gorgunów, Pan Herilimów. Ten, który przyczynił się do tyłu śmierci. Śmierci Felima, Galiada, Faith... Śmierci wilków. Ten, który tak długo śledził ją w świecie Djar. Był tutaj. Przerażająco realny. Przerażająco ludzki.

Wolno podeszła do wysokiej postaci. Wydawało jej się, że powietrze wokół niego płonie. Wielkie i silne ciało Renegata odcinało się w świetle padającym od strony balkonu, który wznosił się ponad areną, fego zbroja z czarnego matowego metalu zlewała się z linią mięśni, a skóra przechodziła w żywe mięso.

A potem dostrzegła jego oczy.

*Spójrz na mnie.*

Czerwone, zatopione w czerni hełmu.

*Jestem Córką Ziemi.*

\*

Wojownik z Shankha upadł na ziemię, rażony energią Saimana.

Szcęk jego zbroi podczas upadku na piasek wyrwał Erwana z omdlenia. Podnosząc się, w jednej chwili ogarnął sytuację. Mjolln leżał na ziemi. Kaitlin, klęcząca obok niego, usiłowała mu pomóc. Finghin również upadł na ziemię. Musiał użyć całej swej energii na to ostatnie uderzenie.

A Ultan, leżący kilka metrów dalej, nie tracił czasu i usiłował wstać.

Erwan popatrzył w drugą stronę. Zobaczył Banthrala. Wystarczyło tylko sięgnąć. Chwycił miecz, przetoczył się w bok, a potem opierając się na ostrzu, wstał z trudem. Był jeszcze ogłuszony, a krew, która wciąż spływała z głowy, skleila mu jedną powiekę.

Magistel wyprostował się i stanął pewnie na nogach. Uniósł miecz ponad lewym ramieniem i zbierając resztki sił, ruszył na Ultana. Zaczął przyspieszać, aż w końcu jego krok przeszedł w bieg. Biegając, wzniósł wojenny okrzyk swego ojca:

- *Alragan!*

Nie mógł chybić. Nie tym razem. To była ich ostatnia szansa, a on był sam. Nikt z pozostałej trójki nie był w stanie się bić. Młody magistel włożył w cios całą swą siłę i nienawiść. W ten ostatni cios.

Rycerz o długich białych włosach, który klęczał całkowicie ogłuszony atakiem druida, miał jedynie czas, by podnieść głowę. Zobaczył jasny błysk ostrza, które zbliżało się do niego z prędkością strzały. Czubek miecza zagłębił się między jego oczami i ostrze przeszło na wylot.

Ultan poniósł szybką śmierć. Erwan wyciągnął miecz z czaszki nieprzyjaciela. Zakrwawione ciało wojownika Maolmórdhy ciężko runęło na ziemię.

Erwan stał przez chwilę bez ruchu nad pokonanym wrogiem. Jego serce waliło jak młotem. Dla Alei. Zrobił to dla Alei. Magistel odwrócił się. Kaitlin wciąż zajmowała się Mjollnem, ale wyglądało na to, że nie jest w stanie mu pomóc. Erwan ruszył w ich stronę.

\*

Zobaczyła świetlną aurę wokół ciała Maolmórdhy. I natychmiast zaskoczył ją jej kolor. Nie był to czerwony blask jak u druidów, tylko niebieski. Tak jak jej własny. Taki jak moc, która krążyła w jej ciele. Czyżby zatem kolor Ahrimana był niebieski?

Alea wytrzeszczyła oczy. Zastanawiała się, co to miało oznaczać. Czyżby energia krążąca w jej żyłach była energią Ahrimana? Nie mogła w to uwierzyć. A jednak nie istniało inne wytłumaczenie.

- *Widzisz, Aleo, jesteś taka jak ja. Teraz, gdy już wiesz, możemy się zjednoczyć.*

*Felimie, dlaczego mnie nie uprzedziłeś?*

*Zbliża się, wyciąga do mnie dłoń.*

- *Tak długo na ciebie czekałem, Aleo. Teraz już nie chcę wyrzucić ci krzywdy. Jedyne, czego chcę, to to, czego zawsze chciałem. Żebyśmy się zjednoczyli.*

*Proroctwo. Jestem końcem wszystkich rzeczy. Saiman zniknął, zniknął powoli. Muszę też być końcem Ahrimana. Ahriman nie może dłużej istnieć. A ja jestem Ahrimanem.*

- *Druidzi nigdy nie przestali nas okłamywać, Aleo. Ciebie, a w przeszłości mnie.*

*Po mnie śmierć.*

- *Ale druidzi, dzięki tobie, dziś już się nie liczą. Wyeliminowałaś ich moc.*

*Maolmórdha, Renegat. To kłamstwo. Nie powinnam go słuchać. Z pewnością istnieje sposób, by...*

*- Gaelia będzie nasza. We dwoje możemy rządzić wyspą. Nie marnuj energii, którą dostałaś. Nie będzie już następnej szansy. Po nas już nikt nie będzie mógł sięgnąć po Ahrimana.*

*Finghin miał rację. Z pewnością jest jakiś sposób.*

*- Daj mi rękę.*

*Wyciągam dłoń w jego kierunku.*

*- Wygraliśmy, Aleo.*

Alea poczuła, jak palce Maolmórdhy dotykają jej palców. Potem nagle chwyciła miecz, okręciła się wokół własnej osi i wymierzyła cios w kark Maolmórdhy. Ale ostrze jej miecza napotkało opór w postaci ostrza Renegata.

*Nie możesz mnie zaskoczyć, głupia. Teraz jesteśmy jednością.*

Bez wysiłku sparował cios. Alea odskoczyła w bok. Wyciągając przed siebie ramiona, trzymając mocno miecz, stała twarzą w twarz z byłym Wielkim Druidem. On również był gotowy do ataku. Tak jak ona był w dwóch światach. Tutaj i w świecie Djar. I wydawało się, że nie sprawia mu to żadnej trudności. Z pewnością potrafił doskonale posługiwać się energią Ahrimana. Przecież krążyła w jego żyłach od tylu lat!

*Nie możemy walczyć, Aleo. Teraz łączy nas braterstwo krwi. Ahriman, który krąży w naszych żyłach, łączy nas. Musisz się z tym pogodzić.*

Dziewczyna zaszarżowała. Spróbowała cięcia, którego nauczył ją Erwan, a które miało rozbroić przeciwnika. Ruszyła naprzód, opuszczając miecz, by cięcie nie było zbyt ewidentne. Ostrze ześliznęło się wzdłuż miecza Maolmórdhy, ale ten odparł atak i bez wysiłku odepchnął cios Alei.

*Znam wszystkie te uderzenia. Nie chcę się z tobą bić, Aleo. Chcę, byśmy się zjednoczyli, słyszysz? Gdybym miał ochotę się z tobą bić, byłabyś martwa już w chwili, gdy przestąpiłaś próg tej sali. Zatem przestań. Opuść broń i podaj mi rękę.*

Alea zaatakowała z lewej, ale Renegat sparował również i ten cios. Ostrza zwarły się ze szczękiem, sinister, dexter, były coraz silniejsze, ale Alea wciąż nie mogła znaleźć słabego punktu przeciwnika. Maolmórdha odepchnął ją gwałtownie na poręcz balkonu.

*Widzisz przecież, że walka jest bezsensowna. Aleo, zaczynam tracić cierpliwość. Zaprzestań, póki jest jeszcze czas.*

Dziewczyna była już u kresu sił. Pojedynek był zbyt trudny. Oddychała ciężko. Mogła poczuć obecność towarzyszy za plecami, poniżej. Ultan był pokonany. Ale Mjolln się nie ruszał. Nie musiała się odwracać, by to poczuć. Leżał na piasku. Nieruchomo.

Mjolln. Jej najstarszy towarzysz. Ten, który nauczył ją jednej rzeczy. To było tak dawno. Doskonale przypominała sobie jego słowa.

*„Nie ma takiej góry, na którą nie dałoby się wejść”.*

*Każdego wroga da się pokonać.*

Wyprostowała się i ponowiła atak. Wzniosła miecz i cięła od lewej. Maolmórdha uchylił się z gracją, pozwalając, by ostrze śmignęło tuż obok, i wymierzył cios w plecy dziewczyny.

Alea poczuła zimno metalu, który zagłębił się w jej biodrze. Krzycząc z bólu, upadła, by nie czekać na następny cios. Ostrze nie weszło zbyt głęboko.

Alea potoczyła się w bok i wstała za plecami wroga. Przeciągnęła dłonią po biodrze. Krew lała się obfitym strumieniem.

*To moje ostatnie ostrzeżenie, Aleo. Nie możesz mnie pokonać. Odlóż broń i daj mi rękę.*

Dziewczyna mierzyła wzrokiem przeciwnika. Oddech miała urywany. Zanurzyła wzrok w jego płonących oczach. W głębi źrenic płonął Ahriman. Czysty. Tak silny. Miał rację. Nie mogła się z nim bić. Znał każdy jej ruch. Wyprzedzał każdy jej atak. Niosła go ta sama siła i w dodatku lepiej ją kontrolował. Ahriman przeciwko Ahrimanowi. Po co walczyć? Co mogła zrobić? Musiała przyznać mu rację. Maolmórdha stał się niezwyciężony. Skoro nie mogła go pokonać, a druidzi nie posiadali już Saimana, nikt nie mógł stawić mu czoła. Zatem po co się opierać?

Nie! Co się z nią dzieje? Jak mogła choć przez chwilę dopuścić do siebie myśl o poddaniu się? Po tym wszystkim, co już przeszła? Czego dokonała? Nie! Może i nie miała żadnych szans, ale nie zrezygnuje. Bo naprawdę wierzyła w to, czego dokonała. W to, czego chciała dokonać. Naprawdę wierzyła w tworzący się właśnie nowy świat. Naprawdę wierzyła, że przyszłość może być lepsza, że świat powoli będzie się zmieniał, i w to, że inni ludzie, tak jak ona, o tym marzą.

Ale ta przyszłość nie stworzy się sama. Nowy świat nie powstanie bez walki. Oporu. Zatem nie mogła zrezygnować. Z pewnością istniał jakiś sposób.

*Słyszę wszystkie twoje myśli, Aleo. Nie. Nie ma żadnego sposobu. A ty nie musisz mnie pokonać. Twoje rozumowanie jest błędne. Chcę tego samego co ty. Ja również chcę lepszego świata. Ja również chcę, by świat wydostał się spod kontroli druidów, bogów, Mojry...*

Dziewczyna wolno podeszła do Maolmórdhy, z opuszczoną bronią.

*Chcę tego samego co ty, Aleo, i mam moc, dzięki której mogę zrobić o wiele więcej, niż mogłabyś osiągnąć bez mojej pomocy. Wszystkie twoje marzenia, ambicje mogę doprowadzić do szczęśliwego końca. Wiesz o tym. Wiesz, że Ahriman płonie we mnie i nigdy nie zgaśnie.*

Alea ujęła miecz za ostrze i złożyła przed Renegatem. Jej dłonie drżały, a oczy napełniły się łzami. Przyklękając na jedno kolano, wolno wyciągnęła dłoń w stronę Maolmórdhy.

- *Czy teraz podasz mi dłoń ?*

- *Skoro chcesz tego samego co ja, Maolmórdho, połączmy nasze siły.*

*Uśmiecha się do mnie. Ahriman w jego duszy jest niczym wulkan. Udało mu się sprawić, bym się przed nim ukorzyła. Wyciąga do mnie dłoń.*

*Wsuwam dłoń do jego dłoni, która jest jednym wielkim strzępem mięsa. Czuję krew krążącą w jego żyłach. Krew, która pulsuje w mojej dłoni. Ścisną ją mocno, tak mocno.*

Obojgiem wstrząsa nagły dreszcz. Szok sprawia, że się cofają. Ale uścisk ich dłoni nie słabnie. Z zamkniętymi oczami, mięśniami napiętymi do granic możliwości, stojąc twarzą w twarz, opierają się sile Ahrimana.

*Nasze siły łączą się niczym dwie wezbrane rzeki. Czuję jego Ahrimana. Tak czystego. Tak pełnego. Tak silnego! Parzy mnie. Moja dłoń płonie, moje ciało również. Nie mogę ustąpić. Jeśli cofnę dłoń, wygra. A ja będę pusta, pozbawiona mocy. Muszę ścisnąć jego dłoń jeszcze silniej. Wytrzymać ten pożar. Mam wrażenie, że moje palce się topią. Że moja krew wrze. Że moja skóra staje w płomieniach. Ale muszę wytrzymać. Jeszcze. Stawić mu czoło.*

*Jesteśmy jednością. Jesteśmy zjednoczeni.*

*Teraz.*

*Wytrzeszcza oczy.*

*- Co robisz, Aleo?*

*Teraz.*

*Muszę walczyć, jak jeszcze nigdy nie walczyłam. Teraz albo nigdy.*

*Jestem siłą przeciwną twojej, przewodnikiem po twych wysublimowanych pragnieniach. Jestem otchłanią, w której się pogrążysz. Jestem bierną siłą, Maolmórdho, jestem siłą Ziemi, Księżycą, który oddycha światłem Słońca, który przenika fazy czasu. Jestem transformacją, odnową. Jestem niczym gwiazda, która wzrasta, zmniejsza się i zanika, ale moja śmierć nie trwa wiecznie.*

*- Co robisz?*

*Masz rację. Nie mogę z tobą walczyć. To bezskuteczne. Ale mogę sprawić, byś zniknęła. Czerpię moc z twojej duszy, Maolmórdho, jestem tą, która unicestwia twoją siłę, czerpie z twojej energii. Chciałeś, byśmy stanowili jedność? Tak, będziemy jednością. Jedną. Mną. Ziemią. Nasze siły wygasną!*

*- Nie!*

*Twarz Renegata wykrzywia się w potwornym grymasie. Już nie może cofnąć swej dłoni.*

*Czuje, że umiera. Odchodzi. Przemyka między palcami jej dłoni.*

*Za późno, Maolmórdho.*

*Przejmuję twojego Ahńmana. Wyciągam go z ciebie, powróci tam, gdzie się narodził, umrze we wnętrzu Ziemi. Szukam w twojej duszy ostatnich kropli, ostatniego płomienia. Niech tak się stanie. Mogę zabrać wszystko, Maolmórdho. Jestem Córką Ziemi.*

*- Nie!*

*To koniec, Maolmórdho. Już niczego nie masz w swoim wnętrzu. Ani kropelki. Spójrz. Jestem Ahrimanem. Ostatnim Ahrimanem. A ty jesteś jedynie pustą skorupą, martwym ciałem. Światło rozprasza się, twoja twarz się zamazuje. Djar znika. Już nie istniejesz.*

## EPILOG

### LEGENDA O BORCELII

*Jestem we wnętrzu Ziemi. W Sidzie.*

*Długo przemierzałam kraj, moje nogi grzęzły w piasku wrzosowisk, wiatr, stary towarzysz, smagał moją twarz. Przemierzałam ziemię, które wreszcie się zjednoczyły, aż dotarłam tu, do bramy światów, u stóp gór Gor-Draka. I oto jestem tu teraz. W Sidzie. Inni nie poszli ze mną. Nie tym razem. Są w Providence, gdzie pozostało jeszcze tyle do zrobienia. Erwan został królem. Tagor, Finghin i Kaitlin służą mu pomocą. Zbudują nowy świat. Mogę im zaufać. To nie będzie łatwe, ale któregoś dnia osiągniemy cel. Może nasze dzieci albo wnuki.*

*Mjolln żyje. Jest ciężko ranny, jeszcze w śpiączce, ale przeżył. On, który był ze mną od pierwszego dnia, który nigdy mnie nie opuścił. Był mi wierny aż do końca. Tak bardzo mi pilno, by znów go zobaczyć, porozmawiać z nim, podziękować. Tak jak muszę podziękować wszystkim pozostałym.*

*Ale teraz pozwolili mi odejść, bym mogła tu dotrzeć, sama. Wreszcie sama! Muszę bowiem dotrzymać obietnicy.*

*Jestem teraz w dawnym świecie Tuathannów. Mój brat tu żył, poza czasem, poza przestrzenią i poza przeciwnościami losu, które może i nigdy nie znikną, ale będziemy z nimi walczyć. Tutaj nie istnieją błędy ani przemoc, ani śmierć. To jest bezpieczna przystań, którą jestem im winna. Którą powinnam im ofiarować. By dotrzymać obietnicy.*

*Są tutaj, w mojej kieszeni. Zebrałam je na ziemi, w sercu Lasu Borceliańskiego, tam gdzie zaprowadziły mnie kroki, wspomnienia. Dwa białe kwiaty, dwa kwiaty muscarii, nasiona Drzewa Życia.*

*Biorę jeden do ręki i głaszczę palcami. Taki piękny, taki silny, a zarazem taki delikatny. Wyjmuję go. Jeden kwiat. Chcę zatrzymać drugi na zawsze. Na przyszłość. By zabrać go do świata ludzi jako ostatnią pamiątkę kończącej się Ery.*

*Kładę muscarię na ziemi Sidu, przede mną. Sadzę ją w ziemi jako wyzwanie dla nieistniejącego tu czasu. „Będiesz mogła obdarzyć nas życiem”, powiedział Oberon. Tak. Zwrócić życie elfom, ofiarować im wieczność. Tutaj Drzewo Życia będzie mogło zapuścić korzenie, jestem tego pewna. A wraz z nim elfy będą mogły się odrodzić.*

*Kłękam. Patrzę na ten biały kwiat. Jest nadzieją na przyszłość, ale chcę przypomnieć sobie o przeszłości. Przypominam sobie czas, który już upłynął. I kocham tę przeszłość bardziej niż przyszłość. Muszę pamiętać. O elfach, o ich skórze koloru drewna. O wilczycy, mojej pięknej wilczycy Imali, której już więcej nie ujrzałam. Przywołuję z zakamarków pamięci wszystkie drogie mi*



osoby, które straciłam. Galiad, Faith, Felim, Tara i Kerry. Muszę pamiętać. Musimy pamiętać. Czuję łzy zbierające się w kąciakach oczu. Płakać. Troszeczkę. Jedna łza spada na kwiat muscarii. Na jego biały płatek.

Chciałabym zobaczyć, jak rośnie to drzewo. Ale nie mogę zostać. Zrobiłam tu to, co miałam zrobić. Czekają na mnie na zewnątrz. Gaelia czeka. Muszę przekroczyć te drzwi.

A jednak chciałabym poznać ten świat, w którym żył Tagor. Ten, który musiała opuścić moja matka, ponieważ nosiła w swym łonie dziecko z zewnątrz... Ponieważ nosiła w swoim łonie mnie. Chciałabym móc urodzić się tutaj...

Muszę stąd odejść, wiem. Moje życie jest tam, na zewnątrz. Przy Erwanie. Tam, gdzie czeka na mnie jeszcze tysiąc innych spraw. Tysiące marzeń. Odwracam się, idę w stronę drzwi.

- Kailiano!

Znam ten głos. Oberon. Król elfów.

Odwracam się. Jest tutaj, przede mną, pełen światła. Jego ciało w kolorze drewna, jego delikatne spiczaste uszy, jego uśmiech.

- Dziękuję, Kailiano. Dotrzymałaś obietnicy.

Jakże słodki jest jego głos! Wypełnia całą przestrzeń między nami. Jakby zawsze należał do tego miejsca. Sid jest stworzony dla nich, dla elfów. Nie dla Tuathannów. Dobrze zrobiłam, że przyprowadziłam je tutaj.

- Dziękuję, Oberonie. Ja również wiele wam zawdzięczam. Pokazaliście mi drogę.

Uśmiecha się.

- A zatem odnalazłaś trzy przepowiednie.

- Nie wiem. To nie jest takie oczywiste...

- A jednak jesteś tutaj. Zatem powiedz, jakież to przepowiednie?

Czyżby ich nie znał? A może pyta, by się przekonać, czy ja je znam? Co zrozumiałam... Czy to ważne? Nie mam przed nim nic do ukrycia.

- Pierwsza dotyczyła moich narodzin. Moja matka wypełniła ją za mnie, wydając mnie na świat. Druga dotyczyła Saimana i sądzę, że ją zrozumiałam... ale trzecia mówi, że muszę zrozumieć Mojry. I tego nie jestem pewna, Oberonie.

- A jednak skoro pokonałaś Maolmórdhę i skoro tu dziś jesteśmy, to znaczy, że rozumiałaś, Aleo!

- Być może. Ale tak naprawdę nie zdaję sobie z tego sprawy.

- To nie jest ważne. Liczy się to, w co wierzysz.

- W co wierzę, Oberonie? Nie wiem. Wszystko, co wiem, to że nie lubię takiego znaczenia Mojry, jakiego nas uczą... Nie podoba mi się myśl, że nasze przeznaczenie już z góry jest zapisane... Czy takie jest znaczenie Mojry?

Oberon uśmiecha się.

- Cóż, wprost przeciwnie! I to dowodzi, że pojęłaś sens Mojry.

- Co chcesz przez to powiedzieć...? Ty znasz ów sens?

- Tak, oczywiście, Aleo. Jestem Oberon! Stanowię część Mojry!

- jak to? Wytłumacz mi!

- Już to uchwyciłaś. Wprowadzasz to w czyn każdego dnia. Każdy twój czyn może mieć tylko jedno następstwo. Za każdym razem, gdy coś robisz, musisz wiedzieć, że ta rzecz pociągnie za sobą następną. Nie ma czegoś takiego jak zapisane wcześniej przeznaczenie, Aleo, ale każdy czyn pociąga za sobą konsekwencje. To właśnie jest Mojra i dobrze ją rozumiałaś, skoro tu jesteśmy.

Zrozumiałaś, że każda decyzja, jaką podejmiesz, będzie miała wpływ na przyszłość twoją i ludzi, których masz wokół siebie...

Tak. On ma rację. Myślę, że rozumiem. Odpowiedzialność. Jesteśmy odpowiedzialni za historię. To właśnie to. Tak. Druidzi naprawdę mylili się co do sensu Mojry! To nasze wybory mają wpływ na historię. Każdy nasz wybór. Oto prawdziwe znaczenie Mojry.

Druidzi nas okłamali. Ale oni również się zmienili. Wszystko się zmienia. Cały świat.

- Masz rację, Oberonie. Myślę, że cała Gaelia zrozumiała.

Uśmiecha się. Jest zadowolony. Miałabym jeszcze kilka pytań, ale muszę już iść. Tak bardzo tęsknię za Erwanem... Nie mogę tu pozostać. Są pytania, na które nie trzeba odpowiedzi. Pytania, które sprawiają, że będziemy musieli przeżyć swoje życie. Nie odpowiadajmy na nie zbyt szybko. Nie umierajmy zbyt wcześnie.

A poza tym nie mogę się już doczekać Gaelii. Bo wiem, że jej przyszłość należy do nas. Że to my decydujemy o jej przyszłości i że nie mamy prawa jej zawieść. Moje miejsce jest tam, u boku króla Erwana. Teraz, gdy rządzi zjednoczonym krajem, królestwem Gaelii, w którym każdy mieszkaniec decyduje o swej przyszłości. W którym każdy wybór się liczy.

- Dziękuję, Oberonie. Dziękuję i do zobaczenia, muszę wrócić do swoich. Moje miejsce nie jest tutaj.

- Zaczekaj, Aleo!

Zatrzymuj mnie. Jego dłoń jest taka delikatna.

- Tak?

- Zanim odejdziesz, Aleo, chciałbym ci opowiedzieć pewną historię.

- Historię?

- Tak.

- Słucham.

Cofa rękę. Odwraca się. Siada obok białego kwiatu. Tak jak wtedy siedział elj, który powitał nas w Borcelii za pierwszym razem.

Zamyka oczy i rozpoczyna opowieść.

- Pewnego dnia żyła w Sidzie kobieta, która chciała poznać znaczenie czasu, ponieważ w Sidzie czas nie istniał. Kobieta ta tak bardzo pragnęła poznać odpowiedź, że znalazła bramę światów, drzwi, które je łączą i oddzielają jednocześnie. A potem przez nie przeszła.

- Znam tę historię, Oberonie. To historia mojej matki...

- Poczekaj. Nie znasz jej końca. A zatem kobieta z Sidu w tajemnicy przekroczyła bramę światów i weszła do Gaelii. Tam spotkała człowieka, z którym się połączyła podczas jednej nocy. Kiedy wstało słońce, kobieta z Sidu zrozumiała, czym jest czas. Widziała noc i widziała nadejście dnia. Poznała smak miłości i teraz już wiedziała, czym jest obawa przed stratą, smutek na myśl, że już nigdy nie ujrzy tego, którego pokochała. To właśnie był czas. Rozstali się bez słowa. Powróciła do Sidu. Była brzemienna. Jej małżonek odkrył, że nie była mu wierna. Została wygnana z Sidu bez litości. Sama przemierzała wrzosowiska, tuląc w ramionach małą dziewczynkę, zagubiona, opuszczona. Przeżyła kilka dni, z trudem znajdując pożywienie, a kiedy znalazła coś, wolała nakarmić córkę. Szła na południe, nie wiedząc, dokąd zmierza, i pewnego wieczoru, gdy doszła do Borcelii, kobieta z Sidu umarła. Życie opuszczało ją powoli. Tak właśnie znalazły ją elfy, z dzieckiem w ramionach. Wciąż pamiętam wyraz jej oczu, Aleo. Jej włosy. Twoja matka była naprawdę

piękna! Elfy wzięły dziecko z sobą, by powierzyć je opiece ludzi. A potem odeszły pochować tę młodą matkę. Oddały Ziemi jej ciało bez życia. Ale, Aleo, historia się na tym nie kończy. Gdyż elfy mogły ocalić jej duszę.

- Ocalić jej duszę?

- Tak, Aleo. Była to czysta dusza i żaden z nas nie chciał jej straty. W środku nocy elfy zabrały duszę twojej matki i nosiły od drzewa do drzewa, niczym łagodne tchnienie wiatru, zanim nie znalazły istoty, która mogłaby ją przyjąć. Aby żyła wiecznie, aby ocalić jej spojrzenie. To piękne spojrzenie.

- A kto je odziedziczył?

- Jeszcze się nie domyśliłaś? Ejże, Aleo! Jestem pewien, że wiesz! Jesteśmy pewni, że wiesz...

- Wilczyca?

- Oczywiście. Biała wilczyca, która tamtej nocy przebywała w Lesie Borceliańskim. Nazajutrz elfy powierzyły dziewczynkę bardom, którzy zabrali ją do miasteczka na północy wyspy.

Umilkł. Patrzy na mnie. Widzi łzy spływające po moich policzkach.

- Aleo, ty płaczesz? Och nie, Aleo, nie płacz! Ta historia jest piękna, wiesz o tym! Jest to ulubiona historia elfów. Noc wilczycy. Historia o wilczycy i dziecku... Żaden z nas nigdy nie zapomniał tej nocy. Nie płacz, Aleo. Żaden z nas nigdy o niej nie zapomni.

- Dziękuję, Oberonie. Dziękuję. Płacę, ale ze szczęścia. Nie wiem, gdzie teraz jest wilczyca.. Zgubiłam ją. Chciałabym ją jeszcze zobaczyć.

- To nie jest konieczne teraz, gdy już wiesz. Jest wolna. Musi żyć ze swoimi pobratymcami, tak jak ty musisz żyć wśród swoich. Wasze ścieżki się przecięły, wasze spojrzenia się zetknęły i to się liczy. Myślę, że zrobiła to, co do niej należało.

- Tęsknię za nią, ale masz rację. Zrobiła to, co do niej należało.

- Tak. Tak sądzę. Ty też.

Kładzie dłoń na moim brzuchu.

Uśmiecha się.

- Jesteś w ciąży, Aleo?

- Tak.

## POSTACIE WYSTĘPUJĄCE W TRYLOGII MOJRA

### **Amina Salia z Gałacji, królowa Gaelii, druidka Aislinn:**

Małżonka zmarłego króla Eoghana z Gałacji, sprawująca rządy w Gaelii po przejęciu kontroli nad nową Radą Druidów. Przyjaciółka Alei z dzieciństwa.

**Feren Al'Roeg, hrabia Harcourt:** Władca nawrócony na chrześcijaństwo przez biskupa Thomasa Aeditusa; jego konflikt z królem nieustannie się pogłębiał. Protektor Thomasa Aeditusa, zaoferował mu poparcie swego wojska, Rycerzy Płomienia.

**Meriand Mor Piękny, hrabia Ziemi Brunatne:** Brat króla Eoghana i zarazem jego najzacieklejszy wróg. Niezwykle zazdrosny o pozycję króla, myślący tylko o tym, jak zająć jego miejsce.

**Alvaro Bisagni, baron Bizanii:** Nieprzyzwoicie bogaty, jak większość jego poddanych jest libertynem. Bardzo przywiązany do zbioru zasad dobrego wychowania, zwanego deceną.

**Albath Ruad, hrabia Sarre:** Słaby i nierzucający się w oczy władca, prawie niewidywany przez poddanych.

**Thomas Aeditus:** Biskup zdecydowany, by nawrócić Gaelię na chrześcijaństwo. Przybył z Brittii, by ochrzcić Gaelijczyków. Przy pomocy innych duchownych rozwija na wyspie piśmiennictwo.

**Tagor:** Syn Sarkana, przywódcy wszystkich klanów tuathan-  
neńskich, nowy przywódca ostatnich Tuathanów. Przyrodni brat Alei.

**Saidit Vengorn, zwany Emanem druidem:** Arcydruid Rady Sai-Miny; najpierw był archiwistą, potem Shehan objął tę funkcję.

**Maolmórdha, Strażnik Mrocznego Płomienia, zwany Renegatem:** Jeden z dwóch zbuntowanych Wielkich Druidów, których brakowało w pełnym składzie Rady Sai-Miny. Chciał zawładnąć mocą Samildanacha, poszukiwał Alei. Przebywa w pałacu Shankha.

## HISTORIA GAELII

**W Pierwszej Erze (-450-0)** przybyli Tuathannowie, tajemniczy lud, półbogowie, półludzie, skierowani na wyspę, jak mówiono, oddechem Mojry. Nazwali wyspę Gaelią i rozwijali się, nie wadząc zamieszkującym ją tubylcom: krasnoludom, elfom, a także wilkom i innym zwierzętom.

**W Drugiej Erze (0-320)** armie wojowników z Brittii, kontynentu na południe od Gaelii, przy pomocy najemników z Bizanii podbiły wyspę od wschodu, zaczynając od miasta, które później zostanie nazwane Starym Portem. Opuścili swój kraj targany wojną religijną i postanowili osiedlić się na tej spokojnej wyspie, by wyrwać się z jarzma chrześcijaństwa. W ciągu zaledwie kilku lat zdołali unicestwić Tuathannów i narzucić wyspie własną kulturę polityczną (monarchia), religijną (druidyzm, ale kult Mojry przetrwał) oraz zakaz pisania, który nie obejmował jedynie aktów notarialnych (zapisów sporządzonych przez notariuszy). Wyspa została podzielona na pięć hrabstw. Były to: na północy Sarre, na zachodzie Harcourt, Ziemia Brunatna na południowym zachodzie, Bizania na południowym wschodzie oraz Galacja w centrum, z siedzibą króla. Władza polityczna została rozdzielona pomiędzy Radę Druidów, króla z Galacji oraz jego czterech wasali.

Niektórzy Tuathannowie zdołali jednak przeżyć najazd i znaleźli schronienie pod ziemią, w tajemniczym kraju Sid, w sercu miasta Tirnan.

**W Trzeciej Erze (320-386)** kolejni wojownicy z Brittii przybili do wybrzeży Ziemi Brunatnej, by opanować wyspę, ale tym razem z zamiarem nawrócenia jej na chrześcijaństwo. Zaczęła się bitwa zwana później bitwą o Mericourt (od nazwy obleganego miasta). Wojna trwała siedem lat, od roku 320 do 326, a następnie dzięki sojuszowi połączonych armii wszystkich pięciu hrabstw Brittyjczycy zostali wyparci z Gaelii. Czterdzieści lat później (366) przybył Thomas Aeditus, mianowany w Brittii biskupem Gaelii, by nawrócić wyspę na chrześcijaństwo i rozpropagować pismo (nie mogąc podbić wyspy siłą, Brittyjczycy chcieli to zrobić za pomocą religii). Przemierzał wyspę wraz ze swymi kapłanami i otrzymał pomoc pewnej części wojowników z Harcourt (którzy później przekształcili się w słynnych Rycerzy Płomienia), nawracał mieszkańców, mianował biskupów i księży, tworzył miejsca kultu i nauki, a gdy otrzymał zgodę Ferena Al'Roega, ustanowił swą siedzibę w Mont-Tombe. Tam mieścił się uniwersytet prowadzony przez mnichów, którzy uczyli mieszkańców Harcourt czy-

tać. Armia Galacji chciała obalić Al'Roega i zatrzymać Aeditusa. Wówczas wybuchła wojna z Harcourt (375), która była tak krwawa, że Galacja wołała zaprzestać walk i zostawić Aeditusa i hrabiego AFRoega w spokoju.

## GEOGRAFIA POLITYCZNA GAELII

Pięć hrabstw Gaelii zostało utworzonych w roku 0 przez najeźdźców z Brittii, po tym jak wygnali Tuathannów.

### **GALACJA**

**Władca:** Król Eoghan

**Stolica:** Providence

**Herb:** Diamentowa korona

**Pozycja polityczna:** Centralne hrabstwo wyspy, w którym mieszka król. Galacja wzbudza zazdrość. Galatyjczycy są niezbyt wojowniczy, ale groźni i bardzo dumni.

**Galatyjczycy:** Rycerze, którzy przybyli z Brittii, dowodzeni przez Indecha de Domiana, nazwali swe centralne hrabstwo Galacją. Powinno być to zatem najlepiej rozwinięte hrabstwo w Gaelii. Galatyjczycy mają nad pozostałymi technologiczną przewagę, ale są dość pretensjonalni i zamiast wykorzystać swe początkowe zwycięstwo, stopniowo tracą siłę. Są też mniej bogaci niż Bizańczycy. W ich codziennym życiu spotyka się wiele symboli Mojry (na drzwiach, w ich gestach). Najsurowszą karą u Galatyjczyków jest banicja Mojry. Na czole przestępcy tatuuje się przekreślony symbol Mojry, co ma oznaczać, że odbiera mu się jego przeznaczenie. Obywatele Galacji nie mogą patrzeć na banitów ani z nimi rozmawiać.

### **HARCOURT**

**Władca:** Hrabia Feren AFRoeg

**Stolica:** Ria

**Herb:** Płomień

**Pozycja polityczna:** Hrabstwo najbardziej wrogie Galacji z powodu konfliktu dotyczącego chrześcijaństwa i piśmiennictwa. Jest to hrabstwo najbardziej przychylne biskupowi Thomasowi Aeditusowi i religii chrześcijańskiej. Jego mieszkańcy są w przeważającej mierze wykształceni dzięki łatwemu dostępowi do uniwersytetu w Mont-Tombe oraz szkół przyklasztornych.

**Harcourtczycy:** Często nietolerancyjni, są też niezbyt zorganizowani. Feren Al'Roeg, sprzyjający Thomasowi Aeditusowi, jest despotą i rządzi żelazną ręką. Z powodu tak twardej rządu tamtejszy lud jest raczej zamknięty na innych, sterroryzowany i bardzo posłuszny (podatki, religia). W tym hrabstwie praktykują również najlepsi medycy. Rycerze Płomienia przemierzają teren hrabstwa (a czasem nawet wypuszczają

się poza jego granice), by dbać o utrzymanie dominacji hrabiego oraz biskupa Aeditusa.

**Przysłowie:** Zapiski uczonego wykonane atramentem przetrwają dłużej w ludzkiej pamięci niż przelana krew.

## **BIZANIA**

**Władca:** Baron Alvaro Bisagni

**Stolica:** Farfanaro

**Herb:** Złoty ślimak

**Pozycja polityczna:** Ze względu na oportunistyczny charakter hrabstwo to jest raczej neutralne. Bizańczycy starają się do nikogo nie odwracać plecami, ponieważ trudnią się lichwiarstwem i z tego powodu wszędzie mają interesy.

**Bizańczycy:** Najemnicy Galatyjczyków podczas inwazji na półwysep. W ramach rekompensaty dostali teren hrabstwa

Bizanii. Lenno niewielkich rozmiarów, ale bogate i tętniące życiem kulturalnym. Głównym źródłem dochodu początkowo było rybołówstwo, potem stała się nim lichwa. Raz do roku mieszkańcy świętują karnawał, podczas którego zabawiają się oszukiwaniem Mojry: bogaci zamieniają się z biednymi, kobiety przebierają się za mężczyzn i odwrotnie. Jest to dzień, w którym wszystko jest dozwolone.

Słynni szczudlarze z Zatoki Ebonu również są mieszkańcami Bizanii (chodzi o obywateli miasta wzniesionego na palach, w którym woda cofa się raz na dobę; przemieszczają się, używając szczudeł; żyją przede wszystkim z połowu ryb).

Bizańczycy przywiązują wielką wagę do bardzo skomplikowanego kodu zachowań zwanego decenżą.

**Przysłowie:** Czas jest najlepszym bazarzem.

## **SARRE**

**Władca:** Hrabia Albath Ruad

**Stolica:** Tarnea

**Herb:** Jaskółka

**Pozycja polityczna:** Hrabstwo ubogie, nie posiada środków na prowadzenie wojny z kimkolwiek, co nie przeszkadza jego mieszkańcom życzyć jej... wszystkim dookoła. To właśnie w tym hrabstwie znajduje się Sai-Mina, półwysep, na którym ma swą siedzibę Rada Druidów. Nie wpływa to jednak na wzmocnienie pozycji politycznej tego opuszczonego lenna.

**Sarreńczycy:** W większości wieśniacy, są raczej hojni, solidarni i przywiązują ogromną wagę do tradycji. Sarre jest hrabstwem, które ma najwięcej przysłów; mądrość ludowa zobowiązuje...

**Przysłowia:** Sarreńczyk nie jest pijany, dopóki może przytrzymać się choćby źdźbła trawy, by nie upaść.

Czego nie potrafi wyleczyć whisky lub masło, tego nie da się wyleczyć.

Koza odziana w jedwabie zawsze pozostanie kozą.

Lepiej mieć mało, niż chcieć wiele.

Żebak nie obawia się złodziei.



Zanim powiesz, że coś nie jest ciężkie, weź to na ramiona.

### **ZIEMIA BRUNATNA**

**Władca:** Meriand Mor Piękny

**Stolica:** Mericourt

**Herb:** Chimera

**Pozycja polityczna:** Brunatyjczycy są bezpośrednimi wrogami Galatyjczyków, gdyż Meriand, brat króla Galacji, zazdrości mu jego pozycji.

**Brunatyjczycy:** Nie różnią się zbytnio od Galatyjczyków i nie jest to przypadek, skoro władcy obu hrabstw są braćmi. Jest to dumny naród, który karmi się zazdrością w stosunku do Galacji.

**Przysłowie:** Nie istnieją nieszczęśliwe małżeństwa. To wspólne śniadanie jest przyczyną kłopotów.



## RASY I KASTY GAELII

### KRASNOLUDY

Krasnoludy zamieszkiwały tereny Gaelii, zanim została ona królestwem, ale w przeciwieństwie do Tuathannów nie zostały z niej wypędzone, ponieważ trzymały się z boku, a poza tym są wspaniałymi architektami i robotnikami, umiały zatem okazać się przydatne dla kolejnych najeźdźców. Często żyją poza miastami, na wzgórzach.

**Przysłowia:** Ludzie są jak dudy, nie wydadzą dźwięku, dopóki się nie napelnią.

Murarz, który uderza często, jest lepszy niż ten, który uderza zbyt mocno.

### ELFY

Elfy są istotami legendarnymi, żyjącymi w lasach, w ukryciu. Mówi się, że ich skóra ma kolor drewna oraz że żyją zgodnie z rytmem pór roku... tak jak Drzewo Życia. Ich królem jest Oberon.

### BARADOWIE

Poeci i muzycy, wykształceni i wtajemniczeni przez druidów, zostali również kurierami w myśl statutu wydanego przez króla Liama z Galacji, ponieważ podróżują po kraju i w związku z tym mogą rozgłaszać nowiny. Ich kastowy kolor to błękit.

### UZDROWICIELE

Są to medycy Gaelii, wykształceni i wtajemniczeni przez druidów. Ich kolorem kastowym jest zieleń.

### DRUIDZI

Bardowie lub uzdrowiciele mający drugi stopień wtajemniczenia. Druidzi uczą się opanowywać Saimana (magiczną moc, która pozwala im na transformację oraz czasową kontrolę nad żywiołami). Są depozytariuszami Wiedzy, która jest przekazywana jedynie w sposób ustny. Są jednocześnie filozofami i sędziami w Gaelii oraz służą radą królowi.

Kasta druidów dzieli się na trzy stopnie: druid, Wielki Druid (może ich być jedynie dwunastu) oraz Arcydruid (tylko jeden). Dwunastu Wielkich Druidów oraz Arcydruid tworzą Radę, jedną z najważniejszych sił politycznych w Gaelii, mającą swą siedzibę w wieży w Sai-Minie.

### **WĘDROWNI AKTORZY**

Zwani również dziećmi Mojry. Zostają najwyżej jeden dzień i jedną noc w danym mieście, by dać przedstawienie. Życie spędzają na drogach i gościńcach wyspy, na swych kolorowych wozach. Nazywa się ich dziećmi Mojry, gdyż poświęcają życie na słuchanie jej znaków oraz swój los składają w jej ręce.

### **MAGISTELE**

Wojownicy, których powołaniem i zadaniem jest ochrona druidów. Jest to rodzaj osobistego ochroniarza. Magistel jest powiązany z druidem, którego chroni, siłą Saimana. Są to wielcy wojownicy, szkoleni w Sai-Minie.